

A man with long hair, wearing a green beanie, sunglasses, a grey turtleneck, and a dark jacket, is holding a handgun. The background is a textured, greyish wall.

**SAM
MILLAR**

Replika

NIEUGIETY

Człowiek, który przeżył więzienne piekło organizuje jeden z największych i najbardziej zuchwałych napadów w historii USA, o którym Amerykanie nie przeczytają, a Hollywood nie nakręci filmu. Przekonaj się, dlaczego.

**SAM
MILLAR**

VIEWGIEY

Replika

Tytuł oryginalu

On The Brinks

Copyright © Samuel Millar, 2003
Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Replika, 2012
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Daria Wolska

Skład i łamanie
Mateusz Czekala

Projekt okładki
Design Partners
(www.designpartners.pl)

Wydanie 1

ISBN: 978-83-7674-157-4

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

Nieugiętego dedykuję pamięci mojego ojca,
Dużego Sama, buntownika i nonkonformisty
w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Oraz mojej
matce, Elizabeth. Mroczne miejsce wreszcie odeszło,
oboje dostąpiliśmy odkupienia.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym wyrazić swoją szczerą wdzięczność wielu ludziom, którzy pomogli mi na drodze do ukończenia *Nieugiętego*, czy to dzięki zachętom, czy czystej determinacji. Znowu staję wobec perspektywy pominięcia wielu osób i znowu mogę jedynie złożyć ogromne podziękowania każdemu z was za waszą pomoc i uwagę. Chciałbym jednak osobno podziękować Gaye Shortland, autorce *Rough Rides in Dry Places* i innych dzieł, za to, że nigdy nie zwątpiła w ten rękopis. Zwykle „dziękuję” to za mało, lecz ona będzie wiedziała, że słowo to znaczy dużo więcej, niż się z pozoru wydaje.

Chciałbym również podziękować wszystkim z Wynkin de Worde, oryginalnym wydawcom *Nieugiętego*, za to, że podjęli odważną decyzję, by opublikować i zostać potępionymi. Rogerowi i Brendzie Derham za zaangażowanie i okazaną wiarę oraz Valerie Shortland, której redaktorski profesjonalizm i

osobista zachęta nigdy nie zmały, pomimo wielu moich prób, by je sabotować.

Składam również wiele podziękowań mojej rodzinie - tutaj w Irlandii, jak również w całej Europie, w Argentynie, Australii, Kanadzie i USA, także moim krewnym i przyjaciółom - za wspieranie moich poprzednich książek. Wszystkim klanom: Millarom, O'Neillom, Morganom, Clarkom i McKeesom. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się moim braciom i siostram, Mary, Dannyemu, Joemu i Phyllis. Wszystkim, którzy pomogli *Nieugiętemu* wygrać prestiżową Aisling Award, czyniąc z tej książki bestseller.

Wreszcie najważniejsze - pocałunki i podziękowania dla mojej najlepszej przyjaciółki i żony, Bernadette, oraz dla dzieci, Kelly-Saoirse, Ashley-Patricii, Corey'owi i Roxanne. Teraz, kiedy *Nieugięty* jest gotowy dla mojego wydawcy, znowu nie mam wymówek, by nie kosić trawy, nie robić herbaty, nie wybrać się na najnowszy film, nie pójść na spacer i nie przestać pić tyle tej cholernej kawy...

PROLOG

W Hollywood nie zrobiliby tego lepiej.

Nowy Jork, „The Irish Voice”

Strażnicy zeznali policji, że zostali zaskoczeni przez napastników, którzy w jakiś sposób obeszlą wysokiej klasy system bezpieczeństwa. Nie potrafili powiedzieć, ilu było bandytów... Wygląda to na jeden z największych napadów w historii Stanów Zjednoczonych.

Pierwsza strona „The New York Times”

Kiedy spotkałem go później tego wieczora, uśmiechał się, wyciągając rękę, jakby witał mnie po raz pierwszy od lat.

- Ani słowa w samochodzie - szepnąłem z uśmiechem przyklejonym do twarzy. - Mogą być w nim pluskwy.

Jechaliśmy Lake Avenue, w kierunku plaży, w całkowitym milczeniu.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zaparkowałem samochód za jakimiś wydmami i zająłem się zbieraniem Budweiserów z tylnego siedzenia.

Niezbyt daleko od nas pewna młoda parka siedziała na trawiastym zboczu, jedząc zatłuszczone kanapki i przyglądając się ludziom zbierającym manatki i schodzącym z plaży.

Był już późny wieczór, ale nadal panował upał nie do zniesienia. Księżyc o cielistym kolorze wisiał na ciemniejszym niebie jak wyłuskane jądło. Świerszcze prowadziły towarzyską pogawędkę, a komary wgryzały się w moje uszy, gdy patrzyłem na coraz spokojniejsze załamywanie się fal. Mewa unosiła się bez wysiłku, umierając ze śmiechu. Później

przypomnił mi się albatros w Ancient Mariner. Dużo później przypomniała mi się mewa w Long Kesh.

Kiedy byliśmy już poza zasięgiem głosu, przeszedłem do rzeczy.

- Chciałbyś zarobić poważną kasę?

- Jak poważną? - zapytał, pociągając z butelki Budweiser-a i starannie dobierając słowa. Unikał jednoznacznej odpowiedzi.

- Może z milion - odparłem nonszalancko, podnosząc piwo do ust.

Budweiser wpadł mu do tchawicy. Zakrztusił się i zacharczał.

- Co za kit mi wciskasz? - zapytał, ocierając piwo z brody.

- To nasz cel - powiedziałem, klękając na piasku. Zacząłem rysować na nim palcem. Nie minęło dużo czasu, a naszkicowałem budynek z lotu ptaka, składający się z prostokątów i kwadratów. Nie powiedziałem nic więcej. Nawet kiedy z wolna nadeszły fale, wymazując moją pracę, milczałem, czekając, aż rysunek zniknie.

- Chodźmy - rzekłem w końcu, otrzepując dzinsy z piasku, a tocząca się woda objęła i ucałowała piasek, by za chwilę wycofać się jak uciekające dziecko.

Powoli szliśmy wzdłuż plaży, szepcząc sobie nawzajem do uszu niczym kochankowie na pierwszej randce. Starsza pani przeszła obok ze swoim pieskiem, nie spuszczając z nas oczu.

Kręcąc głową z obrzydzeniem, patrzyła za nami, jak znikaliśmy wśród wydm, jakby podejrzewała sekretną schadzkę.

Kiedy nadszedł właściwy czas, spojrzałem w tył na ten pełen wydarzeń dzień, zdając sobie sprawę, że rzeczywiście wciskałem mu kit. Było to więcej niż milion. O wiele więcej.

Nadszedł czas pisania historii Ameryki, i to ja miałem zostać jej autorem...

CZEŚĆ PIERWSZA

BELFAST,
TEN CHOLERNY
BELFAST

1. DOM

*Nadzieja bez nadziei trwa w nadziei wciąż,
Pustkowiec bez źródeł i bez przyjaciół dom.*

John Clare, *Child Harold*

*Mamusia i tatuś mózg ci rozpierdalają.
Być może tego nie chcą, ale to ci właśnie dają.
Przekazują ci błędy, które zrobili sami,
Oraz dodają kilka ekstra, dla ciebie specjalnie.*

Philip Larkin, 77 iis *Be The Verse*

Urodziłem się w Belfaście i mieszkałem przy Lancaster Street - ulicy, której najśłynniejszymi synami byli: mistrz świata w boksie, John Joseph „Rinty” Monaghan, i irlandzki artysta malarz John Lavery. Pośród wielu znanych obrazów Lavery'ego znajdowało się również wyobrażenie Kathleen Ni Houlihan*, które umieszczone zostało na pierwszym banknocie Wolnego Państwa Irlandzkiego; modelką była jego żona - Hazel. Niedługo po przeprowadzeniu się ze skromnego domostwa przy wspomnianej ulicy Lavery stał się sławny i przeniósł się do Londynu. Tam wynajmował swój wspaniały dom na Cromwell Place w South Kensington w trakcie irlandzkiej delegacji dowodzonej przez Michaela Collinsa na czas negocjacji traktatu angielsko-irlandzkiego w 1921 roku. Po tym, jak Collins został zamordowany, Lavery namalował jego portret pod tytułem *Michael Collins, Love of Ireland (Michael Collins, miłość Irlandii)*. I to pomimo pogłosek, że podczas pobytu w Londynie Collins miał z Hazel romans.

* Kathleen Ni Houlihan to personifikacja Irlandii oraz symbol irlandzkiego nacjonalizmu.

Lavery stanowił być może dobre towarzystwo dla Collinsa, ale było cholernie oczywiste, że nie był dość dobry dla naszej uliczki. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym utalentowanym człowieku z tego prostego powodu, że popełnił jeden z najbardziej niewybaczalnych dla nas grzechów: przyjął szlachectwo od Imperium Brytyjskiego. Z perspektywy ulicy, której trzy czwarte męskiej populacji zostało internowanych bez procesu albo wysłanych do Long Kesh przez niesławne pokazowe procesy Diplocka bez ławy przysięgłych, łatwo było zrozumieć dlaczego.

W historii Lancaster Street miało miejsce wiele zamieszek na tle religijnym, których początków nikt już nie pamiętał. Wspomagane przez gliniarzy gangi Oranżystów*, często atakowały naszą ulicę, zwykle pozostawiając za sobą szlachetnych obrońców rannych lub zabitych. We wrześniu 1921 roku „The New York Times” na piątej stronie zamieścił artykuł o nagłówku: **NA ULICACH BELFASTU ZNOWU PADAJĄ STRZAŁY; ranny chłopiec umiera, co daje łącznie 18 zabitych.**

* Protestancka organizacja o charakterze bractwa.

Ulica została prawdopodobnie nazwana za kwakerską szkołą i systemem edukacji, który został tam utworzony, lecz nam, jej mieszkańcom, dużo bardziej podobała się historia, że określenie to wywodzi się od Burta Lancastera, błyskotliwego amerykańskiego aktora, którego dziadkowie pochodzili z Belfastu.

Moja matka, Elizabeth, była pracoholiczką, bez końca sprzątającą i szorującą. Zawsze pachniała Dazem, środkiem dezynfekującym i mydłem karbolowym, które poplamiały jej ręce na kolor świeżych ran. Podczas gdy mój ojciec, Duży Sam, pracował jako handlarz i marynarz, ona prowadziła

pensjonat, którego całkowita suma wszystkich gości wynosiła jeden. Nigdy nie zarobiła ani pensa, wynajmując pokoje i była z tego powodu bez końca w długach. Jej portmonetka stanowiła świadectwo tego faktu. Była to portmonetka kobiety z klasy pracującej. Wypchana. Wypchana kwitami z lombardu i skryptami dłużnymi. Wydęta jak fałszywie nabrzmiałe brzuchy głodujących dzieci w odległej Afryce.

Tej nocy, przed wyruszeniem ojca na morze, kłócili się o jej samotność oraz jego potrzebę wolności.

Cichutko podkradłem się do drzwi ich sypialni i potulnie do nich zapukałem, mając nadzieję, że żadne z nich tego nie usłyszy. Był to mój sposób na oczyszczenie sumienia, usprawiedliwienie za pomocą racjonalizacji tchórza znajdującego się w pułapce własnego paraliżu. Drzwi się nie otworzyły, a ja szybko wróciłem do łóżka i wślizgnąłem się pod kołdrę, czując ulgę. Bałem się widoku ich skrzywionych twarzy, wiedząc, że znenawidziliby mnie za to, czego się dowiedziałem.

Kiedy następnego dnia wróciłem ze szkoły, matka siedziała na kanapie, uśmiechając się dziwnie sama do siebie. Nachyliła się, by mnie pocałować, ale ja mogłem ją tylko odepchnąć, jakby zdradzony.

- Piłaś - oskarżyłem ją. - Po tym wszystkim, co mówiłaś?

Jej skóra lśniła w przyćmionym świetle słońca, gdy alkohol wydostawał się porami na powierzchnię naskórka. Pachniała silnie miętówkami - zapachem, którego nauczyłem się lękać - używając słodyczy w daremnej próbie zakamufłowania potwornego smrodu martwych liści, który unosił się z każdym jej oddechem; odoru brandy w jej degradującej tanioci. Zawsze udawało mi się przeobrazić ją w mamroczący, łkający wrak kobiety.

- Twój ojciec wróci do domu w przyszłym miesiącu, synu

- powiedziała, ocierając nerwowo o fartuch pokryte mąką dłonie. Fartuch ten ozdobiony był rysunkami wiatraków i zonkili kołyszących się na wietrze. - Nie musi przecież wiedzieć o tej odrobinie?

Już teraz jej słowa były rozmazane. Wkrótce miała zacząć płakać i mówić mi, jak była samotna, jak to wszystko jest winą mojego ojca, tego, że tak długo go nie ma.

Nienawidziłem jej w takim stanie. Czyżby nie wiedziała, jak bardzo poniżające było dla mnie zakradanie się do sklepu monopolowego z nadzieją, że nikt - szczególnie moi kumple - mnie nie zauważy? Do tego trzeba było dodać jeszcze zniewagę, gdy sprzedawca mrugał do mnie porozumiewawczo i chytrze, dając mi do zrozumienia: „Nie wydam sekreciku twojej mamusi, Sammy. Niech cię o to główka nie boli”. Jego słowa były oślizgłe, przypominały ślimaka przyłapanego w świetle słońca. Miałem pamiętać tego człowieka i jego przebiegłą twarz później przez długie lata, mimo że jego samego nie było już wtedy na świecie.

- Nie powiesz ojcu - powtórzyła znowu, zalękniona moim milczeniem.

- Daj mi spokój - odparłem.

Uśmiechnęła się smutno, próbując mnie znowu pocałować, paląc moje usta wilgocią brandy na jej wargach.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - krzyknąłem, odpychając ją z powrotem na kanapę. - Nienawidzę cię, kiedy jesteś w takim stanie. Powiem tacie, jak tylko wróci do domu!

Ale kiedy łkała, wydając te straszne dźwięki i zakrywając twarz w dłoniach ze wstydu, wiedziałem, że nigdy jej nie wydam.

Położyłem ręce na jej głowie w geście pocieszenia.

- Nie płacz, mamó. Nie powiem mu.

Ona jednak nie umiała spojrzeć mi w twarz; wołała, żebym

wyszedł z pokoju. Kiedy to zrobiłem, mamrotała dalej, szepcząc: „Twój ojciec nie musi wiedzieć...”.

Gdy minął jakiś czas, a ona zapadła jeszcze bardziej na zdrowiu psychicznym, zaczęła zdrapywać tapety paznokciami, zostawiając ściany w strasznym stanie, jakby trędownate. Sąsiedzi zaczęli mówić o niej i o stanie naszego domu.

Krótko potem rozwiązała ten problem, wybierając życie w cieniu zmarłych w zamian za dług wśród żywych. A kiedy spaliśmy, deszcz bębniący o szyby sprawiał, że śniła niesamowite sny, które oddalały od niej ból, jaki drążył ją latami.

2. WYJAZD

*Myśl o samobójstwie jest wielkim pocieszeniem: za jej pomocą
można z powodzeniem przetrwać niejedną złą noc.*

Nietzsche, *Janseits von Gut und Bose*

*Pomiędzy ideę i rzeczywistość,
Pomiędzy zamiar i dokonanie
Pada cień.**

T.S. Eliot, *Wydrżeni ludzie*

* Przekład Czesława Miłosza

Gdy byłem dzieckiem, w sobotnie poranki zawsze przyciągał mnie miejscowy pub, ulokowany na kończącym naszą ulicę skrzyżowaniu z York Street. Na zewnątrz skrzynki pustych butelek po Guinnessie piętrzyły się pod ścianą, roztaczając wokół siebie we wczesnym słońcu zapach fermentacji. Ich zawartość znikła wraz z wczorajszymi marzeniami, pozostawiając jedynie kilka kropli czegoś czarnego na dnie każdej z nich. Muchy, plugawe i leniwe, kłębiły się przy szyjkach butelek, brzęcząc ze złością na swojego kaca.

- Czego chcesz? - zapytał barman, pojawiając się nagle w drzwiach pubu ze szczotką do szorowania i kubłem w wielkich dłoniach człowieka pracy.

- Niczego - odparłem. - Tylko patrzę.
- To idź patrzeć gdzie indziej.

Nie cierpiał, gdy ktokolwiek przyglądał się jego walce z wymiocinami z zeszłej nocy, wsiąkającymi w podłogę i plamiącymi ją na kształt wielkich map świata.

- Nie chce pan, żebym pozabijał dla pana muchy? - zapytałem, pokazując mu moje „The Irish News” zwinięte na kształt policyjnej pałki.

Zerkał na mnie przez kilka sekund, po czym spojrzał w niebo po boskie wskazówki.

- Dobra... Tylko ich nie jedz. - Wyszczrzył zęby, ale ja skinałem jedynie solennie głową i podjąłem się zadania przekształcania tłustych much w doskonałe, śmiertelne kleksy.

Pies przybłąkał się i zatrzymał, żeby popatrzeć na moje wyczyny, ale szybko się znudził i zaczął gonić sam siebie w kółko w odysei wachania własnego odbytu, jakby fascynowała go ta owłosiona dziurka.

Czasami barman przynosił mi colę, a ja przysięgałem na Najświętszą Panienkę, że zwrócę mu pustą butelkę. Zawsze je oddawałem, choćbym nie wiem jak bardzo chciał zatrzymać zdobycz, aby ćwiczyć rzucanie do celu w przeznaczonych do rozbiórki domach na Alexander Street.

Nagle pies zaczął podejrzliwie obwąchiwać leżącego na ziemi martwego wróbla. Anorektyczne nogi ptaka sterczały do góry jak wystawione w kierunku nieba miniaturowe żelaza do wypalania piętna.

- Słyszysz ich? - zapytał barman, wylewając przy drzwiach kubek pełen gorącej, parującej mieszaniny wody i środka dezynfekującego. - No? Słyszysz?

Oczywiście, że ich słyszałem. Cały leksykon Ludzi Mechanicznej Pomarańczy odbijał się akustycznie od Clifton Street, gdzie zbierali się jak jeden mąż pod upstrzonym przez gołębie pomnikiem Króla Billyego. Stamtąd maszerowali na Glorious Field, rozwijając swoje transparenty nietolerancji i nienawiści, oflankowani przez łagodne starsze panie w sukniach we flagi brytyjskie i kapeluszach z napisem „Pieprzyć papieża”.

Kiedy Pomarańczowi docierali pod Kościół Świętego Patryka, wyglądało to tak, jakby nagle zostawali opętani: rumiane twarze puchły niecierpliwie; oczy stawały się wylupiaste jak piłeczki pingpongowe, a grube, czerwone szyje nabrzmiewały żyłami rozmiarów szew na piłce do futbolu, ukazując wrodzone obrzydzenie do wszystkiego, co katolickie.

Mój ojciec zawsze mówił, że Oranżyści są przepelnieni zawiścią i wiecznie utyskujący. Trudno było się z nim spierać, gdyż musiał wiedzieć o tym najlepiej, skoro jego ojciec był wiodącym Oranżystą.

Mój dziadek, Alexander Millar, pochodził z silnej protestanckiej rodziny, której lojalność wobec Boga i Ulsteru* nigdy nie była poddawana w wątpliwość. Każdego dwunastego maszerował na Field i bez wątpienia miał oko na posadę Wielkiego Mistrza, z wielkimi wizjami bohaterskiego przejazdu na białym koniu wzdłuż Clifton Street jak jego bohater - Król Billy. Był jednym z pierwszych, którzy podpisali Ulster Covenant w ratuszu we wrześniu 1912 roku, protestując przeciwko niezależności. Chodziły słuchy, że podpisał go własną krwią.

* Potoczne określenie Irlandii Północnej.

Ze względu na jego silne protestanckie poglądy, katolicy niewiele dla niego znaczyli. Nie umiał zrozumieć ich dziwnych wierzeń i obyczajów. Byli niewidzialni. Byli tam, ale jakby ich nie było; poruszali się, ale donikąd nie szli. Wierzył w dogmat, w myśl którego katolicy na północy mogą tylko sami siebie winić za panującą wśród nich biedę i bezrobocie oraz, być może, tak naprawdę wcale nie chcą pracować. Rozmnażali się zbyt szybko, a nie wierzyli w kontrolowanie swojego pociągu seksualnego ani przynajmniej stosowanie konwencjonalnych metod jego zahamowania.

Mimo swoich pomarańczowych referencji nie żywił nienawiści do katolików, choć na pewno nie darzył ich też

sympatią. Mój dziadek był bardzo tolerancyjnym człowiekiem. Tak długo, jak długo katolicy mu nie przeszkadzali, wszystko szło jak po maśle. Tak było w każdym razie do czasu, gdy poznał pewną katoliczkę i popełnił zbrodnię pokochania jej.

Moja babka, Elizabeth O'Neill, była zagorzałą katoliczką z południa Irlandii, wybuchową kobietą, która nie dawała się zwodzić nikomu - włączając w to jej przyszłego męża.

Gdy kandydat po raz pierwszy się jej oświadczył, natychmiast ustanowiła pewne prawo: „Jakikolwiek dzieci, którymi Bóg nas obdarzy, zostaną wychowane na katolików”. Żadnego „jeżeli”, „oraz” czy „ale”. „Jeśli ci się to nie podoba, kończymy w tej chwili”.

Gdyby zakończył to tam i wtedy, oczywiście moje życie przybrałoby bez wątpienia inny obrót...

- Dranie - powiedział pod nosem barman. - Mam pieprzoną nadzieję, że kilku z nich zdechnie na zawał w ten upał. To by ich oduczyło sekciarskich przemarszów. Pomarańczowe sukinsyny.

Pies zgiał kręgosłup, przygotowując się do pozostawienia swojego zasranego znaku, kiedy dał się słyszeć obrzydliwy dźwięk uderzenia drewna o kość - barman trzasnął nieszczęsne stworzenie w głowę swoją szczotką do szorowania.

- Spadaj, brudny skurwielu! - wrzasnął, a ranne zwierzę zaczęło uciekać, by ratować swoje biedne życie. Kilka sekund później barman splunął dokładnie w to miejsce, które przez cały ranek szorował, po czym wrócił do pubu, by obsłużyć klienta, denerwująco stukającego pustym kuflem o bar.

Zaglądając przez okno, widziałem ten bar zastawiony rzędem kufli doskonałego Guinnessa. Strumyczki skroplonej pary tworzyły się na pękających ciałach kufli, które spocone stały

drażniąco blisko siebie, niczym synod kapłanów pochłoniętych tajną dyskusją.

Nagle, w odbijającej światło szybie okiennej, zauważyłem znajomy kształt podskakujący dokładnie za mną.

- Szuka cię twój tatko, Sammy! - wrzasnął Gerry Green, machając szaleńczo rękami z drugiej strony ulicy.

Niczego Gerry nie kochał tak bardzo, jak przynoszenia złych wieści. Im większe cierpienie mogła wywołać wiadomość, tym bardziej stawał się on szczęśliwy. Był miejscowym, znęcającym się nad słabszymi łobuzem, ale niezwyčajnego rodzaju, gdyż posiadał sumienie i bił cię tylko wtedy, gdy na to zasługiwałeś - co wypadalo zwykle dwa razy dziennie, poza piątkiem, kiedy dostawał kieszonkowe. Nigdy nie dotknął cię w piątek. Był chyba porządnym łobuzem. Starszy ode mnie o trzy lata, miał jasnoblękitne oczy. Cała rodzina wyprysków mieszkała na jego twarzy. Bez wątpienia i w późniejszych latach jego widok nie należał do najprzyjemniejszych.

- Wołałem cię wszędzie jak szalony. Wygląda na to, że się doigrałeś! - wyśpiewał niczym hymn pochwalny, kiedy przechodziłem na drugą stronę ulicy.

Widok kogoś, kto „się doigrał” mógł wycisnąć łyzy radości z błękitnych oczu Gerry'ego. Niemal posikał się ze złośliwej satysfakcji, eskortując mnie na Lancaster Street w obawie, że uniknę czekającego mnie wyroku, jakkolwiek by on nie był.

- Dostanie ci się w dupę, Sammy - powiedział Gerry po-krzepiająco, maszerując za mną.

Już z daleka widziałem górującą nade mną i onieśmielającą postać mojego ojca, który stał przed naszym domem. Kiedy się przybliżyłem, w moim żołądku zacisnął się ostrzegawczy różaniec węzłów.

- Gdzieś ty był? - Ojciec zakładał kurtkę, wręczając mi

torbę owoców. Jego buty lśniły jak zawsze, gdyż wierzył niezbytnie w prawdziwość powiedzenia, że buty są wizytówką człowieka.

- Pomagałem tylko barmanowi pozabijać muchy.
- Nie powinienes opuścić domu. Pospiesz się, weź płaszcz i ruszajmy. Spóźnimy się.

Gerry był zdruzgotany. Nie dostało mi się w dupę. Nawet nie zostałem klepnięty w głowę. Przez chwilę myślałem, że będzie narzekał na nadmierną pobłażliwość. Zamiast tego po prostu odszedł z głową schowaną w ramionach, kompletnie załamany.

- Na litość boską, uśmiechnij się trochę - powiedział mój ojciec, kiedy skręciliśmy za róg. - Było to w szpitalu; nie, nie w O'Kane's, w każdym razie nie tym razem...

O'Kan'es natomiast, była to miejscowa firma pogrzebowa. Jeśli o mnie chodziło, nie widziałem zbytniej różnicy pomiędzy nimi, a mrocznymi oddziałami Mater Hospital, w które wkroczyliśmy dwadzieścia minut później.

- Jak się dzisiaj miewa, panie doktorze? - zapytał tata, zatrzymując się na zewnątrz oddziału przy młodym lekarzu.

- Jest niewielka poprawa w porównaniu z dniem wczorajszym, panie Millar. Mamy nadzieję, że zje później trochę zupy. Wypiła ostatniego wieczora trochę herbaty, ale niedługo potem ją zwróciła. To bardzo powolny proces.

Łagodny powiew poruszył zmieszonymi zapachami moczu, rzygowin, środka dezynfekującego i pachnącym jak śmierć suchym talkiem, które wypełniły korytarze i moje nozdrza uniwersalnym niepokojem wszystkich szpitali.

Weszliśmy na niewielki oddział. Do łóżka na jego końcu eskortowała nas pielęgniarka. Popatrzyła na mnie smutno, po czym podążyła do innych swoich obowiązków.

Nie była to jej pierwsza próba samobójcza, ale należała do najbardziej pomysłowych i skomplikowanych. Zamiast po

prostu zdać się na przedawkowanie pacjentka zdecydowała, by również podciąć sobie oba nadgarstki. Tym razem wysiłek prawie się udał, ponieważ została uznana za zmarłą w drodze do szpitala. Jej trud został udaremniony jedynie dzięki troskliwemu spojrzeniu mojego starszego brata, Danny'ego, który słysząc werdykt lekarza wpadł w szal i zażądał medycznego cudu.

Podziałało. Miała umrzeć innego dnia.

Wiedziałem, że matka usłyszy mój szepot kierowany prosto do ucha, podczas gdy ojciec siedział w ciszy, przykuty do poczucia winy płynącego z utraconych wspomnień, wzmaganego przez ogień wściekłości.

- Mogłaś poczekać - oskarżyłem ją. - Mówiłem ci, że niedługo będą wyniki egzaminów, i że dobrze mi pójdzie. Ale ciebie to nic nie obchodzi, prawda? Jesteś samolubna. Mam nadzieję, że następnym razem umrzesz.

Ona tymczasem zignorowała mnie, udając martwą. Jednak tę rolę musiała jeszcze dopracować. Leżała jak kłoda, zeszywniała ze wstydu i samotności. Nagle jej wycieńczone oczy pociemniały. Podobnie ciemnieją żuki, na które padły krople deszczu.

To był ostatni raz, kiedy ją widziałem, gdyż odeszła parę nocy później. A kiedy sąsiedzi złośliwie insynuowali, że już nie powróci, ja byłem pewien, że się mylą. Nie mieli pojęcia o tym, co wiedziałem ja - że wypaliła tylko dwa ze swoich Park Drive'ów. Wróci po resztę.

Lecz nawet obrazki na ścianach przewidywały lepiej. Najświętsze Serce stało się bardziej smutne, podczas gdy chytre uśmiechy księżąt Rzymu i Camelotu drwiły z mojej naiwności. Oni wiedzieli.

Jakimże głupcem wtedy byłem.

3. BARDZO GORĄCE LATO

Wszystko, co zwodzi, również oczarowuje.

Platon

*Życie cierniste i młodość próżna
A gniew czuć do miłości swojej
Jest niczym obłąd, co toczy mózg.*

Samuel Taylor Coleridge, *Christabel* [cz. II]

Rodzaj szaleństwa ogarnął mojego ojca teraz, kiedy pozostał sam. Przez chwilę wszystko szło świetnie, gdyż litował się nade mną bardziej niż nad sobą. Gdy jednak zaczęła do niego docierać twarda rzeczywistość, wycofał powoli swoje uczucie dla własnego dobra, znajdując niedociągnięcia we wszystkim, co robiłem. Musiałem pędzić, jakby mnie diabeł gonił, kiedy mnie gdzieś posyłał, ponieważ mierzył mi czas i zawsze krytykował tym swoim: „Co cię, do cholery, zatrzymało?”. Nie zrobiłoby żadnej różnicy, gdybym właśnie pobił rekord świata. I tak byłoby nadal: „Co cię, do cholery, zatrzymało?”.

Ze wszystkich dni, których nienawidziłem, piątkowe poranki przed szkołą były najgorsze, gdyż musiałem załatwiać sprawę z Georgiem Flandersem - zieleniarzem z piekła.

- Ile, młody Millarze? - pytał Flanders, olbrzym w obcisłym ubraniu, z kotletami bokobrodów, rumianą twarzą i ogromnym nosem, który przeczył prawom grawitacji. Dzieciaki nazywały go Bananowym Nosem. Miał napięty wyraz

twarży kogoś, kto z nadzieją przegląda rejestr spraw o pobicie. Kiedy indziej jednak te same oczy mogły obedrzeć cię żywcem ze skóry, a także palić swoją przenikliwością.

- Pięćdziesiąt, panie Flanders - piszczalem, nienawidząc tego momentu: handlu wymiennego za jabłka z drzewa mojego ojca.

Flanders podniósł jedno z jabłek, potarł kciukiem, wyczuwając fakturę, i powąchał swoimi ogromnymi nozdrzami.

- Cztery kapusty. Icotynato? - mówił to jak jedno słowo, brzmiąc podobnie do Jimmy'ego Savile'a z *Top of The Pops*.

- Tata powiedział: pięć kapust, cztery marchewki i półtora kilograma ziemniaków. - Zawsze miałem nadzieję, że Flanders się pospieszy, na wypadek gdyby któryś z kumpli wpadł po jabłko i miał zostać świadkiem mojego poniżenia.

- Ha! Twojemu tacie w dupie się poprzewracało! Jestem zieleniarzem, ale nie jestem zielony! - śmiał się Flanders, żonglując kilkoma jabłkami niczym kłown. Mrugał, udając, że pozwala im spaść na ziemię.

Martwe, leżące na wznak muchy zaścierały parapet sklepu z owocami jak oddział wojsk ostrzelany przez przeważające siły wroga, podczas gdy ich lotni towarzysze walczyli zażarcie w górze, przyklejeni do lepu, odrywając sobie własne kończyny. Zawsze patrzyłem na tę taśmę, zafascynowany jej ofiarami walczącymi na darmo o wyzwolenie z lepkiego cmentarza. I zawsze przypominało mi to słodkie bułeczki z rodzynkami, sprzedawane obok w piekarni Mullans. W życiu ich nie spróbowałem. I nigdy nie skosztuję.

„Takie jest życie - myślałem - wszystkich nas czeka lepki koniec”.

- Jestem w hojnym nastroju, młody Mularze - ogłosił Flanders z twarzą polityka w dniu wyborów. - Cztery kapusty. A tu masz kilka marchewek.

I to był koniec. Wygrał. Jak zwykle. Kiedy wychodziłem ze sklepiku, Flanders wręczył mi gruszkę. Była posiniaczona i nosiła ślady jego zębów.

- Masz, to dla ciebie. I przekaz ojcu, że aby mnie dopaść, będzie musiał wcześniej wstać!

Wciąż słyszę jego śmiech na pół ulicy. Mój ojciec zawsze patrzył na te wymiany z pogardą.

- Tylko tyle dostałeś? - zapytał.

„Czemu sam nie poszedłeś?” - ripostowałem w marzeniach. „Boisz się upokorzenia?”.

Lecz jeśli piątkowe poranki były paskudne, piątkowe wieczory stawały się istnym koszmarem, gdyż musiałem biec do restauracji Peter Kelly's po rybę z frytkami. I choćbym gnał jak wariat, a ryba i frytki parzyłyby go w język, i tak tata powitałby mnie ze swoim: „Są zimne jak lód. Co cię, do cholery, zatrzymało...?”.

Kiedy pędziłem, ludzie gapili się na mnie, jakbym kompletnie oszalał, a ja niestety nie potrafiłem znaleźć w sobie odwagi, by iść wolniej. To jednak zmieniło się pewnego piątku, kiedy na przeszkodzie stanęło szaleństwo kogoś innego.

Kolejka do frytkami skręcała za róg, rozciągając się aż do McCleery Street. Wszyscy uwielbiali frytki i rybę z Peter Kelly's, więc ogonek był tam niemal zawsze, a szczególnie w piątki i soboty, kiedy ludzie klasy pracującej mieli w kieszeniach trochę gotówki.

„Tatko mnie zabije” - mogłem jedynie pomyśleć. Pobiegłem szybciej niż kiedykolwiek, by zająć swoje miejsce w kolejce.

- Widzę cię co piątek. Myślisz, że jesteś kimś, co?

Był trochę ode mnie młodszy. Twarz miał obrzydliwą, jakby brudna szmata przyczepiła mu się do skóry, wysysając z niego życie.

Byłem tak wyczerpany, że ledwo mogłem oddychać, a co dopiero odpowiedzieć.

- Jak ma na imię? - zapytał, biegnąc obok mnie w doskonałym *unisono*.

- Co? Zostaw mnie w spokoju, dobra? - Wszyscy przyglądali się naszej dwójce.

- Twój koń, głupku? Jak ma na imię?

Staralem się zignorować tego świra.

- Mój koń nazywa się Silver. Tak jak Lone Rangera - dodał dumny jak paw w Bellevue Zoo.

Płuca płonęły mi z wyczerpania. Musiałem się zatrzymać.

- Wspaniale w Silverze jest to, że jest niewidzialny. Tylko ja mogę go zobaczyć.

Poklepał szyję niewidzialnego konia.

- Spokojnie, koniku - powiedział do niego.

Nie zwracając uwagi na groźbę wypisaną na mojej twarzy, mówił dalej:

- Wspaniałą rzeczą w tym, że Silver jest niewidzialny, jest to, że może srać po całej ulicy. Nikt tego nie widzi, więc wszyscy w to włożą. Śmieję się, kiedy widzę, jak wchodzi do domów z butami całymi w niewidzialnym gównie Silvera. A ten smród! Gorszy niż widzialnego gówna, mówię ci. Wszyscy się ze mnie śmieją, ale to ja się śmieję ostatni. Prawda, Silver?

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wyskoczył na pół metra w powietrze.

- Spokojnie, spokojnie, Silver. Dobry konik. - Zaczął klepać nerwowego wierzchowca, uspokajając go.

Wszyscy szczyrzyli zęby, patrząc na nas, ale zanim mogłem go złapać wykrzyknął:

- Żegnaj. Hej ho, Silver, galopem! - I rzeczywiście popędził galopem, klepiąc się w tyłek, skacząc ponad kubłami na śmieci i pudłami.

Dosyć, zdecydowałem. Dość biegania. Ojciec może ze mną zrobić, co mu się żywnie podoba, ale ja zostałem już dostatecznie upokorzony.

Byłem więcej niż zaskoczony, kiedy tata nie zmuszał mnie do spieszenia się, co więcej - był nawet dumny z mojej postawy. Ale duma zawsze przychodzi przed upadkiem i w tydzień później, ku mojemu przerażeniu, ojciec zapisał mnie do miejscowego klubu bokserskiego, gdzie zyskałem sobie wielu przyjaciół jako chodzący worek treningowy.

Minęło wiele miesięcy zanim znowu spotkałem Lone Rangera. Jego twarz ociekała potem. Przeskoczył z łatwością trzy kosze.

- Co się stało z twoim koniem? I skąd te podbite oczy? - zapytał.

Wydawał się szczerze zmartwiony, więc pomyślałem, że go rozweselę.

- Okulał, więc go zastrzeliłem - odparłem. - A oczy podbiłem, kiedy wyleciałem z siodła i uderzyłem głową w kamień.

Potrząsnął głową.

- To smutne. Był dobrym koniem. Może któregoś dnia znajdziesz innego.

Patrzył przez chwilę w ziemię, po czym dodał:

- No cóż, musimy lecieć. Do zobaczenia.

Miałem nadzieję, że nie. Wtedy on zaczął się śmiać w tym swoim dziwnym stylu.

- Co jest? Z kogo się chichotasz? - zapytałem.

- Właśnie wlałeś w niewidzialne gówno Silvera! Nie powinieneś zabijać swojego wiernego wierzchowca!

I z tymi słowy zniknął, przeskakując przez pudła i wrzeszcząc: „Hej, ho, Silver! Dalej!”.

4. ZAJĄCE CZY KRÓLIKI?

A MOŻE PO PROSTU KRÓLIKI, KTÓRE ZAJĘCZAŁY?

- Och, nic na to nie poradzisz - powiedział kot. - Tutaj wszyscy jesteśmy szaleni. Ja jestem szalony. Ty jesteś szalona.

- Skąd wiesz, że jestem szalona? - zapytała Alicja.

- Musisz być - odparł kot - inaczej by cię tu nie było.

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*

Lecz przez brzytwę fryzjera najlepiej poskromiony.

John Milton, *Samson Agonistes*

By uciec przed wahaniem nastrojów mojego ojca po odejściu od niego mamy, wspinałem się na szczyt szkoły Saint Patrick, nie zwracając uwagi na groźby dozorczy, że wezwie gliny. Bo jak otyli gliniarze mogliby wejść po delikatnej rynnie, która wzdychała mocno pod moją dziecięcą wagą?

Kiedy tam leżałem, niewidzialny dla wszystkich prócz tych obdarzonych umiejętnością latania, mój umysł wypełniały obrazy aksamitnych motyli i gruchających gołębi. W oddali potężne żurawie, zwane Samson i Goliat, stały na straży, jak Orwellowscy wartownicy przyglądający się drobinom pracujących poniżej katolików, przypominających nieprzyjemne insekty. Przekleństwo katolików, żurawie te stanowiły milczące przypomnienie - jakbyśmy jakiegokolwiek potrzebowali - naszego obywatelstwa drugiej kategorii oraz brytyjskiej i unionistycznej przewagi.

W tamtym czasie jednak nic oczywiście nie wiedziałem o tych sprawach: manipulowaniu granicami okręgów wyborczych, jaskrawej dyskryminacji oraz życiu w nędzy. To miało

przysięć później. Teraz byłem panem na zamku, patrzącym na moich poddanych na Lancaster Street.

Z tego dachu słyszałem oddech kamieni; daleki szept odległego ruchu ulicznego. Grano właśnie w piłkę ręczną, uderzenia jej o ziemię tworzyły hipnotyczne *staccato*, przypominające bicie serca. Mogłem rozróżnić kłaśnięcia dłoni, podcięcia piłki i próby zdobycia punktu. Zniechęcenie i triumf manifestowały się w głosach niezłomnych wojowników.

Patrząc w kierunku ogródków, widziałem sznurki pełne suszących się ubrań. Każda część garderoby wyglądała jak mewa, drepcząca w poszukiwaniu jedzenia. Brudna woda wyla się przez arterie chodników, zlewając się z olejem ciekącym z porzuconego samochodu, który leżał niczym wielka, ranna bestia przy ścianie składowiska złomu.

Przy końcu ulicy konie, wykorzystywane przez miejscowego szklarza, stały obok siebie, jedząc, sikając i srając. Nigdy nie przestawały. Ich wielkie zady bez końca produkowały kule wielkości pięści z resztkami niestrawionej słomy, przypominające brązowe kaktusy. Wróble kamikadze podlatywały pomiędzy końskie nogi, w celu schwywania łupu.

Było jeszcze jedno miejsce, w którym ja - wraz z kilkoma kumplami - szukaliśmy schronienia i nigdy nie zostaliśmy tam złapani. Sklep ze szmatami...

Sadie rządziła *de facto* jako szef sklepu ze szmatami; nie zwracała uwagi na zrzędenie właściciela, pana Jacobsa, który twierdził inaczej. Negocjowała ceny, zatrudniała, zwalniała i zajmowała się kotami, które miały zmniejszyć populację szczurów. Była kobietą o miłej twarzy i rozłożystych biodrach. Olbrzymia sakiewka spoczywała na tych biodrach, czując się jak najbardziej na miejscu, a jej skórzane usta były zużyte i porysowane od ciągłych transakcji przeprowadzanych w sklepie. Poza tym niepomny niebezpieczeństwa płynącego

z łatwopalnych łachmanów papieros marki Park Drive zwiślał wciąż z przerwy, którą niegdyś zajmował ząb.

Sadie często żartowała, że zebrała w płucach dość smoły, by można było pokryć nią całą York Street, wydychając przy tym smugi dymu z nozdrzy jak wyczerpany smok. Kiedy mówiła - a rzadko kiedy prowadziła konwersację - jej głos był chrypiącym, szorstkim jak papier ścierny pomrukiem.

Jej palenie nie było jedynym zagrożeniem zdrowia w sklepie. Szczury zajmowały górną pozycję na tej liście. Chytre i zuchwałe, nękały i wypędzały większość parszywych polujących kotów, które okazywały się dość tchórzliwe.

Sama Sadie została ugryziona tak wiele razy, że wydawała się uodporniona. Jej nogi upstrzone były konstelacjami podkowiastych blizn. Czasami w piątki, po kilku Mundies, unosiła swoją kwiecistą, cygańską sukienkę, opuszczała majtki i klepała się w goły tyłek, mówiąc:

- No i co o nich sądzicie, he? Pogryzły mnie w tyłek, sukinsyny.

Choćby pawilon stanął w ogniu, nie ucieklibyśmy z niego szybciej niż po ujrzeniu jej obwisłych pośladek, całych w czarne i niebieskie sińce.

Nasi rodzice, oczywiście, ostrzegali nas, żebyśmy trzymali się z dala od sklepu, jego pcheł, smrodu i chorób. I choć nikt nie wspominał imienia Sadie, subtelnymi podtekstami sugerowano nam, że była ona kiedyś kobieta upadła. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy, ale ich mroczne szepty i uraza, jaką do niej czuli, wystarczyły, żebyśmy stanęli po jej stronie.

Tak więc większość piątkowych wieczorów, ściągając jak émy do płomienia, spędzaliśmy właśnie tam - wraz ze skaczącymi pchłami i tchórzliwymi kotami - na oglądaniu krwawych rytuałów podrzynania gardeł i patroszenia.

- Króliki! - wykrzyknęliśmy jednym głosem, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy zamknięte w klatkach stworzenia.

- Zające - odparła głosem dziewczyny gangstera z papierosem podskakującym przy ustach.

- Nie, króliki - upieraliśmy się.

- Zające - powtórzyła, bezceremonialnie wyciągając za uszy kwiczące stworzenie z klatki. Wydawało dźwięk podobny do tego, jakim głodne niemowlę domaga się sutka: bolesny jęk, tak żaloszny, że sięgnął do mojej duszy i pozostał w niej na zawsze.

Trzymała walczącą istotę o kilka cali od naszych twarzy; jego wąsiki nerwowo chwytały drobinki kurzu, zmuszając je do tańca. Następnie zręcznym ruchem ręki wyciągnęła złowrogą brzytwę do podcinania gardel i, ku naszemu przerażeniu - lecz również infantylniej radości - podrzynała gardło zwierzęcia, uwalniając strumień krwi, która pokrywała jej paznokcie niczym czerwony lakier. Nasze dłonie wędrowały instynktownie do własnych gardel, jakbyśmy czuli ten ból.

W miarę upływania dnia podobny los spotykał dwadzieścia zajęcy. Następnie Sadie obdzierała je ze skóry i patroszyła, a my zastanawialiśmy się nad tym, jak wyprawiając te zwierzęta, Sadie wyprawiała je jednocześnie na tamten świat.

Przelewające się przez jej palce jak czerwony piasek wnętrzości były wrzucane do blaszanego wiadra, by później zostać sprzedane miejscowemu rzeźnikowi na York Street, który robił z nich kiełbasy. Wieszane na ścianach skórki przypominały liście tytoniu. Zachowywały one też maleńkie twarzyczki żyjatek, z których każda wykrzywiona była w groteskowym, pośmiertnym uśmiechu. Scena ta wywoływała żal oraz zastanowienie.

Tam też, wśród łachmanów i w unoszącym się zaduchu kociej uryny, dojrzewaliśmy, czerpiąc wiedzę o tym, że życie jest kruche i poddane kaprysom nieprzewidywalnego Boga,

który jako jedyny rozumie osobliwość życia i śmierci w ich nieprzerwanej, paradoksalnej współpracy.

- Nie zwracaj na nie uwagi - poradziła Sadie, widząc kierunek, w jakim zmierzał mój wzrok. - To tylko zwierzęta. Nic więcej.

Wzięła łyk Mundies z wyszczerbionego kubka z napisem „Made in Hong Kong”, wypisanym grubymi literami na spodzie. Jej usta lśniły od wina, stając się tym samym tłustym i obscenicznym obrazkiem.

- Któregoś dnia sam będziesz w stanie to zrobić - oznajmiła, kiwając głową niczym mędrzec.

Kiedy usłyszałem te słowa, w moim brzuchu zawiązała się bryła lodu. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że kiedykolwiek miałbym dokonać takiego krwawego czynu.

- Zobaczysz. Zobaczysz - powiedziała rozmazanym głosem. - Wszyscy wiedzą, że to ty zmusiłeś swoją ukochaną matkę do odejścia.

Pobiegłem do domu bez zatrzymywania się, serce tłukło mi się w piersi, a w uszach dzwoniły okrutne słowa Sadie. Nie spałem tej nocy. Ani następnej. Poprzysiągłem sobie, że nigdy już nie wrócę do tego sklepu. Ale wkrótce zapomniałem - byłem ćmą, a Sadie płomieniem.

W końcu nadszedł czas, by zejść z dachu. Chłód przyniósł wszechobecny cień jesieni, który wkradał się w lato. Kiedy jednak pomyślałem o powrocie do domu, przelala się przeze mnie fala przerażenia. Wyobrażałem sobie głos ojca wołającego: „Sammy? Gdzie ty, do cholery, jesteś? Natychmiast wracaj do domu”.

Gdzieś w dole radio złapało Marvinę Gaye'a śpiewającego *What's Going On*. Zamknąłem oczy, wciskając w nie noc; czułem, jak drżą mi powieki, jakby pod nimi szalały wściekle mrówki.

„Nie chcę wracać do domu” - szepnąłem do siebie. „Ani teraz, ani nigdy”.

5. CHOLERNA NAIWNOŚĆ KREW NA ICH CHOLERNYCH RĘKACH

Trzeba jedynie wojny domowej.

Juliusz Cezar

Kraina... gdzie światło jest jak ciemność.

Księga Hioba, rozdział 12, wers 2

Był to mniej więcej ten okres mojego życia, kiedy Neal Armstrong wykonał wielki krok dla ludzkości, podczas gdy tutaj, na Północy, unioniści robili swoje zwyczajowe dwa kroki w tył dla Imperium. Neal twierdził, że nie ma tam na górze żadnych księżycowych ludzi i miał, rzecz jasna, rację. Byli oni tutaj, w dole, na największym statku kosmicznym, jaki widziała ludzkość, w miejscu zwanym Stormont.

Czarnoskórzy ludzie demonstrowali na rzecz przestrzegania praw obywatelskich w Ameryce, a katolicy na Północy mieli czelność również spróbować tego tortu. Niedługo po tych wydarzeniach mój najstarszy brat, Danny, nabył samochód. Nie tak wielu katolików posiadało w tych czasach samochody, więc mówiono o tym na ulicy. Był to błękitny Mini, który stał się jego dumą i radością.

Pewnej niedzieli, przed świtem, obudził mnie potrzęsaniem z głębokiego snu.

- Dalej, dzieciaku. Pospiesz się, ubieraj. Jedziemy.

Przez dwa tygodnie obiecywał mi przejażdżkę tym samochodem w jakieś szczególne miejsce. Ale mu nie wierzyłem.

Myślałem, że mnie nabiera. Teraz jednak wciskałem się do malutkiego auta wypełnionego już trójką kumpi brata.

Było cudownie. Nie interesowało mnie, dokąd jedziemy, ani to, że nie mogłem oddychać z braku przestrzeni. Samo siedzenie w tym samochodzie było jak raj.

Kiedy wreszcie dojechaliśmy na miejsce, Danny powiedział:

- Wsiadka, dzieciaku. To tutaj.
- Co to za miejsce? - zapytałem, podczas gdy w moich nogach wirowały szpilki i igły.

Roześmiał się.

- Derry - odparł. - Przyjechaliśmy tutaj, żeby dołączyć do marszu na rzecz przestrzegania praw obywatelskich.

Nie miałem pojęcia, gdzie Derry było, ale nazwa brzmiała magicznie. Pachniało rybą i frytkami, zapach ten przypominał mi Bangor w niedzielne popołudnie. Był trzydziesty stycznia 1972 roku. Ani ja, ani nikt inny nie wiedzieliśmy, jaki koszt nas czeka. Stało się to doniosłym momentem mojego życia, chrztem ognia w prawdziwy świat bycia nacjonalistą w Irlandii Północnej.

Zapach ryby i frytek wkrótce został zastąpiony swądem gazu i prochu, gdy brytyjscy spadochroniarze otworzyli ogień do nieuzbrojonych protestantów.

Te dźwięki i zapach towarzyszyły nam przez całą drogę do domu. Jadąc do Derry, nie przestawaliśmy rozmawiać, śmiejąc się i ciesząc z jazdy. Tymczasem cała podróż do domu upłynęła nam w martwej ciszy, jakby nierozmawianie o tym znaczyło, że rzecz się wcale nie wydarzyła.

Ojciec niemal płakał, kiedy weszliśmy do domu. Przekazał nam straszną wiadomość.

- Brytyjczycy zastrzelili trzynaścioro niewinnych ludzi - powiedział. - Myślałem, że wasza dwójka jest wśród nich.

Mój brat nie odezwał się ani słowem. Jego milczenie powiedziało wszystko: nie ujdzie im to na sucho. Świat sprawi, że zatriumfuje sprawiedliwość.

Zabawne, jacy byliśmy wtedy naiwni. Tego samego roku brytyjski tak zwany sędzia o nazwisku Widgery oczyścił spadochroniarzy z tych morderstw, kładąc ciężar winy po stronie protestantów, oznajmiając nedorzecznie: „Nie byłoby zabitych, gdyby nie nielegalny marsz”. Wkrótce prawicowe media zaczęły bezcześcić pamięć o zabitych, insynuując, że byli uzbrojonymi bandytami oraz terrorystami.

Dopiero czterdzieści lat później wytknięto brytyjskiej fladze to kłamstwo. Brytyjski rząd musiał przyznać to, co reszta świata już dawno wiedziała: zamordowani byli niewinnymi ofiarami.

6. KATOLIK Z PROTESTANCKA KRWIĄ? WYBUCHOWA MIESZANKA;

*Nieszczęśliwy ten, któremu wspomnienia z dzieciństwa
przynoszą jedynie smutek i strach.*

H. P. Lovecraft, *Przybysz*

Mogą nas czekać kłopoty.

Irving Berlin, *Let's Face the Music and Dance*

Kiedy odwiedzałem moich kuzynów w zagorzale lojalistycznej Tiger Bay, mozaikowe chodniki w czerwieni, bieli i błękitnie otaczały ich domy niczym talizmany, które miały odgonić złe duchy fenianizmu.

Młoda dziewczyna, mieszkająca w domu obok mojego wuja, była parę lat starsza ode mnie. Była piękna, za każdym razem, kiedy ją widziałem, nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy.

- Napatrzyłeś się? - zapytała, chwytając pewnego razu moje spojrzenie.

- Ja... no... och... - Twarz mi płonęła.

- Czego się czerwienisz? - uśmiechnęła się, idąc w moją stronę, więżąc mnie w spojrzeniu swoich cudownych oczu.

Szybko skryłem się w bezpiecznym domu mojego wuja. Kilka dni później znowu ją zobaczyłem.

- Jak masz na imię? - zapytała.

- Sammy - odparłem, zadziwiony swoją odwagą. - A ty?

- Judy - odpowiedziała, po czym odeszła poza zasięg mojego wzroku.

Niewiele się zmieniło w następnych tygodniach. Potem nadeszło lato, które odmieniło moje życie na zawsze; lato pełne słońca, które na zawsze zakończyło niedolę piskliwego głosu i pryszczatej skóry.

- Co tak późno? - zapytała Judy, siedząc na zdezelowanej huśtawce i ssąc krwistoczerwone lody na patyku. - Myślałam, że stchórzyłeś.

Nie powinno mnie tu być. Było to zbyt daleko od domu, a mój ojciec zawsze mnie z jakiegoś tajemnego powodu ostrzegwał, bym unikał parku. Lecz Judy szła coraz dalej i dalej, wołając na mnie cykor lub maminsynek. Musiałem udowodnić, że się myliła.

- Przez ten lód wyglądasz, jakbyś miała na ustach szminke - powiedziałem.

- Tak? Ja *mam* na ustach szminke. Patrz!

Wydęła wargi i by udowodnić mi swoją rację, wyciągnęła z kieszeni znoszonych jeansów pomadkę. Nałożyła z wprawą kosmetyk na usta.

- Widzisz? - powiedziała.

Byłem zszokowany. Bujnąłem się na sąsiedniej huśtawce, zardzewiałe łańcuchy barwiły mi dłonie na rudo.

Nagle Judy zeskoczyła ze swojej huśtawki i stanęła naprzeciwko mnie. Wyciągnęła lód na patyku, tak że niemal dotknął mojej twarzy.

- Ssij - zażądała.

Lód był umazany jej śliną, topniał po jej palcach, przypominając świecę spływającą woskiem. Wydało mi się to obrzydliwe, odrzuciłem więc głowę.

- Nie ma mowy!

- Snob! - W jej oczach pojawiła się wściekłość, mroczna i wyzywająca.

- Wcale nie!
- Udowodnij. Ssij, jeśli nie jesteś snobem.
Zastanawiałem się, czy ktoś na nas patrzy.
- Dobra już, dobra! Nie wtykaj mi go do gęby.
Zacząłem ssać, czując do siebie obrzydzenie i jednocześnie zdumienie, co robię.
- Ha! Sammy nosi szminkę! Sammy nosi szminkę! -
Obiegła huśtawkę dookoła, śpiewając.
- Jesteś postrzelona, dziewczyno, wiesz?
- Judy. Mam na imię Judy.
- Znam twoje pieprzone imię!
- Powiedz je. Szepnij. Tutaj, do mojego ucha. Pochyliła się w moją stronę, poczułem bijący od niej zapach mydła Liffebouy i szamponu Sunsilk.
- Judy - szepnąłem, sprawdzivszy uprzednio, czy nie ma w uchu woskowiny.
Dziewczyna powoli odwróciła się twarzą do mnie i pocałowała mnie mocno, aż nasze zęby zadzwoniły jak butelki mleka o świecie. Czulem w jej oddechu smak lodu.
- Chodź. Tutaj. - Popchnęła mnie w kierunku starej, zielonej chatynki, która funkcjonowała jako toaleta, schronienie i magazyn. Wiekowa farba łuszczyła się ze ścian, odsłaniając inicjały dawno minionych kochanków. Kilka metrów dalej porzucone, zawstydzone kondomy zaścielały trawę, brzemienne marzeniami swoich właścicieli.
- Bez ostrzeżenia Judy rozpięła koszulę i położyła moją dłoń na swojej piersi. Była ciepła i mała, jak wysiadywane jajko kury, która poszła skubać ziarno.
- Kocham cię - szepnęła. - Zawsze będę cię kochała.
- W głowie mi się kręciło. Nie miałem pojęcia, że były na świecie takie rzeczy.
- Powiedz, że mnie kochasz - poprosiła, nagle wstydliva.

- Kocham cię - udało mi się wykrztusić. W gardle zaschło mi od niecierpliwości. W tej chwili gotów byłem powiedzieć wszystko. Powiedziałbym: „Pieprzyć papieża” i „Niech Bóg ma w opiece królową”. Stałbym się zdrajcą, gdyż owładnęła mną niezwykła magia chwili.

Nagle powietrze wypełnił plusk odkręconej wody. Oboje wstrzymaliśmy oddech, gdy strażnik parku robił herbatę wewnątrz chatki. Kolonia fusów zatańczyła w wirze odpływu kanalizacji, gdy rurą odprowadzającą spłynęła woda.

- Jeśli nas zobaczy, jesteśmy martwi - szepnąłem.
- Nie tylko on nas zabije.
- Co to znaczy?
- Mój tata zabiłby mnie, gdyby mnie z tobą przyłapał - szepnęła Judy, kiedy powróciła cisza.
- Wiem, mój tata też by mnie zabił, gdyby mnie złapał na tym, co robimy - zgodziłem się.

Roześmiała się łagodnie.

- Nie. Nie za to. Za to, że jesteś Taigiem.
- Czym jestem? - Byłem skonsternowany.
- Taigiem. Katolikiem.
- Dlaczego? Co w tym złego?

Ona tylko potrząsnęła głową.

- Nic. Po prostu uważaj, kiedy przychodzisz na naszą ulicę.

Choć nie miałem pojęcia, co oznacza określenie Taig, czułem się nieprzyjemnie, jakbym się zabrudził. Później odkryłem, że było to uwłaczające określenie katolików, podobnie jakby Murzyna nazwać „czarnuchem”. Był to dla mnie przedsmak prawdziwego świata katolików i protestantów, sekciarskiej nienawiści na północy kraju.

Po tym zdarzeniu ojciec zabronił mi odwiedzać kuzynów, określając ich podobnie do żuków gnojników w świecie

owadów: mieli nienawidzić róż, ale pławić się w ich odchodach.

- Katolicy są jak spodki Północnej Irlandii: blisko filiżanki, ale nigdy nie udaje im się spróbować jej zawartości - powiedział z wściekłością.

Była to wściekłość, której miałem nadzieję nigdy więcej nie oglądać.

7. CHOLERA JASNA!

TYLE MIĘSA, ILE DASZ RADE ZJEŚĆ!

*Bo wierzcie mi: sekretem zbierania z życia najwięcej owoców
i największej radości jest - żyć niebezpiecznie.*

Friedrich Nietzsche

*Istnieją potworności wykraczające poza granice potworności,
i ta należała właśnie do tych...*

H. P. Lovecraft, *Przeklęty dom*

Rozpocząłem pracę w składzie drewna jako jeden z około dwunastu katolików spośród ponad setki zatrudnionych. Nie trzeba chyba dodawać, że nie zostaliśmy gorąco powitani, nie licząc dnia Glorious Twelfth, kiedy trawieni alkoholem i nienawiścią nasi protestancy towarzysze uczynili z naszej chatki ognisko. Jeśli byłby w środku którykolwiek z nas, potraktowaliby to jako premię. Nie było tygodnia bez napaści - fizycznej lub werbalnej - z ich strony.

Ale dwunastego zawsze było najgorzej, tego dnia dawne plemienne animozje siania kości zmarłych przeobrażały się w mozaikę biblijnej absurdalności.

Po kilku miesiącach wracania do domu - dla własnego bezpieczeństwa - chodząc tyłem, zdecydowałem, że ciesielstwo nie jest moim powołaniem i skończyłem jako rzeźnik, pracując o rzut kamieniem od składu drewna. Tory kolejowe rozciągały się za tym fabrycznym pustkowiem. W letnie dni powietrze falowało z gorąca nad szynami. Kiedy ktoś umieścił jajko - zwykle podwędzone mewie - na wygiętym metalu szyny,

jajko smażyło się idealnie, jakby znajdowało się na patelni.

Latem pustkowie miało w sobie pewną surową urodę, plotkujące owady w swoim orkiestrowym buczeniu w otoczeniu jałowców i szalwii, przy okazjonalnych wybuchach purpurowych i czerwonych dzikich kwiatów, motyli i fiołków, triumfalnie mieszających się z rdzą i gnijącą padliną psów i kotów, wszystko to razem sprawiało, że można było je tolerować, pomimo jego surowości. Szczerze mówiąc, to właśnie owe niedoskonałości nadawały temu fabrycznemu pustkowiu charakter. Było swoiste piękno w tym szybko kurczącym się krajobrazie, coś prawdziwego, potrzebnego i uspokajającego w jego cichych zapewnieniach o bezkresie i mocy.

Co odróżniało go też od rzeźni.

Gołębi dym snuł się ku górze z masywnego komina niczym duch, pozbawiony kształtu, lecz nie woli, jakby budynek był żywą istotą oddychającą parą. Przyćmione światło padało słabo zza mlecznego szkła okien, a w powietrzu unosił się nieokreślony, ciężki zapach, zarazem znajomy i obcy, nadając scenie na krótką chwilę wyraz nierealności. Całość przypominała mi stare, czarno-białe filmy dokumentalne o obozach koncentracyjnych, które widziałem w telewizji.

Rzeźnia stanowiła gotycki pas transmisyjny, który przeobrażał żywe, zdumione stworzenia, wchodzące nań z jednej strony, w nagie, upokorzone i poćwiartowane, wyłaniające się z jego drugiej części. Pobudzone do działania zapachem krwi niektóre ze zwierząt, starając się nadaremno uciec od nieuniknionego, wskakiwały na barierki po to tylko, by połamać sobie nogi i leżeć pogruchotane w bezwładnych stertach. Szybko rzucali się na nie wściekli rzeźnicy i pozostawiali za sobą okrwawioną autostradę złożonych żył i rozrzuconych resztek nerwów, z których część drgała jeszcze w szoku.

Każde zaalarmowane zwierzę miało tendencję do przekrzywania głowy na bok, obserwując krwawe ręce i zabójczą stal, które dokonywały swojego strasznego dzieła. Rozczłonkowane ciała szybko chwywane były bezlitosnymi hakami w kształcie litery S, co wywoływało groteskowy, przypominający obrazy Boscha efekt szaleństwa, czerwonych skrzypiec owczych ciał i przywodzących wiolonczele krowich tusz. Miejsce to było ogromne i pozbawione granic. Było oszalałymi potworne, przypominało Kaplicę Sykstyńską zbrukaną krwią przez barbarzyńców, kipiącą od wściekłości i wrzącą szkaradną krzątaniną. Jej zawilgocone, chłodne wnętrza cuchnęło napięciem i pozbawione było jakichkolwiek ludzkich cech.

Pracownicy w całej okazałości przemoczeni byli krwią, równie czerwoni jak pogruchotane szczątki mięsa, które rąbali, możliwi do odróżnienia jedynie dzięki bieli oczu, zębów i paznokci. Pracowali bez końca, preparując śmierć, jakby sami jej nie podlegali, poruszając się w doskonałej harmonii, jakby była to farsa odgrywana dla niewidzialnej publiczności. Zdawali się mówić wszyscy naraz, głośno, lecz do nikogo konkretnego.

Nagle moje nozdrza zalał poruszający trzewia odór. Ten sam smród, który czułem na zewnątrz budynku, lecz tutaj dużo potężniejszy, dający znać o gnijącym mięsie, strachu i nienawiści unoszących się z resztek zwłok oraz z ich prześladowców.

Jedna grupka pracowników siedziała wygodnie w niewielkim kąci pomieszczenia, najwyraźniej odporna na chaos rozgrywający się wokół nich. Rozmawiali i czytali gazety. Pożerali posiłek składający się ze smażonych jajek i świeżo

zarzniętego mięsa, ocierali splamione usta krwawymi, złachmanionymi chustkami.

Mój żołądek skręcał się, gdy myślałem o pochłanianiu stworzenia, które zaledwie kilka minut temu widziałem całe i zdrowe. „Jak oni mogli to jeść?” - pomyślałem. Czułem zawroty głowy i zastanawiałem się, czy nie zwymiotuję, czy moja determinacja się nie ulotni.

- Dobrze się czujesz? - zapytał kierownik zmiany z szerokim uśmiechem. - Błado wyglądasz.

- Nie, proszę się o mnie nie martwić. To nic takiego - skłamałem. - Dajcie mi moje noże...

W tym momencie przypomniałem sobie prorocze słowa Sadie: „Któregoś dnia sam będziesz w stanie to zrobić...”.

Plusem tego koszmaru było to, że w każdy piątkowy wieczór mogłem zabrać ze sobą do domu tyle mięsa, ile byłem w stanie unieść. Niektórzy katolicy odmawiali, uważając, że to obraza postnego piątku ustanowionego przez Rzym. Ja nie zastanawiałem się ani chwili. Stek jest lepszy od ryby każdego dnia tygodnia - mówiła moja protestancka krew.

8. POWRÓT RDZENNYCH MIESZKAŃCÓW

Kiedy jeden człowiek mówi „nie”... Rzym drży.

Spartakus

I to również... było jedno z mrocznych miejsc Ziemi.

Conrad

Wycieraczki furgonetki cięły po przedniej szybie, pozostawiając za sobą ślad opalizującej elipsy. Wyglądałem niepewnie przez zakratowane okna. W światłach samochodu majaczyły sylwetki zasuszonych drzew i kręte żywopłoty, przypominając gotycką winietę. Było to moje ostatnie spojrzenie na wolność, gdyż zaraz grzmiąco zamknęły się za nami potężne bramy Long Kesh, wstrząsając furgonetką.

To nie była moja pierwsza „wizyta” w Kesh. Dopiero co poprzedniego roku zostałem zwolniony po odbyciu trzyletniego wyroku za moje poglądy polityczne. Dwa i pół roku wcześniej uzyskałem wątpliwe wyróżnienie jako pierwszy irlandzki nacjonalista, który stanął przed niesławnym, pozbawionym ławy przysięgłych sądem Diplocka 15 października 1973 roku.

Zostałem przyprowadzony przed sąd pod sfingowanym zarzutem przynależenia do „nielegalnej” organizacji. Innymi słowy byłem republikaninem, osobą kwestionującą brytyjską okupację północy Irlandii.

- Bez obaw - powiedział mi wtedy prawnik. - Prawdopodobnie zostaniesz tylko ukarany grzywną. Pewnie będzie to około trzydziestu funtów. Tyle zwykle dostają.

„Trzydzieści funtów!” - pomyślałem. Gdzie, do kurwy nędzy, ja, bezrobotny nacjonalista, którego wyrzucano z każdej pracy, zdobędę trzydzieści funtów? Tata chyba by mnie pobił, gdyby musiał zdobyć te pieniądze. Wątpiłem, że ma trzy funty, a co dopiero trzydzieści! Nie wiedziałem, jak spojrzę mu w oczy.

Zanim zdążyłem powiedzieć choć słowo, mój adwokat dodał złowrogo:

- Oczywiście, o ile nie trafi nam się sędzia Lowry... Ojciec tak zwanego sędziego Roberta Lowry'ego był zagorzałym ulsterskim unionistą i znanym antykatolikiem. Jak mówi przysłowie, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Oczywiście trafił mi się Lowry i nigdy nie zapomnę jego wyglądu tego dnia, gdy siedział na swoim wykładanym czerwonymi poduszkami bidecie z głupkowato wyglądającą szmatą na swojej chudej głowie żuka gnojnika.

- Nie mam cienia wątpliwości, że jesteś zagorzałym terrorystą - mamrotał Lowry w swojej rekapitulacji.

Patrzyłem na czerwoną ze zdenerwowania twarz ojca, zastanawiając się, jaka będzie jego reakcja na przymus zapłacenia trzydziestu funtów.

- Zgodnie z literą prawa mam władzę, by skazać cię na osiem lat. Zmuszony jestem jednak, choć niechętnie, wziąć pod uwagę twój wiek - jęczał Lowry.

Dopiero co skończyłem siedemnaście lat.

- Skazuję cię więc na trzy lata więzienia...

Przez jeden straszny moment myślałem, że stary ze szmatą na głowie skazał mnie na trzy lata. Mój ojciec przeżywał grzywnę dużo gorzej, niż przewidywałem. Wrzeszczał i wygrażał pięścią na starego ze szmatą na głowie, podczas gdy

mój adwokat poklepywał mnie po ramionach, oferując swoje kondolencje.

- Nie wierzę, że nie ukarał cię po prostu grzywną... Tak mi przykro...

Kilka lat później IRA usiłowała zabić starego ze szmatą na głowie, ale niestety przeżył. Dopiero piętnastego stycznia 1995 roku Lowry umarł i poszedł na spotkanie z prawdziwym Sędzią; tym, który niewątpliwie mu przypomniał: „Nie sądzicie, abyście nie byli sądeni?”.



Teraz powróciłem do swojej Alma Mater, prawdopodobnie na kolejne dziesięć lat. To miejsce, gdzie ludzie tworzyli zasady, ale rzadko ich przestrzegali. Miejsce, gdzie czasami ludzie zmieniali bieg historii...

Stare baraki z blachy falistej zamieniano teraz na - znane później w całym świecie z maltretowania więźniów politycznych - bloki więzienne w kształcie litery H.

Były to perły skazanej na porażkę polityki „normalizacji” brytyjskiego rządu. Polityka ta miała pokazać światu, że na tym malutkim kawałku ziemi jest klawo, a wszystkie potworności, które się tu działy, były jedynie wytworem wyobraźni.

- Wyjść - zakrzyknął szorstki głos i wydobyliśmy się na zewnątrz, ja oraz dwóch więźniów-lojalistów. Stanęliśmy w olśniewającej recepcji, lecz szybko zagoniono nas do malutkich, osobnych boksów. Drzwi - stojące w nierównej fali, zwichrowane działaniem czasu i ciągłym użyciem - szybko zostały za nami zatrzęsnięte, a rygle wskoczyły na miejsca. Odgłos ryglowania przypominał dźwięk, jaki podczas repetowania wydają stare strzelby kalibru .303. Byłem pewien, że klawisz po drugiej stronie drzwi cieszyłby się jak dziecko, gdyby w tej właśnie chwili dostał jedną z nich do rąk.

Wiele mówiące ściany boksów przypominały mi wciąż o czymś, o czym wołałem zapomnieć, ale podobnie jak z dawno zaginionym pamiętnikiem wystarczyło przewrócić stronę.

Po kilku minutach drzwi nagle się otworzyły, a padające zza nich światło oślepiło mnie.

- No dalej! Rozbierać się! Zakładać to! Nie mamy całej jebanej nocy! - powiedział głos, po czym drzwi się zatrzasnęły.

U moich stóp, przypominając brudną kałużę, leżał brązowy więzienny uniform - lub „strój”, jak nazywali go więźniowie polityczni.

Na ścianie po mojej lewej stronie ktoś wydrapał: „Strój będziecie musieli przybić mi do grzbietu!”.

Fajny akt nieposłuszeństwa, pomyślałem, ale szczerze mówiąc nie pomogło mi się to uspokoić. Serce nie przestało walić w mojej piersi, wywołując w głowie taniec białych iskier bólu.

Drzwi się otworzyły, i znowu oczy mnie zakłuły. Żołądek skręcał mi się w brzuchu.

- Co z tobą, do cholery? - powiedział klawisz. Był nikczemnego wzrostu, a jego przyduży kapelusz wciąż opadał mu na przekrwione oczy. Jego oddech cuchnął przetrawioną whiskey. - Nie kazałem ci się rozebrać i założyć uniform?

Ułożyłem sobie w głowie mowę, powtarzając ją co noc na mojej pryczy w więzieniu Crumlin Road. Teraz, gdy nadszedł czas, by ją wypowiedzieć, zaschło mi w gardle.

- Odmawiam... - Mój żołądek zaczął wariować, przecyszczające kwasy przedostały się do jelit. Musiałem się wysrać. - Odmawiam... założenia... stroju.

Udało się! Powiedziałem to! Boże, powiedziałem to!

Jakby za sprawą czarów spadł z moich barków wielki ciężar, pomimo tego, że w głębi serca wiedziałem, co zaraz nastąpi.

Klawisz zagapił się na mnie, jakby poraził go piorun, zamrugał kilka razy, po czym zatrzasnął drzwi, pozostawiając po sobie zapach wykrochmalonej koszuli. Przypomni mi on o ojcu ubranym na sobotni wieczór. Poczuję się strasznie samotny. Bałem się strachu.

Słyszałem przytłumiony śmiech starych kumpli ze strony lojalistycznych więźniów i klawiszy. Dźwięk się oddalał: wsiadali do furgonetki, która miała ich zawieźć do jednego z bloków. Usłyszałem chrobot grubych opon furgonetki na żwirze, przeradzający się w echo, potem ciszę.

Nagle recepcja stała się upiorna jak grobowiec, nerwy zaczęły mieszać mi w głowie. Czuję się jak lis czekający w ciemnościach.

Wyczekiwanie. Cisza. Oczywiście, pomyślałem, niemal się uśmiechając. Z doświadczenia wiedziałem, że cisza we właściwie dobranych proporcjach posiada moc równie bezlitosną i przerażającą, jak rzeczywistość. Był to element procedury zmiękczenia. Dehumanizacja zmysłów.

Kiedy tym razem drzwi się otworzyły, klawisz nie był już sam.

- To twoja ostatnia szansa, Millar. Załóż ten jebany uniform, w tej chwili!

Skrzyżowałem ramiona, napięty jak sprężyna, i oczekiwałem na nieuniknione.

Wiedziałem, że nie będę czekał długo.

Pozytywną stroną bycia zaatakowanym w takim małym pomieszczeniu jest to, że napastnicy zwykle wyrządzają sobie nawzajem równie dużo szkody jak tobie.

- Twardziel z ciebie, tak? Pewnie mama i tata byliby z ciebie dumni, gdyby zobaczyli cię, jak leżysz z gołymi jajami. Powinniśmy zrobić zdjęcie i im wysłać, feniński bękarcie!

Tylko kilka minut zajęło im dosłownie zdarcie mi ubrań

z grzbietu i na dokładkę radosne skopanie mnie. Dwaj klawiszarze leżeli na mnie, pocąc się, dysząc, przeklinając i grożąc. Kiedy już odzyskali oddech, zostałem poderwany za włosy do góry i postawiony na nogach.

- Nigdzie nie idę nagi. Nieważne, co wy lub...

Zostałem kopnięty w jaja i padłem, wymiotując na podłogę, po czym zaciągnięto mnie na podwórzec, gdzie szorstki asfalt zdierał ze mnie skórę, wbijając w nią kamyczki. Jeszcze kilka kopniaków rozdzielono pomiędzy moje jaja i głowę.

- Zabrać go do Jedyńki. Oni się z nim porachują - powiedział klawisz z angielskim akcentem.

Był piątkowy wieczór. Powinienem właśnie siedzieć w klubie Star, opróżniając kufel i słuchając strasznego zespołu, grającego okrutne impresje na temat kawałków Fleetwood Mac. Zamiast tego stałem z gołymi jajcami; tył miałem upstrzony asfaltowym śrutem, a moje jądra przybierały srogi kolor fuksji.

A wciąż jeszcze nie dotarłem na Blok. Kurwa, zapowiadał się cholernie długi dzień.

9. POCZĄTEK KOSZMARNEJ PODRÓŻY

Anglicy mają święte prawo walczyć z Irlandczykami na ich rodzimej ziemi, lecz każdy Irlandczyk walczący z brytyjskim rządem ma być traktowany jako wyjęty spod prawa.

Marx

Nagi... miesiącami w mroźnej celi... bicie... cokolwiek... Millar przeżył to wszystko.

Laureat Nagrody Pulitzera, Wiliam Sherman, *Esquire Magazine*

Kiedy wysiadłem z furgonetki, zobaczyłem przylegające do siebie cele w kolorze kości, których surowość podkreślało ciemnogrnatowe niebo. Wysoki księżyc unosił się radośnie, a jego chytry uśmiech przeczył szaleństwu, które rozgrywało się u jego stóp. Był to tłusty księżyc, przypominał mi akty Auguste Rodina - podobnie i ja byłem nagi.

Kącikiem oka dostrzegłem zapalający się i gasnący malutki czerwony sutek, zupełnie jakby ktoś nadawał SOS. To klawisz z twarzą osłoniętą od chłodu ulokował się wygodnie przy ścianie, zaciągając się papierosem. Wioska rozrzuconych pe-tów zaśmiecała ziemię u jego stóp niczym łuski po nabojach. Mógłby być Clintem Eastwoodem w *Powiesić go wysoko*.

Przez sekundę myślałem, że potrząsnął do mnie głową, jakby kwestionował, że jestem przy zdrowych zmysłach. Ale pewnie to tylko księżyc grał w swoje gry.

- Dalej! Zabieraj tam swoją gołą, feniańską dupę! - wrzasnął klawisz w furgonetce.
- Tylko spokojnie, do cholery - odkrzyknąłem.

- Morda w kubek i wynocha!

Zaczerpnąłem powietrza. Wyszedłem.

Ostry zapach środków czyszczących wybijał się na pierwszy plan, kiedy wszedłem do Kręgu, który stanowił centrum każdego Bloku. Podłoga była bez końca czyszczona, polerowana i nabłyszczana, co nadawało jej kolor hebanu i gładkość oleju na wodzie. Przychodziło mi do głowy surrealistyczne uczucie stąpania po gigantycznym, obsydianowym lustrze.

Zdyscyplinowany niepolityczny więzień, który pucował podłogę, popatrzył na mnie przez moment, po czym wrócił do swojego bezmyślnego zadania, jakby nadzy więźniowie stanowili normę.

Szybko zostałem wepchnięty do pokoju po tym, jak na pukanie klawisza głos odpowiedział „wejść”. Natychmiast otoczyło mnie czterech ociekających tanią wodą kolońską klawisz.

Przy swoim biurku, udając, że pisze, siedział tak zwany oficer zwierzchni, który przyglądał się z dumą żółtej poduszeczce do tuszu, wywabiając zmyślane błędy niewidzialnym atramentem.

Jego włosy miały kolor mokrej słomy; drażliwa, rumiana cera wywoływała nawykowe drapanie, podobnie jak wybielona koszula. Małutkie belki z brązu spoczywały na jego szerokich ramionach, dopełniając propagandowego obrazka.

Zdawało się, że minęła wieczność, zanim odłożył pióro i skinął na klawisza stojącego obok mnie.

- Numer 606, Millar, sir! - zaszczekał klawisz. - Odmawia wykonania bezpośredniego rozkazu, sir! Odmawia założenia uniformu, sir!

Słomiana Głowa podparł brodę palcami.

- Czy to prawda? - zapytał w końcu.

- Mniej więcej - odparłem.

- Mniej więcej, sir! - wrzasnął mi do ucha klawisz. - Będziesz się zwracał do oficera zwierzchniego i wszystkich członków personelu sir, Millar!

„Sir Millar?” - pomyślałem. Brzmiało to całkiem dobrze.

Słomiana Głowa pochylił się do przodu i podniósł z biurka pomarańczę. Celowo powoli rozdarł jej skórkę, drażąc pod nią palcem. Zapach cytrusów wypełnił pokój, gdy podzielił owoc na dwoje.

- Pamiętam cię - powiedział, kiwając głową. - Crumlin Road. Siedemdziesiąty trzeci. Pamiętasz mnie?

W jego oczach czaiła się nienawiść; nie otwarta, ale tajna, retrospektywna nienawiść zakotwiczona w pamięci.

Tak, pamiętałem. Nazywał się Docky Fada i w tamtych czasach nie miał żadnej rangi. Był cichy jak mysz pod miotłą, nigdy nie patrzył w oczy, bał się własnego cienia. A tutaj proszę, siedział cały z brązu, przepelniony udawaną siłą.

Podniósł pióro i postukał nim w palec.

- Nastaly inne czasy, co? - powiedział, a jego lewa brew uniosła się we włochatym znaku zapytania. - Żadnych szczególnych praw. Żadnych absurdów w rodzaju, że więźniowie mają czelność mówić personelowi, co robić. Karta się odwróciła. Lepiej do tego przywyknij, Millar.

- Jasne, jak sobie chcesz - odparłem sardonicznie.

- Sir! Będziesz się zwracał do oficera zwierzchniego...

- W porządku, oficerze Wilson. Czas jest po naszej stronie. Kilka tygodni samotnego zamknięcia nauczy Millara odrobiny szacunku - odparł Docky. - Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że każdy dzień, w którym odmówisz noszenia uniformu i pracy, będzie owocował utratą możliwości umorzenia kary oraz wszystkich przywilejów? Pomyśl o tym w celi.

Gdzieś w głębi nocy dźwięki narastały na sile: warkot wojskowego śmigłowca ciął powietrze, zagłuszając zaniepokojone

wołanie zagubionego ptaka i samotny lament deszczu bijącego o szyby.

- Widzę, że już mnie nie słuchasz, Millar - powiedział Docky. - W porządku. Ale pozwól, że jeszcze jedno ci wyjaśnię: jeśli zdrzesz z moimi ludźmi, to znaczy, że zadzieras z mną. Nie toleruję braku szacunku. Zasady są proste: jeśli członek personelu, naczelnik lub moja osoba wchodzi do celi, stajesz na baczność. Nasza maksyma brzmi: „Personel blisko - nogi na klepisko”. Zrozumiano?

Dał znak, żeby mnie odprawić, ale za chwilę jeszcze nas zatrzymał.

- Skąd masz te rany i siniaki? - zapytał. Zachowałem milczenie, ale klawisz za mną wybuchł:

- Sir! 606, Millar, uzyskał te rany i siniaki, kiedy poślizgnął się na stopniu furgonetki. Radziliśmy 606, Millarowi, żeby nosił swój uniform, dzięki czemu ochroniłby się przynajmniej przed złą pogodą. Nasza rada została zignorowana przez 606, Millara, sir!

Docky skinął głową, usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, ale miał jeszcze dla mnie jakąś rozsądną radę.

- Idź rano do lekarza, Millar. Twoje jaja wyglądają, jakby miały zaraz eksplodować.

10. NAGIE STOPY, OBNAŻONE DUSZE

Wielka część informacji uzyskanych w czasie wojny jest sprzeczna, większa jeszcze część jest fałszywa, a zdecydowanie największa część jest wątpliwa.

Clausewitz, *O wojnie*

Dajcie mi szaty, załóżcie koronę; mam w sobie nieśmiertelne tęsknoty.

Shakespeare, *Antoniusz i Kleopatra*

Brodawkowate światła, każde wielkości dziecięcego paznokcia, rozciągały się wzdłuż całego skrzydła. Błękitnawa ciemność dodawała grozy upiornej ciszy, którą zakłócało jedynie klap, klap - kłapanie moich nagich stóp.

Drzwi do celi zatrzasnęły się za mną, raniąc moje uszy. Podskoczyłem, ale zaraz ogarnął mnie spokój, gdyż wydarzenia tego dnia dobiegły wreszcie końca, stapiając się z metalicznym echem. Byłem w celi nie dłużej niż minutę, gdy głos zakrzyknął:

- Sam!
 - Co? - odparłem przez szczelinę przy drzwiach, okrawek wolności.
 - Podejdź do drzwi.
 - Jestem przy tych cholernych drzwiach! Kto mówi? - Ta rozmowa w ciemności była dezorientująca, mój głos wracał do mnie, pusty i obcy.
 - Finbar - odparł głos. - Jakiś cynk, stary?
- Finbar był obecnym oficerem dowodzącym protestujących

więźniów i choć pojawiłem się w załączkowej fazie protestu on, wraz z ośmioma innymi ochotnikami, protestował już ostatnie pięć tygodni. Wkrótce miałem się dowiedzieć, że pięć tygodni bez wizyt, czytania, radia i telewizji wydawało się trwać dłużej niż pięć miesięcy. Do monotonnej, prozaicznej powtarzalności dokładał się fakt, że byliśmy zdani na łaskę impulsów klawiszy, którymi dyrygowało pozbawione skrupułów, sadystyczne roztargnienie.

Zacząłem od odrobiny cynku - wiadomości, które pamiętałem z zeszłego wieczora.

- Była strzelanina z glinami w...

Powoli zacząłem opowiadać wieści wojenne z ostatnich kilku tygodni, mając nadzieję na podniesienie morale. Ale zimny, cyniczny głos McJoke'a szybko nauczył mnie, co protestujący mieli na myśli, kiedy mówili o wiadomościach.

- Pieprzyć te bzdury! Masz jakieś informacje dotyczące protestu? To chcemy usłyszeć.

Słyszałem skrzyp łóżek, kiedy w oczekiwaniu na moją odpowiedź unosiły się na nich ciała. Dowódca w Crum powiedział mi już, co mam im przekazać: „Powiedz, że niedługo się to skończy. Cokolwiek, byleby tylko nie porzucali protestu...”.

- Mówi się, że niedługo się to skończy.

- Jak, kurwa, niedługo?

„Cokolwiek, byleby tylko nie porzucili protestu...”.

- Do Bożego Narodzenia. - Twarz mi płonęła od tego kłamstwa.

- Do Bożego Narodzenia? - zapytał McJoke. Wyobraziłem sobie, jak mruży oczy z niedowierzaniem, czując, że coś jest nie w porządku.

- Do Bożego Narodzenia? - powtórzył, dając mi szansę na wycofanie się z tego, w co zabrnąłem.

- Tak mówią. Jeśli nie do świąt, to na pewno najpóźniej w styczniu.

- Masz ze sobą jakieś szlugi? - zapytał szorstki głos Teapota.

Szlugi oznaczały w żargonie bloku papierosy.

- Nie, Teapocie. Klawisz zabrał mi je na recepcji.

- Sukinsyn.

Nie byłem pewien, czy miał na myśli klawisza, czy mnie.

- W tej celi jest lodowato, Finbarze - powiedziałem, zmieniając szybko temat. Zdenerwowanie sprawiło pewnie, że wydawało mi się jeszcze zimniej.

- Klawisze wyłączają zimą ogrzewanie - odparł Finbar - a latem włączają pełną parą. To część ich debilnej strategii, żebyśmy przerwali protest. Wkrótce przywykniesz, stary. Owiń się w jeden z tych włochatych koców. Zahartujesz się.

Roześmiał się tym swoim słynnym zaraźliwym śmiechem.

Natychmiast chwyciłem koc i poczułem jego chropowate, podobne do drucianych włosy, wgryzające się w moją skórę. Była to tortura; nie wiedziałem wtedy jeszcze, jak wiele lat taki koc będzie moim cieniem i drugą skórą.

- Ten koc jest straszny - jęknąłem.

- Nie tak straszny, jak protest! Otrzyj łzy! - odpowiedział mi chór głosów.

- A kto ci konkretnie powiedział, że to do świąt? - wrócił do tematu McJoke. Był jak pies, który nie chciał puścić kości.

- Nie chcę wymieniać nazwisk przez drzwi. Klawisze mogą podsłuchiwać. - Moje kłamstwo rosło, a moja twarz stawała się coraz bardziej gorąca.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Sam. Jak sobie w sobotę radzili Hammers? - zapytał Finbar, pierwszy fan West Ham United.

- Pieprzyć Hammers - przerwał McJoke, roztaczając dyplomatyczny urok. - To jest ważniejsze niż te wszystkie...

- Co to ma znaczyć „pieprzyć Hammers”? Sam się pieprz - powiedział Finbar. - O czym to mówiliśmy, Samie, kiedy tak niegrzecznie nam przerwano?

- Dajcie spokój z tymi politycznymi bzdetami - narzekał Teapot. - Na pewno nie masz ze sobą choć jednego szluga?

W jego głosie dała się słyszeć panika.

- Daj spokój ze szlugami - wciął się McJoke. - Jedno pytanie naraz.

- Co ma znaczyć to „daj spokój ze szlugami” - powiedział Teapot oburzony. - Nie palisz, to zamknij gębę. A swoją drogą ten proces nigdy się nie skończy, więc możesz sobie darować.

Ta werbalna przepychanka trwała bez końca, jak ping-pong, w tę i we w tę. Opuściłem drzwi i podszedłem do prętów przytwierdzonych do okna. Popatrzyłem w nocne niebo. Było usiane świetlistymi gwiazdami, tak licznymi i otoczonymi cieniem Boga, że urzekają swoim pięknem. Krzyżące szpaki-zdobywcy polatywały w kierunku dających im schronienie ogromnych grzybów wież strażniczych, których światła rzucały na blok pirytową pajęczynę, tworząc ożywiony negatyw żółtego sera.

Zanim zasnąłem, zastanawiając się, czy powinienem się przyznać do zmyślenia daty, Teapot zagderał w ciemnościach:

- Sukinsyn. Żadnych szlugów. Tę datę też pewnie zmyślił.

Ten wieczór stanowił wyczekany koniec długiego dnia podróży. Na zawsze miałem zapamiętać prawdę, że to, czego nie wiemy, zmusza nas do spekulacji. Informacja, choćby nie wiem jak radosna w pierwszej chwili, zawsze w następstwie jest niebezpieczna.

11. KONFRONTACJA Z RZECZYWISTOŚCIĄ

*Jestem uwięziony w zatęchłej kwaterze, gdzie nie ma dość miejsca,
by zakręcić kotem.*

Smollett

*By opowiedzieć sekrety mojego więzienia Mógłbym historię rozwi-
nąć,*

której najłżejsze słowo Udręczyłoby duszę, zmroziło twą krew młodą.

Shakespeare, *Hamlet*

Następnego ranka poznałem brzmienie pobudki - orkiestrę pałek i butów klawiszy bijących o drzwi cel. Rozradowane oczy strażników zaglądały przez klapki wizjerów, a ich właściciele walili *staccato*, aż każdy więzień wstał z pryczy.

- Taki piękny poranek, a wy ciągle w łózkach! Nieładnie. Wstawać! Personel blisko - nogi na klepisko!

Klawisz potrząsał kluczami z nadzieją, że to kogoś zirytuje.

Od czasu do czasu jakiś więzień łapał przynętę.

- Wsadź sobie te klucze w dupę, palancie.

Niewzruszony klawisz nadal puk, puk, pukał niczym dzięcioł.

- Jak chcecie, żeby wam przyrządzić jajka, chłopcy? Sądzone? Z bekonem? Na twardo? A kielbaski?

- Zapytaj żony - krzyknął ochryply głos. - Próbowwała jednej, kiedy byłeś na nocnej zmianie!

- Oooochhh, Teapot. Szokuje mnie twój język. A przecież jesteś dobrym, katolickim chłopcem.

Na zewnątrz szpaki poleciały szukać jedzenia, za to spora grupa gołębi pocztowych cięła synchronicznie powietrze, unosząc się na fali wzbijanej przez słońce. Złote promienie topiły już wczesnoranną ciemność. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wszystkie ptaki zniknęły za horyzontem, jak rozplywająca się piana morskiego bałwana.

Oczywiście na śniadanie nie dostaliśmy żadnego bekonu. Ani kielbasek. Jedyne mdłą owsiankę bez mleka czy cukru oraz podejrzanie wyglądający chleb upstrzony niebieskimi plamkami pleśni.

Krótko po śniadaniu Finbar uraczył mnie krótkim podsumowaniem.

- Niedługo przyjdzie klawisz, żeby opróżnić kubły. Idź, nawet jeśli nie musisz. Wyjdiesz z celi, choćby tylko na chwilę. I pamiętaj, że nigdzie nie chodzimy nago - ani w stroju. Owiń się tym małym ręcznikiem.

Klawisz był coraz bliżej, więc usiadłem na łóżku w oczekiwaniu.

Bez ostrzeżenia klapka się podniosła i dwoje oczu wlepiło we mnie wzrok. Przypominały wysrane landrynki, które ktoś przez pomyłkę zanurzył w lakierze.

Nic nie powiedział. Po prostu się wpatrywał. Ja również patrzyłem w jego stronę, pomimo dekoncentrującego efektu gapienia się na drzwi o wytrzeszczonych oczach. Coś by mnie trafiło, gdybym dał mu satysfakcję i odwrócił wzrok, onieśmielony.

Kłapa się zatrzasnęła!

Powoli otworzyła się znowu. Wytrzeszczone oczy. Kłapa się zamyka. Otwiera...

Co za wkurzający typ, pomyślałem, gdy znowu rozpoczęła się bitwa na spojrzania.

- Znasz zasady, Millar. Personel blisko - nogi na klepisko! Nie zmuszaj mnie, żebym wezwał posiłki.

Nie poruszyłem się, ale żołądek mi się ścisnął na tę groźbę.
Trzask! Klapka się zamknęła.
Już go nie widziałem, ale on nadal tam stał.
Klapka znowu się otworzyła.
- A kuku! - rozbrzmiał jego irytujący głos. - Wiiiiiiiiidzę cię. A ty mniiiiiiiiiee?
Chory sukinsyn, pomyślałem.
- Ostatnia szansa, Millar. Czterej oficerowie już tu idą. Nauczmy cię manier, jeśli nie wstaniesz.
Zaczął odliczanie.
- Dziesięć. Dziewięć. Osiem. Siedeeeeemmm. Sześć...
Pójdź po rozum do głowy i oszczędź nam kłopotu.
Odmówiłem odpowiedzi, ale mój żołądek się skręcał. Potrzebowałem się wysrać.
- Cztery. Trzyyyyyy! Ostatnia szansa. Oficerowie już tu są. Dwa i pół...
Dźwięk jego głosu był torturą. Chciałem mieć bicie już za sobą.
- Jeden! - Drzwi wydały straszny szczęk, a ja chwyciłem się mocno łóżka, co spowodowało, że kłyckie mi zbiegały.
Przez dłuższą chwilę drzwi pozostały zamknięte. Nic, tylko złowroga cisza. Nagle wybuchł szalony śmiech:
- Cha, cha! Mam cię, Sam. Pięknie cię nabrałem! Myślałeś, że jestem klawiszem, co? Cha, cha!
Zeskoczyłem z pryczy akurat na czas, żeby zobaczyć więźnia zwanego Polar Bear, biegnącego zygzakiem wzdłuż skrzydła, od celi do celi, i wrzeszczącego:
- Nabrałem go, chłopak! Powinniście widzieć jego mordę! Cha, cha! Obesrał się ze strachu!
Zatrzymał się przed celą Finbara.
- Hej, Finbar? Millar stanął na baczność, myśląc, że jestem klawiszem.

Gówno prawda, chciałem wrzasnąć, ale zdałem sobie sprawę, że o to tylko mu chodziło.

- Myślałem, że się zesra - ciągnął Polar Bear głośno, żeby wszyscy słyszeli. - Twardziel z New Lodge, jak cholera. Cha, cha!

Ocierał łzy ze swojej brodatej twarzy, idąc z powrotem do mojej celi.

- Rozczarowujesz mnie, Sam. Dałeś się nabrać na ten stary numer.

- Jestem za mądry na twoje sztuczki, Polar Bear - skłamałem. - Zgrałeś się.

Odrzucił głowę do tyłu, rycząc ze śmiechu, jakby został złapany na niewidzialny hak.

Polar Bear był znany ze swoich wkrętek - figli - których ofiarą padali niczego się niespodziewający więźniowie. W więzieniu przy Crumlin Road udawał lekarza albo pracownika opieki społecznej, zmieniając role w zależności od humoru. Jego najmocniejszą stroną była parodia straszącego ogniem piekielnym księdza. Weekendowe błazeństwa ojca Foxxa zbierały grono „nawróconych” podczas każdej jego odsiadki. W każdy sobotni wieczór, gdy przybywali nowi, przeobrażał swoją celę w konfesjonał, dzieląc ją na dwie części prześcieradłem z dziurą, przez którą obserwował reakcję grzesznika.

- Wejdz, synu - mówił ojciec Polar prawdziwie kapłańskim głosem zza prześcieradła.

Rudy więzień o zaniepokojonej twarzy usianej mapą piegów rozmiarem i kształtem przypominających zardzewiałe główki gwoździ wszedł i usiadł.

- Tak, synu?

Młody człowiek odkaszlnął, by przeczyścić gardło.

- Minęło już prawie...

Głos go zawiódł, kiedy zobaczył przyglądające mu się samotne oko w prześcieradle.

- No dalej! Nie mam całego dnia! - oświadczył ojciec Polar.

- Minęło... już prawie trzy... miesiące od mojej ostatniej...

- Trzy miesiące! Co z ciebie za katolik, skoro przez trzy miesiące grzeszyłeś! Co? Co?

- Naprawdę mi przykro, ojcze, ale to pierwsza okazja...

- Nie rób z siebie takiego męczennika, na miłość boską!

Przejdź do konkretów!

Dłonie Rudzielca były wilgotne, otarł je o jeansy, pozostawiając ciemne, ślimacze ślady.

- Miałem... nieczyste myśli... i czyny. Poza tym...

- Moment! - wrzasnął ojciec Polar. - Myślisz, że kto tu rządzi? Powoli. Jakiego rodzaju nieczyste czyny?

Rudzielec obliznął usta.

- No wie ksiądz... trzepałem konia.

- Trzepałeś konia? A co to takiego? - ojciec Polar przygryzał wargi, dusząc w sobie wybuch śmiechu.

- No... masturb... bowałem się, proszę księdza. - Młody człowiek uniósł się nerwowo na krześle. - Wie ksiądz, co mam na myśli...

- Wiem? Wiem? Skąd miałbym, do diabła, wiedzieć o czymś takim? Obrzydliwość! Czego dotyczyły te nieczyste myśli?

Dał się słyszeć głęboki wdech, gdy Rudzielec przygotowywał się do skoku na głęboką wodę.

- Więc... ja... miałem te straszne myśli o dziewczynie mojego najlepszego kumpla, wie ksiądz?

- Bóg mi świadkiem, jeśli jeszcze raz powiesz „wie ksiądz”, spadnie na ciebie kara boska. Jestem księdzem, ty cymbale! Skąd mam wiedzieć o takich rzeczach?

- Prze... przepraszam, ojcze. Ja tylko...

- Szczegóły! Opowiedz mi więcej o dziewczynie swojego najlepszego przyjaciela, ty Judaszu.

- Ja... więc... ona jest śliczna.
- Śliczna? - powtórzył ojciec Polar sarkastycznie. - Śliczna? Nieważne. Jak jest zbudowana?
- Zbudowana? Och! Cudownie. Jest cudownie zbudowana. Wspaniale - wybuchł Rudzielec.
- Niezła para buforów, co? - zapytał ojciec Polar.
- Niewiarygodna! - entuzjasmował się młody człowiek, ciesząc się, że trafił mu się równie liberalny ksiądz. - Przy niej Dolly Parton wygląda jak deska, cha, cha.
- Polar nie powstrzymał się od uśmiechu.
- Naprawdę? A reszta? Jej twarz?
- Ach, jest zachwycająca, ojciec - przechwalał się Rudzielec, podnosząc nieco poprzeczkę od „śliczna”. - A jej tyłek! Niesamowity! Wie ksiądz?

W ułamku sekundy pięść ojca Polara padła zza prześciera-
dła na głowę Rudzielca, powalając go na ziemię.

- Nie ostrzegałem cię w sprawie tego „wie ksiądz”? Nie ostrzegałem?
- Hej! - krzyczał Rudzielec z oburzeniem. - Nie ma, kurwa, powodu, żeby mnie bić, ojciec!
- Co? Coś ty, kurwa, powiedział? Takim, kurwa, językiem posługujesz się przy księdzu? Co, ty świntuchu? - Bęc! Bęc! Bęc! Więcej klapsów padło na głowę Rudzielca.
- Hej! Hej! - wrzeszczał, wstając nagle na nogi, gdy Polar wymierzył mu szybkiego kopniaka w tyłek.
- A teraz wypierdalaj stąd, zanim powiem twojemu kumpłowi o Dolly, kurwa, Parton.
- Nieszczęśliwy Rudzielec wypadł z celi, a mijając kolejkę grzeszników, dawał jeszcze porady.
- Tylko nie przeklinajcie przy tym księdzu. To pieprzony fanatyk!

Trzeba przyznać, że żarty Polar Bearcha były infantylne, ale

bez takich jak on czas w więzieniu dłużyłby się ogromnie; nieskończony cień zagubiony w swojej własnej otchłani. Oparł się o drzwi mojej celi i konspiracyjnym szeptem dodał:

- Słyszałem, co mówiłeś, że protest ma się skończyć w trzy miesiące. Stek bzdur, nieprawdaż?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odszedł, szeroko się uśmiechając, ale nie byłby sobą, gdyby jeszcze czegoś nie dorzucił.

- Nie chciałbym być tobą w bożonarodzeniowy ranek, stary. Pamięć wybiórcza nie pozwoli ci zajść dalej. Nie powinieneś mieszać ludziom w głowach.

12. OCHOTNIK

Bez ilu rzeczy mogę się obejść.

Sokrates

Jest moim starym kumplem - och, to kochany człowiek, kochany człowiek.

Sean O'Casey, *Juno and the Paycock*

- Hej, Sam? Podejdz na moment do drzwi.

Stałem właśnie przy oknie, marząc. Było to miłe marzenie o spacerze po Water Works w czasie letniego dnia i przyglądaniu się dziewczynom w jeansach w kolorze nieba. Właśnie miałem dotknąć dziewczynę, na którą miałem oko od tygodni, kiedy warkot Teapota przerwał mój trans.

- Co, Teapocie? Co jest?

- Widzisz tego klawisza przy celi numer cztery?

Wyjrzałem przez szczelinę w drzwiach i zobaczyłem klawisza. Otwierał drzwi w celu opróżnienia kubłów.

- Tak - odparłem. - Co z nim?

- Nazywamy go Ochotnik. Przyglądaj się, a zrozumiesz, dlaczego.

Patrzyłem na klawisza, jak podszedł do celi Teapota, otworzył ją, wypuścił Teapota, który minął drzwi do mojej celi i mrugnął do mnie, śpiewając:

- Hej ho, hej ho, do pracy by się szło...

Zwykle klawisz miałby na twarzy kwaśną minę, słysząc tę sarkastyczną piosenkę. Częścią naszego protestu była odmowa

pracy, a oni brali to do siebie. Mimo to ten klawisz się uśmiechał. Bardzo niecodzienne w tym środowisku.

Kołysał się w przód i w tył, przyglądając się skrzydłu po swojej lewej. Już miałem odejść znudzony od drzwi, kiedy nagle klawisz schylił się, żeby zawiązać but. Rzecz w tym, że but był już zawiązany. Gdybym go nie obserwował, nie zauważyłbym zręcznej sztuczki, jak jego palce dotknęły krawędzi maty, która była przysunięta do wejścia do celi. To również było niecodzienne, jako że zwykle resztki maty kładliśmy na środku celi, aby po nich chodzić.

Klawisz, który wciąż usiłował zawiązać but, spoglądał pod pachę, jakby szukał śladów potu. W rzeczywistości, jak dowiedziałem się później, przyglądał się innemu klawiszowi, który zajmował miejsce pomiędzy kratami, a którego obowiązkiem było monitorowanie skrzydeł po obu swoich stronach. Wreszcie, nauczywszy się najwyraźniej wiązać buty, strażnik wstał, przeciągnął się, ziewnął i końcem buta wsunął matę z powrotem do celi.

W tym momencie wrócił Teapot, śpiewając: „Oh what a beautiful morning...”.

Zanim klawisz zamknął drzwi, zobaczyłem, jak puścił oko, niewątpliwie, do Teapota: operacja zakończona.

Później tego ranka Teapot wyjaśnił mi to dziwaczne zachowanie. Klawisz umieścił pod matą dziesięć papierosów.

- Robi to w każdy sobotni i niedzielny poranek, kiedy jest na tym skrzydle.

Papierosy były warte swojej wagi w złocie dla tych, którzy palili, tym bardziej, że należały do elementów kary za odmówienie noszenia więziennych uniformów i wykonywania więziennych prac. Wszystkie tak zwane przywileje zostały nam odebrane.

Każdy prawdziwy papieros zostawał skruszony, przerobiony na dziesięć cienkich jak igła skrętów, które rozdzielano po równo - choć oczywiście Teapot brał niewielką prowizję za swoją pracę - pomiędzy palaczami.

Miałem szczęście, że nie paliłem, ale dla tych, którzy tkwili w nałogu, był to nieoczekiwany zysk, który bardzo cenili, wiedząc, że może minąć wiele czasu, zanim nadejdzie następny.

Monotonia, która sprawiała, że każdy dzień ciągnął się niemożliwie, podtrzymywana była samą ilością niemożliwości: żadnego radia, żadnych wizyt, żadnego czytania - poza biblią, żadnych słodczy, żadnych ubrań, żadnego tytoniu. Same zakazy. Z drugiej strony nieposiadanie niczego oznaczało, że Brytole już nic nie mogą ci zabrać. W imię zdrowia psychicznego dobrze jest patrzeć na jasną stronę życia.

Ochotnik przekazywał również wyniki meczów w każdy niedzielny poranek i upewniał się, że każdy z nas otrzymywał dodatkowe kilka kawałków chleba do tej marnej ilości pozostałego żarcia, którą nas raczono. Zbierając to wszystko razem, można powiedzieć, że zachowywał się zupełnie jak człowiek. Gdyby go złapano, zostałby w najlepszym razie poddany ostracyzmowi ze strony swoich kolegów, w najgorszym - zwolniony. Był dla nas zagadką, ale dopóki dostarczał nam papierosy i wyniki meczów, mógł nią spokojnie pozostać.

13. SKRZYPIĄCE BUTY

Uszedłem jedynie ze swoją skórą i kośćmi.

Księga Hioba, rozdział 19, wers 20

*Niech grzechoczą o kamienie jego kości; To tylko nędzarz,
w niczyim domu nie gości!*

Thomas Noel, *The Paupers Drive*

Zwykle około trzynastej w Blokach zalegała martwa cisza. Większość klawiszy szła na lunch albo napić się piwa w swoim klubie. Korzystaliśmy z tego, albo ucinając sobie krótką drzemkę, albo ucząc się trochę języka irlandzkiego. Ja stałem przy oknie, jak zwykle marząc, kiedy głos Finbara zapytał:

- Sam? Słyszysz to?
- Co?
- Ktoś jest w celi 26.

W celi 26 klawisze trzymali więzienne uniformy na wypadek, gdyby ziściły się ich najśmielsze fantazje - że wszyscy wstaniemy pewnego ranka i poprosimy ich, żeby pozwolili nam je założyć i pójść do pracy. Można by dołożyć do tego jeszcze, że wypucujemy im buty.

Niezwykły był fakt, że cela ta została otwarta o tej porze dnia, ale Finbar miał rację. Ktoś rzeczywiście tam był.

Drzwi się zatrzasnęły i znowu zaległa cisza, jeśli nie liczyć wściekłego chrapania Kowboja.

- Słyszysz to? - zapytał Finbar.
- Nie. Co?

- Ten skrzypiący dźwięk. Taki, jaki... - zrobił dramatyczną pauzę - ...wydaje nowa para więziennych butów.

Pomyślałem, że naczytał się Sherlocka Holmesa. Protest trwał już ponad rok i może zaczęła mu trochę odbijać.

- I? - powiedziałem. - Co to według ciebie znaczy?
- Ktoś założył strój i spieprzył - nalegał Finbar.

Zacząłem się śmiać. Nikt nigdy nie zaprzestał protestu. Tak, zdarzało się, że ludzie odmawiali wzięcia w nim udziału, ale nikt, kto już raz się zdecydował, nigdy nie opuścił naszych szeregów. Było to nie do pomyślenia.

- Gadasz straszne bzdury, Finbar.
- Musimy dowiedzieć się od Blade'a, później. Ale stawiam, że ktoś nawiał.

Blade został nowym dowódcą po tym, jak Finbar zrezygnował z tego stanowiska ze względu na wiążący się z pracą stres. Była to niewdzięczna robota, dlatego nie dla ludzi o słabych nerwach.

Po sjeście próbowaliśmy obudzić Blade'a, ale bez skutku. Miał wybitnie twardy sen, więc zdecydowaliśmy się zaczekać.

J.C.B. nie dał nam zaczekać.

- Finbar, Blade'a nie ma w jego celi. Widziałem, jak wychodził jakąś godzinę temu. A, tak przy okazji, miał na sobie strój.

J.C.B. powiedział to tak beztrzesko, że wiadomość trafiła do nas dopiero po kilku chwilach. Cisza była niemal dotykalna. Potężna. Nikt nic nie powiedział, poza Finbarem.

- Sprawę uważam za zamkniętą - powiedział Finbar.

Agatha Christie byłaby z niego dumna.

Żaden z nas nie mógł sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek, nie mówiąc o dowódcy, opuścił grono protestujących. Równie niedobrze wyglądało to, że nie miał odwagi powiedzieć nam,

co zamierza. Był to cios w nasze morale i naszą niezłomną wiarę, że jesteśmy niezawodni. Po tym traumatycznym doświadczeniu patrzyliśmy na siebie z innej perspektywy, zastanawiając się kto - o ile w ogóle ktoś - będzie następnym.

A jeśli chodzi o Blade'a, bezwiednie wprowadził on nowy zwrot do naszego leksykonu: Skrzypiące Buty.

Dzień jednak nie był kompletną katastrofą. Polar Bear miał zostać zwolniony z tego szaleństwa i pomimo gróźb ze strony klawiszy chodził od celi do celi, życząc nam wszystkiego najlepszego, zachęcając też do podtrzymania protestu oraz zapewniając, że zrobi wszystko, żeby ludzie dowiedzieli się o naszym ciężkim losie.

Wyraz bezsilnej nienawiści na twarzach klawiszy miał nas cieszyć jeszcze przez bardzo długi czas. Polar Bear przeciwstawiał się im od pierwszego dnia protestu. Dwudziestoczegodzinne zamknięcia, pozbawianie możliwości zaspokojenia podstawowych ludzkich potrzeb - wszystko to spełzło na niczym i nic nie mogli na to poradzić. Musieli stać z uśmiechami przyklejonymi do twarzy i oczami pełnymi wściekłości.

Oczywiście cieszyliśmy się z tego - ale również mu zazdrościliśmy. Już niedługo miał być ubrany, jeść prawdziwe jedzenie. Tę noc miał spędzić z kobietą. Boże! Co każdy z nas by dał, żeby być teraz w jego butach - kiedy już je wreszcie założy!

Wielki, włochaty uśmiech i kciuki wzniesione ku górze - tak go zapamiętaliśmy, jak zniknął, połknięty przez furgonetkę.

Nie mieliśmy pojęcia, że w dwa miesiące później miał już nie żyć, zabity w wypadku samochodowym w drodze do domu ze spotkania, na którym walczył o wsparcie dla protestu.

14. MARTWI BOHATEROWIE NASZEGO DZIECIŃSTWA OŻYWAJĄ

Odwaga to odporność na strach, opanowanie strachu - a nie jego nieobecność.

Mark Twain

*Mam zasadę, że nigdy nie tracę nad sobą panowania do czasu,
aż jego utrzymanie byłoby szkodliwe.*

Sean O'Casey, *The Plough and the Stars*

Nowy rok. Nowy początek.

Ale jeśli o nas chodzi, nic się nie zmieniło. Był to po prostu kolejny dzień. Nie pozwalano nam już myć się w umywalni. Musiała nam wystarczyć miska zimnej wody, raz dziennie. Opróżnianie kubłów było grą w rosyjską ruletkę, nigdy nie było wiadomo, co znowu strzeli klawiszom do głowy. Droga wzdłuż skrzydła, by wyłąć nieczystości, zawsze była okazją do zebrania się razem dwóch albo trzech klawiszy oraz prób zastraszenia. Nie mogli oprzeć się pokusie i nie powiedzieć, że już niedługo się poddasz, będziesz im czyścił buty i mówił do nich „sir”. To, że ludzie w kocach będą mówić do nich „sir” było urojeniem, które żyło w głowach klawiszy i naczelników. Najbardziej brawurowi spośród nas odpowiadali na szyderstwa „żółtym deszczem” - wylewając zawartość wiaderka na głowy strażników, mimo nieuniknionego bicia, jakie później następowało.

Za oknem Kikut, dotknięta porażeniem mewa z jedną nogą i strzaskanym dziobem, walczyła z innym, zdrowszym ptakiem

o kawałek chleba. Kikut stracił nogę, ponieważ przeleciał zbyt blisko drutu kolczastego. Tydzień po tym strasznym wypadku pijany klawisz cisnął w ptaka cegłę, w wyniku czego złamał mu dziób.

Kikut walczył albo walczyła z całych sił, dając przykład wielkiego męstwa pomimo upośledzenia. Wreszcie, po odpędzeniu przeciwnika, usiłował połknąć chleb, pocierając resztką dzioba o ziemię. Minęło pół godziny, zanim mu się to udało, a patrzenie na te zmagania było bolesne. Płynęła jednak z tego nauka: Kikut przetrwał, a tym samym pokonał w końcu wszystkie przeszkody i przeciwników.

Pogoda na zewnątrz była idealna - piękna do bólu serca. Wiedziałeś, że Bóg daje ci porozumiewawczego kuksańca. Nagle do moich nozdrzy trafiła kolekcja zapachów, gdy wyglądałem na zewnątrz przez kraty w oknie: stopiona smoła, chłodniejsza w powiewie dnia, delikatny, słaby aromat proszku do prania oraz jajka smażone na patelni. Wydawało mi się, że słyszę furgonetkę rozwożącą lody, więc wyobraziłem sobie masę dzieciaków ustawionych w kolejce z szerokimi uśmiechami na twarzyczkach.

Czasami dawały się słyszeć rzeczy przypominające dni, które zdawały się już zapomniane, jak na przykład listopad w dzieciństwie, jego zapach opadających liści, kiedy czas biegł niezauważenie powoli. Czasami słyszało się muzykę, która wyciągała na światło dzienne refleksje zagubione w mrocznym zakamarku umysłu, wspomnienia czasów, kiedy cały świat zdawał się doskonały, mniej podejrzliwy, a także otwarty na błędy.

Właśnie miałem zawołać Finbara do okna, żeby z nim porozmawiać, kiedy dał się słyszeć głos Hippo - najnowszego dowódcy skrzydła - psując nastrój chwili i brudząc nieskazitelną dzień.

Hippo rozkręcał się coraz bardziej, dając nam przez okno

wykład o bohaterach i męczennikach, którzy zginęli za Irlandię. Było coś protekcyjnego w tym, jak mówił nam, że potrzebujemy kogoś kalibru Jamesa Connolly'ego, Patricka Pearse'a czy Wolfe'a Tone'a. Być może drażnił nas fakt, że był w kocu jedynie od paru miesięcy, w porównaniu do lat spędzonych przez resztę.

Jednak mimo jego jęczącego głosu czuliśmy się raczej pogodnie. Klawisze dali nam nawet cukier do owsianki i mleko do herbaty - choć oczywiście nie jedno i drugie do obydwu.

- Weźcie Tony'ego - głosił Hippo. - Nawet, kiedy zdał sobie sprawę...

Ale było to ostatnie miejsce, w którym chciało się słuchać podobnych przemów.

- On nam już raczej nie pomoże, prawda? - rzuciłem, przeciskając głowę przez kraty. - O ile mi wiadomo, nie żyje.

- Co? Co mówisz? - zapytał, nie wierząc własnym uszom, że były świadkami podobnej zdrady.

- Powiedziałem, że oni wszyscy są martwi, do cholery. Nam by się przydał ktoś taki jak Hulk, kto naprawdę mógłby nas z tego wyciągnąć.

Dziesięć sekund ciszy.

- Kto? O czym ty, kurwa, bredzisz?

- Niesamowity Hulk. Właśnie on. Mógłby rozwalić te drzwi jednym ze swoich pierdnięć promieniami gamma. Nie to, co stare kości Tony'ego i reszty. Chyba że masz smocze zęby, żeby ich przywrócić do życia.

Śmiech ze skrzydła.

- Nie mam pojęcia, o czym ty bełkoczesz, ale jesteś, kurwa, pierdolnięty. Nigdy nie słyszałem o tym Niewidzialnym-kimśtam.

- To nie bełkot. Po prostu stwierdzenie faktu. Niesamowity Hulk. Znany inaczej jako Bruce Banner. Naukowiec, który

dostał promieniami gamma i stał się zielony, więc jest na pewno po naszej stronie.

Hippo zaśmiał się sztucznie.

- Och, rozumiem.

Po czym wrócił do swojego pierwotnego tematu i słuchacza:

- Jak już mówiłem, John, kaliber przywództwa w tamtych czasach był ni mniej, ni więcej tylko wybitny. Connolly nawet by się nie zastanawiał...

- Mówiłem poważnie - przerwałem mu, przyciskając głowę mocniej przez kraty dla lepszej akustyki. - Gdybyśmy mieli Hulka, pobilibyśmy Brytoli w tydzień.

- Zamknij jadaczkę - powiedział, ledwie kontrolując złość.

- Jest jeszcze Stwór z *Fantastycznej Czwórki* - ciągnąłem. - Nie mógłby się mierzyć z Hulkusiem w jego kategorii mocy, ale stanowi cholernie dobrą drugą klasę.

Z cel dało się słyszeć więcej śmiechu. Byłem na fali.

- Posłuchaj - powiedział Hippo. - Nie toleruję ludzi, którzy nabijają się ze zmarłych Irlandii. Nie przeginaj.

Jego głos zaczął drżeć z emocji.

- Oooooohhh. Lepiej uważaj, Sam. Przestrzeli ci kolana, kiedy wyjdiesz - krzyknął Kowboj.

- A co z Supermanem? Nie mógłby nam pomóc? - zapytał ktoś, śmiejąc się.

- Nie dałby rady - odparłem. - Te drzwi są tak naprawdę zrobione z zielonego kryptonitu. Zabójcze dla superbohatera - dodałem. - Kiedy wzywamy pomoc, nie wabimy ich na pewną śmierć.

- Przestańcie! - krzyczał Hipcio. - Klawisze słuchają i robią sobie z nas jaja.

- Jakie jaja? Klawisze nie mają jaj! - wrzasnął Joe McDonnell, wywołując kolejną salwę śmiechu z okien.

- A Lone Ranger? - dopytywał się Kowboj, który zaraz sam odpowiedział na swoje pytanie słowami: - Nie... Trigger nie dałby rady dostać się na skrzydło.

Przez następne trzy dni rozmowa obracała się wokół bohaterów naszego dzieciństwa, przynosząc ze sobą ciche, płynące z nostalgii zadowolenie. Później, podobnie jak my sami, niestety się wypaliła.

- Wyobrażacie sobie, co by pomyśleli ludzie na zewnątrz, gdyby się dowiedzieli o tych wszystkich bzdurach, które wygadywaliście tu przez ostatnie kilka dni? - Hircio mówił przez okno, żeby wszyscy słyszeli. - Pomyśleliby, że poszaleliśmy. Powinniście się wstydzić, republikanie gadający o bohaterach z telewizji. Mam nadzieję, że nikt się o tym nie dowie.

Na zewnątrz zaczął padać rdzawy deszcz, wywołując zmarszczki rozmiaru i koloru zaśniedziałych pensów na nieruchomych kałużach szczyln pod naszymi oknami.

- Kompletnie tego nie chwytasz, co, Hirciu? - powiedziałem, leżąc na plecach i gapiąc się w sufit.

- Czego? Że jesteście bandą palantów?

- Nie. Nic podobnego. Uważaj i ucz się - poradziłem. - Po pierwsze, gówno nas obchodzi, co ktokolwiek tam, na zewnątrz, myśli. To my staramy się przetrwać, nie oni. Po drugie, ostatnie trzy dni spędziliśmy na wolności - choć to tylko nasze umysły były wolne. Ale i tak uciekliśmy z tego miejsca. A wszystko to dzięki Niesamowitemu Hulkowi. Przestań więc pieprzyć.

Kowboj zachichotał.

- Lone Ranger też brał w tym udział, Sam. Nie zapominaj - powiedział.

Zapomnieć? Jak bym mógł? Tego dnia nastał nowy porządek. Prawdziwy koszmar dopiero się zaczynał...

15. TO NAPRAWDĘ NIE JEST MIŁE, GDY WPYCHAJĄ CI PALCE W TYŁEK

Mrowi mnie kciuk, co znakiem tego, że zbliża się tu coś nikczemnego.

Shakespeare

Choćbyś żył nie wiem jak długo, pierwsze dwadzieścia lat stanowi najdłuższą połowę twojego życia.

Robert Southey, *The Doctor*

- Czy ten nowy porządek to wytwór tylko mojej wyobraźni?

Nie mogłem natychmiast odpowiedzieć Finbarowi, gdyż zawartość żołądka podchodziła mi do gardła. Zabieraliśmy się właśnie do wyrzucenia ekskrementów za okna, gdyż klawisze i naczelnicy nie byli w stanie nas zapewnić, że za każdym razem, kiedy będziemy opróżniać kubły, nie będziemy bici. Było to degradujące, zawstydzające i dehumanizujące, ale alternatywą były pobicia i więcej ludzi opuszczających szeregi protestujących. Poza tym pewnie miało trwać tylko kilka dni, najwyżej tydzień. Protest trwał już siłą ciężkości w swojej wygodnej niszy samozadowolenia. Spodziewaliśmy się, że wkrótce przyniesie on efekt.

Miesiąc później...

- Co o tym myślisz, Finbarze? - zapytałem, wyglądając za okno na grupę otyłych szczurów patrolujących dziedziniec i zjadających coś nie do pomyslenia.

- Myślałem, że do dziś klawisze się poddadzą - odparł,

rzucając kawałek twardego jak skała chleba szczurowi o imieniu Goofy, którego wystające siekacze wyglądały jak malutkie kawałki drewna. - To miejsce jest w katastrofalnym stanie.

Cele były teraz pozbawione wyposażenia, co miało być karą za nasze niecywilizowane zachowanie. Paskudna biała farba została zastąpiona jeszcze paskudniejszym brązem, który niestety nie był farbą, gdyż klawisze uzbrojeni w grube, gumowe rękawice - w których dawniej wydawali nam jedzenie - wrzucali ekskrementy z powrotem do naszych cel, zmuszając nas do rozprowadzenia ich po ścianach.

Następnie pojawiły się potężne szlauchy, kierujące wodę do wnętrza cel i zmieniające leżące na ziemi materace w nasączone gąbki. Jeśli miałeś pecha, strumień wody rzucał cię na ziemię.

Ale to niekończący się smród gówna i szczyn sprawiał, że aż tęskniłeś za przyjaznymi zapachami marek Old Spice, Brut, Lifebuoy i Cherry Blossom. Poznałem, jak musiał czuć się Hiob, siedząc na stercie gnoju. Jedyłą pociechą było to, że teraz na pewno musiało się to już skończyć. Brytyjski rząd nie mógł pozwolić, żeby coś takiego trwało dalej.

- Jeszcze dwa tygodnie, Samie. Myślę, że zaraz się to skończy - powiedział Finbar.

- Najwyżej cztery, Finbarze. Wiesz, jak ciężko się Brytyjczykom poddać. Sztywny kark i tak dalej, stary druhu.

- Tak, pewnie masz rację, kolego. Dajmy im ze cztery. Sukinsyny...

Cztery miesiące, nie tygodnie, później

Klawisze - w kolejnej próbie, żeby nas złamać - zabili z zewnątrz okna, odcinając dopływ światła i powietrza. Cela здаwała się fizycznie zmniejszać, ścisnąć cię w środku. Malutkie demony paniki tańczyły w głowie, zapierając dech w piersiach pospołu z nieznośnym upałem i smrodem.

Co gorsza ogrzewanie włączono pełną parą, by jeszcze bardziej pogorszyć smród kału i uryny. Była to przerażająca, klaustrofobiczna tortura nie dla ludzi o słabych nerwach. Chciało się zedrzeć z siebie skórę i włosy, gdy cela stawała się piekarnikiem, a zarazem trumną, zmniejszając się i grzejąc coraz bardziej. Ekskrementy, wyściełające ściany komórki, łuszczyły się i odpadały niczym skóra gada, wpadając we włosy i do ust w czasie snu. Piramidki rozkładającego się jedzenia dawały życie larwom, które znajdowały drogę do uszu, nosa i ust, kiedy próbowałeś spać, zmuszając cię do słuchania ich niemającego końca przeżuwania.

Trzydziesty pierwszy lipca przyniósł nam wizytę arcybiskupa Tomasa O Fiaich, który później miał zostać kardynałem. Na początku jego audiencja została przyjęta ze zdrową dozą cynizmu przez większość więźniów. „Co Kościół kiedykolwiek zrobił, żeby nam pomóc?” - pytano. Ich zwyczajową tchórzliwą odpowiedzią było, że „działali zakulisowo”.

Choć nie odbudowało to naszego zaufania do Kościoła, jego odwiedziny w sumie trwale zaowocowały. Tego, co zobaczył, miał nigdy nie zapomnieć. Oto świadectwo brutalności i potworności Bloków H:

„Spędziwszy całą niedzielę w więzieniu - powiedział mediom światowym - byłem zaszokowany nieludzkimi warunkami panującymi w Blokach H o numerach 3, 4 i 5, gdzie trzymane są ponad trzy setki więźniów. Nawet zwierząt nie trzyma się w takich warunkach, a co dopiero ludzi. Najbliższe porównanie do tego, co tam zobaczyłem, widziałem w Kalkucie, gdzie setki bezdomnych ludzi żyją w nieczystościach w rurach ściekowych. Odór i brud w niektórych celach, gdzie pozostałości zgniłego jedzenia i ludzkie odchody zalegają pod ścianami, były absolutnie niewiarygodne. W dwóch z nich nie

byłem w stanie mówić, bojąc się, że zwymiotuję. Cele więźniów są pozbawione łóżek, krzeseł oraz stołów. Śpią oni na cienkich jak opłatek materacach leżących na podłodze. W kilku komórkach zauważyłem, że są one całkiem mokre. [Więźniowie] nie mają okryć, poza małymi ręcznikami i szorstkimi kocami, żadnych książek, gazet ani niczego do czytania poza Biblią (nawet czasopisma religijne zostały zakazane od czasu mojej ostatniej wizyty), żadnych ołówków ani materiałów piśmienniczych, ani telewizji, ani radia, nie mogą kultywować żadnych zainteresowań ani rzemiosł, ćwiczeń czy życia towarzyskiego. Są zamknięci w swoich celach o każdej porze dnia i nocy, a niektórzy spośród nich przebywają w takich warunkach dłużej niż półtora roku”.

I kiedy już zdawało nam się, że barbarzyńcy nie mogą być już bardziej barbarzyńscy, brytyjską odpowiedzią dla arcybiskupa O Fiaicha była zmiana skrzydeł.

16. JÓZEF MENGELE I LUDZKI WYPRYSK

Nastąpiło zdarzenie, o którym trudno jest mówić, a nie sposób zachować milczenie.

Edmund Burke, *Trial of Warren Hastings*, tom II strona 109

Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać.

Ernest Hemingway, *Stary człowiek i morze*

Ci - w tej grupie i ja - którzy byli dość naiwni, by uwierzyć, że oświadczenie arcybiskupa O Fiaicha zmusi brytyjski rząd do rozsądku, zdziwili się okrutnie, kiedy pewnego wczesnego ranka przeniesiono nas jednego po drugim do pustego skrzydła, które właśnie zostało odmalowane. Przenosiny odbyły się bez przygód, każdy z nas został umieszczony pod prysznicem, gdzie kazano mu zdjąć kawałek materiału, stanowiący jedyne okrycie, po czym udać się przez Krąg do nowo pomalowanego skrzydła. Mimo że nie użyto siły, uczucie bycia obserwowanym przez łańcuch milczących klawiszy było upiorne. Mimo to ogólne wrażenie było nie najgorsze.

Nasza druga przeprowadzka, pięć dni później, choć nie traumatyczna, różniła się od poprzedniej, gdyż przedstawiono nam pozornie niewinny rekwizyt - lustro. Z czasem miało się ono stać koszmarnym fenomenem, straszyc nas do końca protestu. A nawet i dłużej.

Podczas naszej trzeciej zmiany nastrój zmienił się dramatycznie. Napięcie wisiało w powietrzu, niemal dało się wyczuć smak miedzi w ustach. Zamiast trzech klawiszy było ich teraz sześciu. Malutki ręcznik był zdierany siłą, a strażnicy siadali

na tobie okrakiem, zmuszając do przykucnięcia samą siłą ich liczebności.

Przy każdej zmianie skrzydła dodawane były nowe tortury: wyrywanie włosów, policzkowanie, bicie w nerki, kopniaki w genitalia, sondowanie analne czy plucie w twarz. Osobno stosowane nie były potworne, ale wszystkie razem siały spustoszenie w mentalnej i fizycznej stabilności. Klawisze dostali czystą kartę od brytyjskiego rządu, by wprowadzać tortury od zaraz, i korzystali z tych przywilejów z lubością. Mielśmy na całym ciele wypisany awans - ich awans. Jeśli udałoby im się nas złamać, w ten czy inny sposób, pięścią czy butem, mogli wówczas osiągnąć wszystko.

Każdy więzień miał swoją własną nemezis wśród klawiszów, moja nazywała się Ludzki Wyprysk. Był sadystycznym zbrojcem, którego repertuar sztuczek zawierał oddawanie moczu do ust śpiących więźniów i przyglądanie się im, kiedy szli do toalety. Jego ulubioną skłonnością było używanie miniaturowego stryczka, który nosił przy sobie podczas zmiany. Kiedy więzień został już zmuszony do kucnięcia nago przed lustrem, Ludzki Wyprysk wyciągał stryczek i kołysał nim jak wahadłem.

- Tik-tak, oto ptak. Tyk-tyk, złapię w mig - mówił, po czym umieszczał stryczek na twoim penisie, śmiejąc się ze skazanych na niepowodzenie prób uwolnienia. - Trzymać go, chłopcy. Na miłość boską, przestań się rzucać jak ryba! Trzymać go! No, od razu lepiej. No i proszę!

„No i proszę” oznaczało, że pętla była zaciśnięta na narządzie.

- Wstawaj. Dobry chłopiec. Tak, właśnie tak - ciągnął mocno za linkę, zmuszając cię do poruszania się jak kukła, jego zjedzona trądzikiem twarz wykrzywiała się w szerokim uśmiechu. Nigdy nie opuszczał cię paniczny lęk, że oderwie

ci penis od moszny. Łatwo go było przez to zniechęcić.

Po tym tylko dwie rzeczy były pewne. Pierwsza, że kiedy nagi palec sondował ci odbyty, był to Wyprysk. A druga, że od tego dnia Bóg przestawał istnieć.

Pięć dni, które pierwotnie zajmowało klawiszom wyczyszczenie skrzydła, zostały zredukowane do trzech. Klawisze dostawali premie za ciągłą pracę, co przyspieszało zmiany skrzydeł w zastraszającym tempie. Zamiast słyszeć budzące lęk słowa „przenosimy się” raz na siedem dni, musieliśmy znosić to dwa razy każdego tygodnia, a uśmiechnięci klawisze mówili nam: „Oby tak dalej, chłopaki. Kupuję żonie śliczny samochodek za te nadgodziny. W przyszłym tygodniu jadę z dziećmi do Hiszpanii”.

Niestety, nie wszyscy skazani wytrzymywali; niektórzy zdecydowali się zakończyć protest, nie mogąc dłużej znieść tego szaleństwa. Nie mieliśmy dla nich wiele życzliwości, gdyż za każdym razem, gdy jakiś więzień odchodził, zachęcało to klawiszy do podnoszenia poziomu brutalności w fałszywym mniemaniu, że reszta też wkrótce się podda.

Kilka tygodni później

- Co teraz myślisz, Finbarze? - zapytałem, patrząc na klawiszy po drugiej stronie dziedzińca, jak zmywają szlauchami skrzydło, które właśnie opuściliśmy. Właśnie przeszliśmy przez ciężką zmianę skrzydeł, a dwóch ludzi zaskrzybiało butami. Morale było na samym dnie.

- Mogło być gorzej. Popatrz na H3. Ten blok to dopiero koszmar. Wszyscy zdają się mieć połamane przez klawiszy nosy.

- To zwierzę, to Paddy Joe, oficer zwierzchni - powiedział Seamus, zwykle cichy więzień. - IRA powinna robić

co w jej mocy, żeby dorwać sukinsyna, pokazać klawiszom, że możemy się do nich dostać kiedy i gdzie tylko chcemy. Zastrzelić kilku, wtedy się dowiemy, z jakiej gliny ich ulepiono. To nie nadzy więźniowie przyszliby do ich domów, nie mieliby też ich jąder w garści. Sukinsyny.

Wszystkich nas wmurowało. Seamus był chyba najcichszym więźniem z biorących udział w proteście i nigdy nawet nie przeklinał, a tutaj nagle mówił wręcz o zabijaniu ludzi.

- Masz stuprocentową rację, Seamus. Nadszedł czas, żeby IRA zaczęła wywierać presję na tych sukinsynów - powiedziałem, choć nie za głośno. Nigdy nie było wiadomo, kiedy klawisze podsłuchują.

- Masz rację, Seamus - podjął Finbar.

- Gdybym tylko był na wolności - powiedział Hipcio - załatwiłbym drani.

- Mówimy o kulce w łeb, Hipciu, a nie o zranieniu ich na śmierć - roześmiał się Kowboj.

Przyłączyliśmy się do wybuchu śmiechu. Przestaliśmy się śmiać, kiedy ktoś zawołał, że korytarzem idzie cywil otoczony grupką klawiszy.

Cywil okazał się być „doktorem”, którego na długo mieliśmy zapamiętać. Jego ubiór składał się z tweedowej marynarki z łatami na łokciach, brązowych spodni i zielonych kaloszy, które sięgały mu praktycznie do ud. Nosił muszkę, która zyskała mu przydomek „Doktor Mucha”. Był najemnikiem, przyprowadzonym przez Angoli, by wcielić w życie nową politykę - tę, która w ich mniemaniu miała zakończyć protest.

A kiedy już myśleliśmy, że mamy za sobą wszystko, co mogli wymyślić, nadciągnął horror przymusowego mycia.

Dotarli do nas pogłoski, że niektórzy więźniowie w innych blokach musieli przebiec ścieżkę zdrowia kopniaków i ciosów po to tylko, żeby na końcu klawisze wrzucili ich do wanny

lodowatej wody. Byli szorowani szczotkami na kijach, środkiem dezynfekującym i proszkiem do czyszczenia Ajax. Mieliśmy nadzieję, że to tylko plotki, ale jak większość pogłosek w bloku, jeśli były negatywne i kosztarne, okazywały się prawdziwe. Tylko te dobre stawały się kłamstwami, i wkrótce zdaliśmy sobie sprawę, że ta wiadomość nie jest wyjątkiem.

Dał się słyszeć szcęk, gdy Mucha otwierał klapkę w drzwiach każdej z cel, gapił się przez minutę, po czym notował coś w swojej teczce.

- Jak myślicie, co on tam, kurwa, wypisuje? - zapytał Koparda nerwowo, kiedy Mucha już sobie poszedł.

Mogliśmy tylko oczywiście przypuszczać, ale nikt nie chciał powiedzieć tego na głos. Nikt poza Hipciem.

- Nazwiska ofiar. Patrzy, kto będzie następny do kąpieli. Trzeć, myć i pucować, protestujący nie ma się gdzie schować.

- Zamknij ryja, co, Hipciu, ty makabryczny sukinsynu - wrzasnął głos na puszczy. - Mam nadzieję, że padnie na ciebie.

- Wiesz co, Hipciu? - powiedział Kowboj. - Ty jeden mógłbyś zaskrzypieć butami, a nikt nie miałby do ciebie o to żalu. To by było dobre dla morale, gdybyś sobie poszedł.

Hipcio myślał, że żartuje. Nie domyślał się nawet prawdy.

- Będę tu, kiedy wszystkich innych zabraknie, Kowboju. Na twoim miejscu nie spodziewałbym się zbyt wiele.

- Arbuzowa Głowa mówił dokładnie to samo, a zobacz, gdzie teraz jest - powiedział Joe. - Czyści klawiszom buty i robi im herbatki. Uważaj więc, co mówisz, żeby twoje własne słowa nie ugryzły cię w dupę.

Arbuzowa Głowa był znanym, wiodącym republikaninem oraz „twardzielem”. Niestety dla niego, protest był dużo twardszy. Odmówił, koniec kropka, rozpoczęcia protestu, gdyż, cytując: „Wniósł apelację przeciwko swojemu wyrokowi,

i źle by to wyglądało, gdyby tak zwany sędzia dowiedział się, że brał udział w kocowym proteście”.

Mijały dni...

Dwa dni minęły bez znaku Muchy. Sugerowało to, że możemy odetchnąć spokojniej.

- Wygląda na to, że to była tylko plotka, Sam. Stary Mucha pewnie zabrał proszek i się zmył. Pewnie nie mógł znieść tego zapachu - powiedział Koparka.

Nikt z nas nie miał odwagi wspomnieć o Musze, żeby nie sprowadzić na siebie pecha. Była to niepisana zasada: nie mówić o niczym negatywnym, co jeszcze się nie wydarzyło, inaczej na pewno się przydarzy.

- Daj spokój, Koparko - poradził Kowboj. - Znasz zasadę.

Ale było już za późno. Finbar usłyszał to pierwszy.

- Sza! Zamknijcie się na minutę. Słuchajcie.

Wszyscy wyteżyliśmy słuch. Brzmiała muzyka. Upiorna. Była to pierwsza muzyka, jaką słyszeliśmy od lat, i była piękna. Przynajmniej do chwili, aż zdaliśmy sobie sprawę z piekielnie przewrotnego znaczenia słów: „Gdy padasz ze zmęczenia, zdajesz się nic nie znaczyć...”. Odkręcono kran, woda zaczęła się wlewać do wanny. Niemal czuleś zapach rdzy od lat jej nieużywania. - „Gdy łyzy pojawią się w twych oczach...” - Dał się słyszeć śmiech klawiszy. - „Pocieszę cię...” - Zabrzmiały zbliżające się kroki. Zatrzymały się. Żołądki się w nas skręcały; serca pracowały na pełnych obrotach...

Myśli pędziły przez moją głowę: „Cisza we właściwie dobranych proporcjach posiada moc równie bezlitosną i przerażającą, jak rzeczywistość. Doświadczasz i rozumiesz bezwzględność tej ciszy, jej manipulację”. W ciszy, jaka zaległa w naszych umysłach, każdy z nas słyszał podnoszenie się

klapki w drzwiach i wiedział, co czai się na zewnątrz, w oczekiwaniu.

Mucha, uzbrojony w listę swoich ofiar, skinął milcząco na klawiszy, zanim zażądał, by otworzono drzwi. Nie dało się usłyszeć wypowiedanych słów, ale kilka sekund później banda klawiszy wpadła do środka i wyciągnęła więźnia za włosy i kostki. Mężczyzna jęczał z bólu, a Mucha po prostu szedł nonszalancko z tyłu. Przerażająco było na to patrzeć, a byliśmy bezsilni.

„Jak most, którego nie zerwie wzburzona woda... woda... woda...” - Klawisze rozmyślnie zacięli igłę na ostatnim słowie.

Następne drzwi się otworzyły i kolejny więzień został wyciągnięty. Wszyscy myśleliśmy to samo: „Czy ja będę następny? Co oni ze mną zrobią? Dlaczego nikogo nie obchodzi, co oni z nami robią? Gdyby działo się to w Rosji, na całym świecie rozległyby się krzyki protestu... Pierdol się, Koparka, ty pechowy sukinsynu!”.

Nagle nastał bezruch, jądro ciszy i spokoju. Krew biła mi do głowy, gdy klawisze zatrzymali się pomiędzy moją celą a przylegającą do niej komórką. Mucha szeptał do klawiszy. Zamarłem, gdyż jakikolwiek ruch dałby im znać o mojej obecności. Zacząłem mówić do Boga, że uwierzę w niego, jeśli zostawią mnie w spokoju - jeśli zostawią nas wszystkich w spokoju. Ale kiedy usłyszałem powoli przekręcający się w zamku klucz, powiedziałem Bogu, żeby nie martwił się o resztę, tylko ocalił mnie. Niech wezmą tego z celi obok. On jest tu tylko dwa lata. Niech wezmą Hipcia. Ten sukinsyn na to zasłużył, Boże. Zacznę nawet znowu chodzić na mszę, jeśli...

Wszystko jednak na darmo. Bóg sobie gdzieś poszedł. Pewnie rozwiązywał akurat niebiańską krzyżówkę, gdyż

przede mną stał budzący postrach Mucha z falangą klawiszy u boku.

- Jak się masz? - powiedział na powitanie. - Jestem lekarzem.

Chciałem powiedzieć, że podobnie jak Josef Mengele, ale zabrakło mi jaj w tym konkretnym momencie. Nie odpowiedziałem Musze, co nie miało i tak najmniejszego znaczenia.

- Proszę tędy, czeka na pana kąpiel. - Jego głos był wyprany z emocji, słowa niewinne, lecz mimo to śliskie niczym tłuste jajko sadzone.

Próba powstrzymania falowania piersi zawsze wiąże się z niemalym wysiłkiem, nagość nie pozwala jednak na zachowanie pozorów. Całe moje ciało się trzęsło.

- Odpowiadać doktorowi! - warknął Ludzki Wyprysk.

- Wszystko w porządku, panowie. Proszę eskortować więźnia do umywalni, gdzie będzie można dokonać ablucji i obserwacji jego potrzeb.

„Moich potrzeb?” - pomyślałem. Wątpiłem, czy można je zaspokoić w umywalni.

Odmówienie dobrowolnego przejścia oznaczało, że klawisze zamienią cię w rzymski rydwan, ciągnąc za kostki i zdzierając skórę o szorstką podłogę.

„Woda... woda... woda... woda...” Pamiętam, że unosiłem się nagi w powietrzu, przeżywając upajające doświadczenie podobne do tego, co musi odczuwać ptak w momencie podrywania się do lotu. Leciałem przez wir kolorów, patrząc na mojego penisa, który chybotał się na boki, wydając straszne plaśnięcia i mrugając do mnie jak jednooki pirat. Kiedy wrzucili mnie do wanny lodowatej wody, odebrało mi oddech, ale było to najmniejsze z moich zmartwień, gdyż usta i nos zaczęła wypełniać woda, a do mózgu wdarł się lęk przed utonięciem.

„Woda... woda... woda... woda...”

- Zawsze wybieracie trudną drogę, chłopcy - powiedział Ludzki Wyprysk, kiedy wyciągnęli mnie na kilka sekund na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza. - Myślę, że wy to po prostu lubicie.

„Woda... woda... woda... woda...”

Zaczęli wlewać środek dezynfekujący do wanny i na moje włosy w charakterze szamponu. Następny był Ajax, który wcierano w moją skórę szczotkami na kijach. Jeśli zdawało ci się, że po rzymskim rydwanie został ci jeszcze jakiś naskórek, mogłeś być pewien, że po szorowaniu już go mieć nie będziesz. Ludzki Wyprysk dokładnie sprawdzał, czy jestem czysty, przywiązując szczególną wagę do mojego penisa i genitaliów, podczas gdy Mucha, podobnie zafascynowany, notował i uśmiechał się z cudowności całego zdarzenia.

„Woda... woda... woda... woda...” Czuję, że z powodu środka dezynfekującego zaraz zwymiotuję. W tym momencie ręce zaczęły wpychać mnie dalej, głębiej w wodę i wiedziałem, że zaraz umrę, nie w strzelaninie z brytyjskimi i unioni-stycznymi terrorystami, ale utopiony w pierdolonej paskudnej wannie w Long Kesh. Pomimo tego wszystkiego w głębi mojego umysłu pojawił się dokładny obraz, jak rozmieszczeni są wokół wanny klawisze. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale przeżyłem właśnie doświadczenie poza ciałem.

Nagle dźwięki stały się cichsze, rozplynęły się w przyjaznym spokoju, w pewnym stopniu zbawienia.

Pamiętam, iż zdałem sobie sprawę, że jestem z powrotem w mojej celi, jak jednak do niej trafiłem, pozostawało dla mnie zagadką. Było niemal ciemno, całe skrzydło pogrążone było w ciszy. Każda obolała część mojego zmaltretowanego ciała dawała mi o sobie radykalnie znać. Jedynie zapach środka

dezynfekującego i Ajaksu w moich włosach zdradził mi, że wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Jedną dobrą rzeczą, jaką to wszystko przyniosło, była taka, że następnego ranka Koparka przekazał mi wiadomość, na którą wszyscy z utęsknieniem czekaliśmy. Hircio, ten, który miał tu być, kiedy wszystkich innych zabraknie, zaskrzyphiał butami. Mucha była kroplą, która przepełniła tę konkretną czarę.

17. JOHNIE WAYNIE, GDZIE JESTEŚ, KIEDY CIĘ POTRZEBUJEMY?

Nigdy nie odnajduj radości w cudzym nieszczęściu.

Publilius Syrus

*Fakt, że dany człowiek działał zgodnie z rozkazem swojego rządu
lub przełożonego, nie zwalnia go z odpowiedzialności przed
prawem międzynarodowym.*

Zasady Norymberskie

Za glifami cel zebrały się wrony, zakłócając spokój niedziel-
nego poranka. Krążyły nad martwym szczurem, nie mogąc
uwierzyć w swoje szczęście.

- Spierdalajcie, skurwysyny! - wrzasnął Gęś, który nie
mógł już znieść szaleństwa kra, kra krakania.

Spokój został zmacony, rozpoczął się kolejny poranek w
Blokach.

Godzinę później dały się słyszeć głuchoe odgłosy zatraski-
wania drzwi, gdy więźniowie szli do kantyny na mszę.

Ja, wraz z kilkoma innymi, przestałem na nią uczęszczać
odkąd Anioł Śmierci wypowiedział uwagę, że czystość jest
bliska boskości. Był to niezbyt subtelny sposób szkalowania
protestu przez tego księdza-Judasza, minus heavy metal.

Podczas gdy skrzydło usypiało za pomocą *legato* responso-
ryjnych psalmów, ja zdecydowałem się na spacer, przemierza-
jąc lukrecjowo czarną podłogę, zbierając stopy w jardy, a jar-
dy w mile, w zmierzającej donikąd potrzebie przemieszczania
się.

Jako dziecko poszedłem do zoo i przyglądałem się krokowi wyleniałego lwa. Myślałem, że mnie śledzi i czeka, żeby zatopić we mnie swoje pazury. Niestety, powód był bardziej prozaiczny: depresja.

Tup, tup, tup - szedł lew - starając się desperacko wypalić depresję po to tylko, żeby przygnębianie powróciło ze zdwojoną siłą, kiedy przestał chodzić. Od czasu do czasu skakał na ścianę, odbijając się od niej z martwym, głuchym klapnięciem pękniętej piłki. Oszołomiony. Smutny. Żałosny.

Tup, tup, tup - szedłem ja - i ta sama depresja płonęła w mojej piersi, tworząc podobieństwo pomiędzy mną a lwem. Kiedy „wędrowałem”, oko mojej duszy otworzyło nade mną niebo, odsłaniając cudowny obraz - kalejdoskopowe sklepienie w pomarańczy i błękitach, przeradzający się w cynobrowy ogon pawia, dumny w swoim przepychu. Nad głową wisiała nieruchomo mewa, która się uśmiechała, unosząc się na niewidzialnych powietrznych wirach.

- Sam? - zawołał mnie Koparka z celi obok, jego szept był ledwie słyszalny. Obiecał mi streszczenie, rodzaj opowiadania do snu, książkę kowbojską zgodnie z prośbą Kowboja, naszego głównego autorytetu w sprawach Dzikiego Zachodu.

Kowboj uwielbiał książki kowbojskie; zawsze powtarzał, że jeśli Yeatsowi się podobały, on też nie będzie wybrzydzał. Kowboj był legendą, jako że uciekł co najmniej dwa razy z brytyjskich więzień, a strzelano do niego częściej niż do Charlesa De Gaulle'a. Wieść niosła, że miał wytatuowane pełnowymiarowe kowbojskie rewolwery po obu stronach ciała i że Angole strzelali do niego, kiedy się opalał, twierdząc, że broń wyglądała na prawdziwą!

- Tak, Koparka? Co się dzieje? - odparłem.
- Kowbojowi się to spodoba, Sam. Oczywiście nie

spodziewam się, że przekażesz dosłownie, dając ci więc artystyczną swobodę do upiększania.

Nie widziałem Koparki - pomimo faktu, że mieszkaliśmy obok siebie w Bloku od lat - ale wiedziałem, że się uśmiecha.

- Dawaj, Koparko.

- W porządku... - odchrząknął, łyknął wody i zaczął mówić: - Jest czarny kowboj o imieniu White i biały kowboj o imieniu Black - śmiał się, zatopiony w paradoksach i sarkazmie.

Ciepła bryza owionęła mi twarz, przynosząc opuszczone wspomnienia obietnic nie całkiem spełnionych. Czuję duszną woń zgniłych jabłek. Przypomniała mi ona szkolne dni i nietknięte drugie śniadania, trzymane w sekrecie w naszych biurkach. W oddali słyszałem kosiarkę, której warkot niósł się poprzez przestwór szarej cegły i zardzewiałych drutów. Wyobrażałem ją sobie tnącą trawę i wyrzucającą zielone żdzbla w stronę nieba. Nagle umilkła, pozostawiając w mojej głowie stalową, buzującą ciszę. Nawet to nam odbierają, pomyślałem gniewnie. Żadnych zewnętrznych odgłosów normalności. Nawet to stało się luksusem, przywilejem.

- ...a dyliżans wiozł całe to złoto z kopalni pana Silvera...

Byłem wdzięczny za to opowiadanie Koparki. Jego głos miał przyjemne, dźwięczne brzmienie. Dzięki niemu poczułem się niesiony na stary Dziki Zachód.

Kiedy Koparka mówił, nie udało mi się usłyszeć delikatnego dotknięcia miękkiej skóry buta na zewnątrz mojej celi...

- Tak czy siak - ciągnął Koparka - rewolwerowiec ma tylko jedną rękę. Nazywa się Jack Rączka...

Śmiał się ze swojego własnego dowcipu.

Nie udało mi się też usłyszeć cichego poruszenia klucza w zamku...

- Nancy Campbell, tancerka, zakochała się zupełnie w panu Silverze. Zupełnie. Campbell. Chwytasz, Sam?

Nie poczułem mrowienia w karku, gdy para oczu wpatrzyła się w moje plecy...

- ...właściciel saloonu jest wkurzony, bo jego dziewczyna - powiedzmy panna, bo tak pewnie powiedziałby kowboj - jego panna, Nancy, wypatruje swoje błękitne oczy za...

Buch!

Jak wielu ludzi doświadczyłem różnych poziomów bólu, nigdy jednak nie miałem do czynienia z porażającym lewym hakiem wymierzonym w moje nerki z taką siłą, że Ali i Foreman byliby dumni. Goryła Gęba włożył w ten cios całe swoje potężne sto dziesięć kilogramów, unosząc mnie kilka cali nad ziemię.

Koparka, nieświadom tego, co się dzieje obok, opowiadał dalej swoją książkę:

- Szukajcie głęboko po kieszeniach. - Udawał teraz Pecha McCrae, najbardziej pechowego rabusia po tej stronie Missisipi. - Żadnych gwałtownych ruchów albo wszystkich położyć trupem...

- Wydaje wam się, że jesteście twardzielami, co? - syknął Goryła Gęba do mojego ucha. - Teraz nie wydajesz się taki twardy.

Przycisnął kolano do mojej tchawicy, gdy zwijałem się z bólu na ziemi. Moje wychudzone, nagie ciało mogło zaraz zostać zmiażdżone.

- Inny partner, Fargo, zaczytuje się w Herbercie George'u Wellsie - powiedział Koparka, zatrzymując się na moment, żeby sprawdzić, czy załapałem jego żart. - Fargo... Wells. Rozumiesz? Wells Fargo.

- Widzisz, jakie to łatwe? - powiedział Goryla Gęba. - Złamać twój kark jak suchy patyk. Łatwe, co?

Nie było sensu próbować odpowiadać. Jego miażdżące mi gardło kolano czyniło wszelkie usiłowania daremnymi. Tak czy inaczej nie chciałem się wygłupiać i udawać lalkę brzuchomowcy. Na uboczu, pogrążony w złowróbnym milczeniu, stał Desperacki Dan, największy klawisz świata, szary cień wtapiający się w sepię zawijasów, jakie tworzyło przyklejone do ścian gówno. Jego głowa dotykała sufitu, taki był wysoki. Był antytezą Gorylej Gęby: stoicki i małowówny.

W międzyczasie, z powrotem na ranchu, Koparka wcielił się w osobę Pecha McCrae:

- Szeryfie, jeśli choć przez chwilę wydawało ci się, że ciągniesz mnie do tej zatęchłej dziury, jaką nazywasz więzieniem, to jesteś głupszy niż pies z dwoma ogonami...

Nasycony, Goryla Gęba zakończył swoje ćwiczenia. Potężna pierś falowała mu z wysiłku. Opuścił celę bez słowa, pozostał po nim tylko zapach potu i strachu.

- Dwaj kowboje, Black i White, skoczyli na siodła - tak właśnie mu powiedz, Sam: skoczyli na siodła - i odjechali w stronę płonącego, zachodzącego słońca - powiedział Koparka i zrobił znaczącą pauzę, czekając na moją opinię. Zamiast tego złożyli mu wizytę Goryla Gęba i Desperacki Dan.

Buch! Buch! Buch! - uderzała głowa Koparki o ścianę i przez jeden straszny moment myślałem, że przebije się na moją stronę i powie: „Chyba Gorylej Gębie nie spodobało się zakończenie!”.

Bam! Bam! Bam! Trwało to dalej, brutalne szaleństwo. I niech mi Bóg wybaczy, cieszyłem się, że to już nie ja.

Jakąś godzinę później mój współwięzień powrócił ze mszy i zaczął przemierzać nerwowo podłogę, po czym powiedział:

- Nie uwierzysz, co usłyszałem o tej mojej zdradliwej dziewczynie. Pamiętasz, jak mówiłem, że pojechała z siostrami do Hiszpanii?

Nie, nie pamiętałem. Nawet nie chciałem pamiętać. Ledwie mogłem oddychać, a moje nerki płonęły. Czuję, jakbym miał zmiążdżony nos. Popękane żebra. Chciało mi się płakać.

- No więc najwyraźniej wcale nie pojechała z siostrami. Właśnie słyszałem od Hectora, że...

Mówił dalej bez ładu i składu, przeklinając swoją dziewczynę - albo eksdziewczynę - po czym uciał sobie drzemkę, chrapiąc jak świnia. Dopiero później tego dnia zauważył:

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz na trochę chorego. Hej! Co sądzisz o tej mojej dziewczynie? Niedokurwauwierzenia!

Mam to samo wrażenie, pomyślałem, kiedy Kowboj krzyknął przez okno:

- Sam? Koparka? Wszystko gotowe na wieczór, chłopaki?

Później tego wieczora nikt nie współczuł mi ani Koparce. Przestań się mazać. Nie narzekaj. Moje streszczenie książki Koparki było kompletną klapą. Większość słuchaczy zasnęła. Nawet Koparka jęczał, słysząc moje okropne żarty, które zastąpiły jego dowcip. Chociaż, mówiąc szczerze, on sam powiedział mi później, że w większości przypadków jęczał z bólu.

- Nie było tak źle - powiedział mój współwięzień, widząc moje przygnębienie. - Mogło być gorzej.

Miał na myśli książkę? Pobicie? Niewierność jego dziewczyny? Nie poprosiłem go, by rozwinął myśl. Zamiast tego przyglądałem się nocnemu niebu, które nagle rozświetliły rozbłyśki elektryczności. Błyskawice przecięły ciemność, nadając celi srebrzysty odcień. Deszcz zaczął padać przez pozbawione szyb okna.

- Patrz na to cholerne niebo! Całe płonie! - wykrzyknął mój współwięzień, przyłączając się do mnie w oknie.

Przycisnęliśmy twarze do betonowych słupów, zapobiegając zatopieniu naszej celi i pozwalając sobie na *de facto* umycie się, co z technicznego punktu widzenia było oszustwem. Sklepienie niebieskie stało się nagle surowe, wściekle i bezlitosne. Miało kolor posiekanej wątróbki i purpurowego atramentu, które ktoś podpalił. Miało się wrażenie wizyty w cyrku; karnawał dziwacznych i pięknych istot z szalonego, boskiego zoo. Krople wielkości żabiego skrzeku uderzały w nasze twarze, chłodząc je, podczas gdy poblask błyskawicy przemieniał nas w uśmiechnięte, wypukłe płaskorzeźby upiórów z opery. Tłuste włosy mojego współwięźnia przyklejały się do jego czoła - jak i moje włosy do mojego - przypominając koronę z włochatych cierni. Koraliki deszczu zraszały jego twarz zamiast krwi.

Ach, Boże, Ty jesteś prawdziwy i cudowny i dzięki Ci za tę mokrą i piękną noc, i za zmycie tego paskudztwa z naszych biednych twarzy. Ale nie masz nic przeciwko temu, Panie, że nie padnę na kolana w adoracji?

Podczas gdy ból w nerkach darł mnie od wewnątrz, prosiłem Boga, żeby pozwolił błyskawicy uderzyć we mnie, przepołowić mnie, otoczyć mnie ogniem. Byłem dostatecznie mokry. Dobra przewodność. Nawet moje stopy stały w niewielkich kałużach nieruchomej wody.

Dalej. Użyj Swojej magii, Boże. Zabierz mnie z tego szaleństwa. Uderz mnie jednym dobrym gromem. Zabij mnie na miejscu.

Ale On tego nie zrobił. Zamiast tego pozwolił, by deszcz obmył mi twarz. Pozostałem człowiekiem wśród ludzi. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak sadystyczną grę On prowadzi. Nie skazywał cię na piekło; po prostu dawał ci pamięć, byś sam mógł się dręczyć bez końca.

18. SZPITAL, TYTOŃ I WIETNAM

Człowiek zdobywa mądrość wbrew swojej woli.

Ajschylos

Idę tylko na zewnątrz i mogę przez pewien czas nie wracać.

Lawrence Oates, polarnik.

Jego ostatnie słowa w *Ostatniej ekspedycji Scotta*

Pobicie przez Goryla Gębę było korzystne. Po tygodniach sikania krwią w kolorze bordo za drzwi celi tak zwani lekarze w końcu się poddali i wysłali mnie do wojskowego skrzydła Musgrave Park Hospital, gdzie szybko znalazłem się w izolatce bez widoku, na wypadek gdybym miał zarazić jakieś niefortunne stworzenie w tym szpitalu.

Pokój był potworny: czysta pościel, przyzwoite jedzenie, śliczne pielęgniarki, telewizja i tyle książek i gazet, ile tylko byłem w stanie przeczytać. Wątpiłem, czy mój protestowy metabolizm wytrzyma taką napaść, ale zdecydowałem się spróbować to znieść za Matkę Irlandię.

Niewiele rozmawiałem z pielęgniarkami, gdyż wszystkie były lojalistkami i dawały mi to poznać za pomocą wytrwałego milczenia.

Po operacji na nerki przedstawiono mnie Morfeuszowi, bogowi snu. Przychodził co wieczór w strzykawce z igłą, niesiony przez stukilową kobietę, która bez trudu pobijałaby najlepszego rosyjskiego zapaśnika. Przychodziła co wieczór, przewracając mnie jak szmacianą lalkę, wbijała mi igłę w udo,

ignorując świeże szwy, które ciągnęły się od brzucha do kręgosłupa, przypominając mapę Chile.

- Dzięki temu poczujesz się lepiej - uśmiechała się, ignorując jęki dobywające się zza moich zaciśniętych zębów. -
Dziękuj Bogu, że to morfina.

Mrugnęła do mnie szelmowsko i obróciła mnie znowu. Czekałem na Nelsona, ale on się nie pojawił. Zamiast tego pielęgniarka powiedziała bez przekonania „dobranoc” i wyłączyła światło, zostawiając mnie naprzeciw programu *Vietnam: A Television History*.

W głowie mi się kręciło. Słyszałem nad głową śmigłowce bojowe. Słyszałem statyczny głos Nixona, który mówił, że się nie podda, gdzieś w polu rażenia. Kiedy ból odpłynął, uniosłem się roześmiany pod sufit w purpurowych i niebieskich oparach. Czas apokalipsy nic na mnie nie miał.

Nawet we śnie poruszałem się spięty, z naprężonymi nerwami. W swoim umyśle goniłem echa dzieciństwa; bezpieczne echa znajomych głosów, zapachów i śmiechu. Teraz te same myśli pozbawiały mnie siły, czułem się samotny, nie do odratowania.

Mój powrót do zdrowia został skrócony dzięki niezwykłym zdolnościom lekarzy w szpitalu, którzy mimo moich protestów i bólu zadecydowali o czterodniowej, a nie czterotygodniowej rehabilitacji. Bycie protestantem nie miało nic wspólnego z moim skróconym pobytem, a Nixon nadal twierdził, że jest niewinny, kiedy wyszedłem chwiejnym krokiem z pokoju, cierpiąc katusze, w kajdankach i w towarzystwie czterech roślących gliniarzy.

Poruszałem się zółtym tempem, kiedy wróciłem do Bloku, zgięty niczym Dzwonnik z Notre Dame, ze szwami pokrywającymi moje ciało; moje kłykie niemal szorowały po ziemi, gdy szedłem z powrotem wzdłuż skrzydła. Jakiś głos

zakrzyknął, że Sam wrócił, po czym przyłączyło się do niego kilka innych. Każdy na moim miejscu zostałby zapytany o wieści ze świata, ale oni woleli mnie jednak nie pytać. Wciąż nie zapomnieli mi kłamstwa o Bożym Narodzeniu 1976 roku.

- Pewnie nie masz ze sobą szlągów, co? - zapytał uroczysty głos Dzbanka, choć wiedział, że byłoby to niemożliwe, żebym dostał tytoń w doskonale strzeżonym szpitalu. Powtórzył pytanie, a kiedy i na trzecie nie odpowiedziałem, odszedł od drzwi, mamrocząc:

- Sukinsyn. Co za pieprzony palant.

Nawet mimo bólu musiałem się uśmiechnąć. Nie, nie było dobrze wrócić; teraz było jeszcze trudniej, kiedy zasmakowałem wszystkiego, czego nam przez ostatnie kilka lat brakowało. Ale dziś wieczorem miało być inaczej. Dzbanek wymamrocze przeprosiny, kiedy on i reszta kumpli będą palili do utraty tchu, a wszystko to dzięki stukilowej kobiecie, która okazała się więcej szczekać, niż gryźć. Dała mi tyle tytoniu, który mogłem zabrać - w dupie - ze sobą, że kiedy pierdnąłem, pachniało jak w fabryce papierosów Gallaghery.

Ostatnie kilka dni w pięknym szpitalu przeżywałem w wyobraźni raz za razem, podtrzymując się w niezaspokojonej wierze, że u końca całego tego szaleństwa na każdego z nas czeka dom.

Wielki amerykański pisarz, Thomas Wolfe, miał absolutną rację w swoim klasyku *Nie ma powrotu*. Nie wiedziałem, że żaden z nas nie mógł już nigdy, realnie rzecz biorąc, wrócić do domu. Zostaliśmy wypaleni w piecu. Zmieniliśmy się. Całkowicie i na zawsze. Już nigdy nie będziemy tacy sami. Nasze umysły na zawsze pozostaną spierdolone.

Klawisze mogli łać nam kości i rwać ciało - i robili to. Nasza egzystencja była ekstremalnie minimalistyczna. Byliśmy nadzy jak dopiero co narodzeni. Jedyne, czego nie mogli,

to kolonizować naszych myśli. Nigdy nie potrafili zrozumieć naszej siły z tej prostej przyczyny, że byliśmy ponad miarę tego, co było przed nami, i nikt nie mógł nam nigdy dorównać. Byliśmy Spartanami. Kurwa, byliśmy lepsi niż Spartanie. Byliśmy Ludźmi w Kocach.

19. ZŁOTOWŁOSY I TRZEJ BRODACZE

*La Revolution jest jak wielki romans. Na początku jest boginią.
Święta sprawą. La Revolution nie jest boginią, tylko dziwką.
Nigdy nie była czysta, nigdy święta, nigdy doskonała.*

Jesus Raza (Jack Palance), *The Professionals*

*Rewolucja? Kiedy cichną strzały i martwi zostają pochowani,
a politycy przejmują dowodzenie, wszystko to da się podsumować
w dwóch słowach: stracona sprawa.*

Bill Dolworth (Burt Lancaster), *The Professionals*

Jest takie powiedzenie, że zdjęcie mówi więcej, niż tysiąc słów, a żadna fotografia nie była bardziej istotna od tej, na którą potajemnie patrzyłem w przemyconej, zminiaturyzowanej gazecie „An Phoblacht”. Wszyscy byli na tym zdjęciu, uśmiechając się jak hieny i pawiany o gołych tyłkach: Gerry Adams, Martin „Złotowłosa” McGuinness, Donald Donaldson i Freddie „Scap” Scappaticci. Najlepsi kumple.

Z czego oni się tak, kurwa, cieszyli, skurwiele? Czy nie przeżyłem właśnie najgorszego pobicia mojego smutnego życia? Jak my wszyscy? Co ja bym dał, żeby zetrzeć te uśmiešky z ich pieprzonych, roześmianych, zarośniętych twarzy - banda tchórzliwych sukinsynów.

Patrząc z perspektywy czasu, dopiero wiele lat później znowu pomyślałem o tej fotce i jej odrażających uczestnikach. Być może McGuinness i Adams śmiali się z faktu, że Ludzie w Kocach wciąż walczyli, podczas gdy Sinn Fein negocjowała poddanie się IRA i całej jej broni? Może Freddie i Donald podejmowali się nawzajem opowieściami o zdradzieckiej dwulicowości i tchórzliwych morderstwach?

Scappaticci był szefem cieszącego się złą sławą oddziału Nutting Squad w IRA, którego zadaniem było wykurzanie i zabijanie podejrzanych informatorów. Ironią losu, że aż można posikać się w gacie, było to, iż Scappaticci sam był największym informatorem swego czasu, pracując dla mrocznej i skompromitowanej Force Research Unit (FRU), tajnej jednostki wywiadu wojskowego, założonej przez brytyjskie ministerstwo obrony dla współdziałania z lojalistycznymi terrorystami w celu mordowania katolików. W tym czasie płacono mu 80 000 funtów na rok. W swojej książce pt. *Killing Rage* Eamon Collins - dawny członek Nutting Squad, który został ostatecznie zamordowany jako informator - wspomina rozmowę ze Scappaticcim o jego mrozącym krew w żyłach sposobie działania:

„Zapytałem Scapa, czy zawsze mówi ludziom, że zostaną zastrzeleni. Scap odparł, że zależy to od okoliczności. Zwrócił się do Johna Joego (swojego szefa) i zaczął żartować o jednym z informatorów, który przyznał się do uprawianego przez siebie procederu, gdy zapewniono go o amnestii. Scap powiedział mu, żeby nie zdejmował opaski na oczy ze względów bezpieczeństwa, kiedy szli od samochodu.

- Zabawnie było - mówił [Scap] - przyglądać się, jak ten sukinsyn potyka się i przewraca, idąc po omacku wzdłuż ogrodzeń i ścian. Zapytał mnie: „Czy to już mój dom?”. Odpowiedziałem: „Nie, jeszcze nie, musisz jeszcze kawałek przejść...”

- I wtedy strzeliłeś skurwielowi w tył głowy - powiedział John Joe i obaj wybuchli śmiechem”.

Ale kiedy przywództwo Sinn Fein myślało, że już nie może być gorzej, pojawił się Donald Donaldson, kwacząc jak Kaczor Donald. Przyznawszy się do tego, że jest brytyjskim szpiegiem, Donaldson został ostatecznie zabity czterema

strzałami ze strzelby w swojej odległej chacie w Cloghercor. W momencie swojego odejścia był najwyższym rangą członkiem Sinn Fein na usługach Brytyjczyków, zwiedził świat jako reprezentant Ruchu, odwiedzając Europę i wiele krajów Bliskiego Wschodu. W Libanie brał udział w próbach uwolnienia urodzonego w Belfaście zakładnika, Briana Keenana. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że został wysłany do Ameryki jako kontakt z wpływową irlandzko-amerykańską społecznością. Przywództwo Sinn Fein twierdziło, że nie miało pojęcia, co zamierzał Donaldson. Może ktoś powinien był im powiedzieć, że każdy inteligentny człowiek domyśliłby się sam, że jeśli coś chodzi jak kaczka i kwacze jak kaczka, to to musi być kaczka. Kaczka z bardzo dużym dziobem.

Kwa! Kwa!

20. PIEPRZYĆ KLAWISZY

*Sed quis custodient ipsos custodes?
(Lecz kto będzie strzegł strażników?)*

Decimus Junius Juvenalis

Ludzki umysł, najogólniej rzecz biorąc, będzie odmawiać zmyślenia samego siebie, dopóki nie zostanie do tego zmuszony wyjątkową sytuacją.

Anthony Trollope, *Ayala's Angel*

Angole i klawisze podnieśli stawkę w przymusowym myciu, zmianach skrzydeł, przeszukiwaniu przed lustrem i biciu. Wierzyli, że ich metody przynoszą skutek. Któż mógłby się spierać? Ludzie opuszczali protest w mało przyjemnym tempie, większość z nich dosłownie zbita na miazgę. Zawsze byliśmy w defensywie, co oznaczało, że zwycięstwo jest nieosiągalne. Musieliśmy wprowadzić nowe zasady, by protest nie stał się wciągającym nas bagnem.

Poranna zmiana klawiszy weszła do Bloku niezwykle cicho tego konkretnego ranka. Zamiast potężnych uderzeń ich pałek - co było ich codzienną metodą budzenia nas - otwierali jedynie klapki wizjerów, zaglądali do środka i odchodzili, mamrocząc. Byli w skrajnie ponurych nastrojach. Wszyscy wiedzieliśmy, że coś się stało, tylko co?

Dopiero kiedy Charlie, dyżurny, zastukał delikatnie w drzwi mojej celi miotłą, dowiedzieliśmy się, w czym rzecz.

- Słyszałeś najnowsze wieści? - szepnął. Niemądra do prawdy uwaga, jako że był naszym głównym - jedynym - źródłem informacji.

- Nie, Charlie. Co się stało?
- IRA zastrzeliła klawisza zeszłej nocy w jego samochodzie - szepnął, mówiąc tak, jakby zależało od tego jego życie. Gdyby klawisze go przyłapali, miałby kłopoty.

- Nie żyje? - zapytałem.
- Oby. Jutro go grzebią. - Szybko się oddalił. Ze wszystkich dni, w których mógłby zostać przyłapany na rozmawianiu z nami, ten byłby najbardziej niefortunny.

Wiadomość o zabitym klawiszu obiegła skrzydło w jednej chwili. Wszyscy zdawali się ją usłyszeć równocześnie, szeptali rurami swoje opinie. Nie wszystkie jednak były takie same.

- Już po nas. Jestem pewien.
- Osusz łzy, co? Najlepsza rzecz, jaka się kiedykolwiek wydarzyła. Teraz dwa razy pomyślą, zanim zbiją nas na kwaśne jabłko podczas zmiany skrzydła.

- To im na rękę. Zrobią z klawiszy męczenników. „Ci biedni ludzie wykonują tylko swoją pracę”, powiedzą. Potrafię lepiej od Northern Ireland Office napisać ich notatkę prasową, do kurwy nędzy!

Jeśli o mnie chodzi, strzelanie do klawiszy powinno już dawno mieć miejsce. Moim jedynym życzeniem było, ażeby to nie nasze skrzydło wyznaczono jako następne do przeprowadzki. Nie dało się jednak uniknąć tego, co nieuchronne - w ciągu jednego lub dwóch dni zmienimy skrzydło, a przeprowadzka będzie koszmarem.

Kiedy klawisze w końcu wrócili, żeby dać nam śniadanie, uśmiechali się. Ich wyrazami twarzy można by ciąć szkło. Propagandowa pantomima trwała i, na litość boską, nie można pozwolić, żeby Ludzie w Kocach dostrzegli wasze emocje. Wykonujcie swoje obowiązki jak zwykle. Pozory. Noście je jak maskę.

Jako znak szacunku dla poległego towarzysza klawisze ogłosili trzy dni bez pracy. Żadnej poczty. Żadnych wizyt. Żadnych paczek z jedzeniem. Żadnej telewizji. Żadnego radia. Straszne. Jak mieliśmy przetrwać te męki? Oszalelibyśmy bez tego wszystkiego. Nieszczęśliwie dla klawiszy i tak nic z tych rzeczy nie otrzymywaliśmy. Już wszystko nam zabrali.

- Jak ukarzymy tych sukinsynów, jeśli nie mamy już ich jak ukarać? - powiedział najwyraźniej naczelnik, który zalecił ciągle przeszukiwania przed lustrem jako sposób, żeby nas złamać.

Jeśli o nas chodzi, mieliśmy szczęście - przynajmniej przez trzy dni. Klawisze odmówili polewania naszych cel wodą oraz zmian skrzydeł w geście protestu - wyglądało na to, że wszyscy teraz protestują. Cieszyliśmy się jak dzieciaki w czasie pikniku. Żadnego bicia przez całe trzy dni... trzy dni... trzy dni...

Nie przestawaliśmy mówić. Byliśmy na hajju.

- Czy opowiadałem ci kiedyś, że mój stary był gwiazdorem filmowym, Sam? - zapytał Joe.

- Bujaj się sam! Wstyd mi za ciebie, że chcesz mnie złapać na taki stary numer, Joe.

- Mówię poważnie! Chcesz posłuchać, czy nie?

- A mam jakiś wybór? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Owiń ramiona kocem i podejdź do okna.

- Zwariowałeś, stać w oknie w taką noc. Jest zimno jak w psiarni - powiedział mój współwięzień, leżąc w pozycji embrionalnej na cienutkim materacu i trzęsąc się z zimna.

Miał rację. Była to najzimniejsza noc ze wszystkich. Białe kłęby zamrożonego powietrza wydobywały się z ust przy każdym słowie, a wiatr ranił twarz, tnąc ją niczym brzytwa i wykrzywiając w grymas. Na zewnątrz płynne światło ciekło w dół fasady wieży strażniczej, iluminując ją w olśniewającej

kaskadzie górskich kryształów.

- Mów, Joe - powiedziałem, ośmielając go.

- Widziałeś kiedyś ten film *Wikingowie*, z Kirkiem Douglasem?

- I Tonym Curtisem - krzyknął ze swojego materaca Kowboj, który jak zwykle podслуchiwał.

- Właśnie ten! Mój stary i jego brat Hugo pracowali na budowie, przy stali. Nagle pojawia się ten Amerykanin i pyta, czy ktoś nie miałby ochoty zarobić dodatkowo kilku funtów. Oczywiście wszyscy aż podskakiwali z radości na myśl o kilku funtach oraz szansie wystąpienie w filmie z Kirkiem Douglasem.

- I Tonym Curtisem! - wrzasnął Kowboj.

- Pieprzyć Kirka Douglasa i Tony'ego Curtisa - krzyknął ktoś. - Za kilka dni będzie zmiana skrzydła i przy tym zabitym klawiszu wszyscy będziemy pieprzonymi martwymi Wikingami.

Jak my wszyscy, właściciel tego głosu był cały w nerwach na myśl o tym, co klawisze chowają dla nas w zanadrzu. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie będzie to zbyt miłe.

- Co to ma znaczyć: „pieprzyć Kirka Douglasa?” - zapytał oburzony Kowboj.

Właśnie kiedy konwersacja zaczynała rozłazić się w szwach, spadająca gwiazda przecięła granatowe niebo jak srebrna brodawka. Zastanawiałem się, czy to znak, czy tylko coś mi się przewidziało, kiedy mrugnąłem.

- Wypowiedzcie życzenie - krzyknął ktoś, udowadniając, że nie była to gra wyobraźni.

- Niech jutro wszystko się skończy - krzyknął Gęś.

- Trochę szlugów - krzyknął Dzbanek.

- Kobietę! - krzyknęli wszyscy razem.

- Nagiego Johna Wayne'a - krzyknął Kowboj.

- Niech Gerry Adams i Martin McGuinness przejdą przez zmianę skrzydła, zanim będą mogli zaskrzypieć butami, pieprzone palanty.

Kaskady śmiechu.

Nadciągnęła cisza, lodowaty wiatr nie brał jeńców. Zaczęły padać gęste kwiatowe korony śniegu, wirując szybko i wściekle, by zaraz spocząć w stożkach u podstawy drutu kolczastego. Biała rdza czepiała się drutu, jakby zaatakowały go legiony chorych żab, podczas gdy do naszych pozbawionych okien cel przybył wiatr, niczym pijany upiór niosący potworne wieści. Jego szydercze jęki przypomniały nam, jak bardzo samotni się staliśmy.

- Przenosimy się! - krzyknął głos z głębi skrzydła i kilku z nas z tego również się roześmiało. Strażnicy nigdy nie urządzali przeprowadzek nocą. Względy bezpieczeństwa. Za mało klawiszów. Poza tym musieli jeszcze wyczyścić sąsiednie skrzydło, zanim się do niego przemieścimy.

Zostaliśmy zaskoczeni. Na początku. Ciała, które zaledwie kilka minut wcześniej zaczynały się rozluźniać do snu, teraz były spięte. Nasze umysły i nasze żołądki zwijały się katarcycznie, gdy chodziliśmy po celach, zastanawiając się, dlaczego zdecydowali się na nocne manewry.

Zwykle przerwy pomiędzy otwarciem drzwi pomieszczeń trwały nie więcej niż trzydzieści do sześćdziesięciu sekund: było to dość czasu, żeby przenieść więźnia do umywalni, przeszukać i przeprowadzić do czystego skrzydła.

Jednak nie tym razem. Mijały trzy do czterech minut, zanim kolejne drzwi były otwierane.

W oddali słyszeliśmy odgłosy stołów przesuwanych po podłodze Kręgu. Stłumione wrzaski i krzyki niosły się z powrotem, sprawiając, że przyspieszaliśmy kroku, a nasze żołądki ociekały kwasem.

Ja i mój współwięzień patrzyliśmy tylko na siebie jak zombie. Obaj bardzo chcieliśmy się wysrać.

Kontroluj oddech. Nie pozwól, by ci skurwiele widzieli twój strach. Tylko spokojnie...

Zbliżają się. Dwie cele dalej. Więcej krzyków. Mroźne powietrze nie miało teraz znaczenia. Strach był silniejszy.

Są obok!

Boże, zaraz zesram się w gacie, tylko że nie mam na sobie gaci.

Księżyc nigdy nie wyglądał na zimniejszy i pełniejszy. Ani jedna chmura nie umniejszała jego dominacji, podczas gdy cętki gwiazd nadawały alfabetem Morse'a spóźnione ostrzeżenie. Nagle klucz znalazł się w zamku mojej celi. Podskoczyłem odrobinę. Drzwi się otworzyły. Żadnych słów. Mój współwięzień poszedł pierwszy. Wolał mieć to już za sobą.

Tyle razy już to przechodziłem, że mój umysł przełączył się na automatyczny tryb zaprzeczenia, gdy opuściłem komórkę - spaceruję po parku... Jestem w domu i oglądam *Top of the Pops*... Jest piątek, a ja czuję się świetnie, bo właśnie dostałem wypłatę...

Przerażająca scena rozgrywająca się przed moimi oczami szybko przywróciła mnie do rzeczywistości. Zamiast w umywalni przeszukanie odbywało się w Kręgu. Nagi więzień był trzymany do góry nogami za kostki przez czterech klawiszy. Sześciu innych strażników otaczało ich wraz z noszącym się w białej koszuli i cieszącym złą sławą Paddym Joe, który wykrzykiwał plugawości do nagich, odwróconych ludzi. Jeden z klawiszy sondował odbyt więźnia, podczas gdy dwóch innych rozwierało jego pośladki tak szeroko, jak to tylko możliwe.

Park jest pełen ludzi... Grupa dzieci bawi się w kowboje i Indian... Moi bracia, Joe i Danny, machają do mnie...

Więźnia rzucono na stół. Cały był pokryty gównem i krwią. Chwyтали go za włosy i miażdżyli jego twarz o blat. Nos łamał się szybko; wszędzie była krew.

Moi bracia nadal do mnie machają, tylko że to nie oni, to klawisze przede mną chcą, żebym się ruszył.

W tym momencie podjąłem decyzję. Uciekaj! Uciekaj co sił w nogach, ty goły sukinsynu!

Klawiszy sparaliżowało niedowierzanie, a ja biegłem, biegłem tak szybko, że musiałem zwolnić, żeby nie rozbić się o ścianę. Znowu Peter Kelly's. Biegłem jak skurwysyn, a mój tata mierzył mi czas. Pokryta moczem podłoga była śliska jak olej na lodzie, ale moje stopy dobrze się jej trzymały, gdy biegłem do domu, goniony przez kilku klawiszy, których dzieliło ode mnie wyciągnięcie ręki.

Jeden z klawiszy próbował mnie podciąć i o mały włos, a by mu się to udało. Zamiast tego stracił równowagę, poślizgnął się i padł na pokrytą moczem podłogę. Wbiegłem do celi, a na twarzy mojego współwięźnia pojawił się paniczny strach. Słyszał tumult i myślał, że wracają, żeby znowu się za niego zabrać.

- Przygotuj się - powiedziałem. - Oni naprawdę znowu tu idą.

Klawisze ociekali moczem i potem, stojąc przy drzwiach i dysząc jak mięsożerne charty, które wreszcie schwytały swoją zwierzynę.

Mogłem jedynie czekać.

Najpierw starali się wyciągnąć mnie z celi na zewnątrz, gdzie mogliby łatwiej się do mnie dostać. Ja jednak trzymałem się rur śmiertelnym uchwytem, dziękując Bogu, że klawisze wyłączali ogrzewanie zimą - inaczej nie miałbym się czego złapać.

Myślę, że w głębi duszy mój współwięzień chciałby odgrać mi palce, zrobić cokolwiek, byleby klawisze opuścili

cełę. Trzymał jednak moją głowę i kark - trochę za mocno, jak później pomyślałem - zmuszając klawiszy do zaprzestania przeciągania moich nóg w charakterze liny i skopania mnie zamiast tego.

W kilka minut było po wszystkim.

- Widziałeś, jak uciekał? - powiedział pokryty moczem klawisz, idąc skrzydłem krokiem Johna Wayne'a. - Cha, cha! Myślałem, że dupa mu się pali. Cha, cha!

- Całe to pierdolone bieganie - odparł drugi. - Mógłbym skoczyć na browar.

Jak my wszyscy, pomyślałem, kiedy ich głosy zaczęły cichnąć.

Po niecałej godzinie wszystko to się skończyło. Spis wykazał połamane nosy, popękane żebra, powybijane zęby. Niemal każdy miał podbite oczy. Ja miałem szczęście. Uszedłem z kilkoma błękitnymi siniakami i wyrwanym po pościgu paznokciem. Z uszu leciała mi krew, ale przetrwałem. Nikt nie wspominał o przeszukaniu analnym. Byliśmy zbyt przerażeni. Mój współwięzień odwracał ode mnie wzrok. Wiedział, co zobaczyłem i obwinał się za to, co zrobili klawisze. Żyliśmy w szaleństwie brutalnej rzeczywistości i odpowiadającym mu jeszcze bardziej bezwzględnym szaleństwie psychicznym.

Zbliżała się północ, a nasze rozmiękłe materace i koce jeszcze nie trafiły do naszych pokrytych ekskrementami cel. Skakaliśmy, próbując się rozgrzać, ale daremność takiego działania szybko stała się oczywista, gdy woda i uryna pokrywające podłogę zamarzały, a nasze stopy przyklejały się do nich. Stawy naszych ciał poddały się pierwsze, gdy wiertła lodu zagłębiły się w kolana, potem w łokcie, zmuszając nas do klękania w parodii adoracji, wstawania, robienia czegokolwiek, co mogło złagodzić, powodowany wszechogarniającym zimnem ból.

- Jak myślisz, jak dużo upłynie czasu, zanim dostaniemy koce? - zapytał mój współwięzień przez szcękające zęby i zakrwawiony, teraz zamrażający, nos.

Nie chciało mi się gadać. Każda część mojego ciała trzęsła się z zimna.

- Ogłuchłeś? - zapytał.

- Skąd mam to, kurwa, wiedzieć? Nie jestem przecież klawiszem, prawda? - Kiedy to powiedziałem, pożałowałem. Nie przeprosiłem jednak.

Jak niewidzialny zapaśnik mróz przydusił nas do podłogi. Powoli, boleśnie...

Słyszeliśmy tylko świst wiatru. Malutkie ptaszki latały nam w głowach, mówiły do naszych mózgów, że tak, czujemy zimno i ból, a żaden blef tego nie zmienia.

Podarujcie to Bogu, szeptał Anioł Śmierci. Pamiętajcie, co wam mówiłem: „Czystość jest bliska boskości”.

Gdybyśmy tylko mieli go tutaj z nami, gołego i umazanego we własnym gównie. Zobaczylibyśmy, jak mocno wierzy w Boga...

Poczułem Colditza, zanim podszedł pod okno. Słodkawy, mdlący zapach marihuany stał się jego znakiem rozpoznawczym. Dało się go wyczuć poprzez smród gówna i szczywn.

- Niezły bałagan, co, Millar? Jesteście cholernymi cierpiętnikami.

Spróbowałem wstać, myśląc, że moje kolana lada moment pękną.

Colditz miał postawiony kołnierz i nasuniętą na oczy czapkę. Jedyne jego nos i zacienione oczy były widoczne, tak jak skręt z marihuany w ustach.

- Mroźno, co, kurwa? - zaśmiał się, wydychając gołębi dym.

- Kiedy dostaniemy z powrotem nasze koce? - zapytałem.

- Minęły prawie dwie godziny. Ludzie zamarzają na śmierć.

- Nie próbuj mnie wzruszyć, Millar. Oczywiście, że zamarzacie, kurwa, na śmierć. Taki jest plan! To znaczy co, załatwiacie jednego z ich kumpli i myślicie, że będą was traktować w rękawiczkach? Chyba was pojechało! Oni mają nadzieję, że jeden czy dwóch z was będzie do rana sztywnych - jak ich kumpel.

Colditz przypominał mi Clintu Eastwooda nawet po tych wszystkich latach, gdyż po raz pierwszy widziałem go, kiedy wyszedłem z furgonetki tamtej nocy na podwórzu. O innych klawiszach mówił raczej „oni” niż „my”, jakby rozmyślnie się od nich dystansował. Zwyczajni strażnicy nienawidzili go niemal równie mocno, jak nie mogli znieść nas. Był Anglikiem, traktowali go więc jako łowcę nagród, który poruszał się po ich terytorium. Nie wiedzieli, wobec kogo jest lojalny.

- Nie będę ci wygłaszał przemowy o królowej i kraju - mówił. - Nie wierzę w to. Jestem tu dla pieniędzy. Czyste i proste.

Zanim mogłem zadać kolejne pytanie, już go nie było, zniknął w ciemności nocy.

Zadzierzysty wiatr przybierał na sile. Niewielkie okruchy lodu zaczęły się krystalizować na ścianach, nie pozwalając nam się o nie opierać.

O trzeciej nad ranem klawisz pstryknął czasomierzem. Powtarzało się to punktualnie co godzinę. Nadal nie dostaliśmy włochatego koca ani chudego materaca.

Echa. Echa dzieciństwa. Kop głęboko. Znajdź je. Pozwól im utrzymać cię na powierzchni, podtrzymując równowagę szaleństwa za pomocą szczypty chybotliwego zdrowia psychicznego. Uda ci się. Wiesz, że ci się to uda.

Jak, kurwa, ten Kojak to robi?

Co robi, kurwa?

No wiesz. Ten numer z zapalką. To, jak ją zapala jednym ruchem kciuka. Jak on to, kurwa, robi?

Czy Sooty i Sweep istnieją naprawdę? Kim jest Doctor Who? Jak Jacobs wkłada nadzienie do ciastek? Czy jaja Hulka też są zielone?

Czwarta rano. Pstryk! Nadal żadnego koca.

Teraz już wiecie, jak się czuje mięso w zamrażarce! Dobrze wam tak, kurwa! Cierpiętnicy...

Dobrzy chłopcy, dobrzy chłopcy - ci w Kesh! Powiedział Ten, Który Chodzi Po Wodzie. Podaj następną szklankę Black Bush, Martinie McGuinnessie, stary kumplu! Wrzasnął Ten, Którego Trzeba Słuchać. Wypijmy coś ciepłego za tych dobrych chłopców w taką straszną noc, zgadza się Gerry Adams. Dobrzy chłopcy, dobrzy chłopcy. Następną whisky za Matkę Irlandię. Ci chłopcy zaprowadzą nas kiedyś do Stormont, głupi skurwiele. Wszyscy będziemy mieszkać w wielkich domach - oprócz nich, oczywiście.

Piąta rano. Pstryk!

„Bóg nie żyje: z żalu i litości dla człowieka Bóg umarł” - szepnęła Nietzsche do mojego ucha.

Szósta rano. Pstryk!

Pieprzyć Matkę Irlandię, tę dziwkę, i tych, którzy na niej żerują. Widać jej zielone, białe i pomarańczowe majtki, a jej piersi nabrzmiały są krwią. Pieprzyć księży, pedofilskich sukkinsynów pieprzących ministrantów przy każdej okazji. Pieprzyć wszystkich polityków, którzy nas pieprzą. Pieprzyć ich wszystkich. Pieprzyć! Pieprzyć! Pieprzyć!

Lista pięciu najbardziej znieawidzonych przez Ludzi w Kocach postaci:

- (5) Kościół katolicki
- (4) Doktor Mucha
- (3) Klawisze

(2) Gerry Adams

(1) Maggie Thatcher

- Gdyby to ode mnie zależało, nie dostalibyście nic, skurwiele! - powiedział Goryla Gęba, rzucając nam dwa wilgotne koce do celi. Jego ognistoczerwone włosy wyglądały, jakby miały zaraz zapłonąć, taki był jego gniew.

- Skurwiele - powtórzył, zatraskując za sobą drzwi do celi.

Koc był teraz całkowicie bezużyteczny. Minęliśmy już ten etap. Pomógłby może miotacz ognia, a znając Goryla Gębę byłby więcej niż chętny, żeby go użyć. Mimo to wiedzieliśmy, że zwyciężyliśmy Bestię i przetrwaliśmy wszystko, czym mogłaby nas obrzygać.

- U... u... uwierzysz, że to... to... to... przetrwaliśmy? - uśmiechnął się do mnie współwięzień, ukazując potraskane zęby. Mówiąc przez zmiażdżony nos brzmiał jak Marlon Brando. - Myślę, że jesteśmy kurwaniezniszczalni. Tak. Taaaak!

Jego oczy lśniły. Nie miałem wątpliwości, że powoli traci rozum. Ja po prostu patrzyłem na to z przerażeniem. Pięty miałem przyklejone do zamrożonej podłogi.

Siódma dwadzieścia rano.

- Przenosimy się!

Chory kawał? Nie. Naprawdę się przenosiliśmy. Znowu. Tym razem nie przechodziliśmy po prostu do innego skrzydła. Furgonetki na podwórzu dały nam znać, że jedziemy do innego Bloku, a ta przygoda miała najprawdopodobniej być równie upiorna, jak poprzednia.

Ósma pięć rano. Dotarliśmy do Bloku. Powitalny komitet klawiszy pozdrowił nas zwyczajowymi kopniakami i uderzeniami, które jednak były wobec nas bezsilne po zesłanocnym chrzcie ognia. Cele były mokre od farby, taki był ich pośpiech.

Nie minęło wiele czasu, gdy opary wywołały okrutne bóle głowy.

Trzecia po południu. Nasze koce i materace zostały wrzucane do celi po siedemnastu godzinach przerażenia i rekordowo mroźnej pogody.

Przetrwaliśmy, znowu, mimo biegłości klawiszy w zadawaniu cierpienia.

Przetrwaliśmy. Jesteśmy niezwycięzeni. Jak pieprzeni Spartanie! Nigdy nas nie pokonają. Nigdy.

21. SŁÓWKO DO UCHA, DUŻO PÓŹNIEJ

Wątki z wywiadu w Ancient Circles, USA, przeprowadzonego z byłym jeńcem wojennym, Michaeliem Fergusonem.

Bicie trwało nadal. Klawisze systematycznie bili każdego więźnia całą drogę wzdłuż skrzydła. Pamiętam, jak podchodzili do mojej celi. Byłem w trzeciej celi od końca, a obok siedział Sammy Millar - co zabawne, nigdy go nie widziałem, choć jego głos poznałbym wszędzie. Pamiętam, jak klawisze otwierali drzwi do jego celi, wyciągali go na zewnątrz, kopali go i bili, objając go o drzwi. A kiedy wrzucali go z powrotem do jego komórki, do dziś jestem pewien, że musiał się odbić od ściany, bo nie zdążyli jeszcze zamknąć drzwi, gdy on był już przy oknie, wołając mnie: „Massey! Massey!”, najgłośniej, jak potrafił - Massey było to przezwisko, jakie mi nadali więźniowie za traktorami Massey Ferguson.

*Więc - wrzeszczy przez okno, a ja stoję przy drzwiach celi i nie mogę nawet słowa powiedzieć ze strachu i niepokoju, nie mogę nawet przelknąć śliny, bo zaschło mi w gardle! Kiedy klawisze otwierali moje drzwi, Sammy krzyczał moje imię z całych sił: „Massey! Massey!”. I nagle cały strach i niepokój wypłynęły ze mnie i wrzasnąłem: **Czego, do diabła, chcesz?!** (śmiech przeprowadzającego wywiad i Massey). I słyszę jego głos, który mówi: „Jeśli znajdziesz tam gdzieś ucho, przynieś je z powrotem - jest moje!” (więcej śmiechu). Wyciągnęli mnie z celi, kopali i bili, a ja całą drogę się śmieję, śmieję się cały*

czas, kiedy klawisze mnie biją, i to nie dlatego, że myślę, że to, co ze mną robią jest zabawne, śmieję się z czystej ulgi tylko dlatego, że ten facet - zwyczajny gość jak ja, siedzący w celi obok - wznosił się ponad strach i przerażenie, więc wiedziałem, że po tym, co Sammy powiedział tego dnia, klawisze nie będą w stanie mnie złamać i uda mi się przetrwać to, co się ze mną działo, i każdy inny więzień, który przyjdzie po mnie, też przetrwa to, co się będzie tego dnia z nim działo, gdyż w tym momencie jeden z więźniów wznosił się ponad strach i pomógł nam to wszystko przetrzymać.

22. WKRACZA ANIOŁ ŚMIERCI

Piekło jest wybrukowane czaszkami kapłanów.

Święty Jan Chryzostom

Rzekłem, „wers zajmie nam godziny może,

Lecz jeśli nie zda się wytworem chwili,

Splatanie słów lepiej byśmy odłożyli”.

Yeats, *Adams Curse*

- Kowboju? - szepnął chropawy głos Seamusa.

- Co? Czego chcesz, Seamusie? - Głos Kowboja brzmiał żałośliwie, apatycznie, jakby jego właściciel już zasypiał. Nie chciał, żeby mu przeszkadzać. Wiedział, że Seamus nie będzie miał odwiedzin jeszcze przez co najmniej trzy tygodnie. Poza tym i tak nie mógł przynieść tytoniu, gdyż klawisze dość efektywnie utrudnili wszelkie możliwości pozyskiwania szlugów podczas wizyt.

Dla palących brak tytoniu był niezwykle bolesny. Korzystali z ekstremalnych metod. Niektórzy zawijali kłaczki, wyciągnięte z włochatych koców, w strony Biblii i palili te „święte skręty” po to tylko, żeby w godzinę lub dwie później wymiotować. Inni wzięli się za skórki ziemniaków pieczonych w mundurkach. Kiedy klawisze to odkryli, szybko przestaliśmy dostawać pieczone ziemniaki. Jeden twierdził nawet, że palił złuszczone ze ściany ekskrementy. Dwa dni później zaskrzypiał butami, zostawiając nas gubiących się w domysłach, czy specjalne papierosy wpłynęły w jakimś stopniu na jego

decyzję. Finbar twierdził, że nie należy wierzyć w to, co mówi skrzypiący butami, bo to głównie prawda.

- Kowboju, widzę peta tylko kilka...

- Gdzie, Seamusie? - Kowboj był teraz przy drzwiach, szybki jak błyskawica, w jego głosie dał się słyszeć nowy entuzjazm. - Na Boga, gdzie, Seamusie?

Brzmiał jak myśliwy, który zaraz schwyta swoją ofiarę.

Petami nazywaliśmy oczywiście niedopałki papierosów, czasami - choć rzadko - wyrzucane przez klawiszy. Dorodny pet mógł starczyć na co najmniej dwa, możliwe, że nawet trzy kocowe papierosy. Dla palaczy były warte swojej wagi w złocie.

Kowboj, podobnie jak pozostali palacze, nie miał w płucach tytoniowego dymu od przynajmniej trzech miesięcy i czekał na pojawienie się tego peta jak na cud, posłańca bożego, mannę z niebios.

- Jakąś stopę od twoich drzwi, Kowboju. Dokładnie tam, gdzie drzwi stykają się z futryną.

- Daj mi minutę na przygotowanie przyrządu, Seamusie, stary druhu.

Przyrządem był długi, cienki kawałek papieru toaletowego, zakrzywiony na końcu na kształt haka, lub bardziej trafnie - jak znak zapytania. Zawsze pozostawało pytaniem, czy za jego pomocą uda się przeprowadzić operację.

- Dobra, stary. Dawaj - powiedział Kowboj, brzmiąc jak szesnastolatek.

- Trochę w lewo, Kowboju. Dalej. Jeszcze dalej. Teraz wprawo...

Brzmiał jak ktoś grający w *The Golden Shot*; miał teraz zadanie nie do pozazdroszczenia, polegające na kierowaniu Kowbojem, który nie widział swojego celu.

- Możesz go wyciągnąć jeszcze trochę dalej, Kowboju? - zapytał nerwowo Seamus. Dwadzieścia minut minęło bez jakichkolwiek oznak sukcesu. Wszyscy słyszeliśmy, jak Kowboj walczy o panowanie nad sobą. Znany był z braku cierpliwości, gdy spadał mu poziom nikotyny we krwi.

- Klawisz! - krzyknął Gęs z początku skrzydła.

- Kurwa mać! - syknął Kowboj, którego frustracja powoli zaczęła znajdować ujście.

Klawisz pstryknął czasomierz i szedł wzdłuż skrzydła. Zatrzymał się pod drzwiami celi Kowboja, żeby zawiązać sznurówadło.

Wszyscy mogliśmy sobie wyobrazić teraz Kowboja z kroplami potu na jego górnej wardze, modlącego się, by klawisz nie dostrzegł peta.

Kilka sekund później klawisz ruszył dalej.

- Seamusie? Czy ten skurwiel go zabrał? - zapytał Kowboj, niemal odgryzając sobie wargę.

- Nie. Nadal tam jest.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdyż nie chcieliśmy usłyszeć ostatniego śmiertelnego jęku Kowboja. Było to jak siedzenie na tykającej bombie w oczekiwaniu, aż zostanie rozbrojona.

Przez następne dwie godziny nikt nie śmiał szepnąć najcichszego słowa, gdy trwało przedstawienie Kowboja i Seamusa, mimo braku sukcesu.

- Kowboju, ciągle go dotykasz, ale nie przyciągasz do siebie.

- Seamusie. - Głos Kowboja drżał od powstrzymywanych emocji, które mogły lada chwila wybuchnąć. - To ty prowadzisz mnie. A nie *vice*, kurwa, *versa*, stary.

Ostatnie słowo wypluł z siebie niczym kawałek jabłka, który ugrzązł mu w gardle. Wtedy to nastąpiło.

- Kowboju! Masz go! Teraz spokojnie. Powoli... powoli... przyciągnij go. Powoli... powoli. Powooooooli...

Tyle potu płynęło po twarzy Kowboja, że miał trudności z widzeniem. Widział podwójnie i czuł ból w piersi. Atak serca? To by dopiero było, umrzeć za peta.

- Spokojnie... dokładnie... prawie go masz, Kowboju. Jeszcze odrobinę... masz go!

Męka się skończyła. Radowaliśmy się, czując wielką ulgę, gdy Kowboj wciągał pochwyconego peta za drzwi. Mogliśmy znowu mówić bez lęku, że porachuje się z nami Kowboj.

- Seamus, ty kretynie! To nie był żaden pet! Tylko kawałek jebanego papieru. Potrzebne ci, kurwa, okulary!

Zanim Kowboj mógł ostrzej napaść werbalnie na Seamusa, ktoś uratował jego skórę, ogłaszając nadejście Anioła Śmierci na podwórze.

Anioł Śmierci podniósł kołnierz swojego płaszcza. Miał grypę, zimne powietrze szczypało go w każdą nieosłoniętą część skóry.

- Anioł Śmierci o tej porze? W nocy? Wiecie, że to zły znak - powiedział Finbar, powtarzając myśli nas wszystkich.

- Może ma kieszenie wypchane szlugami? Chce nas wynagrodzić za te wszystkie lata spędzone bez choćby niedopałka - powiedział Kowboj, nie ukrywając swojego sarkazmu.

Nie. Wszyscy wiedzieliśmy, że przyszedł tu, by powiedzieć komuś, że umarł ktoś z jego rodziny. Nic innego nie wchodziło w rachubę.

Gdy Śmierć porozmawiał po przyjacielsku z klawiszem, my, zastanawiając się, wstrzymywaliśmy oddechy.

- Millar. Ksiądz chce się z tobą widzieć - warknął Goryła Gęba.

- Dziękuję, oficerze - powiedział Śmierć, wyraz pogardy zagościł na jego twarzy, gdy wszedł do mojej pokrytej gównem celi.

„Czystość jest bliska boskości...”.

- Samie, mam dla ciebie złe wieści - powiedział chłodnym tonem. Wiedziałem, że chodzi o mojego ojca. - Twoja matka umarła dwa dni temu w Dublinie.

Byłem wstrząśnięty. Wydawało mi się, że umarła dawno temu, kiedy miałem jedenaście lat, a ona nie chciała już więcej znać wyników klasówek z matematyki.

- Powiedział ksiądz, moja matka?

- Tak. Dwa dni temu. Bardzo mi przykro.

No jasne.

Przez następną minutę milczeliśmy. Patrzył wokół siebie po celi z mieszaniną lęku i obrzydzenia. Nie mógł się doczekać, żeby stąd wyjść i wrócić do prawdziwego świata, miłego, przytulnego domu, ognia płonącego w kominku i dużego kieliszka brandy, by odgonić gripę i mój smród.

- Jeśli jest coś, co mogę dla ciebie zrobić... - mówił, kierując się w stronę drzwi.

- Ma ksiądz może przy sobie szlugi? - zapytałem, nie pozwalając mu uciec.

- Szlugi? Co to takiego?

- Papierosy - „jakbyś, kurwa, nie wiedział”.

- Och. Nie... Wiesz, że nie możemy nic takiego tu wnieść. Mdły uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Chciałem go trzasnąć tak, że poleciałby tam, skąd przybył, do pieprzonego piekła.

- Jak ksiądz to robi? - zapytałem.

- Co robię? - odparł, zwracając się ku mnie, jednak wyraźnie chcąc odejść.

- Jak ksiądz żyje ze swoim sumieniem. Czy Kościół nie

uczy przypadkiem, że sumienie jest naszym przewodnikiem?

- Uczy, że sumienie powinno zawsze być czyste, tak jak moje jest w tym momencie.

Wyraźnie się rozgrzewał.

- Przez te wszystkie lata patrzył ksiądz, jak byliśmy torturowani, poniżani i upokarzani. Ani razu nie próbował ksiądz temu zapobiec, a przecież jest ksiądz kapłanem.

Pomachał ręką jak czarodziej wykonujący swoją sztuczkę.

- Nie musicie tak żyć. Żaden z was. Ciężar odpowiedzialności spoczywa na was, a nie na mnie czy na Kościele, którego ludzie tacy jak ty używają jako chłopca do bicia. - Wydychał swój zasmarkany nos. - Czy wiesz, jak często moi niekatolicyccy przyjaciele pytają mnie, co na miłość boską jest z wami nie tak, co zmusza mnie do obrony tego, co nie da się obronić?

Gównu mnie obchodziło, co on, jego przyjaciele albo Kościół sądzili. Powiedziałem mu to bez ogródek.

- Inni opuścili protest bez żadnych kłopotów, dlaczego i ty nie możesz? - nalegał.

- Wielu jest powołanych, lecz niewielu wybranych - odparłem.

Jego uśmiech emanował czystym złem, gdy potrząsał głową. Kichnął, kończąc naszą rozmowę.

Kiedy Śmierć wyszedł, Kowboj zapytał, czy dokonał się cud.

- Czy ta pizda sprzedajnej dziwki przyniosła ze sobą trochę szlugów, Sam?

- Nie, stary. Tylko wiadomość, że moja matka nie żyje.

Milczał przez kilka sekund, po czym powiedział:

- Ach, Sam... Przepraszam za to, co powiedziałem. Nie chciałem...

- Nie martw się o to.

Poza tym śmierć mojej matki była nieistotna. Miałem bardziej ważne problemy na głowie, jak na przykład przetrwanie. Następnego dnia czekała nas zmiana skrzydła.

Wiedziałem, że przetrwam tę przeprowadzkę. I następną. I kolejną...

Pieprz się, Aniele Śmierci.

23. JIMMY SAVILE I PAN'S PEOPLE

Lokalny fenomen zwany Chrześcijaństwem.

Thomas Hardy

Diabeł dla swoich celów może cytować Pismo.

Shakespeare, *Kupiec wenecki*

Pogłoski. Spalony las otoczony miedzianymi i bursztynowymi płomieniami. Rozległy.

Krażyła niepotwierdzona informacja o tym, że zbliża się strajk głodowy. Nikt - szczególnie my - nie chciał go, ale i tak nadchodził.

Na zewnątrz mojej celi śnieżyczki wielkości kciuka opadały na ziemię.

- Nie lękam się żadnego człowieka - grzmiał głos, który rozpoznałem jako należący do klawisza zwanego Kaznodzieją. Podczas zmian skrzydła nosił przy sobie pokaźną, ciężką Biblię, z której cytował Pismo. Po każdym cytacie bił nagiego więźnia w głowę z taką siłą, że powodowało to zawroty głowy.

- Panie, zmyj grzechy... - Buch! Buch! Buch! - ...tego grzesznika. - Buch! Buch! Buch! - Ukaż mu, jak bardzo go kochamy. Że... - Buch! Buch! Buch! - ...robimy to z miłości, by ratować jego duszę. - Buch! Buch! Buch!

Czasami krew ciekła z twojego ucha albo nosa, ale to nie powstrzymywało tej wściekłej bestii.

- Och, dzięki Ci, Panie, za ten wspaniały znak oczyszczającej krwi. - Kaznodzieja aż się poccił, przewracając oczami.

- Co za nudy - powiedział Finbar dość głośno, by usłyszał go Kaznodzieja.

- Choć idę doliną śmierci... - Kaznodzieja przemierzał podwórze, buty na pewno mu przemiękały od śniegu.

- Ignoruj sukinsyna - powiedział Koparka. - On tego właśnie chce: mieć publiczność.

Kaznodzieja się roześmiał.

- Tak naprawdę to chcę, żeby jeden z was, bohaterzy, odwiedził mnie kiedyś - jeśli - stąd wyjdziecie. Ponieważ właśnie kupiłem sobie piękny rewolwer .357 Magnum i byłoby mi niezmiernie miło wypróbować go na waszych głowach. Nie biczem, lecz ogonami skorpionów was oczyszczę.

Minęła godzina, a on nadal prawił kazania i śpiewał głośno, żebyśmy wszyscy go słyszeli.

- Gdy zbierzemy się nad brzegiem rzeki...

- Może byś zamknął gębę i przestał się zachowywać jak pajac, do diabła? - To był Colditz. Nie widzieliśmy go od tygodni, byliśmy pewni, że albo go przenieśli, albo rzucił tę pracę.

- Może byś pilnował swoich spraw i wrócił do Anglii? Nikt nie chce tu takich, jak ty, co to zabierają nam pracę i... arrgh!

Colditz kopnął Kaznodzieję w jaja. Kaznodzieja padł na kolana, po czym przewrócił się na ziemię. Kilka sekund później Colditz podniósł go do góry jak szmacianą lalkę, założył mu czapkę z powrotem na głowę i chwytając za kołnierz ułożony na karku zaprowadził go do Kręgu.

Jakiś czas po tym zdarzeniu dowiedzieliśmy się od dyżurnego Charliego, że później w Kręgu Colditz rzucił wyzwanie wszystkim klawiszom. Nikt nie przyjął jednak jego oferty, co nie było zaskoczeniem, gdyż wszyscy wiedzieliśmy, iż klawisze mają awersję do walki jeden na jednego.

Strajk głodowy, który rozpoczął się miesiąc wcześniej, osiągnął swoją kluczową fazę na początku grudnia, gdy zdrowie biorących w nim udział szybko podupadło. Sean McKenna został przez tak zwanych lekarzy z Bloku zdiagnozowany jako mający przed sobą jeszcze dwa dni życia.

Ci z nas, którzy nie brali udziału w strajku, nie mogli podejmować żadnych działań, gdyż mieli rozkaz zachowywać spokój za wszelką cenę, ponieważ jakiegokolwiek oznaki frustracji po naszej stronie byłyby korzystne dla Angoli i klawiszy. Był to prawdopodobnie najtrudniejszy do wykonania rozkaz, kiedy wiedzieliśmy, co przeżywają nasi przyjaciele i towarzysze. Niektórzy z nas byli pewni mimo wszystko, że nawet na tak późnym etapie uda się coś wywalczyć bez utraty życia i nawet klawisze musieli czuć, że możemy mieć rację, gdyż niektórzy z nich zaczęli z nami sympatyzować.

- Mam nadzieję, że dostaniecie to, o co walczyacie - łął Ludzki Wyprysk, który był równie przekonujący, jak nazista na bar micwie. - Wszyscy przechodziliśmy trudne czasy, ale chcę wierzyć, że dużo się z tego nauczyliśmy, na przykład tolerować się nawzajem.

Chciało mi się rzygać, słysząc, jak się podlizuje, ale z drugiej strony, jeśli obawiał się, że możemy zwyciężyć, to być może klawisze słyszeli coś, co nam umknęło.

- Czy to jakieś świąteczne wydanie *Top of the Pops*, czy jak, Samie? - zaśmiał się Finbar, gdy Ludzki Wyprysk odszedł przygnębiony, pozostawiając lukrecjowe ślady na śniegu.

- Posłucham nawet bożonarodzeniowego przesłania pieprzonej królowej, stary! - odparłem. W głowie unosili mi się Pan's People. Zastanawiałem się, czy się zmienili. Prawdopodobnie byli już emerytami - choć szczerze mówiąc, nie robiło mi to różnicy!

Na zewnątrz biała cisza przyniosła ze sobą sztuczny spokój.

Małe ptaszki robiły małe wgniecenia w śniegu, podczas gdy tłuste, prześwitujące płatki groziły, że je zakryją niczym namioty.

- Naczelnik idzie! - krzyknął głos z początku skrzydła.

Naczelnik? O tej porze? Co się tu, do diabła, dzieje? Czy Ludzki Wyprysk rzeczywiście coś usłyszał?

Ani naczelnik, ani towarzyszący mu klawisze nie powiedzieli ani słowa, gdy kolejne drzwi się otwierały, po czym zatrzaskiwały, a w międzyczasie rzucono do środka dokument.

Była to zgoda na zaprzestanie strajku głodowego!

Przeglądałem strony tak szybko, jak tylko pozwalały mi na to zszargane nerwy, i przysięgam, że słyszałem Jimmy'ego Savile'a, który prezentował bożonarodzeniowy program *Top of the Pops*. Palił największe cygaro świata, a otaczały go skąpo ubrane Pan's People: „Panienki i faceci, w tym tygodniu numerem jeden jest ta świetna grupa buntowników, Ludzie w Kocach”.

Przeczytałem dokument najskrupulatniej, jak tylko potrafiłem, nie chcąc ominąć niczego ważnego na jego czterdziestu ośmiu stronach. Jak się okazało, zawierał on bardzo niewiele treści. Był to majstersztyk krzywdzącej dwuznaczności, pełen alternatywnych interpretacji, które dawały jedną ręką, podczas gdy drugą zabierały. Pajęcza sieć wieloznacznej semantyki „być może”, „prawdopodobnie” oraz „czas pokaże”. Nie mogliśmy się w żaden sposób na to zgodzić. Wszystkie te lata tortur i cierpień splukane w kiblu za to nieprzychylne „porozumienie”, które nie było warte nawet papieru, na którym je wydrukowano.

Jimmy Savile szybko zniknął w zaciemnieniu. Podobnie jak Pans People. Wydawało mi się, że czuję ich perfumy, przez co zachciało mi się płakać.

Może w następne Boże Narodzenie.

24. NADZIEJA

Jako dziecko byłem całkowicie świadomy bycia człowiekiem niższej kategorii. Jako dorosły doświadczyłem sytuacji, w których z łatwością mógłbym wyciągnąć broń... Wychowałem się z facetami, którzy podjęli strajk głodowy. Doświadczyli w Belfaście rzeczy, które skłoniły ich do głodzenia swoich ciał przez siedemdziesiąt dni.

Liam Neeson

Drogi Ojciec Święty!

Mam nadzieję, że ta notatka znajdzie Ojca w dobrym zdrowiu (spisane na papierze toaletowym). Proszę wybaczyć papier, na jakim piszę. Piszę ten list nie po to, by opowiedzieć Ojcu o warunkach, w jakich żyjemy, lecz w celu ocalenia życia moich towarzyszy, którzy zostali zmuszeni do strajku głodowego przez brytyjski rząd. Irlandzki lud długo cierpiał za swoje polityczne i religijne przekonania... Irlandzka historia pełna jest krwi, przelewanej przez irlandzkich mężczyzn i irlandzkie kobiety za naród i Kościół katolicki, a teraz, gdy irlandzki naród potrzebuje Kościoła, słyszymy tylko morderczą ciszę. Dlaczego? Co musimy uczynić, żeby Kościół nam pomógł? W chwili, kiedy Ojciec otrzyma ten list, może być już za późno, by ocalić moich towarzyszy. Musi Ojciec mówić o tym głośno i wyraźnie; rozmowy za zamkniętymi drzwiami nic nie dadzą. Moi towarzysze umrą, jeśli tak się nie stanie.

Sam Millar

(List wysłany przeze mnie do papieża, gdy byłem pod Kocem, i opublikowany w eposie Richarda Englisha pt. Armed Struggle: The History of the IRA. Był to jeden z ponad dwóch tysięcy listów napisanych przeze mnie w nadziei uzyskania poparcia dla uczestników Strajku Głodowego).

Richard English, *Armed Struggle: The History of the IRA*

Wiedzieliśmy, że straciliśmy impet, osiągnięty przez pierwszy strajk głodowy, gdy podjęliśmy drugi - w marcu. Tym razem

strategia była inna: ochotnicy przyłączali się do strajku okresowo, zamiast wszyscy razem, jak podczas poprzedniego protestu. Przystaliśmy na zakończenie pikiet, podczas której odmawialiśmy mycia się, w nadziei, że zwiększymy znaczenie strajku głodowego.

Szczerze mówiąc było wielką ulgą móc się znowu odświeżyć. Nasze włosy, których nie myliśmy ani nie obcinaliśmy od lat, spływały na nasze plecy tłuste i splątane jak nasmarowane liny portowe; nasze zęby, które nie widziały szczoteczki od wielu lat, były, co niesamowite - w większości - nienaruszone, w dużej mierze dzięki temu, że jako element kary klawisze odmawiali nam cukru. Ironią losu było to, że gdyby pozwalali nam słodzić, bez wątpienia wywołaliby dużo silniejsze cierpienie poprzez bolące zęby.

Nasz pierwszy prysznic od lat! Boże, to było cudowne. Nigdy nie zapomnę pierwszych gorących strumieni, uderzających mnie z siłą kolców jeżozwierza, ani upajającego aromatu szamponu i mydła, aż moje nozdrza płonęły snobistyczną rozkoszą, ciesząc się dekadencją tego wszystkiego, gdy przyglądałem się, jak bród odpada z mojej...

- Do jasnej cholery, pospiesz się, co, kurwa? Zmarnujesz całą gorącą wodę. Reszta z nas też się od lat nie kąpała - narzekał głos za mną.

Był niski, ciemnoskóry, a jego ciało pokryte było bliznami po postrzałach ze strzelby. Nie poznałem go, ale on wiedział, kim jestem.

- Mieszkaliśmy obok siebie przez cztery lata, a ty mnie nawet nie poznajesz? - zapytał.

Przez te wszystkie lata nigdy nie widziałem go na własne oczy, znalazłem tylko jego głos, za pomocą którego mogłem stworzyć sobie jego obraz we własnej głowie. Kowboj nie

przypominał ani trochę postaci, jaką wymalowałem sobie w wyobraźni - i wyraz mojej twarzy to zdradzał.

- Ty też nie wyglądasz jak cokolwiek, co sobie wymaginałem! - roześmiał się, czytając w moich myślach.

Pogłoski, że ma wytatuowane na bokach rewolwery okazały się, przykro mi to mówić, bezpodstawne.

Jeden z klawiszy, którzy się nam przyglądali, roześmiał się sztucznym śmiechem, mając nadzieję, że przyłączy się do rozmowy.

- Co cię tak bawi? - zapytał Kowboj lodowatym tonem, mroząc klawisza na miejscu.

- Nic. - Jego twarz stała się purpurowa, po czym zbladła, gdy górna warga kowboja wygięła się w wyrazie niesmaku.

- To może zrobisz jeszcze więcej niczego i się odpiardolisz? - odparł Kowboj.

- Posłuchaj... Wiem, że musicie nas nienawidzić... ale... ale my tylko wykonywaliśmy swoje obowiązki.

- Obowiązki? Nie znasz nawet znaczenia tego słowa.

Klawisze byli podenerwowani teraz, kiedy wyszliśmy z naszych cel. Mieli po temu dobry powód. Odpłata mogła nadejść w każdej chwili i oni o tym wiedzieli. W ich ograniczonych umysłach byliśmy szaleńcami, lwami czekającymi tylko na to, żeby na nich skoczyć, albo niepokonanymi gotyckimi stworami, pozbawionymi jakichkolwiek cech ludzkich. Potwór, którego stworzyli w swoich własnych umysłach, swoją własną propagandą, wyrwał się teraz na wolność. Jeśli o nas chodziło, nie zamierzaliśmy rozwiewać ich złudzeń.

Wymycie zębów było kolejną męką, gdy szorstkie szczoteczki wykonywały zapomniane ruchy w ustach. Krew z naszych dziąseł zabarwiła umywalki na karmazynowo, przeobrażając nas w ucztujące wampiry.

Po prysznicu siedziałem w fotelu, podczas gdy fryzjer obcinał moje długie do pasa włosy, sprawiając, że moja głowa z

każdym jego dotknięciem stawała się lżejsza. I choć była to wielka przyjemność znowu czuć powiew chłodnego powietrza na karku, zalał mnie nagły przypływ nostalgii, gdy patrzyłem na zamiatane lata włosów. Stary przyjaciel odszedł.

Na tym jednak nie koniec. Nie mogłem dłużej odkładać nieuniknionego, tego, czego się obawiałem. Fryzjer przyciął moją brodę tak blisko skóry, jak to było możliwe, pozostawiając mnie, bym usunął sam uporczywy zarost za pomocą plastikowej brzytwy. Drobne gwoździki włosów poddały się, ukazując moją nagą skórę krzyczącą z bólu, gdyż wciąż zacinałem się w twarz, goląc się po omacku.

Minęło więcej niż cztery lata, odkąd po raz ostatni widziałem się w lustrze. Moja próżność nie pozwalała mi spojrzeć, gdyż wiedziałem, że ze zwierciadła spojrzy na mnie ktoś obcy, stary, zniszczony nieznajomy, który podda w wątpliwość rozsądek tego wszystkiego.

A tymczasem strajk głodowy trwał...

Siedząc w swojej ciemnej, „wygodnej” celi, jesteś wciąż świadom, że kilka stóp od ciebie człowiek umiera powolną, bolesną śmiercią. Modliłeś się, aż ekran twojego umysłu wyświetli jedyne fosforyzujące pytanie, kwestionujące samą twoją egzystencję: dlaczego nie bierzesz udziału w strajku głodowym, cierpiąc z pozostałymi?

A im głośniejsz krzyczysz, by zostawiło cię w spokoju, tym mocniej cię dręczy, aż w końcu odpowiadasz mu, że brak ci odwagi, że nie mógłbyś obywać się całymi dniami bez jedzenia, nie mówiąc już o tygodniach; że czytałeś książki o tym, jakie cierpienie przeżywa ciało i umysł, gdy skóra kurczy się wokół szkieletu o kościach kruchych jak kreda; że drżysz na myśl o migrenach tak brutalnych, że przegryzają się przez czaszkę i wbijają w oczy. Następnie nadchodzą omdlenia, ślepoty i śpiączka. Na końcu śmierć.

Dygotałem w ciemnościach, tchórz chowający się sam przed sobą, gdy kolejne dni zbliżały strajk głodowy do granicy śmierci. Przenikliwy głos Thatcher skrzeczał jak paznokcie drapiące tablicę.

Klawisze ze swojej strony umieszczali wielkie półmiski pełne irlandzkiej potrawy na zewnątrz komórki każdego z uczestniczących w strajku głodowym. Była to chora i nieudolna tortura, która miała nakłonić ich do jedzenia. Aromat wypełniał każdą celę w apetycznej mgiełce, która rywalizowała z naturalnymi jękami pustego żołądka. Następnie wachlowali tę mgiełkę do wnętrza pomieszczenia, by upewnić się, że wiadomość dotarła do każdego strajkującego. Dodatkowo zawsze dawał się słyszeć potężny głos klawisza: „Dobrze! Właśnie tak! Wcinaj. Mamy tego więcej”. Fakt, że każdy strajkujący odmówił nawet przyjęcia do wiadomości tych żalosnych i sadystycznych działań wywoływała u klawiszy szal, który swoją kulminację miał w makabrycznym przenoszeniu przez nich pustych szafek ze słowami, iż wkrótce w nich pochowają buntowników.

Mimo tych prowokacji pozostaliśmy zdyscyplinowani i odwracaliśmy tę psychologię, dając klawiszom znać, że jeśli choć jeden z ludzi umrze, oni zginą jako następni. Wtedy zdarzyła się najdziwniejsza rzecz pod słońcem. Było to tak doskonale zgrane w czasie, że zmuszało do zastanowienia się nad przeznaczeniem i nad tym, że być może - tylko być może - Bóg mimo wszystko istnieje.

Moment, w którym Frank Maguire zmarł, był wielkim szokiem dla wszystkich jeńców wojennych. Ten członek parlamentu z hrabstwa Fermanagh/Tyrone należał do naszych zago-rzałych zwolenników. Straciliśmy nie tylko przyjaciela, ale również głos, który uparcie podkreślał złe traktowanie nas przez rząd brytyjski i klawiszy. Jego śmierć obniżyła nam

morale o kolejny stopień. Był to najniższy jego poziom, jaki kiedykolwiek osiągnęliśmy.

I wtedy, zupełnie jak za życia, Frank raz jeszcze nam pomógł.

- Bobby powinien kandydować na zwolnione miejsce Franka - zaproponował ktoś mający nierówno pod sufitem. Była to niedorzeczna sugestia. Czyż nie zniechęcaliśmy naszych ludzi do brania udziału w jakichkolwiek wyborach przeprowadzanych przez Angoli? I jak moglibyśmy rywalizować z tak dobrze naoliwioną maszyną propagandową?

Poza tym istniało jeszcze niebezpieczeństwo, że jeśli Bobby rzeczywiście będzie kandydował i uzyska niską liczbę głosów, da to Angolom do rąk wielki kij, którym będą mogli nas bić. Ogłosiliby, że niewielka liczba głosów udowadnia, iż więźniowie nie mają poparcia społecznego, a oni od początku mieli rację.

Nie było alternatywy.

25. TRAGEDIA

*Nasze udręki mogą z czasem
Stać się naszą częścią.*

Milton, *Raj utracony*

*Wspomnij w swym sercu dawne dni
Byśmy znów poznać się dali
Niezlomnymi Irlandczykami.*

Yeats, *Under Ben Bulbin*

Dni poprzedzające wybory stały się nie do wytrzymania. Angole ze wszystkich sił starali się usunąć imię Bobby'ego z list wyborczych. Kościół Katolicki, za pośrednictwem swoich służalczych księży, twierdził: „Nikt nie będzie głosował na Bobby'ego Sandsa”. Było naprawdę miło wiedzieć, że brytyjski rząd i Kościół katolicki rzucali błotem w tę samą stronę.

Gdyby tylko udało się nam uzyskać dla jego kandydatury godną ilość głosów, już to samo w sobie byłoby dla nas dostatecznym zwycięstwem.

Cisza otuliła Bloki, gdy czekaliśmy na wyniki z tajnego radia. Dowódca przekazał wszystkim, że pod żadnym pozorem mamy się nie zdradzić, że znamy wyniki, gdyż bał się utraty nadajnika. Jego rozkazy brzmiały, że niezależnie od rezultatu mamy gryźć się w język.

I prawdopodobnie tak by było, gdyby nie to, że Bobby nie dość, że uzyskał dobry wynik, to jeszcze zdobył największą liczbę głosów, stając się nowym członkiem parlamentu z Fermanagh/Tyrone.

Wrzeszczeliśmy, płakaliśmy, waliliśmy w drzwi do utraty tchu. Wygraliśmy. Unosiliśmy się nad ziemią i nic nie było w stanie nas na nią sprowadzić. Obejmowaliśmy się. Nikt nie musiał umierać. Mogliśmy żyć jak ludzie.

Ludzki Wyprysk przybrał wyraz twarzy samobójcy. Kaznodziei odjęło mowę. Ochotnik z trudem powstrzymywał się od uśmiechu. Wszystko wracało na właściwe miejsce.

- Na końcu tunelu jest światło, Finbarze. Uwierzyłbyś w to po tych wszystkich latach? - zapytał Koparka w ekstazie, chichocząc jak dzieciak. - Za rok mogę być już w domu.

- Światło na końcu tunelu, Koparko? - zapytał sarkastycznie Finbar. - Tunelu jeszcze nie wybudowano, nie może tam być światła.

- To koniec, Finbarze. Przyznaj to, stary - powiedziałem, idąc na odsiecz Kopalce. - Nawet pieprzona Thatcher nie jest dość pokrętna, żeby pozwolić umrzeć wybranemu członkowi parlamentu. Rozchmurz się. Nie psuj tej chwili.

Milczał przez jakiś czas, po czym zapytał:

- Jak długo jesteś przy Kocu, Sam?

- Wiesz przecież - odparłem. - Tyle, co i ty. Ponad cztery lata. Dlaczego pytasz?

- Po prostu wydawało mi się, że jesteś tu dopiero cztery dni. Znasz Angoli równie dobrze jak ja, wiesz, do czego są zdolni.

„Nie mogę mu pozwolić do mnie dotrzeć. Po prostu mnie nabiera...”

- Dobra, Finbarze. Jak sobie chcesz. Wygrałeś.

Tragedią jednak było to, że Finbar cały czas miał rację.

Brytyjski rząd pogardliwie zlekceważył wynik, twierdząc, że to nic nie zmienia. To by było na tyle, jeśli chodzi o demokrację! A w ostatnim odruchu, by uratować twarz - swoją własną, oczywiście - Kościół wysłał konfederację matolek, by

„negocjowali” koniec strajku głodowego. Tłumaczyli, co „możemy” osiągnąć, „prawdopodobnie” uzyskamy, ale nigdy co „rzeczywiście” zdobędziemy. Uzyskali jedynie przeróbkę dokumentu, który zakończył pierwszy strajk głodowy, pełen równie zjadliwej dwuznaczności. Nie byli ani trochę zawstydzeni swoją fałszywością. Być może, gdyby poświęcili nam trochę tej tak zwanej troski lata temu, teraz nie byłibyśmy w tak dramatycznym położeniu? Teraz było to za mało i za późno.

Był wczesny wtorkowy poranek, kiedy dało się słyszeć ciche stukanie w rury. Brzmiało jak bicie serca. Nie byliśmy całkiem nieprzygotowani na to, co ono oznacza, mimo to wstrząsnęła nami wiadomość o śmierci Bobby'ego.



Ponad sto tysięcy ludzi uczestniczyło w pogrzebie Bobby'ego. Ostatnie słowa w jego więziennym pamiętniku mówiły za nas wszystkich: *Ni bhrisfidh siad mé mar tá an fonn saoirse, agus saoirse mhuintir na hÉireann i mo chroí. Tiocfaidh lá eigin nuair a bheidh an fonn saoirse seo le taispeáint ag daoine go léir na hÉireann ansin tchífidh muid éirí ná gealaí.* (Nie złamia mnie, gdyż pragnienie wolności oraz wolności całego ludu Irlandii, jest w moim sercu. Nadejdzie dzień, gdy cały lud Irlandii będzie chciał okazać swoje pragnienie wolności. Wtedy zobaczymy, jak wschodzi księżyc).

Dziewięciu ludzi podążyło za nim, każdy umarł straszną śmiercią przez zagłodzenie.

26. HACZYK 22

Nie jesteśmy świętymi, ale dotrzyaliśmy swoich zobowiązań. Jak wielu ludzi może się tym pochwalić?

Beckett, *Czekając na Godota*

*Czy marzenie jest kłamstwem, jeśli się nie spełnia,
Czy coś gorszym?*

Bruce Springsteen, *The River*

- Trudno jest się przyzwyczać po tych wszystkich latach do noszenia butów, prawda, Samie? - zapytał Finbar, samemu odpowiadając na swoje pytanie.

Chodziliśmy spokojnym krokiem wokół podwórza, starając się rozchodzić buty, które sprawiały wrażenie drewniaków z powbijanymi w nie małymi gwoździami. Stopy zdawały się puchnąć, im dalej szliśmy.

Minęły już miesiące od zakończenia strajku głodowego, który odebrał życie dziesięciu więźniom. Angole przyznali nam trochę podstawowych praw: nosiliśmy własne ubrania zamiast więziennych uniformów, mieliśmy dostęp do gazet, książek i materiałów piśmienniczych oraz mogliśmy na godzinę dziennie wyjść na podwórze. Jednak sedno sprawy - niewykonywanie prac więziennych - nadal pozostało nierozwiązane.

Chmury nadpłynęły, przynosząc ze sobą opady malutkich żelków, które smakowały na moim języku jak świeża skóra. Był to nałóg, efekt lat spędzonych w suchej celi. Ludzie

uciekali, szukali schronienia, a ja mogłem jedynie patrzeć na moją celę z oddali i wyobrażać sobie swoją twarz wykrzywioną w niemym krzyku, przyciśniętą do krat, rok po roku. Strasznie było to sobie przyswoić, ale obraz ten wypalił się w mojej głowie na zawsze.

Pogłoski. Puste skrzynie. Więźniowie żyją nimi. Tyle ich słyszeliśmy przez te długie lata, że można by przypuszczać, iż jesteśmy na nie uodpornieni. Ale nie, nie my. Nasza pierwsza odpowiedź brzmiała zawsze: „Czy to prawda? To by było świetne. Jesteś tego pewien? Nie wciskasz kitu?”.

Zawsze dawaliśmy się na to złapać, nawet jeśli to, co słyszeliśmy, brzmiało nieprawdopodobnie. Przykładem mogę być choćby ja, kiedy mówiłem, że strajk skończy się do Bożego Narodzenia... te wszystkie lata temu. Ta ostatnia informacja nie okazała się więc oczywiście wyjątkiem. Dodatkowo była prawdopodobna.

Po zakończeniu strajku głodowego część zapewnień, jakie nam składano, dotyczyła odzyskania utraconego umorzenia wyroku. Wszystko brzmiało dobrze w teorii poza tym drobnym „ale”, że - jak wszystkie umowy z Brytyjczykami - miało to Haczyk 22. Aby uzyskać umorzenie, musielibyśmy wykonywać prace więzienne. Po upływie trzech miesięcy harówki utracone umorzenie zostałoby przywrócone. W mojej sytuacji, na przykład, gdybym pracował przez trzy miesiące, zostałbym zwolniony u końca trzech miesięcy zamiast dwóch i pół roku, które pozostały z mojego bezprawnego wyroku.

Propozycja wydawała się kusząca, rzecz jasna, i Angole to wiedzieli. Była to jednak stara sztuczka z gatunku „dziel i rządź”. Ja z kolei przyjąłem perspektywę, że gdybym w ogóle nie wziął udziału w proteście z Kocami, wróciłbym do domu prawie trzy lata temu. I nie należało zapominać o pewnych

elementach, takich jak: żadnego komitetu powitalnego, żadnej nagości, poniżenia, upokorzenia, żadnych rewizji, sondowania analnego przed lustrem, żadnych zmian skrzydła, przymusowego mycia i okrutnych pobić.

„Pieprzyć to” - myślałem. „Zostało dwa i pół roku. Nie ma sprawy”.

Dni, tygodnie, miesiące i lata zmian skrzydła, bicia. W głębi duszy wiedziałem, że któregoś dnia wyjdę na wolność. Marzyłem o tym bez końca, we dnie i w nocy, było to jak gra przygodowa, zaciskałem wolność w pięściach, płonęła mi ona w świadomości przez cały czas.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, jaka naprawdę czekała na mnie niespodzianka, kiedy lata później wolność w końcu przyszła...

27. PRAWDZIWA WIELKA UCIECZKA, MINUS STEVE MCQUEEN

Przypadek i niepewność stanowią dwa najbardziej powszechne i najważniejsze elementy działań wojennych.

Clausewitz

Na tydzień przed datą ucieczki nadal było sześciu protestujących ludzi, którzy odmawiali zakończenia protestu. Wszyscy odsiadali długie wyroki i widzieli w proteście jedyny sposób skutecznego wyrażania siebie. Zakończenie protestu było dla nich wielkim krokiem.

Derek Dunne, *Out of the Maze*

- Po co, do cholery, ciągniecie ten protest?

Pytanie, które zadawali nam klawisze, Angole i Kościół przez te wszystkie lata, teraz padło z niespodziewanego źródła: z ust dowódcy Bloków H.

Żył nabrzmiały mu na skroniach, podczas gdy jego twarz z czerwonej stała się purpurowa.

- Dostaniesz zawału, jeśli się nie uspokoisz - poradził Blute, przy którego ogromnym cielsku jęczące krzesło, na którym siedział, wydawało się malutkie.

Minęły miesiące, odkąd zakończył się oficjalny bunt, pozostawiając mnie i pięciu innych w proteście *de facto* na własną rękę.

- Ruch powinien stanowić priorytet w waszych działaniach - mówił dalej dowódca, ignorując radę Blute'a. - Emocjonalny, choćby z nie wiem jak dobrych pobudek, sprzeciw podsyca jedynie tarcia, gdy potrzebujemy przede wszystkim jedności.

Zaczerpnął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze. Nie udało mu się wyrzucić wrażenia, na jakie liczył.

- To był dla nas wszystkich traumatyczny protest. Wszyscy cierpieli. Ci, którzy umarli, byli naszymi przyjaciółmi. Ale musimy zacząć korzystać z tego, co udało nam się wywalczyć, i to szybko. Potrzebujemy całkowitej jedności i proszę was, żebyście rozważyli moje argumenty i zrobili to, co najlepsze. Nawet jeśli będziecie musieli przełknąć dumę...

Nikt już go nie słuchał. Wysłuchiwaliśmy tego wszystkiego, najpierw co tydzień, teraz codziennie. Byliśmy zdecydowani. Nasza wola była niezachwiana. Nie zamierzaliśmy zawracać. Niezależnie od wszystkiego.

Dowódca zerknął za okno, potrząsnął głową w zadziwieniu po czym usiadł zmęczony. Stracił energię, jakby przekonywanie nas było ponad jego siły.

- W porządku - powiedział bardziej do siebie, niż do nas.
- Jedynie dwoje ludzi w Bloku wie, co zaraz wam powiem. Niech Bóg ma was w opiece, jeśli puścicie parę z gęby.

Pochylił się na krzesło i szeptał tak cicho, że ledwie go słyszałem.

Zbliżała się największa ucieczka w historii Irlandii, niczym niepowstrzymany pociąg pełen stali i odwagi. Nikt nie mógł go zatrzymać, jego determinacji, jego celu. Nikt. Ani Angole, ani klawisze.

Wtedy nasza szóstka podjęła decyzję: będziemy więcej niż dumni, mogąc wcielić ją w życie.

28. NIEDOKOŃCZONE SPRAWY

Nadeszła godzina rozstania i każdy z nas idzie swoją drogą -ja, by umrzeć, a ty, by żyć. Która jest lepsza, jedynie Bóg wie.

Sokrates, cytowany przez Platona w *Obronie*

Wszyscy jesteśmy skazani na samotność wewnątrz naszej własnej skóry, dożywotnio!

Tennessee Williams, *Orpheus Descending*

Nadszedł nasz dzień. Krąg był sceną zorganizowanego chaosu. Więźniowie - ci, którzy brali udział w ucieczce - biegali we wszystkich kierunkach, niektórzy w mundurach klawiszy, którzy byli teraz związani i zamknięci w jednym pokoju. Na zewnątrz pomieszczenia kontrolnego leżało ciało klawisza, jak wyrzucony przez fale na plażę wieloryb, krew ciekła z rany jego głowy. Odmówił oddania kluczy, kiedy poprosił go o to Ochotnik. Jego odważny lub niemądry akt nagrodził go tym, co było nieuniknione: kulą w głowę.

Grupa więźniów otaczała rannego mężczyznę, oferując mu słowa wsparcia. Mówili, że nie umrze, próbując zatamować upływ krwi.

Byłem wściekły, że dbają o los jakiegokolwiek klawisza po tym, co wszyscy przeszliśmy. Ale zaraz moje nastawienie się zmieniło, kiedy zdałem sobie sprawę, że mógł to być Ochotnik lub inny klawisz, który nam pomagał.

Kiedy zbliżyłem się nieco, moje wyrzuty sumienia szybko przeobraziły się w euforię. Był to nie kto inny, tylko Ludzki Wyprysk.

Ejdetyczne obrazy jego stryczka przywiązanego do penisa i ciągniętego narządu, jego brudne, przypominające kiełbasy paluchy sondujące odbyty nagich mężczyzn, oddawanie przez niego moczu do ust śpiących więźniów. Nie, zdecydowałem, jeśli naprawdę istnieje Bóg, Ludzki Wyprysk powinien to przeżyć. Ale jedynie jako warzywo, zamknięty w swoim kokonie perwersji. Rewanż długo był odwlekany, ale teraz, kiedy już nadszedł, chciałem się nim cieszyć tak długo, jak to tylko możliwe.

Odkąd Christian Fletcher stłukł na kwaśne jabłko Kapitana Bligha dziewięcioogoniastym kotem, żadna sprawiedliwość nie była równie słodka. Nikt nie zasługiwał na to równie mocno, jak Ludzki Wyprysk; niemal uwierzyłem znowu w Boga. (Niestety Ludzki Wyprysk rzeczywiście przeżył i otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń za odwagę, po to tylko, żeby lata później zostać postawiony przed sądem za molestowanie seksualne jego własnych bratanków i bratanic. Oczywiście żaden więzień nie był tym odkryciem zaskoczony, wątpiliśmy też, czy jakkolwiek klawisz był zszokowany. Od lat wiedzieli, że był pedofilem i maniakiem seksualnym).

Wyglądało na to, że wszystko idzie jak z płatka. Wszystkie główne cele Bloku zostały osiągnięte. Pozostało tylko czekać na Radosną Ciężarówkę. Nie mogło to już trwać długo...

- Jedzie! Jedzie Radosna Ciężarówka! - krzyknął Ochotnik.

- Posprzątać ten bałagan, szybko! - zakomenderował dowódca. - Wy dwaj? Pomóście sanitariuszowi przesunąć Wypryska. Pozostali zachowujcie się jak klawisze. Nie nawalcie.

Ostatnie dwa słowa zostały wypowiedziane jako rozkaz, ale też prośba. Chodziło o zachowanie pozorów normalności, na których opierał się cały plan.

Kierowca Radosnej Ciężarówki skinął na klawisza - przebranego więźnia - przy bramie, kiedy ta się otworzyła, pozwalając mu wjechać do środka. Doskonale. Zapraszam do mojego salonu, powiedział pająk do muchy.

- Jak leci? - zapytał kierowca, ale nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Widzisz, jak kończą bohaterowie? - powiedział więzień do kierowcy, wyciągając nagle broń i przykładając ją do głowy zdziwionego człowieka.

Kierowca wkroczył do koszmaru każdego klawisza, w którym więźniowie przejmują kontrolę oraz trzymają zakładników. A to było gorsze od dramatu, bo działo się naprawdę. Fakt, że jego towarzysz strażnik leżał umierający lub martwy na podłodze nadawał sytuacji jeszcze bardziej realny wymiar.

Przybysz tylko kiwał głową jak zombie. Niewiele brakowało, aby zemdłał w tych nowych dla niego okolicznościach. Czuł, że musi iść do toalety. Czy kiedykolwiek naubliżał tym mężczyznom? Czy będą go obwiniali za ochłapy, które ten nędzny kucharz nazywał jedzeniem? Był tylko kierowcą, na pewno to rozumieli, prawda? „Zawsze robiłem wszystko, żeby było ciepło. To ten sukinsyn kucharz! To on powinien tu być, a nie ja. To nie w porządku! Dlaczego musiało paść na mnie, dobry Boże?”.

- Przewieziesz nas spokojnie przez wszystkie bramy. Zrozumiano?

Kierowca machinalnie kiwał głową. Język odmówił mu posłuszeństwa. Musiał iść się wysrać.

- Mamy granat oraz broń palną. Każdy z nas ma dożywcie i nic do stracenia. Spróbujesz czegoś głupiego, a wówczas wszyscy wylatujemy w powietrze. Zrozumiano?

„O, Boże! Pieprzony granat! Już po mnie! To wariaci, ci Ludzie od Koców. Wszyscy to wiedzą. Już nie żyję. Ten pieprzony sukinsyn kucharz!”

- Dobrze, dobrze! Możesz już przestać kiwać głową - powiedział więzień z bronią. - Zrozumieliśmy.

Kierowca nie mógł przestać, ale kto by go za to winił? Ja sam w podobnej sytuacji pewnie równie żywiołowo ruszałbym tą częścią ciała. Może nawet bardziej gwałtownie. Wszystko jednak opierało się teraz na strachu. Czy dość już się boi, czy też spróbuje w ostatniej chwili być drugim Ludzkim Wypryskiem? Było to pytanie retoryczne, jako że w tej chwili więźniowie - w tym Biute oraz Gęs - ładowali się do Radosnej Ciężarówki.

Gdy Radosna Ciężarówka oddalała się w głąb podwórza ze swoim cennym ładunkiem na pokładzie, zastanawiałem się, czy w końcu, choć raz, będzie wierna swojej nazwie.

Bieg wydarzeń w połączeniu ze świadomością, że w każdej chwili klawisze oraz uzbrojeni Angole mogą wpaść przez te drzwi, była wielkim bodźcem do jak najszybszego wprowadzenia w życie naszej strategii spalonej ziemi. Wszystko było puszczane z dymem: zdjęcia, akta, karty cel. Wszystko, by w rezultacie wprowadzić zamieszanie.

Nie mogłem powstrzymać się przed zajrzeniem do pomieszczenia, gdzie rozebrani do bielizny, przytuleni do siebie siedzieli klawisze, bojąc się o swoje życie.

Nasz strach trwał latami. Ich tylko kilka minut. Czuję się oszukany, że ich kara będzie tak lekka. Chciałem to naprawić. Z łatwością mogłem podpalić pokój i pozwolić Bogu dokonać sądu. Niewinni by przetrwali, podczas gdy winni - zginęli.

Niewielkie płatki dymu unosiły się z tłących się dokumentów, a jednocześnie krew Ludzkiego Wypryska stworzyła

plamę w kolorze wina i w kształcie znaku zapytania. Zastanawiałem się, jak daleko chłopaki dotarli i o czym myślą, kiedy zatrzymują się pod bramami. Jakim sposobem mogłoby im się udać przedostać przez jedną bramę, a co dopiero przez szesnaście?

Około godziny później nasze tajne radio nadało odpowiedź.

„Powtarzamy wiadomość z ostatniej chwili. Podjęto próbę ucieczki z Labiryntu (Long Kesh). Szczegóły wciąż nie są znane, wiemy jednak, że pewna liczba mężczyzn została zatrzymana...”

O kurwa. Byłem zdruzgotany. Wszyscy złapani. Czuję się chory. Przeklinałem Boga. Nie mógł nam pozwolić na jedną ucieczkę, po tych wszystkich jebanych latach. Co za Bóg pozwoliliby...

„Znaczna ich liczba wciąż pozostaje na wolności...”.

Boże, wybacz mi! Wiedziałem, że jesteś naprawdę po naszej stronie.

Natychmiast cały Blok wybuchł wulkanem radości pod hasłem: „Nasz czas wreszcie, kurwa, nadszedł”. Drzwi trzaskały niczym gromy, meble odbijały się od ścian. Włosy stanęły mi na głowie, naładowane elektrycznością, i przysięgam, że moje stopy uniosły się nad ziemią.

Popatrzyłem za okno i zobaczyłem własny uśmiech. Dokonaliśmy niemożliwego. Uciekliśmy z niedostępnej fortecy tak uwielbianej i chwalonej przez Thatcher, z której miało nie być wyjścia. To była najlepsza zemsta. Tej nocy niejedna osoba się pochoruje.

W tym momencie pojawili się oni, niczym dywan insektów pokrywający całe podwórze. Klawisze i ciesząca się złą sławą RUC - Królewska Policja Ulsteru. Byli rozzłoszczeni, ale i ostrożni. Więźniowie mieli broń. Trzeba uważać. Już bez broni byli dostatecznie szaleni...

Mój własny spokój mnie zadziwił. Chciałem, żeby przyszli, zobaczyli niezwyknięzonych Ludzi od Koców.

Naczelnik się zataczał, potykał jak pijany, kiedy wszedł do Kręgu z pistoletem w dłoni. Nie mógł zrozumieć anarchii, która go tu powitała; jego ludzie związani i rozebrani do bieliźny, ranny klawisz i dokumenty obracające się w popiół.

- Sukinsyny! Ktoś za to zapłaci! - wrzasnął jak ranny pies wyjący do księżycy.

- Co myślisz, Samie? Wiadomości podają, że zastrzelono kilku klawiszy - powiedział Pat.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że to prawda - odparłem.

Drzwi zaczęły się otwierać. Naczelnik w towarzystwie oficera zwierzchniego, klawisza i dwóch bandytów z RUC przeprowadzał szybki remanent, desperacko starając się dowiedzieć, kogo brakuje, a kto jest na miejscu. Moje ogniska zrobiły swoje. Wściekły naczelnik niezbyt szybko określił nazwiska uciekinierów. Im później, tym lepiej.

- Głuchy jesteś, Millar? Powiedziałem rusz się! - wrzasnął klawisz prosto w moją twarz.

Powoli uniosłem się z łóżka i jak najwolniej poszedłem w stronę Kręgu, który stanowił teraz mroczną winietę dymu i krwi, klawiszy i glin, wszystkich ponurych, jak Oranżyści w wigilię Trzech Króli.

- Zdejmuj buty! - warknął klawisz.

- Sam je zdejmij - odwarknąłem.

Z pomocą kilku innych klawiszy tak właśnie zrobił. Następnie poszły moje jeansy, koszula, bielizna. Inni więźniowie przechodzili przez to samo. W końcu zostaliśmy poprowadzeni siłą na zewnątrz, na podwórze, nadzy. Małe kamyki raniące mi stopy kazały mi myśleć o plaży Bangoru, mimo że zamiast wołających mew w oddali słyszałem szczekanie.

Kiedy przekroczyłem bramę innego Bloku, zobaczyłem psy ustawione w dwóch rzędach, ciągnące wściekle łańcuchy, na których były trzymane. Zmuszono nas do przejścia pomiędzy nimi, a czworonogi rzucały się na naszą nagą skórę. Chłód znieczulił pierwsze uszczypnięcie, ale drugie i trzecie już poczułem. Potem psy zaczęły już gryźć, a ja zacząłem krzyczeć, nienawidząc siebie za ten akt słabości.

Zwierzęta były teraz oszalałe i rzucały się bez opamiętania. Gryzły, kłapały i rozdzierały bezkarnie skórę.

- Sukinsyn! Kopnął psa! - wrzasnął klawisz.

Ktoś popełnił świętokradztwo. Straszne!

- Kopać bezbronne stworzenie - krzyczeli klawisze i gliny, kopiąc nagiego mężczyznę. - To go naucz, skurwiela!

„Całkowicie pozbawiony strachu człowiek” - pisał Melville w *Moby Dicku* - „jest dalece bardziej niebezpiecznym towarzyszem niż tchórz”. Mogłem się tylko zgodzić z tym stwierdzeniem, obserwując więźnia, jak konsekwentnie bezsilnymi kopniakami nagich stóp odpędzał psy i klawiszów. Za każdym razem, gdy padał, metodycznie się podnosił.

Nikt nie umknął psom.

Następnego ranka dotarły do nas raporty o tym, ilu ludziom udało się przedostać na wolność, a jak wielu zostało złapanych. Więzienie przeżyło całkowity zastój, gdy Angole przeprowadzali dochodzenie - jak niemożliwe stało się możliwe. Po tym zajściu nic już nie miało być takie samo. Wiedzieliśmy o tym doskonale. Klawisze też zdawali sobie z tego sprawę.

Ironicznie i słusznie ucieczka przyniosła nam wszystkim dodatkową korzyść w postaci braku konieczności wykonywania prac. Stało się to normą. Nie mogliśmy być karani za odmawianie robienia czegoś, czego już robić nie mogliśmy.

Tymczasem w kilka miesięcy później znalazłem się w furgonetce zmierzającej do Recepcji, zmierzającej do domu. Przeżywałem odwrotne *déjà vu*. Była to długa i uciążliwa podróż, a dla mnie autentyczna próba wiary.

- Podpisz to - oznajmił naczelnik, wyciągając do mnie kartkę już na terenie Recepcji.

- Co to takiego? - zapytałem, nie dotykając jej, z rękami założonymi wyzywająco.

- Zapewnienie, że nigdy nie będziesz w posiadaniu broni albo materiałów wybuchowych. Podpisz, jeśli chcesz wrócić do domu.

- Nie. Gówno podpiszę.

Jego twarz przybrała kolor buraka. Czterech otaczających go klawiszy nie mogło uwierzyć własnym uszom.

- Lepiej to podpisz, Millar - doradził mi jeden z nich.

- Bo co mi zrobicie?

Klawisz popatrzył na naczelnika, prosząc o radę.

- Na przykład zatrzymamy cię tu do ósmej wieczorem! - Na jego ustach pojawił się uśmiezek. - Mamy pełne prawo.

Omam nie posikałem się ze śmiechu.

- Zatrzymacie mnie tu do wieczora?

- Dokładnie.

- Trzymaliście mnie tu przez osiem długich pieprzonych lat. Naprawdę myślicie, że cokolwiek mnie obchodzi kolejne kilka godzin?

Jego twarz była gotowa eksplodować.

- Zamknąć go w boksie. Zatrzymać do wieczora! Kolejne osiem godzin wybije mu z głowy bunt!

Pośpiesznie wrzucono mnie z powrotem do boksu, zatrzaśnięły się za mną drzwi. Słyszałem odchodzące kroki naczelnika i klawisza. Pogrążyłem się w całkowitej ciszy i nagle załąły mnie wspomnienia - te wszystkie lata temu, gdy zostałem

pobity i odarty z ubrań, czekałem na zabranie do Bloków, co było początkiem koszmarnej podróży. Tyle cierpienia, śmierci, tortur. Jak, do kurwy nędzy, udało się mi - nam, Ludziom od Koców - przetrwać to wszystko?

- Dalej, Millar. Na zewnątrz. Czeka na ciebie furgonetka, która zabierze cię pod frontową bramę.

Nie wiedziałem o tym, że duża grupa moich przyjaciół, rodziny i sąsiadów zebrała się pod bramą więzienia, domagając się mojego natychmiastowego zwolnienia i grożąc powiadomieniem mediów.

Tego naczelnik raczej nie chciał.

Mój ojciec i brat Danny powitali mnie przy bramie. Minęły lata, odkąd ostatnim razem ich widziałem. Ojciec nic nie powiedział, potrząsnął tylko moją dłonią i uśmiechnął się z dumą. Słowa zostawił mojemu starszemu bratu, Danny'emu.

- Witaj w domu, dzieciaku.

CZEŚĆ DRUGA

NOWY JORK

29. KASYNO

Wszyscy słynni ze swojego geniuszu... mieli inklinacje do szaleństwa.

Arystoteles

Życie jest hazardem wobec strasznych przeciwności - gdyby był to zakład, nie przyjąłbyś go.

Tom Stoppardi, *Rosencrantz i Guildenstern nie żyją*

Mieszkałem teraz w Queens, największej z pięciu gmin składających się na Nowy Jork, która przy zamieszkujących ją ponad stu grupach etnicznych była również najbardziej etnicznie zróżnicowana. Na Manhattanie uczyłem się na krupiera w miejscowym kasynie.

Przyszedłem wcześniej, żeby uzyskać nieco dodatkowego treningu, po czym zdecydowałem się na dziesięciominutową przerwę na piętrze. Kobaltowy dym unosił się w górę, związał, by w końcu rozproszyć się pod wysokim stropem. Nisko pod mną ludzie tłoczyli się przy stołach, starając się rozgrywać szczęście przeciwko umiejętnościom, umiejętności przeciwko szczęściu. Tysiące dolarów zmieniały właścicieli w mgnieniu oka.

Przeglądałem się zafascynowany zręcznościami krupierów, połączeniem prędkości boksera i arytmetycznej perfekcji. W Belfaście nazywaliśmy tę grę dwadzieścia jeden albo oczko, tutaj nazywali ją „blackjack”.

Stoliki karciane miały kształt półksiężyca, pokryte były puszystą zielonością. Ich wielkość była odpowiednia, ażeby

pomieścić siedmiu klientów. Było dziesięć stolików, gra szła pełną parą. Za siedzącymi klientami stało więcej chętnych do gry, czekających na miejsce siedzące lub stawiających na dżokeja zza pleców siedzących.

- Gdzie, do cholery, jest Nicky? - wrzasnął Bronx Tommy, jeden z managerów. Pieniądze wyciekały z kasyna w zatrważającym tempie. Nicky był najlepszym krupierem kasyna, miał smykałkę do ratowania sytuacji, ale ze sposobu, w jaki wygrywali klienci, wnosilem, że bardziej odpowiednie będzie zanieśienie modłów do świętego Judy.

- Gdzie, do cholery, jest Nicky? - powtórzył Bronx Tommy, jego jedyne zdrowe oko przeszukiwało całe kasyno. Byłem pewien, że spojrzał wprost na mnie. Szybko cofnąłem się poza zasięg jego wzroku na wypadek, gdyby chciał mnie wmieszać w tę sprawę.

Poza „achami” i „ochami” zwycięstw i porażek blackjack jest cichą, nerwową grą, w której większość komunikatów przekazuje się delikatnymi ruchami palca albo dłoni. Gest palca prosi o następną kartę, podczas gdy cięcie dłonią oznacza, że klient zostaje z tym, co posiada. Zasady są bezwzględnie przestrzegane: kiedy krupier zwolni kartę z „buta” - długiego pojemnika z pleksiglasu - nie można jej już zwrócić. Z tej przyczyny klient musi uważać, żeby nie podrapać się w niewłaściwym momencie albo pomachać do znajomego. Zwykłą karą jest niechciana karta.

Kasyna znane były w Nowym Jorku jako miejsca spotkań po godzinach. Najczęściej były to duże domy przerobione i stylizowane na kasyna z Atlantic City - choć na dużo mniejszą skalę. To, czego brakowało im w rozmiarze, nadrabiały z nawiązką swoją przytulnością i klasą, choć tylko w części wymienionym cechom zawdzięczały swoją popularność.

Głównym powodem dostatecznej sławy były podatki. W Nowym Jorku kasyna nie opodatkowują wygranych. Nie ze względu jednak na swoją szczodrość, lecz z tego powodu, że wszystkie tego typu miejsca są w całym stanie nielegalne. Stało się to jednocześnie przyczyną jednej obawy, która przeważała nad wszystkimi innymi czarnymi scenariuszami. Największy lęk bowiem budziły potencjalne wizyty oficerów Moralności Publicznej, czyli band glin z dwuręcznymi młotami, których praca polegała na zamykaniu kasyn; w każdym razie tych, które odmawiały wręczenia im łapówki. Gliny zawsze zwiększały natężenie swoich najazdów, kiedy nadchodziły wybory, ponieważ był to skuteczny sposób, by poprawić swój wizerunek w oczach miejscowych polityków. Przebierały się za biznesmenów, ludzi spoza miasta albo kogokolwiek, kto łatwo mieszał się z tłumem, po czym najeżdżały kluby, zwykle pomiędzy ósmą rano a pierwszą po południu. Pozostawiały po sobie wizytówki w postaci zmiażdżonych stołów i zniszczonych instalacji. Naprawdę zaś chodziło im o rzecz prozaiczną, i to tę samą, o którą chodziło nam - o pieniądze.

- Powiedz, gdzie to jest, a nie będzie zniszczeń, tylko konfiskata. - Miał na imię Murphy i wyglądał odpowiednio. Był ich szefem, żył z wandalizmu.

Właściciel kasyna nienawidził tych funkcjonariuszy, a jego polityka względem nich była prosta: ani centa. Nawet jeśli groziło to zdemolowaniem całej sali.

Kiedy Murphy słyszał, że nie mamy pojęcia, o czym mówi, przeobrażał się we współczesnego Thora, jego młot powalał ściany, a stoły karciane łamał na pół. Tymczasem, niezależnie od tego, ilu zniszczeń dokonali, nigdy nie byli w stanie znaleźć pieniędzy. Pozostałości swojego gniewu pożytkowali, umieszczając nas w areszcie na noc lub dwie, aż sędzia wyznaczał grzywnę - zwykle kilkaset dolarów na głowę - i upominał nas, byśmy więcej nie łamali prawa.

Kasyna działały siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Klienci dostawali za darmo jedzenie i alkohol, jak również transport dla tych, którzy sobie tego życzyli. Krupierzy rekrutowali się z każdej warstwy społecznej i rozmaitych krajów, jak Korea, Portoryko czy Kanada. Kiedy zaczynałem, tylko dwie osoby kierujące grą pochodziły z Irlandii. W ciągu nadchodzących miesięcy miało się to drastycznie zmienić.

Właścicielem kasyna był Amerykanin irlandzkiego pochodzenia o imieniu Mac, który dorobił się milionów. Jego rodzina przybyła z hrabstwa Tyrone. Miał za sobą odsiadkę za zabicie człowieka i był niegdyś bossem irlandzkiego gangu, który kontrolował Bronx i południowy Manhattan. Ten skromny i obdarzony łagodnym głosem mężczyzna rzadko był widywany w kasynie, nie licząc Bożego Narodzenia, kiedy dziękował krupierom i przekazywał im kopertę zawierającą pieniężny podarunek.

Opiekunem Maca był mężczyzna o imieniu Ronnie Gibbons, pochodzący z Liverpoolu były bokser, mający wysokie mniemanie o swoich pięściach i umyśle. Kopię *Rozmyślań* Marka Aureliusza zawsze miał w zasięgu ręki i bez końca cytował tego stoika. Ronnie przypadkiem wpadł na Maca w prestiżowym klubie sportowym na Manhattanie, gdzie wykonywał swoje ćwiczenia przy worku bokserskim.

Mac był najwyraźniej pod wrażeniem tego, co wówczas zobaczył.

- Mógłbym skorzystać z usług kogoś takiego jak ty w moim klubie - powiedział, wręczając Ronniemu wizytówkę. - Zadzwoń do mnie kiedyś.

Normalnie Ronnie подарłby wizytówkę. Sam był sobie panem, a myśl o pracowaniu dla kogoś zwyczajnie go mierzila. Taki układ nazywał niewolnictwem. Ale coś kazało mu schować kartonik do kieszeni, był bowiem świadomy, z kim

rozmawiał. Ronnie uważał się za filantropa w łachmanach, współczesnego Robin Hooda. Wierzył, że należy odbierać bogatym i dawać biednym. Czasami, gdy nieco zagubił się w meandrach tej filozofii, trudno było mu odróżnić biednych od siebie samego.

Kiedy po raz pierwszy pojawił się w kasynie, stał się nie tyle zwykłym bramkarzem - kim chciał zrobić go Mac - co majstrem od wszystkiego. Jeśli trzeba było wymyć łazienkę, a dozorca nie przyszedł do pracy, Ronnie szybko brał się do roboty i pozostawiał ją nieskazitelnie czystą. Przepalona żarówka wymagała wymiany? Ronnie pojawiał się z drabiną. Klient wołał o drinka, gdy barmana nie było w pobliżu? Raz-dwa podchodził Ronnie z tacą pełną trunków. Potem znowu się pojawiał, pomagając klientce założyć płaszcz. Co za gość!

Tak w każdym razie myślał Mac, gdy Ronnie dopracowywał wszechobecność do perfekcji, nabierając wszystkich, prócz Barney'a Jamesona, opiekuna Maca z tamtego okresu.

- Coś jest z nim nie w porządku - narzekał Jameson ojcu Maca, Johnowi, gdy obaj liczyli wygrane ze zmiany od czwartej do dwunastej. - A ten jego sztuczny akcent doprowadza mnie do szału.

- Nie pije - powiedział John, sącząc swoją drugą dużą whisky tego dnia. - Nigdy nie ufałem facetowi, który nie pije. To jakby papież uprawiał seks. Coś jest w tym nie w porządku.

- Słuchajcie, wy dwaj. Ronnie tu zostaje - powiedział Mac, sprawdzając wyniki swojego ojca na karcie wypłat. - Ma wielki potencjał, szczególnie w pięściach. Mógłby stać się dobrym nabytkiem dla naszej firmy.

Tych dwóch słów Jameson wolałby nie usłyszeć: potencjał i nabytek.

- Nadal nie ufam facetowi, który nie pije - mruknął ojciec Maca.

Kilka miesięcy później los zesłał Ronniemu zwycięską kartę w postaci usiłowania napadu.

Rabuś, nastolatek, został ogłuszony dzięki szybkiemu refleksowi i myśleniu Ronniego.

- Mogę wytypować zwycięzcę? - uśmiechnął się Mac, słysząc najnowszą wiadomość.

Tydzień później, mimo protestów Jamesona, Ronnie został awansowany na stanowisko managera, na którym szybko pokazał, na co go stać. Dokonał restrukturyzacji ochrony w celu zapobieżenia ponownej napaści; sprawdził, a później skontrolował raz jeszcze koszty, można powiedzieć - każdy wydany dolar został obejrzany pod światło.

To sprawiło, że między nim a Jamesonem pojawiły się animozje.

- Za dużo płacimy za alkohol - powiedział Ronnie na spotkaniu managerów. - Firma nie konsumuje połowy tego, za co jesteśmy obciążani rachunkami.

Ronnie rozłożył rachunki na małym, owalnym stole naprzeciwko Maca.

Alkohol dostarczał szwagier Jamesona, ten więc szybko zaczął go bronić.

- Firma ma dobry układ z dostawcą. A poza tym, co to za tekst: „jesteśmy”? Można by pomyśleć, że to ty jesteś właścicielem, a nie Mac.

Sprawiło to, że zabrzmiał, jakby się bronił. Zdał sobie z tego jednak sprawę zbyt późno.

- Mówię w imieniu nas wszystkich - wyjaśnił spokojnie Ronnie. - Zyski i trwałość firmy powinny - muszą - być najważniejsze.

Mac patrzył z zaciekawieniem. Mądra sowa wiedziała, że prędzej czy później dwa koguty zetrą się w walce o swoją część wiejskiego podwórza.

- Co cię łączy z Mike'em Boomem? - zapytał Ronnie.

Podszedł blisko do Jamesona.

- Co to znaczy? Jest moim szwagrem, jak Mac, i wszyscy o tym wiedzą. Co insynuujesz, synu? - syknął Jameson.

- Mówię, że być może twój szwagier myli się w obliczeniach. To się zdarza. Pewnie tego nie chciał... Być może jest nieuważny. Na pewno sprostuje swój błąd, jeśli damy mu taką szansę.

- O czym ty mówisz? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Oceniam jego „błąd” na pięć patyków w zeszłym roku, a nie sprawdziłem jeszcze rachunków w poprzednim. Kto wie, jaka będzie końcowa kwota?

- Mac? - powiedział Jameson z niedowierzaniem. - Wierzysz temu chłoptasiowi? Obraża mojego szwagra, który daje firmie więcej niż dobre ceny.

Mac nic nie powiedział, przyglądał się tylko, zafascynowany ciszą panującą w pomieszczeniu. Każdy manager - ośmiu ich było - życzył sobie, by być gdzie indziej. Nie z powodu upokorzenia Jamesona, ale dlatego, że zastanawiał się, czy on nie będzie następny. Szybko każdy z nich przypomniał sobie dawne postęпки i żadnemu się nie spodobało to, co zobaczył w pamięci.

Ronnie uderzył Jamesona z całej siły w twarz, pozbawiając go przytomności.

- Malutki! Chodź tu, proszę - krzyknął Ronnie.

- Tak? - zapytał Malutki, ogromny wykidajło, wchodząc do pokoju.

- Wyrzuć tę kupę łajna do kosza na zewnątrz.

- Co?

- Nie wolno mu zbliżać się do kasyna. Nigdy. W porządku?

Gdy zabrakło Jamesona, ojcu Maca pozostawiono podsumowanie.

- Nigdy nie ufałem temu Jamesonowi, od chwili, gdy go spotkałem, Ronnie. Za dużo pił, jak na mój gust - powiedział, sięgając po kolejną dużą whisky. - Nigdy nie ufaj człowiekowi, który za dużo pije.

Ronnie tylko się uśmiechnął.



- Gdzie, do cholery, jest Nicky, ten cholerny komuch! - wołał dalej Bronx Tommy, sięgając po kolejną tackę chipsów. - Mordują nas ci Chinole i Żydzi, a tego małego drania ciągle nie ma!

Nicky był najlepszym krupierem kasyna. Miał błyskawiczne palce i umysł, był przy tym duszą towarzystwa. Pochodził z Rumunii i zawsze nosił pod pachą mały pistolet. Z oczywistych powodów żaden klient się na niego nie denerwował.

Gniew Bronksa Tommy'ego to była zupełnie inna para kaloszy. Jego brutalne życie rozpoczęło się wtedy, gdy skończyło się życie jego matki - podczas porodu. „Złe, brzydkie niemowlę” - zażartowała pielęgniarka, która wołałaby raczej zobaczyć śmierć dziecka niż matki. Mając osiemnaście lat widział już od wewnątrz Atticę, Sing Sing i Green Haven*. Próbował szczęścia jako osiłek w irlandzkim gangu w Bostonie, gdzie dwa razy został postrzelony w twarz, tracąc przy tym oko. „Cholernie denerwujące. Jakby mieć piłkę golfową zamiast jabłka Adama”. Zauważony przez Maca jako nieoszlifowany brylant, został zatrudniony jako bramkarz i odzwierny, przynosząc ze sobą przenikliwość człowieka, który przetrwał na ulicy, i nie poddającą się dyskusji lojalność zahaczającą o fanatyzm. Jeśli Doktorek - inny z szefów sali - był podejrzliwy wobec obcokrajowców, Tommy był podejrzliwy wobec wszystkich - włączając w to Doktorka, którego podejrzewał o zarabianie nie tylko na pensji i napiwkach.

* Więzienia w stanie Nowy Jork.

- Wrzuc na luz, Tommy - poradziła mu Susan, asystentka.
- Dostaniesz zawału. Nicky będzie tu lada moment.

- Nie gadaj bzdur, kobieto! Już prawie nam się skończyły czarne żetony. To prawdziwa anarchia! Pieprzony mały komunista.

- Masz, złotko - powiedziała Maria, barmanka z Portoryko, wyciągając ku niemu szklankę czarnego Johnny Walkera, gdy Tommy zbliżył się do baru.

Zawahał się, ważąc konsekwencje większej ilości whisky w tak niestabilnej sytuacji, po czym pozbył się trunku, wlewając go sobie do gardła. Nienawidził marnować dobrej whisky. Nienawidził, gdy whisky trafiała gdziekolwiek indziej niż do jego gardła.

- To było w punkt, Mario. Ale dość tego. Te cholerne wrzody nie dają mi żyć.

- Mówiłem ci, żebyś nie dawała mu drinków - syknął Doktor do Marii, kiedy Tommy powrócił na środek pomieszczenia.

- *Su mama traga sobo* - odparła Maria. (Twoja matka pije spernę).

- Co mówisz? - zapytał podejrzliwie Doktor.

- Powiedziałam, że Tommy jest tu szefem. Nie? Ja zawsze robię to, co on mi powie. A nie ty - odparła Maria, odprowadzając gapiącego się Doktora poprzez zarzucenie włosami.

- Mario? - wtrąciła się Susan, mając nadzieję na załagodzenie sytuacji. - Idź obsłuż klienta.

- *Te huele la pepa hedionda, yuiebra pichas* - Maria uśmiechnęła się do Susan. (Twoja cipka śmierdzi, chuda dziwko).

- Wiem, że moja cipka śmierdzi, Mario. Ale nie mów, proszę, że jestem chuda - odparła Susan, uśmiechając się

bezlitośnie. Następnie zwróciła się do Doktora.

- Nie możesz pozwolić się jej sprowokować. Po prostu ją ignoruj.

- Ci wszyscy latynoscycy krupierzy i kelnerki, których zatrudnił Mac, nie robią dobrze interesowi - odparł Doktorek. - Płaci się im dwa razy więcej niż innym, a za co? Żeby dwa razy szybciej oddawali żetony! Gdybym to ja decydował...

- Ale nie decydujesz, prawda? - powiedział Tommy, stając groźnie za Doktorkiem. - To decyzja Maca, a on może zatrudniać i zwalniać, kogo mu się żywnie podoba.

Choć Doktorek był szefem sali, Tommy był prawą ręką Maca, więc *de facto* szefem. Nieczęsto byli razem na tej samej zmianie, ale kiedy tak się zdarzało, stanowili parę jak proch i iskra - zawsze kończyło się to wybuchem.

- Mówię ci, że ci Latynosi szkodzą firmie. To szaleństwo, że tutaj pracują - odparł Doktorek.

Zdrowe oko Tommy'ego spojrzało gniewnie.

- Koniec dyskusji. Zrozumiano? Jak ci nie pasuje, znajdź inną robotę. To da się załatwić.

Ku mojemu ostatecznemu przerażeniu Tommy nagle mnie zauważył i pomachał, żebym zszedł z piętra i zaczął pracować przy stole numer cztery.

Idąc jak na ścięcie, zauważyłem znak wyjścia i zawahałem się, co powinienem właściwie zrobić. To była moja ostatnia szansa, żeby uciec. Bałem się tej chwili. Moja inicjacja w świecie blackjacka miała właśnie się rozpocząć.

W szkole krupierów uczono nas, że jesteśmy jedynie robotami, maszynami rozdającymi karty. „Nie okazuj emocji. To nie twoje pieniądze. Nie bierz do siebie zwycięstwa ani porażki. Kiedy klient wygrywa - gratuluj, kiedy przegrywa - współczuj. Kardynalna zasada jest nie bratać się z klientami.

Przyłapany na tym jesteś natychmiast zwolniony - żadnych pytań, nie są akceptowane żadne wymówki”.

Zaczerpnąłem głęboki oddech, kiedy zbliżałem się do stołika. Koniec szkoły. To prawdziwe, miążdzące jaja przeżycie.

Jim O'Neill, pochodzący z mojej własnej okolicy, Belfast New Lodge Road, poklepał mnie po przyjacielsku po plecach.

- Nie przejmuj się, Sam. Zmiany skrzydła w Blokach były gorsze.

Uśmiechnął się.

Podobnie jak ja, Jim spędził wiele lat protestując z Kocem. Teraz zwolniony z tych potworności przybył do Ameryki, by rozpocząć porządne życie. Nie najgorzej mu się wiodło, dopracował się dyrektorskiego stanowiska na drzewie awansu - drzewie, które z całych sił pragnąłem z nim dzielić. Miałem jedynie nadzieję, że do czasu, kiedy do niego dotrę, Jim pozostawi dla mnie choć kilka jabłek.

„Będę ci się bacznie przyglądał” - mrugnęło do mnie oko Tommy'ego.

- Jesteśmy osiemnaście patyków w plecy - szepnął, udając, że drapie się w nos. - Mam przecucie, że będziesz jednym z naszych szczęśliwych krupierów, mały.

Właśnie to obawiałem się usłyszeć. Istnieje pewien mit wśród szefów sal, wedle którego są „gorący” i „zimni” krupierzy, krupierzy, którzy noszą ze sobą jakiś szczególny talizman. To bzdury, ale na nieszczęście dla mnie Tommy wierzył w nie mocno. Potrzebowałem czegoś więcej, niż czterolistnej koniuczynki w dupie, by uratować ten Titanic pośród stołów, a myśl, że jestem osiemnaście patyków do tyłu nieszczęśliwie pomagała.

Czułem na sobie oczy wszystkich, kiedy próbowałem potasować karty dokładnie tak, jak uczono mnie w szkole krupierów.

Ale karty przypominały w moich niezdarnych palcach bochenki chleba i kilka z nich upuściłem na ziemię - ku uciesze klientów, którzy zaczęli się śmiać i obrzucać mnie obelgami. Zacząłem się pocić.

- Nie daj się zdenerwować, mały - zachęcał mnie Tommy. - Zetrzemy im z ust te paskudne uśmieszki w trzy sekundy.

Gdybym miał w dłoni broń, bez wątpienia kogoś bym zastrzelił.

Co kilka chwil Tommy wypychał końcem języka swoją protezę dentystyczną, co było obrzydliwym nawykiem.

Po mojej prawej stronie siedział Victor, stary krupier z Atlantic City. Był doskonałym obserwatorem i mówił mi, że taki skrupulatny człowiek jest najważniejszą osobą przy stole.

- Dobry obserwator wypatrzy wszelkie potencjalne problemy w zarodku, zanim wymkną się spod kontroli. Musi być cały czas asertywny. Zwyczajna pomyłka może sprawić, że krupier - albo klient - będzie podejrzany, więc ciężar odpowiedzialności spoczywa na obserwatrze, który ma rozbroić zaistniałą sytuację tak szybko i dyplomatycznie, jak to tylko możliwe, nie pozwalając, by ktokolwiek stracił twarz. Poza tym uważaj na próby odwrócenia uwagi. Panny z cyckami na wierzchu, kawa rozlewana na stół, nawet kutasy udające zawał serca. Ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Ty masz tylko patrzeć na stół. Tylko tyle, niech cię o resztę głowa nie boli.

Było to tak, jakby troszczył się o mnie starszy brat.

W każdej grze zużywa się dziesięć do dwunastu talii kart. W szkole krupierów uczą, jak tasować karty niczym motyl - szybko i doskonale. Ja z wszystkiego, czego mnie uczono, robiłem kpiny. Kiedy już potasujesz, trzymasz talię w jednej ręce wyciągniętej w stronę klienta, podczas gdy druga ręka

trzyma „cut card” - czysty kawałek plastiku w kształcie karty do gry. Za jego pomocą klient przekłada talię, która następnie trafia do „buta”, do którego pasuje jak ulał. Potem następuje rozdawanie z prędkością światła.

Niefortunnie dla mnie moje światło powinno jeszcze trochę przyspieszyć.

- Och, dziewczica? Taki nerwowy chłopiec. Nie będzie bolało.

Była to Koreanka, jak wszystkie klientki przy moim stole. Wszystkie były identycznie ubrane w ciemne kostiumy i czerwone golfy. Paliły jedna od drugiej, dmuchając mi dymem w oczy.

- Przynieś nam szczęście, dostaniesz duży napiwek - uśmiechnęła się chłodno.

- Spróbuję - zakrakałem głosem ochryplym ze strachu.

- Przynieś pecha, a utniemy twoje jaja - powiedziała najmniejsza z tej koterii. Spodobało im się to, więc w rezultacie śmiały się *unisono*.

- Ignoruj je, Sam - poradził Victor. - Chcą ci namieszać w głowie.

Ostrzegano mnie przed koreańskimi hazardzistami. Mają wiele pasji do gry, niemal religijnej. Jeśli wyczuwają słabość u krupiera, nie mają żadnych oporów, by go rozszarpać.

Karty nie chciały wyjść. Zapakowałem je za ciasno.

Victor pochylił się w moją stronę, rozluźniając ich ścisk.

- Tylko spokój może cię uratować, Sam. Nie spiesz się.

- Szybciej! Szybciej! Jesteś za wooolny! - wrzeszczały wszystkie Koreanki.

Powoli, ale jednak zacząłem. Gdy kolejne gry mijały, moja pewność siebie wzrastała. Po czterech grach trochę żetonów zebrało się z powrotem na mojej tacy.

- On nie jest dobry! Dajcie nowego krupiera - krzyczały. -
On rozdaje jak stary człowiek - cholernie powoooooooooli!

Stałem przy stole przez niemal godzinę, ale było to ożywcze doświadczenie. Uderzało mi ono do głowy.

- Chcesz może coś do picia, Samuelu, druhu? - zapytał Bronx Tommy, uśmiechając się promiennie, awansując mnie z „małego” na po imieniu.

Skoło wszystkie żetony znalazły się z powrotem na tacy, klientki musiały je odkupić, żeby grać dalej. Koreanki szybko wyjęły studolarowe banknoty z torebek i położyły je przede mną. Błyskawicznie zawachlowałem pieniędzmi przed Tommym i Victorem, przeliczając je, po czym wpisałem swoje imię na karcie i pokazałem ją obydwu panom, by wreszcie wrzucić banknoty do kasetki na pieniądze, która była przymocowana do stolika, za pomocą wąskiego przepychacza.

W każdym momencie manager może spojrzeć na kartę i dowiedzieć się, ile dokładnie pieniędzy znajduje się w każdej kasetce. Zwykle gdy suma sięga kilku tysięcy dolarów, manager zastępuje pełną kasetkę pustą w celu odstraszenia ewentualnych rabusiów i niedopuszczenia do tego, by pieniądze dostały się w ręce policji. Następnie gotówka jest przeliczana w bezpiecznym zacisku biura i w obecności Maca albo jego ojca na wypadek, gdyby ktoś miał lepkie palce. Potem, o ile pieniądze nie są wysyłane „do domu”, zostają schowane w skomplikowanym labiryncie skrytek i fałszywych filarów, rozmieszczonych strategicznie po całym klubie. Coś tak niewinnego jak puszka po kawie Maxwell House może zawierać setki, o ile nie tysiące dolarów.

Bronx Tommy został oczarowany tym obrotem koła fortuny. Jego szklane oko patrzyło w sufit i wydaje mi się, że dostrzegłem łzę.

- Dość! Idziemy - powiedziała szefowa Koreanek.
Trupa kobiet nagle odepchnęła się od stolika.
- Dobra robota, Samuele, druhu. Zrób sobie dłuższą przerwę. Zasłużyłeś - powiedział Tommy, niosąc kasetkę do biura.
- Nie było tak źle, jak ci się z początku wydawało, co? - zapytał Víctor, zapalając paskudnie pachnące cygaro.
- Nie. Szczerze mówiąc, dobrze się bawiłem, i żałowałem, że sobie poszły.
- Ha! Ciesz się, póki możesz. Karty są kapryśne jak kobiety i koty. Żadnej lojalności, Sam. Ugryzą cię, kiedy tylko będą mogły.

Kiedy opuściłem stół w poszukiwaniu napojów, Doktorek, szef sali, ruszył za mną.

- Przyglądałem ci się, Samie - powiedział Doktorek, którego cechował spokój przedsiębiorcy pogrzebowego i który zawsze ubrany był w ciemne, trzyczęściowe garnitury, doskonale odpowiadające jego ponurej naturze. Staliśmy przy barze, on górował nade mną niczym sęp przyglądający się padlinie. - Zaczynasz się angażować emocjonalnie, współodczuwać z klientami. W każdej innej profesji byłoby to godne pochwały. Tutaj może to oznaczać pocałunek śmierci. Niech ci się nie zdaje, że oni nam współczują, kiedy wygrywają. Nic podobnego. To takie obopólne porozumienie. Rozumiesz?

Zanim mogłem odpowiedzieć albo wyjaśnić, że nie znałem żadnego klienta, Maria poklepała mnie w ramię i zapytała:

- Masz ochotę na coś z baru, kochanie?
- Daj mi coca-colę.

Maria była piękną, sybarycką kobietą, uzależnioną od złota, które zdobiło sporą część jej odsłoniętej skóry. Do tych, których lubiła, zwracała się „kochanie”. Tych, których nie darzyła sympatią, nazywała „ty”. Co mogę „ci” podać?

Dokładnie w te słowa odezwała się do Doktora, nalewając mi colę.

- Wodę - odparł Doktor, nie ukrywając swojej ksenofobicznej pogardy. Był podejrzliwy wobec wszystkich obco-krajowców - włączając w to Marię oraz mnie - i władał biegle rasistowskimi epitetami. Każdy był „Żółtkiem,” „Czarnuchem” albo „Kaktusem”. Za plecami mówił o mnie „Osioł”, co mi ani trochę nie przeszkadzało. W Belfaście nazywano mnie już gorzej.

Doktor zauważył raz, jak Maria czyta książkę Jorge Castanedy *Companero*, klasyczną pozycję o życiu i śmierci Che Guevary, i wściekł się, nazywając ją „komunistyczną suką”. Piękna kobieta jedynie się uśmiechnęła, jeszcze bardziej go rozjątrzając.

Maria naala wodę dla Doktora do malutkiej szklaneczki do whisky - bez lodu - i postawiła ją niebezpiecznie na krawędzi kontuaru, prosząc:

- *Porque no se va a lavar el culo?* (Może byś poszedł umyć dupę?).

- Co? - zapytał Doktor.

- Powiedziałaś smacznego - odparła Maria, ani trochę nie tracąc rezonu i uśmiechając się szeroko. - *Me cago en su madre.* (Sram na twoją matkę).

- Jak już mówiłem, Sam, uczucia w tym biznesie mogą zabić cię szybciej niż karciany rekin z fotograficzną pamięcią.

- Popatrzył niepewnie na wodę, jakby podejrzewał, że Maria coś mu do niej dosypała. - Fizjonomia. Wiesz, co to znaczy?

„Nie mam pojęcia” - pomyślałem, ale wiedziałem, że zaraz się dowiem. Doktor wykrzywił się w grymasie, który miał uchodzić za uśmiech, robiąc przy tym krzywdę swojej twarzy.

- Oznacza to „wygląd twarzy jako odbicie wewnętrznego charakteru”.

Zrobił pauzę dla większego efektu, ale uzyskał jedynie gło-
sne pierdnięcie pijanego klienta w drodze do toalety. Nie po-
mogło i to, że klient ten był rosyjskim imigrantem.

Doktorek popatrzył gniewnie, potrząsając głową.

- Jedno spojrzenie na twoją twarz i mogę ją czytać jak
otwartą księgę. Oni również. - Objął gestem stoliki. - Szcze-
gólnie Żółtki będą wykorzystywać twoje współczucie dla nich.
Uważają to za słabość.

Przestał się krzywić.

- Tak jak i ja.

- Jeszcze trochę coli, kochanie? - zapytała Maria.

- Nie, dzięki, Mario - odparłem, a ona odeszła oglądać z
powrotem operę mydlaną *Days of Our Lives*, ignorując Dok-
torka, który już się złościł na jej wtrącenia.

- Chciałbym, żeby Mac się jej pozbył. Ogląda tylko te ta-
siemce, całymi dniami. Strata pieniędzy firmy - mamrotał
Doktorek, odpychając od siebie nieruszoną szklankę wody. -
Tak, Żółtki i reszta tych szumowin mogą stracić spółki, które
ich rodzice tworzyli przez dwadzieścia lat. I co z tego? To nie
nasz problem. Nie przykładaliśmy im pistoletów do głów.
Prawda? Prawda. Pamiętaj o tym, kiedy wrócisz dziś do domu.

Skinąłem głową. Odszedł.

- Nie pozwól, żeby cię niepokoiło to, co on mówi - pora-
dziła Maria. - Myśli, że jest lepszy od nas wszystkich, że jego
gówno nie śmierdzi, że jego matka - o ile w ogóle ją miał - nie
musiała się pieprzyć, żeby go urodzić.

Pochyliła się w moją stronę poprzez ladę i szepnęła:

- Chodź tu. Coś ci o nim powiem.

Pochyliłem się w jej stronę. Zapach brandy i czekolady
wymieszanych z drogimi perfumami Chanel uniósł się z jej
pięknego dekoltu.

- Cały czas, kiedy tu jestem, on ani razu nie próbował mnie poderwać. Wiesz dlaczego, kochanie?

- Nie, Mario. Dlaczego?

- On jest *mama pingas* - syknęła przez swoje białe i złote zęby, jej olśniewający uśmiech pełen był figlarności.

- Czym?

- Ciotą, kochanie. *Guineo*. Pieprzonym pedałem. Wiesz? Lubi ssać kutasa. Wiesz?

- Nie.

- Tak, kochanie! Z George'em zapaśnikiem.

- Z George'em? Bramkarzem, który pracuje na nocną zmianę? To dziwna para, Mario. Jesteś tego pewna?

- Jestem pewna, sam prosił. Pewnie, że jestem pewna, kochanie. Myślisz, że ja tylko całymi dniami oglądam te opery mydlane? Ja „wiem”. Tylko się przed nim nie zdradź, kochanie! - roześmiała się, wracając do *Days of our Lives*.

30. ZEBRANIE GORYLI

Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch.

Anonim

To dodaje znieprawę do krzywd.

Edward Moore, *The Foundling*

Pracowałem na pełen etat w kasynie już od około dwóch miesięcy. Płaca była świetna, a ja czekałem na nadejście kolejnych dni, gdyż spotykałem tam najróżniejsze postacie. Ten pamiętny dzień był chłodny, nawet gdy słońce rzucało jeszcze długie cienie, kiedy szedłem w dół osiemnastej ulicy w kierunku kasyna. Nie mogłem nie zauważyć stojącej przed wejściem dużej limuzyny, której szoferem była bardzo piękna czarna kobieta. Jak tylko przechodziłem obok, okno powoli się otworzyło.

- Czołem, stary. Wskakuj - uśmiechał się Ronnie.
- Komu to ukradłeś? - zapytałem.
- Nie zachowuj się jak ciul. Kupiłem ją wczoraj od młodej czarnej wokalistki w New Jersey. Nazywa się Whitney Houston. Będzie naprawdę wielką w świecie muzyki - zapewnił mnie. - Posłuchaj, mam trochę poważnych spraw, które muszę przedyskutować z tobą i innymi irlandzkimi chłopakami. Zapraszam was dzisiaj do Milanos. Powiedz pozostałym, że przyjadę po nich około ósmej wieczorem.
- O co w tym wszystkim chodzi?
- W następnym miesiącu otwieramy nowe kasyno. Chcę, żebyś został jego managerem.

Mówiło się o tym, że Mac otworzy jeszcze jedno kasyno, tym razem na West Side.

- Bzdury gadasz - powiedziałem z niedowierzaniem. - Mam szczęście, że mogę rozdawać karty. Jak, do diabła, mógłbym zostać managerem?

- Jeśli wszystko potoczy się tak, jak myślę, będziesz jednym z ważniejszych ludzi w tym kasynie. Ale nikomu na razie ani słowa. Zrozumiano?

Myślałem, że łże, ale skinąłem głową.

- Nie ma sprawy. Do zobaczenia wieczorem.

Tego wieczora przybyliśmy do restauracji znanej ze skandalicznych cen i odwiedzających ją gwiazd.

- Niech was nie odstraszą ceny - nalegał Ronnie, jakby czytał nam wszystkim w myślach. - Firma pokrywa rachunek, więc po prostu wsuwajcie.

Tak też zrobiliśmy, wiedząc, że nigdy więcej nie będziemy w takim lokalu.

Później, w oczekiwaniu na deser, Ronnie powiedział:

- Dobra. Czas przejść do rzeczy. - Wyciągnął notatnik i ołówek. - Wszyscy jesteście równie ambitni jak ja. W przeciągu najbliższych czterech tygodni będziecie mieli okazję, żeby zaspokoić wasze ambicje

Popatrzył na każdego z nas z osobna.

- Każdy z tu obecnych otrzyma stanowisko menadżerskie, gdy otworzymy nowe kasyno. Chcę, żebyście przyłożyli się do tej roboty, byli stanowczy we wszystkim, co robicie.

Wszyscy się uśmiechaliśmy. Była to muzyka dla naszych uszu.

- Kasyno przy osiemnastej nie działa w połowie tak dobrze, jak powinno. Za dużo ludzi starej daty i sami cholerni obcokrajowcy i nielegalni imigranci.

Roześmieliśmy się z tego, gdyż wszyscy byliśmy cholernymi obcokrajowcami i nielegalnymi imigrantami.

- Ale to wszystko się zmieni - ciągnął Ronnie. - Wy wszyscy pomożecie wprowadzić w życie nową politykę. Chcę otworzyć sieć kasyn, na wzór McDonalds.

- Czy będziemy też sprzedawać Happy Meals? - zapytałem z uśmiechem.

- Jeśli tego będzie trzeba, żeby wypełnić kasyno, to tak zrobimy. Mam *carte blanche* od Maca, ale musimy uważać na makaroniarzy. Osobiście guzik mnie oni obchodzą, ale Mac jest szefem, a on nie chce nadepnąć na zbyt wiele odcisków naraz.

- A co z obecnymi managerami? Nie będą wkurzeni, że odbieramy im robotę? - zapytał jeden z ludzi.

- Tutaj zaczyna się wasza rola, prawda? Pokażcie im, kto tu rządzi. Jeśli się nie poddadzą, połamcie im nogi.

Kilku się roześmiało, myśląc, że żartuje. Nie znali go jeszcze dość dobrze.

Było oczywiste, że używa nas do własnych celów. Zastanawiałem się, czy myślał, że jesteśmy tylko głupimi Irlandczykami, po grzbietach których może się wspiąć, budując swoje imperium, realizując swoje napoleońskie sny.

W miarę jak wieczór się rozwijał, posępna rozmowa o interesach nabrała nieco lżejszego charakteru. Wszyscy mieli w głowach myśli o „prowadzeniu własnego biznesu” i jak to będą najlepszymi managerami, jakich Mac widział. Ja zastanawiałem się nad tym, ile to jeszcze potrwa i ile jeszcze mostów - nie do przejścia, a do spalenia - pozostało, zanim wszystko zacznie się rozpadać.

- Dobra. Zaraz wracam - powiedział Ronnie i wyszedł, by zadzwonić. - Zamówcie jeszcze więcej tego drogiego deseru i rozchodzimy się.

Pięć minut później usłyszeliśmy pukanie w okno z zewnątrz. Po drugiej stronie, z przyklejonym do szyby nosem boksera, stał Ronnie. Półksiężyc jego uśmiechu i oczy kawalera przekazały nam straszną wiadomość: dał dyla, uciekł, nie płacąc rachunku, zostawił nas na lodzie. Wszyscy rzuciliśmy się w popłochu do drzwi, zostawiając rachunek w dłoni onieśmiałego kelnera.

Gdy wpadliśmy do czekającej limuzyny, po twarzy ciekły mu łzy. W jego mniemaniu ten dowcip był przezabawny.

- Powinniście siebie widzieć! - powtarzał raz za razem.

I ten człowiek planował budowę imperium?

31. BRACIA I SIOSTRY, CZYLI BLIŻSZA CIAŁU KOSZULA

Jedynym, co może zniszczyć rodzinny interes, jest rodzina.

Bronx Tommy

Rozliczne są życia mężczyzny zalety

Gdy obdarzony wierną przyjaźnią kobiety.

Cornelius Whur, *The Female Friend*

Chmury w kolorze szarych okrętów wojennych zaczynały się rozstępować, ukazując piękne niebo w barwie indygo. Nad głową tramwaj linowy z Roosevelt Island poruszał się lekko, podążając za mną z powrotem na Manhattan. Z wnętrza kolejki pomachała do mnie mała dziewczynka. Odmachałem jej, a ona, śmiejąc się, zatrzasnęła okno dłonią w rękawicze.

Ronnie poprosił, żebym się z nim spotkał pod Metropolitan Museum of Art na Upper East Side. Następnie pojechaliliśmy taksówką do miejsca wybranego na nowe kasyno. Miało się ono znajdować w bardzo odpowiednim miejscu, na tyłach Empire State Building. Otwarcie planowano z nieco większym rozmachem niż zwykle. Wydawało mi się, że taka luksusowa lokalizacja przysporzy kłopotów, ale Ronnie uważał inaczej.

- Tak to powinno wyglądać - powiedział. - W samym środku miasta, gdzie są ci wszyscy japońscy turyści z mnóstwem forsy.

Nosił teraz ubrania Brooks Brothers, ale wciąż był filantropem w łachmanach. Dał bezdomnemu mężczyźnie kilka dolarów, ale najpierw „oświecił” go kilkoma cytatami z Marka

Aureliusza. Jestem pewien, że nieszczęśnik chciał mu oddać te pieniądze, uważając, że nie warto za dwa dolce wysłuchiwać całego tego perorowania i bredzenia.

Minął rok i wszystko szło w dobrym kierunku. Plan Ronniego, by pozbyć się ludzi starej daty został niemal całkowicie wprowadzony w życie. Większość irlandzkich krupierów była teraz managerami albo szefami sal, a Mac złał się z tłem, spędzając większość czasu poza kasynami.

Wtedy właśnie Ronnie zaczął wprowadzać do branży członków swojej własnej rodziny. Było bez znaczenia, że nie mają pojęcia o kasynach albo blackjacku. Ronnie był wierny przysłowiu mówiącemu, że bliższa ciału koszula niż sukmana - jego rodzina znalazła u niego zatrudnienie, niezależnie od konsekwencji, które mogły z tego wyniknąć.

Staliśmy na zewnątrz miejsca, które, mieliśmy nadzieję, miało przerodzić się w nowe kasyno. Był to duży dom o rozległych piętrach, a te łatwo można było przerobić. Nagle, nie wiadomo skąd, dołączyła do nas młoda kobieta.

- Samie. To moja młodsza siostra, Rita. Będzie z nami trzymać.

- Cześć, Samie. Słyszałam o tobie wiele dobrego.

Miała twarz skrzata, krótkie włosy i nosiła się jak chłopczyca. Jej bystre oczy oceniały cię natychmiast, gdy tylko spoczął na tobie ich wzrok.

- Cześć, Rito. Nie wiedziałem nawet, że Ronnie ma siostrę.

- Znasz Ronniego. Interesy przede wszystkim, rodzina na ostatnim miejscu.

Gdyby tak było rzeczywiście, może wszystko inaczej by się potoczyło.

- Koniec pogaduszek. Chodźmy do środka - powiedział

Ronnie, otwierając drzwi do kamienicy o elewacji z piaskowca, - Pomyśl o tym. Trzy piętra blackjacka. To będzie największe kasyno w mieście, stary.

- Ile zajmie wykończenie go? - zapytała Rita, starając się sprawiać wrażenie, że tego nie wie, jakby Ronnie jej nie wta jemniczył.

„Nieźle przedstawienie” - pomyślałem.

- Niedługo. Negocjuję z właścicielem obniżenie ceny. - Ronnie strzepnęła z dłoni pył farby. Nie znosił brudzić rąk. Warto było o tym pamiętać, wyleciało mi to jednak z głowy, aż było już za późno. - Tak czy siak mam dla ciebie nowe stanowisko, Samie.

- Tak? Jakie? - „I co to za zapach? Ryba? Szczur?”.

- Manager kasetek. - Patrzył, wyczekując mojej reakcji.

- Robisz sobie ze mnie jaja, tak?

- Nie. Możesz się tym zajmować, jeśli chcesz.

- Ale co z tą Maca? To jego praca. Nie możesz zwolnić jego. To szaleństwo.

- Mogę zwolnić każdego. Ale nie zwolnię go. Dam mu tylko pracę tam, gdzie nie skuszą go pieniądze.

W firmie ginęły pieniądze. Mogły je zabierać tylko trzy osoby: Mac, jego ojciec albo Ronnie. Z oczywistych względów Maca należało wykluczyć.

Będąc managerem kasetek, miałbym dostęp do wszystkich pieniędzy, które przychodziły do kasyn i z nich wychodziły. Jedynie Ronnie i Mac dysponowałiby podobnym prawem. Ale jako że Mac zajmował miejsce w cieniu, pozostawiliśmy w praktyce tylko Ronnie i ja.

Wtedy pomyślałem: „A co, jeśli to nie ojciec Maca? A jeśli to Ronnie? Może planuje już mój upadek?”.

- Muszę o tym pomyśleć - powiedziałem jedynie, zaskakując go swoją reakcją.

- W porządku. Ale muszę to wiedzieć wkrótce. Może to być dla ciebie lukratywne stanowisko, nie pozwól, żeby ta okazja przeszła ci koło nosa.

Wyszliśmy z powrotem na chłód, który unosił się od strony East River.

- Umieram z głodu - powiedział Ronnie. - Chodźmy coś zjeść.

- Nie, dzięki. Jeszcze pamiętam nasze ostatnie wyjście. Roześmiał się.

- W porządku. Do zobaczenia jutro.

- Do widzenia, Sam. Do zobaczenia wkrótce - rzekła Rita, krokodyl w przygotowaniu.

32. CZY KIEDYKOLWIEK JEŹDZIŁEŚ NA HARLEYU D? JA TEŻ NIE!

Poczucie humoru Millara słało się nieco bardziej ponure ze względu na osiem lat spędzonych w cieszących się złą sławą Blokach H. Roztaczał wokół siebie aurę osoby, która odda Sprawie wszystko, czego będzie ona wymagała.

Nowy Jork, „Daily News”

Kiedy jesteś zły, licz do czterech; kiedy jesteś bardzo zły, przeklinaj.

Mark Twain, *Wartogłowy Wilson*

- Umiesz jeździć na motorze? - zapytał z szerokim uśmiechem Ronnie.

- Tak. Czemu pytasz?

- Mam dla ciebie motor.

Nie uwierzyłem mu, a on o tym wiedział.

- Nie, mówię poważnie. Jest na zewnątrz. Cała ta forsa, którą oszczędzimy na taksówkach wożących cię od klubu do klubu spłaci go w jedną chwilę. - W tym momencie zabrzmiał jego pager. - Chodź. Wyjdźmy, zobaczymy, czy sobie poradzisz.

Motor! Staralem się zachować spokój, ale myśl o jeźdzeniu po Manhattanie na wielkim Harleyu D to było dla mnie zbyt wiele. Miałem być drugim Peterem Fondą, siedzącym na całym tym chromie i skórze. Mój własny...

- Co to, do cholery, jest? - Rzeczywistość kopnęła mnie mocno w jaja.

- Twój motor, stary. Podoba ci się?

Przedemną stał skuter. Jedna z tych małych rzeczy, na których jeżdżą karły w cyrku. Od samego patrzenia dostawałem depresji.

- To jakiś kawał, czy co? - zapytałem.
- Jest zwinny, łatwo włącza się do ruchu i łatwo go opuszcza, stary. Wszyscy będą ci go zazdrościć - entuzjazmował się Ronnie.

- Mówisz poważnie?

Przerażające było to, że mówił śmiertelnie poważnie.

- Oczywiście, że mówię poważnie. Już nigdy więcej nie będziesz musiał się przejmować parkomatami. Możesz go wprowadzić do samego klubu...

- Nie! Niech to cholera, w żadnym wypadku! Możesz go sobie wsadzić. Nic mnie nie obchodzi, czy dasz mi więcej pieniędzy, odpowiedź wciąż jest taka sama. Nie. Nie. Nie.

Miałem swoje zasady.

• • •

Straszne było włączanie się do ruchu i opuszczanie go, szczególnie w okolicy klubów. Małe rekiny o mało co mnie nie dopadły, śmiejąc się do rozpuku. Musiałem jednak przyznać, że zaoszczędziło mi to czekania na taksówki, kiedy musiałem pojechać po pieniądze do jednego z kasyn, poza tym z łatwością włączałem się do ruchu i go opuszczałem. Podniesienie mojej dniówki również pomogło.

Kiedy tylko przyjechałem na trzydziestą drugą, zadzwoniono z osiemdziesiątej, że mają za dużo pieniędzy. Irańczyk przegrywał wszystko oprócz wież wiertniczych.

- Nie wierzę, że on wciąż tu jest - powiedziałem do Chris, managera zmiany, opróżniając dwie kasetki.

- Cztery dni bez przerwy. Nawet nie chodzi do toalety. W jednej chwili jest sześćdziesiąt tysięcy w plecy, w następnej jest Łazarzem. Sam zobacz - odparła.

Ruch przy frontowych drzwiach sprawił, że odwróciłem się na czas, żeby zobaczyć Rocky'ego, naszego bramkarza i odzwiernego, jak wchodzi do środka, zataczając się, z twarzą całą we krwi.

- Nie ruszać się! - wrzasnął Portorykańczyk z obrzytnem w ręku. - Wszyscy pod tylną ścianę.

Za nim weszło jeszcze dwóch towarzyszy, każdy uzbrojony w strzelbę i przebrany za dostarczyciela pizzy. Wszystko umilkło poza Rockym, który jęczał i trzymał się za rozkwaszony nos.

Nie mieli zakrytych twarzy, co znaczyło, że albo mieli to gdzieś, albo wiedzieli, że nikt żywy ich nie rozpozna. Kolejny złowróżbny znak pojawił się po chwili.

- Który jest tu szefem? Wiemy, że tu jest. Wiemy nawet, że nazywa się Sam.

Poczułem, że krew odpływa mi z twarzy.

- Który z was to Sam? - zapytał, oj, jak spokojnie. Przypomniałem sobie ten fragment z filmu *Spartakus*, w którym Rzymianie biorą do niewoli tytułowego bohatera i jego ludzi, oferując im układ: „Wydajcie Spartakusa, a my wyślemy was do kopalni soli”. Kirk miał już wstać i przyznać się, kim jest, kiedy jeden z jego ludzi oznajmił: „Ja jestem, kurwa, Spartakus, ty rzymski skurwielu”. Wstaje następny i kolejny, wszyscy twierdzą, że są Spartakusem. Ta scena zawsze wyciskała łzy z moich oczu, kiedy jednak rozejrzałem się po kasynie, zdałem sobie sprawę, że miałem niewielkie szanse, że któryś ze współpracowników wstanie i krzyknie: „Ja jestem Sam, sukinsyny! Nie dostaniecie ani grosza!”. Spodziewałem się raczej czegoś odwrotnego: „To jest Sam, ten sukinsyn, tam obok tej lodówki. Zabijcie go!”.

Ku mojemu zdziwieniu nikt nie powiedział ani słowa. Ale wiedziałem, że wszyscy obawiali się najgorszego.

- Dobra, gracie twardzieli - powiedział jeden z bandytów.
- Wszyscy na ziemię! Już!

Nastąpił wyścig o to, kto pierwszy padnie na podłogę. Myślałem, że go wygrałem.

- Zdejmować spodnie! Panie również.

Zrobiliśmy, co nam kazał.

Zastanawiałem się, czy nie oddać kluczy. Jeśli bym jednak to zrobił, co by ich powstrzymało przed zastrzeleniem nas tak czy inaczej? Analizowałem, czy nie powinienem grać na zwłokę, mając nadzieję, że ktoś coś widział i zawiadomił gliny.

Szczerze mówiąc, wiedziałem, że nie oddam kluczy. Upór człowieka z Belfastu zaczął się we mnie gotować. Nawet jeśli to miało znaczyć, że zginą wszyscy w tym pomieszczeniu, ze mną włącznie, i tak to pieprzyłem. Żadnych kluczy.

- Nie denerwujcie nas. Dobra? Dostaniemy forszę - wyjdziemy. Nie dostaniemy? Ktoś będzie musiał umrzeć.

Wymierzył broń w sufit i strzelił. Bam! Bam!

Trochę sufitu spadło na podłogę, ośnieżając nas tynkiem. Wszyscy podskoczyliśmy, zastanawiając się, co będzie dalej.

Te dwa strzały uratowały nam wszystkim życie. Ktoś usłyszał odgłos, zadzwonił na policję i w ciągu kilku minut gliny przyjechały, krzycząc przez megafony, żeby wszyscy wyszli, i to natychmiast.

W całym zamieszaniu niedoszli rabusie uciekli tylnym wyjściem, korzystając z klucza, do którego dostęp miało tylko kilka osób.

Wyszliśmy na zewnątrz, bez spodni, w słońce niedzielnego poranka. Czuliśmy się świetnie. Byliśmy żywi. I choć gliny trzymały na muszce nas zamiast bandytów, a miejscowy fotograf robił nam zdjęcia, nikt nie narzekał. Byliśmy szczęśliwi, że skończyło się to bez poważnych obrażeń.

Następnego dnia na pierwszej stronie nowojorskiego brukowca pojawiła się fotografia przedstawiająca nas, jak stoimy przed kasynem. Nagłówek głosił: „Krupierzy przyłapani bez spodni...”.

33. TITANIC: ZBUDOWANY PRZEZ TYSIĄC IRLANDCZYKÓW. ZATOPIONY PRZEZ JEDNEGO BRYTYJCZYKA

*Pijemy, przyjacielu,
By zakończyć ten krótki epizod.*

Johnny Mercer, *One For My Baby*

Szczęśliwy ten, który zdołał poznać przyczynę rzeczy.

Wergiliusz, *Georgiki*

- Co się, do diabła, stało? - zapytał Ronnie.
 - Zostaliśmy napadnięci. To się, kurwa, stało.
 - Spokojnie, stary. Uspokój się.
 - Ktoś mógł zostać zabity. Znali moje imię i tajne wyjście. Nie mów mi więc, żebym się, kurwa, uspokoił. Powiedz mi, skąd to wszystko wiedzieli.
 - Nie mam pojęcia, stary, ale szybko się dowiemy. Kaktusy? Tak? W porządku. Rozwiążę tę zagadkę.
 - Rozwiążesz? Nie umiałbyś rozwiązać sznurówek. Wszystko się wokół ciebie rozpada, a ty tego nawet nie widzisz.
 - To tylko napad. Nikomu nic się nie stało.
 - Ktoś mógł zostać zabity. Nie rozumiesz? To nie jest tylko napad. To milion malutkich rzeczy, które się kumulują. A twoja rodzina stanowi część tego problemu.
 - Moja rodzina? Co masz na myśli? - mówił łagodnym tonem, jakby właśnie ktoś go postrzelił w plecy.
 - Najpierw twoja siostra i brat. Potem twoi wujkowie i kuzyni.
 - Jeśli nie umiesz zadbać o rodzinę...

Przerwałem mu.

- Posłuchaj, Ronnie. Rita zainstalowała te automaty Joker Poker. I to ona zbiera wszystkie zyski - nic nie trafia do kasyna. To samo dotyczy automatów z papierosami. Potem ta jej „przyjaciółka”. Zatrudnia ją jako managera. Managera czego? Pojawia się tylko pod koniec zmiany, żeby zebrać swoje i Rity zarobki! Nadeptuje na odciski wszystkim, mnoży wrogów. Słyszałem nawet, jak ktoś groził, że kopnie ją w jaja.

- Kopnie ją w jaja? - Był zatrwożony. - Ona nie ma tak zwanej „przyjaciółki”. Przynajmniej nie w ten sposób, w jaki to przedstawiasz.

- Jest tego więcej - powiedziałem, wkładając rękę do kieszeni płaszcza. Wyjąłem z niej kopertę.

- Jakiś problem? - powiedział z lękiem, prawdopodobnie myśląc, że koperta zawiera niedwuznaczne zdjęcia jego siostry i jej przyjaciółki.

- „Główne” karty wpływów. Nie są w kolejności. Duży problem.

- Co? Jak to... - Wziął karty do ręki i sprawdził. Po czym przeglądał je raz jeszcze.

- Tylko czworo ludzi miało do nich dostęp - powiedziałem. - Ja, Mac, ty... i Rita.

- Chyba będę miał atak serca, stary. - Nie żartował. - Po między jednym a drugim kopniakiem w jaja.

Poklepał karty palcami.

- Gdyby Mac się o tym dowiedział...

Pozostawiłem go z tą radosną myślą i wyszedłem. Następnego dnia poszliśmy na kawę. Miał plan. Kolejny.

„Zawsze” miał plan.

- Po pierwsze. Automaty Joker Poker i z papierosami należą teraz do kasyna. W porządku?

Skinąłem głową.

- Wszyscy moi kuzyni wylatują. W porządku?

Nic nie powiedziałem.

- Rity, hm, przyjaciółka już nie jest na liście płac.

- A Rita? - zapytałem. - I dwie brakujące karty wpływów?

- Nie wiemy, czy to była Rita. Mogła to być czyjaś zwyczajna pomyłka.

- Nie wierzysz w to. Ani ja. Myślisz sercem, a nie głową. Co by się stało, gdyby Mac się dowiedział. Stawiam zakład o twoje jaja, że nic podobnego się nie wydarzyło, kiedy on się tym zajmował.

- Co mogę zrobić? To moja młodsza siostrzyczka...

- Która nas rypie. Pozbądź się jej albo przynajmniej zdegraduj ją tak, żeby nie mogła nam zaszkodzić.

- To trudna sprawa, stary. Porozmawiam z nią.

- Dla dobra nas wszystkich zrób coś więcej.

W głębi ducha podejrzewałem, że z nią nie porozmawia. Wierzył, że bliższa ciału koszula niż sukmana, nawet jeśli ta koszula była brudna. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, kiedy wszyscy stracimy pracę. To, co powiedział chwilę później, było złowieszcze.

- Posłuchaj, mam dla ciebie też dobrą wiadomość. Nowe kasyno jest niemal gotowe. Myślę nad tym, żeby nazwać je Titanic.

- Nie słyszałeś, jak skończył Titanic?

- Nie bądź takim pesymistą. Ten zabierze nas dalej niż nasze najśmielsze marzenia. Po prostu zaczekaj, a sam zobaczysz.

Poczekaj, a zobaczysz? Czy nie tak właśnie zrobił kapitan Titanica? Kiedy wstaliśmy od stolika, byłem pewien, że zobaczyłem górę lodową, zmierzającą prosto na nas...

34. DZIWNY DRĘCZĄCY DENTYSTA I DESER

Wszchemocny dolar jest jedynym obiektem kultu.

Anonim

Coraz ciekawsze i ciekawsze! - wykrzyknęła Alicja.

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*

Następne kasyno otworzono z przepychem. Zaserwowano najlepsze jedzenie, wino i rozrywki. Egzotyczne kwiaty i rośliny sprawiały, że lokal przypominał podzwrotnikowe moczary. Wprowadzono nowe uniformy dla krupierów. Odeszły kolorowe koszule i krawaty, uwielbiane przez latynoskich krupierów. Na ich miejscu pojawiły się konserwatywne białe koszule i czarne muszki. Koniec z piciem na służbie i koniec kręcenia się po lokalu po pracy.

Nasz bramkarz z trzydziestej drugiej, Mike, powiedział do mnie „cześć” i wpuścił do środka. Mike zastąpił Malutkiego, który umarł tydzień wcześniej na zawał serca spowodowany przedawkowaniem kokainy. Kiedy wszedłem, leciała właśnie *Main Street Boba Segera*.

Nasza klientela pochodziła ze wszystkich warstw społecznych. Utracjusze i szumowiny, sędziowie i naciągacze lub naciągacze i naciągacze, jak powiedziałby Victor. Aktorzy i prostytutki (dające najlepsze napiwki), brokerzy z Wall Street (dający najgorsze napiwki), Arabowie i chasydscy rabini z Brooklynu, sławna balerina, Wściekły Byk i babka Normana Rockwella o imieniu Anne.

Część klientów, która przegrała znaczną ilość pieniędzy, miała dostęp do naszej „niebieskiej księgi”, dającej im kredyt do pięciu tysięcy dolarów. Anne była w niebieskiej księdze, ale miała trudności ze spłatą długu.

Otrzymałem zadanie nie do pozazdroszczenia: miałem odebrać od niej pieniądze. Bardzo mi się to nie podobało.

Czekałem, aż zakończy swój codzienny rytuał przy bufecie: czarna słodka kawa, deser i kieliszek brandy, by zmyć posmak kawy.

- Dzień dobry, Anne. Jak się dzisiaj miewasz? - zapytałem, nalewając sobie kawy z nadzieją, że Stanley Dentysta mnie nie zauważy.

- Wspaniały raneek, Samie - uśmiechnęła się, udając irlandzki akcent. - Ten deser jest pyszny. Jak go robicie? Próbowałam...

- Czy mogę z tobą porozmawiać, Anne, w biurze? Zajmie to tylko chwilę.

Niechętnie weszła do pomieszczenia ze swoim słynnym wiklinowym koszykiem w ręku.

- O co chodzi? - zapytała, siadając.

- Naprawdę mi przykro, że muszę o tym mówić, Anne, ale próbujemy właśnie ograniczyć wydatki i odzyskać część wielkiego długu, który został u nas zaciągnięty. Niestety, ty znajdujesz się niemal u szczytu listy. Przekroczyłaś już poważnie limit kredytu.

- Ile jestem winna?

Pokazałem jej niebieską księgę, w której obok jej nazwiska widniała suma sześciu tysięcy dwustu dolarów. Wyglądała na odrobinę zawstydzoną.

- Wiem, Samie. Zwykle płacę swoje zobowiązania, ale zeszły miesiąc był dla mnie trudny... Mój mając odszedł.

Położyła kawę na stole i poprawiła swoją kretonową sukienkę, której wzór przedstawiał malutkie ptaszki w locie. Czuję się paskudnie.

- Przykro mi, Anne. Nie wiedziałem o twoim mężu. Powinnaś była nam powiedzieć. Spróbowałibyśmy ci pomóc.

- To duma, Samie. Kiedy człowiek osiąga mój wiek, stara się zachować tak dużo godności, jak to tylko możliwe. Przykro mi, ale przysięgam na grób swojego męża, że spłacę „wszystkie” swoje długi do weekendu. - Jej szminka pozostawiła półksiężyc na filizance.

- Nie musisz spłacać wszystkich...

Uniosła dłoń.

- Do tego weekendu. Klub był dla mnie więcej niż dobry. Och! Omal zapomniałam. - Sięgnęła do swojego koszyka. - To dla twojej córki. Jutro ma urodziny. Prawda?

- Anne, naprawdę powinnaś przestać kupować wszystkim prezenty. Miałabyś już spłacone długi.

Zawsze wiedziała, czyje są urodziny, i zawsze kupowała coś solenizantowi.

Przykro było patrzeć, jak wychodziła. Samotna pani, której jedyną radością życia było to kasyno. Przeklinałem Ronniego za to, że mnie do niej posłał i przysięgłem, że od teraz sam będzie wykonywał swoją brudną robotę. W tym momencie zobaczył mnie Stanley Dentysta, jak stałem z niedojeżdżonym przez Annie deserem.

- Mówiłem ci o tej kawie, Samie. Równie dobrze mógłbyś pomalować sobie zęby smołą... Och, nie! Czy to deser?

Wiele można zyskać w kasynie, jeśli się wie, jak to osiągnąć. Wydawało mi się, że trafiłem na istną żyłę złotych wypełnień, kiedy Stanley zaoferował mi darmowe usługi dentystryczne. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że ból zębów zamieniam na jeszcze gorszy ból wrzoda na tyłku. Dawał

najniższe napiwki i był najnudniejszym graczem w blackjacka pod słońcem.

- Równie dobrze mógłbyś wziąć do ust wiertarkę udarową - ciągnął Stanley. - Bo tak właśnie działa na twoje zęby ten deser...

Mówił bez końca. Zachowywał się zupełnie jak jedno z jego wiertel. Zamilkł wreszcie, kiedy wyrzuciłem deser i kawę do śmieci.



- A więc nas zrobiła? - powiedział tydzień później Ronnie. Annie ulotniła się jak kamfora. - Poleciałeś na te jej głodne kawalki, tak?

- A co miałem zrobić? Nasłać na nią Mike'a? Zmusić ją do oddania obrączki? Właśnie pochowała męża, do diabła. Wróci i odda nam pieniądze. Mam nosa do ludzi.

Wtedy właśnie pojawiła się ta wiadomość na Channel Two. „Siedemdziesięcioletnia kobieta została dzisiejszego wieczora aresztowana w domu opieki, gdzie grożąc bronią, próbowała porwać swojego męża. Policja twierdzi, że kobieta usiłowała uprowadzić męża, który cierpi na chorobę Alzheimera...”

- Nie wierzę - powiedział Ronnie, patrząc wielkimi oczami na ekran, przyglądając się, jak zakuta w kajdanki Anne jest prowadzona do policyjnego samochodu.

To była nasza babcia? Nasza nosicielka prezentów? Winna sześć tysięcy dwieście dolarów?

Słuchając dalej, dowiedzieliśmy się, że mąż Anne nie był martwy, tylko przebywał w prywatnym domu opieki. Anne, obawiając się, że jej powinowaci spróbują położyć ręce na pieniądzech z ubezpieczenia jej męża, porwała go zapobiegawczo, zanim oni byli w stanie to zrobić.

Przykro było patrzeć na wyraz cierpienia rysujący się na

jej twarzy, gdy odprowadzano ją w kajdankach. Ale jej smutek nie był w połowie tak bolesny jak Ronniego.

- Mówiłem ci, żebyś nie ufał nikomu, Samie. Teraz rozumiesz? Ta stara raszpla mogła nas trzymać na muszce. Tego byśmy nie przeżyli. Kto jest następny na liście? - zapytał, przeglądając niebieską księgę. - Mam nadzieję, że nie jej siostra. Ta pewnie chowa w gaciach karabin maszynowy.

Kasyno było pełne. Przez następną godzinę nie robiłem nic, tylko opróżniałem kasetki. Rosyjscy hazardziści krzyczeli i zachowywali się równie wstrętne jak zazwyczaj. Koreańczycy byli niezwykle powściągliwi, gdyż szczęście się od nich odwróciło. Najwyraźniej tylko Stanley Dentysta wygrywał. Czarne żetony tworzyły piramidę przed jego szeroko uśmiechniętą twarzą.

- Samie! - zawołał, po czym mrugnął do mnie oraz do swoich żetonów.

Podniosłem w górę kciuki.

- Dobra robota, Stanley! Wygraj milion! - „Ty skąpy kutasie”.

- Świetnie, stary, co? - powiedział Ronnie, przyglądając się stołom. - Wypełnione po brzegi. Zupełnie jak kubek herbaty z reklamy.

- Tak. Wspaniale - odparłem. - Kto wie, jeśli tak dalej pójdzie, może dostanę podwyżkę?

Nie chciał tego słuchać, więc poszedł rozmawiać z klientami, kłaniając się jak idiota przy stole Koreańczyków. Naogłądał się za dużo filmów kung-fu. Mimo to był wesoły jak szczygieł. Biznes kręcił się świetnie. We wrześniu miał otwierać kolejne kasyno.

Niestety, wszystko zaczęło iść w niewłaściwą stronę. Do sierpnia kasyna padły finansowo. Ich potęga paradoksalnie była ich słabością. Ronnie stał się nadmiernie zadowolony z siebie, uwierzył, że lokali nie trzeba nadzorować. Nepotyzm,

który obiecał wyeliminować, przeżerał dalej organizację jak rdza. Próbował zamienić kasyna w rodzinny interes, nie zdając sobie sprawy, że jedyną rzeczą, która może zniszczyć rodzinny interes jest rodzina.

Ostatnim gwoździem do trumny było włamanie do jednego z nieużywanych kasyn, gdzie trzymaliśmy zapasowe stoły do blackjacka. Złodzieje wyszli stamtąd z kilkoma tysiącami dolarów i niewielkim składzikiem broni, który trzymaliśmy na wszelki wypadek pod podłogą.

To było dostatecznie niekorzystne. Niestety, włamywacze trafili tam też na Ritę i jej przyjaciółkę. Zmuszono obie do rozebrania się, po czym związano je razem w seksualnej pozycji całujących się kochanek.

Niektórzy sądzili, że Rita nadepnęła na niewłaściwe odciski i dostała to, na co zasłużyła. Ja powiedziałem jej, żeby spojrzała na to z jasnej strony: żadna z nich nie została zraniona. I czy nie było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że odkryliśmy je - Ronnie i ja, a nie Bronx Tommy czy Doktorek?

Podobnie jak królowa Wiktoria, nie była rozbawiona.

Kiedy kasyno w końcu padło, nie było to niespodzianką dla nikogo prócz Ronniego. Nawet w tej sytuacji zachował swój filozoficzny spokój: szybko przyszło, łatwo poszło. Poza tym powiedział mi, że ma w przygotowaniu następny plan. Ktoś większy od Johnny'ego Maca miał sfinansować jego następny projekt. Nowe, większe i lepsze kasyno było w przygotowaniu. Nauczył się na własnych błędach - koniec z rodziną. Zamierzał przyglądać się z bliska wszystkim transakcjom. Chciał mieszkać w nowym kasynie, żeby być zawsze na miejscu, kiedy pojawią się jakiegokolwiek problemy. W międzyczasie, czy nie miałbym nic przeciwko, gdyby przez chwilę u mnie pomieszkał? Tylko do czasu, aż otrzyma zgodę od swojego nowego, większego od Maca, partnera?

- Nie mam grosza przy duszy - powiedział. - Ale wkrótce, kiedy wielka transakcja zostanie sfinalizowana, oddam ci...

Chciałem powiedzieć „tak”, ale nie mogłem. Powinienem powiedzieć „nie”, ale nie umiałem. „Zobaczymy” - mogłem jedynie obiecać. Dam mu znać za dzień lub dwa. Chciałem go zapytać, gdzie jest teraz jego rodzina? I wszyscy tak zwani przyjaciele? Nikt z nich nie zaoferował mu pomocy...

35. PIWO, HOT DOGI I FORSA

Uważaj, czego sobie życzysz...

Chińskie przysłowie

Wierzcie temu, który sam doświadczył.

Wergiliusz, *Eneida*, księga II wers 283

Tego lata jak zwykle pojechałem na północ stanu Nowy Jork, do miejscowości Rochester. Zawsze dobrze jest wydostać się na jakiś czas z miasta.

Większość czasu spędzałem, spotykając się ze starymi przyjaciółmi i uczęszczając na wiele pikników - spotkań przy piwie.

- Co tam słyhać na południu? - zapytał Tom, emerytowany glina i przyjaciel.

- Mogłoby być lepiej...

- Jaki masz problem? Nie wydajesz się być sobą.

Pewien pomysł rodził się w mojej głowie w ciągu ostatnich kilku miesięcy, koncepcja tak zuchwała, że zdawałem sobie sprawę, iż muszę być ostrożny.

- Mam kłopoty w kasynie.

- Jakiego rodzaju?

Tom patrzył na mnie jak na swojego syna. Kiedy przyjechałem do Ameryki, pomógł mi znaleźć lokum. Kiedy brakowało mi pieniędzy, to jego prosiłem o pożyczkę.

- Te włoskie kutasy w Nowym Jorku wywierają presje - skłamałem. - Chcą więcej kasy za ochronę.

To kłamstwo nie mogłoby być odleglejsze od prawdy. Prawda była taka, że Włosi nigdy nie zadzierali z Irlandczykami. Mieli swoje powody.

- Nie podoba mi się, że tam jesteś. Oni wszyscy powariowali. Chciałbym załatwić ci pracę ze mną, jako strażnik w Brinks.

Zacząłem się śmiać.

- To by rozwiązało wszystkie moje problemy - powiedziałem. - Obrabowałbym ich i otworzył własne kasyno!

Tom spojrzał na mnie dziwnie i zrozumiałem, że go uraziłem. Jako nowojorski gliniarz był zawsze szanowany zarówno przez kolegów, jak i społeczność, której służył. Był człowiekiem z zasadami.

- To tylko piwo, Tomie - zapewniłem go, niezbyt przekonująco.

Już raz byłem w biurze Brinks. Tom zabrał mnie tam, kiedy inni strażnicy mieli wolne. Byłem zaskoczony brakiem poważniejszych zabezpieczeń, Tom dodał do tego opowieść o dostarczycielu pizzy, który pewnego razu niezatrzymany wszedł do środka. Drzwi były szeroko otwarte, a w kątach pomieszczenia leżały sterty pieniędzy, czekając, aż strażnicy skończą oglądać mecz i umieszczą je w potężnych sejfach. Największe jednak zaniedbanie miało miejsce, gdy strażnik pobiegł do jednego z miejscowych sklepów, pozostawiając drzwi uchylone za pomocą długopisu! Miliony chronione przez długopis! Ich lenistwo sprawiło, że te zaniedbania stały się notoryczne. Nie miałem wątpliwości, że pieniądze czekały tylko, aż ktoś je zabierze.

Jego reakcja powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć: nie było możliwości, żeby zgodził się na mój pomysł. Zatem szybko wyrzuciłem go ze swojej głowy. Na razie...

36. OTWIERANIE DRZWI

*Coś niedobrego wisi w powietrzu
Gdyż śniłem dzisiaj worki z pieniędzmi.*

Shakespeare, *Kupiec wenecki*

Jeśli przeszkadza ci gorąco, wyjdź z kuchni.

Harry Vaughan

Po powrocie zacząłem szukać pracy, przyjmując każdą ofertę. W końcu zostałem dozorcą w Park Avenue.

Minęły cztery miesiące, a Ronnie nadal mieszkał u mnie, doprowadzając moją żonę, Bernadette, do szaleństwa swoimi codziennymi cytatami z Marka Aureliusza. Wiedziałem, że już czas, aby znalazł sobie inne mieszkanie, kiedy wypożyczył z biblioteki wszystkie dzieła Sokratesa. Tego było już za wiele.

- Posłuchaj, stary, musisz sobie znaleźć jakieś miejsce do życia. Przykro mi to mówić, ale wyprowadzasz nas wszystkich z równowagi.

On tylko się roześmiał, denerwując mnie jeszcze bardziej.

- Nie martw się, stary. Jutro spotykam się z tym moim nowym partnerem. Będziesz mógł powiedzieć tym wszystkim bogaczom z Park Avenue, żeby sobie wsadzili tę pracę.

Dwa tygodnie później nadal spał na podłodze w naszym mieszkaniu. Sokratesa zastąpił Homer, a moja żona groziła, że wróci do Belfastu, jeśli nie wyrzucę Ronniego.

- Przykro mi, stary - powiedziałem, odprowadzając go do windy z jego jedyną walizką.

- Nie martw się, stary. Widzę się z tym nowym partnerem...

Patrzyłem, jak drzwi windy się zamykają, tłumiąc jego słowa.

Gdy tylko pomachałem mu na pożegnanie, zadzwonił telefon. Coś mi mówiło, że to Ronnie, pewnie z budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy, dzwoni, by prosić o jeszcze jeden tydzień.

„Nie odbieraj. Niech dzwoni”.

Ale to nie był Ronnie. Dzwonił Marco, dawny bramkarz w kasynie. Odслужиł pewien czas w armii USA i był weteranem wojny w Zatoce.

- Posłuchaj, jeśli chodzi o tę drugą sprawę... - odparł tajemniczo.

- Tak?

- Nie ma sprawy.

- Możemy się spotkać w przyszłym tygodniu?

- Nie ma sprawy.

• • •

Kiedy spotkałem go później w tym tygodniu, uśmiechał się, wyciągając rękę, jakby witał mnie po raz pierwszy od lat.

- Ani słowa w samochodzie - szepnąłem z uśmiechem przyklejonym do twarzy. - Są w nim pluskwy.

Jechaliśmy Lake Avenue, w kierunku plaży, w milczeniu.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zaparkowałem samochód i zabrałem kilka Budweiserów z tylnego siedzenia.

Gdy byliśmy już poza zasięgiem głosu, przeszedłem do rzeczy.

- Chciałbyś zarobić poważną kasę?

Był już późny wieczór, ale upał panował nadal nie do zniesienia. Komary wgryzały się w moje uszy, gdy patrzyłem na

coraz spokojniejsze załamujące się fale.

- Jak poważną? - zapytał, pociągając z butelki Budweiser-a.

- Może z milion.

Budweiser wpadł mu do tchawicy. Zakrztusił się.

- Co za kit mi wciskasz? - zapytał.

Uklęknąłem na piasku i zacząłem rysować na nim palcem. Nie minęło dużo czasu, a naszkicowałem budynek z lotu ptaka, składający się z prostokątów i kwadratów.

Nie powiedziałem nic więcej. Nawet kiedy z wolna nadeszły fale, wymazując moją pracę, milczałem, czekając, aż rysunek zniknie.

- Chodźmy - powiedziałem w końcu, otrzepując dzinsy z piasku.

Szliśmy wzdłuż plaży, szepcząc sobie nawzajem do uszu niczym kochankowie na pierwszej randce. Starsza pani przeszła obok ze swoim pieskiem, nie spuszczać z nas oczu. Kręcąc głową z obrzydzeniem, patrzyła za nami, jak znikaliśmy wśród wydm, jakby podejrzewała sekretną, erotyczną schadzke.

Jak się okazało, rzeczywiście wciskałem mu kit. Było to więcej niż milion. O wiele więcej...

37. ŁOWCA WIELORYBÓW

Nie warto wieść bezmyślnego życia.

Sokrates

Nazywam się Izmael.

Herman Melville, *Moby Dick*

Było gorąco i lepko, kiedy wróciłem na Manhattan w niedzielne popołudnie. Dominowały poplamione koszule i gryząca bielizna. Trzydzieści dwa stopnie w cieniu i wciąż wzrastająca temperatura. Ustanawiano nowy rekord. Chodziły słuchy, że ta parna pogoda sprawia, że nowojorczyacy dziwnie się zachowują, robiąc niestandardowe rzeczy.

Po raz pierwszy od przybycia do tego miasta czułem się odizolowany. Większość chłopców z Belfastu, o ile nie wszyscy, wróciła do domu. Kasyno było ich jedynym źródłem zarobku, więc duża część zdecydowała się wyjechać, póki wciąż mieli trochę dolców w garści. Nie mogłem ich za to winić. Pewnie poszedłbym w ich ślady, gdyby nie schizofreniczne myśli o włamaniu się do Brinks, które kazały mi się zastanawiać, czy wyszedłbym cało z czegoś równie zuchwałego i niebezpiecznego.

Nade mną słońce unosiło się na upiornej mgielce. Wszedłem w wąską uliczkę, którą wypełniał zlepek amorficznych bezdomnych ludzi skrytych w płynnym cieniu z ubogim dobytkiem leżącym u stóp. Stary, rozpadający się kościół był teraz ich domem.

- Prosisz się o kłopoty, koleś - powiedział sprzedawca, patrząc, jak do nich podchodzę. - Mordercze sukinsyny. Najgorszi.

Wskazał oskarżycielsko palcem na bezdomnych, po czym rozpakował listek Juicy Fruit i wrzucił go sobie do ust. Mięśnie jego szczęki zagrały nerwowo, gdy żuł, niczym Norman Bates w *Psychozie*.

Skinałem głową, ale poza tym go zignorowałem. Jako człowiek, który przemierzył ulice Belfastu, nie obawiałem się zbyt wielu ludzi z Nowego Jorku.

Tragiczne warunki bezdomnych w tym najbogatszym mieście na świecie nigdy nie przestają szokować. Trwają w obsceniczej dychotomii, gdyż kilka ulic dalej, przy Park Avenue, bogaci apatycznie karmią i rozpieszczają swoje zwierzątka. Światy nakładające się na siebie, ale rzadko się dotykające.

Kiedyś ci ludzie byli solą ziemi, filarami społeczeństwa. Teraz są szumowinami, doświadczanymi, lecz niewidzianymi, wyrzaskującymi apokaliptyczne bluźnierstwa z pełną żółci żarliwością.

Jeden człowiek, z lewą nogą uciętą w kolanie, siedział ułożony w rozpadającym się wózku inwalidzkim. Starszy ponad swoje lata, z twarzą zapadniętą, jakby psy biedy i depresji ukradły każdą jej kość. Niewielkie czarne pajęczyny otaczały jego oczy.

Przy końcu drogi leżał wydęty, rozpruty worek na śmieci, ukazujący krwawy język ręcznika, który wystawał z niego tak, jakby dyszał z gorąca. Parujący zapach z ulicy wywracał żołądki większości przechodniów. Nie mnie. Ja miałem do czynienia z gorszymi. Protest z Kocami. Rzeźnia.

Kiedy ominąłem torbę, wpadł na mnie mężczyzna ubrany w całun w „tureckie” wzory, bełkocząc:

- Brudna moja skóra cała w siniakach, smarkaczu? Lepiej

mnie zabij, bo idę po ciebie! Widzisz? Widzisz? Co słyszysz, co móóówisz?

Wysunął język, cały w sosie pomidorowym i wrzodach.

- Zostaw go w spokoju, Jo Jo - powiedział ten na wózku.
- Nic ci nie zrobił, nic.

Jo Jo spojrział na mnie, potem na swojego przyjaciela, po czym skrył się znowu w cieniu.

- Nie chciał nic złego, naprawdę. Jest po prostu podejrzliwy.

Nie wiedziałem, czy nie powinienem wyjść z tej uliczki jak najszybciej, powiedzieć dziękuję i zniknąć. Zamiast tego wybrałem sięgnięcie po drobne.

- Nie rób tego. Nie obrażaj nas.

Zaczerwieniłem się.

- Przepraszam...

- Nie masz powodu. Twoja twarz już zrobiła to za ciebie - roześmiał się, ożywiając całe swoje ciało kasłaniem i drżeniem. - Rzadko się śmieję. Wyszedłem już z wprawy.

- Nie brzmisz jak nowojorczyk - powiedziałem.

- Ani ty, wybacz, że to powiedziałem.

Tym razem tylko się uśmiechnął, bez ataku kaszlu.

- Pochodzę z Tennessee, jeśli człowiek w ogóle może powiedzieć, że pochodzi z jakiegoś miejsca. Głównie piszę, ale zbieram puszki, żeby przeżyć. A ty?

- Jestem z Belfastu. Pracowałem w kasynie, dopóki nie zostało zamknięte przez gliny.

- Cóż, czegoś się dzisiaj dowiedziałem. Nie miałem pojęcia, że w Nowym Jorku są kasyna. Muszę o tym napisać.

- Są nielegalne - wyjaśniłem.

- Nie ma w tym nic złego. Cholera, bycie bezdomnym w tym mieście też jest nielegalne, jeśli się jest dość głupim, żeby słuchać burmistrza.

Podjechał do mnie na swoim wózku. Miał na kolanach torbę pełną pustych puszek.

- Belfast? To dopiero straszne miejsce. Całe to mordowanie. Istne szaleństwo.

Teraz nadeszła moja kolej, żeby się roześmiać. W weekend w Nowym Jorku zostaje zabitych więcej ludzi niż w rok w Belfaście. Wyglądało na to, że każdy tworzy większego potwora, żeby umniejszyć swego własnego.

- Musi być tam strasznie - powtórzył z namysłem.

- Nie tak strasznie, jak walczyć o przetrwanie w Nowym Jorku na wózku inwalidzkim - odparłem.

- Mogło być gorzej. Mógłby nie mieć kół - uśmiechnął się bez przekonania. - Nie zawsze się zajmowałem tym zbieraniem puszek, ale jest to element dziwnej przygody, która rozpoczęła się, kiedy przyjechałem do Nowego Jorku z Tennessee w zeszłe Boże Narodzenie.

Przejrzał swoje kieszenie, znalazł to, czego szukał i zapalił, po czym zaciągnął się głęboko.

- Miałem przed sobą dobrą niedzielę dzięki ponad ośmiu dolarom, które dostałem za puszki. Tego samego ranka przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Wypuścił z płuc odrobinę dymu, jakby nie chciał go zmarnować.

- Zwykle dostaję za puszki kawę i papierosy, mogę też posiedzieć trochę w środku, by przejrzeć moje pomysły i to, co piszę od ponad jedenastu lat. Przez ten czas zjeździłem całą Amerykę na ciężarówkach. Wzdłuż granicy Kanady jeździłem pociągami towarowymi. Malowałem na statku z Montrealu, który zabrał mnie do Hamburga w Niemczech. Tam straciłem nogi na pokładzie porzewiałego wielorybnika. Wiadomość od Boga, by nie polować na Jego stworzenia.

Myślałem, że powie mi, iż stracił nogi w Wietnamie. W przewrotny sposób uważałem prawdę za bardziej fascynującą,

niemal romantyczną. Byłem już spóźniony, ale nie dbałem o to. Wzdłuż alei ludzie zatrzymywali klimatyzowane taksówki, by uniknąć przeraźliwego upału. Karoserie taksówek drżały nerwowo, jak wyrzucone na brzeg łososie - całe srebrne i luskowe.

- Spędziłem niemal osiem lat w Dublinie w Irlandii - ciągnął - i zwiedziłem tamten kraj, zgłębiając tradycję muzyki folkowej, która wraz z bluesem oraz śpiewaniem przez baptystów ewangelii położyła podwaliny pod naszą muzykę country i rock and roli. Żyjąc twardym życiem, zacząłem się zastanawiać nad ludźmi na dnie społeczeństwa, tymi wszystkimi wędrującymi bezdomnymi, zamieszkującymi ulice miast, dżungle włóczęgów. Życie z tymi ludźmi i przyglądanie się im nauczyło mnie wielu sposobów przetrwania i ogromnej ilości rzeczy na temat społeczeństwa. A mój Dziadunio, który mnie niemal wychował, jest wykształconym człowiekiem. Ma tysiące książek, wszystkie kupione za księżycówkę, którą robi i sprzedaje. Zasadził trochę nasion, które dostał od klubu motocyklowego z Filadelfii. Co roku przyjeżdżają motocykliści na swoich maszynach, by zebrać zioło. Przywożą Dziaduniowi ważącą dwa funty torbę amfy ze stolicy cracku.

Jo Jo mamrotał coś, ukryty w cieniu. Zastawiałem się, czy nie szuka noża.

- Mój Dziadunio, on mnóstwo czyta. Ja też jestem zainteresowany mechaniką, elektroniką, nauką, wynalazkami i technicznymi innowacjami. Prawie mnie wydziedziczył ze względu na mój sposób życia i pole moich zamiłowań. Mamy ze sobą zatarg, bo on nigdy mi nie powiedział, kim był mój tata ani jak to się stało, że mnie samodzielnie wychował. Opowiada mi różne wersje, aż nie wiem, w którą wierzyć.

Zaciągnął się jeszcze raz niedopałkiem i zgniółł go pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem. Powietrze wypełnił zapach palonej skóry. Przypomniało mi to pewne zdarzenie w Belfaście.

- Miałem pierwszą wersję swojej książki prawie już gotową, z wieloma piosenkami, które napisałem, kiedy wszystko spłonęło w pożarze w zachodniej Filadelfii, ostatniego października. Wraz z całym dobytkiem, jaki posiadałem. Gitara również. Zdezelowany, piękny, stary instrument, przez który omal nie pękło mi serce. Wróciłem wtedy do Tennessee, ale nie mogłem znieść gadania Dziadunia: „Mówiłem, że tak będzie! Kusieś los!”. Idzie na emeryturę i chce, żebym został i nauczył się „receptury” księżycówki oraz dbał o niego, bo jest stary. I tak będzie, ale najpierw muszę skończyć swoją własną robotę. Poza tym, gdyby naprawdę chciał, mógłby sobie kupić miłą pielęgniarkę - gdyby naprawdę tego chciał.

Obrócił swój fotel inwalidzki, ustawiając się twarzą do słońca, po czym powiedział:

- Wiesz, przepraszam. Chyba musiałem się przed kimś otworzyć. Znoszę głód, ale milczenie zawsze było dla mnie torturą.

Nic nie powiedziałem, bojąc się zepsuć ten moment, w którym czas stanął w miejscu. Nawet stary kościół wydawał się puchnąć w słońcu i słuchać, rzucając cienie coraz dalej na ulicę. Już dawno odeszły błagające usta i płonące świece, ale on nadal poruszał wyobraźnię z jego pełnymi życia, bolesnymi aniołami o dających wytchnienie twarzach majestatycznie dopasowanych do barwnych gobelinów.

- Wiem, że musisz już iść, ale chciałbym jeszcze tylko dokończyć, co zacząłem. Zdecydowałem się podjąć ostatnie, finalne wyzwanie w tej podróży - przyjechać do Nowego Jorku bez pieniędzy czy czegokolwiek innego i zobaczyć, czy

uda mi się przetrwać zimę i znaleźć ludzi, którzy żyją w ten sposób przez cały czas, nauczyć się ich metod i zobaczyć, jakie przyniesie mi to piosenki, a także pomysły na przyszłość. Dokonałem już tego i było to prawdziwe piekło głównie z powodu nastawienia „normalnych” ludzi i z powodu bezna dziei, którą odczuwa się na ulicach. Mam teraz emocjonalne blizny i garść nowych utworów wraz z wizjami, ale muszę wznieść się ponad ten stan, nabrać dystansu, jeśli mam o tym napisać i pomóc tym ludziom. Mam nadzieję znaleźć manage-ra, który pomoże mi sprzedać trochę materiału.

Cisza uliczki stała się niesamowicie piękna. Jak symfonia wykonywana przez duchy poległych wojowników. Można było w nią wpaść i dać się ponieść na zawsze.

Mówił przez godzinę, a zdawała się ona zaledwie minutą. Godzinę temu byłem zanurzony w użalaniu się nad sobą, teraz to minęło. On opowiadał mi, obcej osobie, historię swojego życia z intrygami rodzinnymi i mrocznymi interesami, zarzewiałymi marzeniami o niebezpiecznych głębinach życia i niezłomną wiarą, że przenikliwe spojrzenie w przeszłość pozwala zwyciężyć całe to mroczne poczucie winy, które czepia się uparcie naszych dusz.

Pragnąłem opowiedzieć mu o życiu, które sam kiedyś zna-łem, o szaleństwie, brutalności i śmierci, miejscu, gdzie szepty do ucha chwytają za uczucia, zabijając je na zawsze. Pragną-łem mu powiedzieć, co to znaczy odczuwać ból, który sprawa, że czujesz się zarazem pusty i pełny, aż jedyną możliwą ucieczką staje się śmierć, przez co zaczynasz się bać własnych emocji.

Zanim jednak mogłem odpowiedzieć, zaczął padać alego-ryczny deszcz, kąsając nas. Studzienki kanalizacyjne bulgota-ły, dławiąc się jego obfитоścią. Zastępy żółtych taksówek od-najdywały drogę przez zalane wodą ulice, podczas gdy

bezdumni przyciskali plecy do ścian kościoła, zapobiegając przemoknięciu swojego dobytku. Taksówki zalały mnie swoją potęgą obojętności, gdyż teraz i ja stałem się niewidzialny, stałem się niczym.

Nad głowami plemię szczygłów ulatywało w poszukiwaniu schronienia, krzycząc jak ich kuzyni w Long Kesh.

Odwrociłem się, żeby się pożegnać, ale już go nie było - jego i wszystkich innych.

- Hej! - krzyknął sprzedawca z delikatesów, ocierając swoje potężne dłonie o oproszony fartuch. - Naprawdę nie powinno cię tu być. Te sukinsyny poderzną ci gardło bez chwili wahania. Idź już, będę cię zabezpieczał.

Dla wytchnienia wszedłem do księgarni „The Strand Bookstore” na Broadwayu, gdzie przejrzałem armię nowych i używanych książek.

Gdy tylko trafiłem na książkę zatytułowaną *Kopalnia złota pana Silvera*, zalały mnie wspomnienia, jak perfumy na skórze kochanki. Przypomniałem sobie Koparkę, jego głowę walącą o ścianę, gdy tłukli go jaskiniowcy z pałkami. Wiem, że to egoistyczne, ale byłem zadowolony, że znajdowałem się tutaj, a nie wciąż tam.

Sprzedawca z delikatesów nadal stał przy tylnym wyjściu, kręcąc z niedowierzaniem głową, najwyraźniej myśląc, że miałem mnóstwo szczęścia, że udało mi się ujść cało. Na swój sposób rzeczywiście miałem powodzenie. Pomyślnym zbiegiem okoliczności spotkałem człowieka, którego imienia nie znałem, ale który ustawił mi wszystko we właściwej perspektywie. Nagle moja izolacja w tym wielkim mieście nie była już całkowita. Byłem znowu wolny i wiedziałem dokładnie, co zrobić, jeśli - kiedy - przyjdzie czas, by wejść do chronionego budynku bez proszenia o pozwolenie.

Była to tylko kwestia czasu oraz jego wyczucia...

38. MÓWIENIE PRAWDY

Tchórz się odwraca, ale wybór odważnego człowieka pada na niebezpieczeństwo.

Eurypides

By znaleźć przyjaciela, trzeba zamknąć jedno oko. By go zachować - obydwu.

Norman Douglas, *Almanac*

Wszystko rozwijało się powoli. Podejmowałem każdą pracę, jaką mogłem znaleźć, podczas gdy Ronnie otworzył sklepik w Soho, gdzie sprzedawał jedwabne szaliki i krawaty. Czynsz wynosił osiem tysięcy dolarów, ale on nie płacił ani centa. Właściciel dał się złapać na lep jego słodkich słówek, jak wielu ludzi przed nim. Siedział tam sobie, w szklanej gablocie, wciśnięty pomiędzy marszandów a drogie restauracje, reprezentując malutki wybór podrabianych marek, spoczywający na kartonowych pudłach.

A jeśli chodzi o Marco, mógł on jedynie myśleć o tej wielkiej forsie. Doprowadzało go to do szaleństwa, ale nic nie mogliśmy zrobić, dopóki nie uda nam się znaleźć odpowiedniego trzeciego wspólnika - o ile w ogóle.

Zaczynałem w to wątpić, w akcie desperacji wyciągnąłem ostatnie nazwisko, jakie przyszło mi do głowy.

- Potrzebujemy furgonetki - powiedziałem mu, przeglądając jego towar. - Takiej, którą można by ukryć, póki nie uda nam się wszystkiego rozwiązać.

Miałem już ukryty samochód, ale znalezienie furgonetki okazało się niemożliwe.

Powiedziałem Ronniemu tak mało, jak tylko mogłem, pozwalając mu jedynie domyślać się potencjalnego planu. Im mniej wiedział, tym lepiej. Nie wspomniałem mu także, że chodzi o zajezdnię samochodów opancerzonych. Chyba nie był na to jeszcze gotowy.

- Nie ma sprawy, stary. Akurat znam miejsce, gdzie mogę ją zdobyć.

Tym miejscem był salon wystawowy na West Side. Poszliśmy wprost po schodach na górę, gdzie na wystawie stały nowe furgonetki.

- Mam nadzieję, że nie myślisz o skradzeniu jednej z nich? - powiedziałem, mając nadzieję, że nie, wiedząc, że tak.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawił się młody czarnoskóry sprzedawca.

- Witaj, dobry człowieku - rzekł Ronnie bez śladu liverpoolskiego akcentu. Zastąpiła go wymowa oksfordzkiego wykładowcy. - Szukam nowej furgonetki. Czy byłby pan tak miły i pokazał mi, jakie modele są dostępne?

Wyglądał odpowiednio w swoim trzyczęściowym garniturze i okularach w złotych oprawkach. Pod pachą trzymał pustą skórzaną aktówkę.

- Oczywiście, proszę pana. Nasze najnowsze modele są na drugim piętrze. Gdyby zechciał pan pójść za mną...

W ciągu następnej godziny sprzedawca pokazał najlepsze samochody, jakie miał na składzie. Trzymałem się z tyłu, podczas gdy Ronnie otwierał maski, udając, że wie, jak to działa. Za każdym razem, gdy sprzedający otwierał usta, Ronnie odpowiadał po prostu:

- To naprawdę wspaniale. Jestem pod wrażeniem, dobry człowieku.

Zanim wyszliśmy, uściskał dłoń bliskiego obłądu mężczyzny, mówiąc mu, że „na pewno” odwiedzi go raz jeszcze i zapewniał go, iż jest wielkim skarbem dla swojej firmy. Och, a czy czytał pan Marka Aureliusza? Nie? Naprawdę warto...

- Co za pieprzona strata czasu - powiedziałem, kiedy dotarliśmy na róg ulicy. - O co chodziło w tej całej maskaradzie? Na pewno znasz kogoś w Harlemie, kto mógłby nam załatwić furgonetkę? - Żona Ronniego, która od niego odeszła, mieszkała w Harlemie, z tego powodu znał tam kilku sprzedawców używanych samochodów.

On tylko się uśmiechnął i puścił oczko.

- A co to jest w takim razie, stary?

Poklepał mnie kluczykami w nos. Wciąż było czuć zapach nowego metalu.

- Co to jest? - zapytałem, znając odpowiedź.

- Kiedy ty się chowałeś, ja obserwowałem. Nie mogłem uwierzyć, że kluczyki po prostu sobie wiszą na haczyku, aż się prosząc, żeby ktoś je podwędził. Pewnie rozpuściło ich wysokie ubezpieczenie. Wracam za sekundę.

Bez wahania poszedł z powrotem do salonu.

Mniej niż dziesięć minut później podjechał do krawężnika, jego promiennie uśmiechnięta twarz wychylała się przez okno nowej furgonetki.

- Na co czekasz, ciulu? Wskakuj.

Pewność siebie, jaką się wykazał, zdobywając samochód, utwierdziła mnie w zaufaniu do niego. Czy jednak był gotów na takie ryzyko? Wkrótce mieliśmy się tego dowiedzieć.

Dotarliśmy na Washington Square i ukryliśmy pojazd. Ciemne chmury pojawiły się znikąd, gdy staliśmy w drzwiach starego domu Edgara Allana Poe.

- Ten dom pewnie niejedną historię mógłby opowiedzieć - powiedział Ronnie, zaglądając do okna. - Mnóstwo świrów

kręci się tu nocą w nadziei, że zobaczą ducha Poego. Pewnie dlatego tyle jest zabójstw w mieście.

Zanim zrobiło się zbyt makabrycznie, zdecydowałem, że już czas powiedzieć mu, co dokładnie zamierzamy, o ile zrobi to razem z nami.

W tym momencie deszcz zaczął padać jak z cebra, pobiegliśmy więc szukać schronienia w małej kawiarni. Powinno być uznać opady za omen, ale wtedy o tym nie pomyślałem.

- Pewnie będziesz musiał rozłożyć na łopatki kilku strażników tym twoim powalającym ciosem - powiedziałem, sącząc kawę i patrząc na jego reakcję.

Uśmiechał się, ale oczy temu przeczyły.

- Tak - powiedział w końcu. - Jak trzeba, to trzeba. Stare dobre ciosy podwójne powinny załatwić sprawę.

Nagle wstał od stolika i przy wszystkich oczach zwróconych w jego stronę zaczął wykonywać przekładankę Alego, po której nastąpiły haki i lewe oraz prawe proste wymierzone w niewidzialnego przeciwnika. Wszyscy w lokalu siedzieli jak na szpilkach, poza mną.

- Usiadłbyś, do cholery?

W końcu to zrobił, ale najpierw wykonał jeszcze wielki finał - księżycowy chód Michaela Jacksona.

- Nie powinniśmy napotkać żadnych problemów - powiedziałem, dmuchając na gorącą kawę. - Bułka z masłem.

- Nie ma sprawy - zgodził się. - Bułka z masłem.

Wtedy właśnie, gdy bogaty aromat i smak kawy zalał moje gardło, zrozumiałem, że mamy kłopoty. Wielkie jak dom.

39. NIEWŁAŚCIWY ZJAZD? NIEWŁAŚCIWA OSOBA?

Nie mam duszy tchórza.

Emily Bronte, *No Coward Soul is Mine*

Nazywam rzeczy po imieniu.

Oscar Wilde, *The Importance of Being Earnest*

Dwa dni później wyruszyliśmy wczesnym rankiem do Rochester. Mrok wciąż był górą. Mieliśmy przed sobą długą, ośmiodzinną podróż, więc im wcześniej byśmy wyruszyli, tym byłoby lepiej. Jechałem przodem samochodem osobowym, kierując Ronniego prowadzącego furgonetkę. Zapowiadano obfite opady śniegu. Wiedzieliśmy, że musimy się spieszyć, by nie ryzykować ugrzęźnięciem gdzieś po drodze.

Śnieżną Park Avenue wyruszyliśmy z Manhattanu. Droga usiana była stojącymi wzdłuż niej na warcie choinkami. Każde drzewko było bogato przystrojone światłkami, które błyskały tajemniczo w ciemności jak syreny i opalizujące owady. Oczy uciekały mi w stronę drzewek stojących przed każdym budynkiem, ich ażurowe, świetliste gałęzie ciężkie były od śniegu, wyglądały, jakby były bliskie złamania i spadnięcia na ludzi w dole.

Wiatr znowu się zrywał, zawiewając kłębamii białego śniegu o płatkach wielkości motyli, ślizgając się po powierzchni zamarzniętej East River i złośliwie kęsając swoje ofiary. Znieruchomiałe samochody zatopione były w lodzie, przypominając wystawę w sklepie rybnym. W radiu leciał Bing Crosby, a Święty Mikołaj był wszędzie, wykrzykując swoje „ho, ho, ho”.

Prędkość utrzymywaliśmy rygorystycznie poniżej limitu, mimo kuszącej rozległości nowojorskiej drogi szybkiego ruchu, która aż wołała o to, by ją sprawdzić. Miałem tylko nadzieję, że Ronnie nie będzie chciał odpowiedzieć na to wyzwanie, wiedząc że nowojorskie gliny będą przy nas w kilka sekund.

Wszystko szło doskonale, aż w połowie podróży spojrzałem w tylne lusterko, akurat żeby zobaczyć, jak Ronnie zjeżdża z trasy. Skręcił w niewłaściwy zjazd.

„Kurwa!” Nie mogłem zawrócić aż do następnego zjazdu, który był jakieś trzydzieści mil dalej. Waliłem pięścią w kierownicę, wyzywając go od durnych sukinsynów. Miał tylko jechać za mną, ale jak zwykle nie mógł zrobić czegoś prostego, w myśl jego zasad - wszystko musiało być skomplikowane. Do czasu, gdy zjechałem z trasy i wróciłem te trzydzieści mil, nigdzie go nie było.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale było to zgodne z jego zamierzeniami.

Nie mając innego wyboru, odwołałem wykonanie planu. Wróciłem do Nowego Jorku. Ledwie starczyło mi pieniędzy, by zapłacić za benzynę i przejazd. Gotowałem się ze złości, byłem wściekły, że zaufałem Ronniemu, wiedząc, że nie powinienem tego robić.

Kilka dni później poszedłem się z nim spotkać i powiedzieć mu, co o nim sądzę. Pojechałem metrem i nie mogłem oderwać oczu od bezdomnego dziecka o oczach rannej łani, które z plakatu reklamowało *Nędzników* na Broadwayu. Miejscowy mędrak podpisał: „Czy wyglądam nędznie?”. Odpowiedź: „Mniej więcej”.

To samo przyszło mi do głowy, pomyślałem, opuszczając wagon i kierując się w stronę jego sklepiku.

- Ty tchórzliwy sukinsynu! - powiedziałem, wchodząc do sklepu, dość głośno, by dwaj klienci mnie usłyszeli. Chciałem

rozwalić ten lokal, wyrzucić jego wątpliwej klasy towary i ich właściciela na ulicę.

- Uspokój się, stary - odparł Ronnie, szybko wyprowadzając dwie osoby na zewnątrz i opowiadając im, że jestem wielkim żartownisiem. Cha! Cha! Cha!

- Uspokoić się? Ty tchórzliwy sukinsynu. Tym właśnie jesteś. Typowym, pozbawionym jaj Angolem.

Wziął do siebie to, że nazwałem go Angolem. Zażądał, że bym odwołał ten obraźliwy epitet. Odmówiłem.

- Wiem, jak to wygląda, stary. Ale prawda jest taka, że zmyliła mnie długość tej trasy i cały ten śnieg. Oślepił mnie. Wydawało mi się, że widzę twój samochód na tym zjeździe. Bóg mi świadkiem - nie mogłem uwierzyć, że to nie ty. W końcu wjechałem z powrotem na trasę i dojechałem do Rochester. Ale ciebie tam nie było, stary.

Ostatnie zdanie było oskarżeniem, a jego twarz przybrała wyraz cierpienia zdradzonego psa, opuszczonego przez swojego bezdusznego właściciela.

Czy pojechał do Rochester? Oczywiście nie było możliwości, żeby to przetestować, tak jak i sprawdzić jego niezdecydowanie. Czy na to teraz liczył?

- Teraz to problem akademicki - oświadczyłem. - Już po wszystkim. Okazja się drugi raz nie zdarzy. Schrzaniliśmy to.

- Nie mów tak, stary. Następnym razem lepiej to obmyślimy. Pospieszyliliśmy się. Byłaby to katastrofa, gdybyśmy...

- Dość. Dobrze? Ani jednego pieprzonego słowa. Zrozumiano?

Zrozumiał, a ja wyszedłem, nie oglądając się na niego, córkę, która chciała się chęłpić, że dotknęła ognia, ale bała się poparzyć.

40. CZAS NA PRZEDSTAWIENIE!

Meredith, weszliśmy!

Fred Kitchen, *The Bailiff*

W Hollywood nie zrobiliby tego lepiej.

Nowy Jork, „The Irish Voice”

South Avenue numer trzysta siedemdziesiąt to czerwona, cementowa budowla, znajdująca się na odległym, fabrycznym terenie obok międzystanowej czterysta dziewięćdziesiątki. Był to ten rodzaj budynku, na który wystarczy spojrzeć raz. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że ta parterowa, prozaiczna budowla jest jaskinią Aladyna albo składem samochodów opancerzonych Brinks Incorporated.

O to właśnie chodziło.

Brinks Incorporated, założona w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku, jest najstarszą i największą firmą przewozów wartości. Ma sto sześćdziesiąt oddziałów w USA, czterdzieści w Kanadzie oraz przedstawicielstwa w pięćdziesięciu krajach na całym świecie. Ma przyjemną, porządną historię. Miałem nadzieję stać się jej częścią. Marzyłem, że uda nam się tego dokonać przed Bożym Narodzeniem. Zamiast takiego splotu wydarzeń był już piąty styczeń tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, pięć dni przed moimi urodzinami. Było kilka minut po szesnastej. Do dziewiętnastej miało się okazać, czy będą to najszczęśliwsze, czy najsmutniejsze urodziny mojego życia. Plany zmieniły się

dramatycznie. Koniec z wymówkami. W głębi duszy wiedziałem, że to kompletne szaleństwo, ale myślenie o tym stało się dla mnie nałogiem. Była to syrena, która mnie wołała, drażniła mnie nieopisanymi bogactwami. Cokolwiek miało się wydarzyć od tego momentu, oznaczało drogę bez powrotu zarówno dla Marco, jak i dla mnie. A, zapomniałem mu jeszcze wspomnieć o jednej rzeczy. Kupiłem repliki broni.

- Co to jest, do kurwy nędzy? Jaja sobie ze mnie robisz? Nie taka była nasza pieprzona umowa.

- Jest kluczową sprawą, żeby nikomu nic złego się nie stało. I tak będzie, jeśli mi zaufasz. Nie potrzebujemy prawdziwej broni - powiedziałem, próbując uspokoić go swoją logiką. - Strażnicy posrajają się ze strachu, kiedy zobaczą te straszaki przy swoich twarzach.

Staliśmy w marznącym śniegu i wśród wiatru, wpatrując się w siebie nawzajem. On wciąż potrząsał głową w niedowierzaniu.

- Nic dziwnego, że ten twój kumpel skrewił - rzekł w końcu, przerywając straszną ciszę. - Jesteś porąbany.

- Zaufaj mi. Możemy to zrobić tak, żeby nikomu nie stała się krzywda. Za godzinę będziesz zwycięzcą lotto. Co na to powiesz?

- Pieprzony porąbany irlandzki sukinsyn - powiedział.

Najpierw potrzebowaliśmy znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogli zaparkować; jak najbliżej budynku, ale poza zasięgiem jakichkolwiek kamer. Zaczynałem wariować. Tylko jedna strona ulicy była wolna, gdyż przestrzeń po drugiej przydzielono kilku stojącym tu domom. Kłopot polegał na tym, że furgonetkę trzeba było przestawić przed wyznaczonym czasem. Gdybyśmy tego nie zrobili, wtedy weszlibyśmy w kolizję z miejscowym prawem, dotyczącym miejsc do parkowania. Nie mogliśmy sobie pozwolić na mandat; w przyszłości

mogłoby to sprowadzić na nas kłopoty. Nie mając innego wyboru, zaparkowałem furgonetkę wśród drzew, które rosły wzdłuż ulicy, i modliłem się, żeby nikt nie wyrzął przez okno w tę mroźną noc.

Większość pieniędzy miała przybyć z Banku Rezerw Federalnych w Buffalo, dopiero później rozsyłano gotówkę po miejscowych bankomatach. Ostatni opancerzony samochód z Banku Rezerw Federalnych w Buffalo właśnie zatrzymał się w Brinks. Idąc dziarsko w kierunku budynku, widziałem, jak ów pojazd zajechał.

Nasze kominiarki i kurtki z kapturami pasowały doskonale do marznącej, wilgotnej aury, co pozwoliło nam nie odróżniać się zbyt od kilku ludzi zmierzających do domów. Wszyscy wyglądaliśmy tak samo, jakbyśmy zaopatrywali się w tym samym demobilu na Brooklynie.

Nadchodzący mrok przyniósł ze sobą małe nietoperze trwogi, które zaczęły szaleć w moim brzuchu, gdy światła ruchu na czterysta dziewięćdziesiątce oświetlały zajezdnię Brinks. Głos w mojej głowie próbował ze mną dyskutować, pytając, co ja tu, do cholery, robię. Miałem jednak na to gotową odpowiedź. Właściwie miałem ich milion.

Kiedy Marco dotarł do parkingu Brinks, szybko wszedł do małego samochodu Toma, który zajmował miejsce pomiędzy dwoma słoniowymi samochodami opancerzonymi. Uśmiechnąłem się, gdy z autostrady zauważyłem jadący samochód Toma. Parkował on zawsze w tym samym miejscu, każdego dnia pracy. Liczyłem na jeszcze jeden z jego nawyków. Zwykle nie zamykał drzwi do samochodu, jak większość ludzi na północy stanu. Marco wcisnął się na tylne siedzenie i ukrył w cieniu, podczas gdy ja przyglądałem mu się z bezpiecznej odległości, komunikując etapy akcji przez krótkofalówkę. Wiedziałem, kiedy ostatnia furgonetka ma odjechać,

ale dużo ważniejsza była wiedza o tym, że strażnicy zawsze wysyłali kogoś na zewnątrz, żeby sprawdził, czy wszystko jest w porządku, zanim rozpoczynali swoją pracę polegającą na umieszczaniu gotówki w sejfach. W chwili, kiedy zauważę wychodzącego strażnika, mam przekazać Marco informację, żeby go przejął w momencie, gdy akurat będzie wracał do budynku.

Zgranie w czasie było najważniejsze. Obaj musieliśmy pokładać w sobie nawzajem zaufanie. Marco zależał ode mnie w kwestii wyboru właściwego ułamka sekundy, a ja zależałem od niego w kwestii tego, czy uda mu się przeprowadzić plan. Jedno potknięcie, a skończylibyśmy bez centa przy duszy, nagrodzeni jedynie więzieniem. Jeśli zrobilibyśmy to właściwie, mielibyśmy wiele powodów do radości.

- Ostatnia furgonetka odjeżdża - szepnąłem do krótkofalówki.

Marco nie odpowiedział, więc szepnąłem raz jeszcze:

- Furgonetka odjeżdża.

W tym momencie usłyszałem sarkastyczną odpowiedź szeptem:

- Wiem, do cholery. Jestem tuż obok.

Ciężarówka wyjechała powoli. Wiedziałem, że w ciągu kilku minut pojawi się strażnik.

- Ktoś wychodzi - szepnąłem do krótkofalówki. W lodowatym wietrze cierpła mi twarz, trudno też było mi usłyszeć odpowiedź Marco.

- Słyszysz mnie? Ktoś wyszedł, rozgląda się.

Strażnik podszedł do brzegu budynku i, ku mojemu przerażeniu, skierował się ostrożnie w stronę samochodu Toma. Z tej odległości nie mogłem dojrzeć, co zamierza. Jego ręka zdawała się podążać w kierunku biodra. Czy coś widział? Usłyszał mój głos z krótkofalówki, gdy komunikowałem się z Marco i

ruszył to sprawdzić? Czy sięga po broń?

Przez mrozącą krew w żyłach chwilę strażnik stał przy samochodzie Toma. Zastanawiałem się, czy Marco słyszał moją wiadomość. Nie mogłem teraz mówić, bo bałem się, że strażnik usłyszy przytłumiony szum.

Kiedy stałem w ciemności, a wiatr odmrażał mi tyłek, byłem świadom tylko dwóch dźwięków: bicia mojego serca i ostrzegawczego tykania zegarka w mojej głowie, które mówiło mi, że czas ucieka. Musiałem przepakować furgonetkę w dwadzieścia minut albo zaryzykować możliwość otrzymania mandatu. Co gorsza, samochód mógł zostać odholowany. To by dopiero była uciecha.

W budynku nic się nie ruszało. Strażnik zdawał się zaglądać do samochodu. W tym momencie podjąłem brawurową decyzję, by podejść do budynku Brinks i przejąć wartownika, zanim on schwyta Marco.

Poszedłem spokojnie, ale żwawo. Stróż nadal się nie ruszał. Stał plecami do mnie. Jeszcze dziesięć sekund dzieliło mnie od kulminacyjnego momentu.

Marco poruszał się powoli, wydostając się z samochodu. Nie potrzebował mojej pomocy.

- Nie podnoś rąk, koleś - rozkazałem cicho, mierząc ze straszaka we wstrząśniętego strażnika. - Trzymaj je w kieszeni. Żadnego bohaterstwa. Zrozumiano?

Mężczyzna skinął głową.

- Teraz się odwróć, powoli, koleś. Złożymy wizytę pozostałym twoim koleśiom, jak jedna wielka szczęśliwa rodzina. Zachowuj się dobrze, a wszystko się skończy, zanim się obejrzyście. Zrozumiano?

- Pewnie - powiedział wartownik, zwracając się do mnie twarzą. - Tylko nie skrzywdźcie żadnego z nas.

Kurwa! To był Tom. Czuję się jak ostatni drań, bo wiedziałem, że się boi. Nie mogłem nic zrobić, żeby go uspokoić,

więc nic nie powiedziałem. Zastanawiałem się, czy wie, że to ja.

Kilka sekund później weszliśmy do środka przez uchylone teraz drzwi, zatrzymując się tylko tam, gdzie kazałem. Gdzieś w ciemności rozległy się głosy, jakby z wielkiej odległości.

Popatrzyłem na zegarek. Mieliśmy mniej niż osiem minut, by zabezpieczyć budynek i rozbroić pozostałych strażników, żebym mógł wrócić i wjechać spokojnie do środka, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Przyłożyłem palec do ust. Ktoś nadchodził. Otworzyły się drzwi. Wyobraziłem sobie stróża wpatrującego się w ciemność, przeczuwając, że coś jest nie tak, z dłonią ulokowaną na broni. Czy najpierw będzie strzelał, a potem zadawał pytania?

Czy był to ten, co to jest „chętny do spustu”, jak któregoś razu po kilku piwach opisał go Tom? Ten, który chętnie się, że ma nadzieję, iż jakiś skurwysyn będzie dość głupi, by spróbować obrabować to miejsce, kiedy on jest na służbie?

- Ha! Najpierw strzeliłbym mu w jaja, popatrzył jak wrzeszczy w agonii. Potem - Buch! Buch! Prosto w samą głowę.

Moja ręka instynktownie przestała zasłaniać jaja i skierowała się ku twarzy. Starłem się nie dekoncentrować tą wizją, bojąc się, że zaburzy mi to proces myślowy. Choćbym jednak nie wiem jak próbował, nie potrafiłem wymazać obrazu mojej twarzy jako krwawej miazgi, rozbryzganej po ścianach.

Kroki odbiły się echem i wróciły tam, skąd przyszły, a ja wypuściłem powietrze z płuc i jelit, gdy Marco poklepał mnie po ramieniu, dając mi znak, żebym się ruszył. Minęły dwie minuty. Tom nie był już zagrożony. Umieściliśmy go na tyłach, z dala od reszty, zanim ruszyliśmy w najeżoną niebezpieczeństwami drogę po schodach na górę.

O jedno piętro później światło uderzyło nas w oczy. Dotarliśmy do najbardziej delikatnego fragmentu planu: do „Pułapki”.

Pułapka było to centrum dowodzenia, które monitorowało wszystkie kamery rozmieszczone po całym budynku. Jedna z wielu zamkniętych szafek w Pułapce zawierała magnetowidy, które nagrywały wszystko, co działo się w i wokół sejfów, w których zajmowano się gotówką: maszyny do liczenia, biura i garaż.

Patrząc na ich monitory, przyglądałem się strażnikom wykonującym swoje obowiązki z bronią na biodrach. Jeden był w sejfie. Mogłem go zneutralizować. Inny prznosił worki z pieniędzmi.

Przyjrzałem się temu pomieszczeniu za pomocą kamery, całkiem jak podglądacz, przybliżając i oddalając widok, poznając je w tym krótkim czasie tak dobrze, jak tylko mogłem. Pusta puszka po coli leżała zgnieciona pod stołem do liczenia pieniędzy, na jego blacie zaś rozłożona, niczym obrus gazeta, jakby spodziewali się czyjejs wizyty na kolacji.

„Nie mogę ich zawieść” - pomyślałem.

Nagle uchwyciłem spojrzeniem otwartą szafkę, z której wyglądała grupka paskudnie reprezentujących się śrutówek, czekających z nadzieją na działanie.

„Sukinsyny. Pewnie chcielibyście odstrzelić mi tyłek”.

Broń patrzyła na mnie bezradnie. Na razie...

Widziałem nawet nieregularne brązowe kręgi kawy na wczorajszej gazecie. Nagle stałem się redaktorem. O tej porze następnego dnia mieli czytać o sobie. Wszyscy mieliśmy. O ile rzecz pójdzie zgodnie z planem.

Marco pochylił się nad moim ramieniem, wskazując strażnika w sejfie.

- Ja się nim zajmę - szepnąłem. Wiedziałem, że moje serce będzie biło mocno, ponieważ to był ten „chętny do spustu”.

Takie już moje parszywe szczęście, pomyślałem, wiedząc, że przy jakimkolwiek hałasie zabrzmia alarmy.

Przez sekundę lęk przed zamykającymi się automatycznie drzwiami, z powodu których byłem uwięziony, pojawił się w mojej głowie. Gorzej jeszcze, wyobraziłem sobie starego dobrego „chętnego do spustu”, który strzela mi w jaja, śmiejąc się do rozpuku, krzycząc: „Skurwysynie! Mam cię!

Buchkurwabuch!” Zadrzałem, ale szybko zasunąłem kominiarkę na twarz. Nadszedł czas na przedstawienie. Albo czas na wielką klapę, zależnie od wyniku.

Kilka sekund później stałem za strażnikiem w sejfie. Zakradłem się tak niepostrzeżenie, że musiałem odkaslnąć, żeby dać znać o swojej obecności. Odwrócił się z uśmiechem, podejrzewając kawał, po czym zatoczył się do tyłu z niedowierzaniem, kiedy wymierzyłem w niego moją replikę broni. Jego ręka unosiła się groźnie obok jego własnej, prawdziwej.

Ukryłem swój silny akcent z Belfastu pod najgorszą podróbką rosyjskiego, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- Nawet o tym nie myśl, towarzyszu - syknąłem z nerwami napiętymi jak struny.

Ale on o tym myślał. Wszystkie te pieprzone filmy z Johnem Waynem i Garym Cooperem przeleciały przez głowę „chętnemu do spustu”. Wszyscy bylibyśmy martwi w ciągu minuty z powodu Duke'a i *W samo południe*.

Pojedyncza kropla potu spoczęła na jego lewej brwi jak główka królika wyglądającego nad żywoplotem, szukającego wzrokiem psów. Powoli stoczyła się w dół, pozostawiając za sobą przezroczyście ślad.

„On to robi. Szalony sukinsyn zamierza skończyć w glorii pieprzonej chwały, zabierając ze sobą mnie i wszystkich innych”.

Odciągnąłem kurek mojej gównianej repliki broni, zabrzmiało to tak, jakby ktoś otworzył zardzewiałą puszkę piwa.

Spodziewałem się, że plastikowy kurek ułamie się i upadnie u moich stóp. Jednak to ten dźwięk przywrócił „chętnego do spustu” z powrotem do realnego świata; byłem temu dźwiękowi dozgonnie wdzięczny.

- Na ziemię, kurwa! - wrzasnąłem, widząc, że się zawałał.

Padł, a ja szybko zabrałem mu pistolet oraz go przeszukałem, wiedząc, że ktoś taki jak on pewnie chowa zapasową broń między półdupkami. Plastikowymi kajdankami zabezpieczyłem jego nadgarstki.

Strażnik, którego schwycił Marco miał więcej rozumu, rzucił bowiem broń wraz z pasem natychmiast na podłogę. Wszyscy - w tym najwyraźniej inni strażnicy - poczuli ulgę, kiedy „chętny do spustu” został rozbrojony. I tak nie były to jego pieniądze. Firma Brink's Incorporated płaciła tym ludziom stawkę minimalną i oczekiwała, że z narażeniem życia będą bronić ich kapitału. Niezły kawał.

Trzy minuty. Tylko tyle to zajęło. To było przerażające, ta łatwość. Kiedy opuściłem budynek, by wprowadzić furgonetkę, pojawiło się we mnie pewne uczucie. Byłem zawiedziony. Wszystko to pozbawione było klimatu. Trzy lata planowania, a cała akcja skończyła się w trzy minuty. Z jakiegoś powodu to ja czułem się obrabowany.

Z adrenaliną w żyłach staliśmy się supermenami. Góry pieniędzy znikwały sprzed naszych oczu, gdy wrzucaliśmy je do worków. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się i szczerzyliśmy do siebie. Byłem tak uszczęśliwiony, że mógłbym sam siebie uściskać i nagrodzić serdecznym buziakiem.

Okazało się, że w mniej niż piętnaście minut przenieśliśmy tysiąc dwieście funtów wagi. Rekord olimpijski. Każde sto funtów odpowiadało mniej więcej milionowi dolarów. Nieważne, co się na ten temat twierdzi, ale można wiele dobrego powiedzieć o finansowej motywacji.

Kiedy wszystko szło tak dobrze, dał się słyszeć dźwięk walenia we frontowe drzwi. Zamarliśmy, nie śmieliśmy oddychać. Być może to zimowy wiatr gra nam na nerwach? Kiedy uderzenie dało się słyszeć ponownie, obaj zналиśmy prawdę.

Przyłożyłem palec do ust i szybko, choć cicho, pobiegłem po schodach do pokoju strażników. W sekundę nastawiłem kamery na odbiór zewnętrznej części budynku.

Nie mogłem w to uwierzyć. Na zewnątrz stał samotny czarny mężczyzna, waląc w stalowe drzwi. Od czasu do czasu zdawał się patrzeć przez ramię na kogoś czekającego w ciemnościach. Czyżby ktoś zauważył coś podejrzanego?

Co jeśli nie był sam? Może chcieli nas wywabić na zewnątrz?

Może to gliniarz po służbie, który przyszedł sprawdzić, czy wszystko gra? Może to pieprzeni bandyci, którzy przyszli nas obrabować? W tej szalonej chwili wszystko było możliwe.

Cokolwiek przebiegało nam przez głowę, wiedzieliśmy, że musimy zejść i dowiedzieć się, o co mu chodzi. Im dłużej zwlekaliśmy, tym przybysz stawał się bardziej podejrzliwy. Albo podejrzliwi.

Kiedy Marco podszedł powoli do drzwi, ja stałem w cieniu, dokładnie za nim, z automatyczną śrutówką w dłoniach.

Marco wziął głęboki oddech, po czym zaczął mówić przez kratownicę w drzwiach.

- Tak? Jakiś problem, koleś?

Mężczyzna wydawał się równie zdenerwowany jak my.

- Bardzo przepraszam... ale się zgubiliśmy. Próbuje się dostać z powrotem na autostradę...

Okazało się, że nie był to nikt bardziej niebezpieczny od zwykłego czarnego mężczyzny zagubionego w obcym mieście. Jego żona i dzieci z przerażeniem na twarzach siedziały w samochodzie zaparkowanym przy krawężniku, myśląc pewnie, że zaraz jakiś wariat z Ku Klux Klanu wyjdzie na nich z ciemności.

Samochód tego mężczyzny zniknął w oddali czterysta dziewięćdziesiątki, a my siedzieliśmy przy ścianie, nie odzywając się ani słowem. Mimo to znaliśmy nawzajem swoje myśli. Roześmiałem się. On też. Nie mogliśmy przestać, chichotaliśmy, przygryzając wargi, a łzy płynęły nam po policzkach.

Jako że furgonetka była teraz zapakowana po brzegi, wskoczyłem do środka i uruchomiłem silnik. Zacharczała, posyłając w powietrze chmurę ciemnego dymu, po czym zatrzęsa się jak gotowy do lotu statek kosmiczny.

Trzęsa się i trzęsa, ale odmawiała ruszenia się z miejsca. Załadowaliśmy do środka zbyt dużo pieniędzy. Silnik się zacierał, a cały budynek był pełen czarnego dymu. Wszyscy kasłali.

Wtedy furgonetka wysiadła.

Marco poszedł na górę, usuwając taśmy wideo, utrudniając glinom zadanie jak tylko mógł. Ja spróbowałem jeszcze raz przekręcić kluczyk. Nic. Kiedy już miałem wysiąść, Marco wskoczył do środka obok mnie, nie mówiąc ani słowa z obawy, że to słowo może wywołać panikę. Lada moment mógł zadzwonić telefon. Może ktoś zobaczył dym albo coś podejrzanego.

On pierwszy się ruszył, otworzył klapę silnika, sprawdzając, czy da się go naprawić.

Coś mi mówiło, że się nie da.

- Wyciągnij część toreb - syknął.

W mniej niż minutę wyrzuciliśmy około jedną trzecią toreb. Poziom adrenaliny we krwi spadał, czułem, że zaczynają mnie boleć mięśnie.

- Spróbuj jeszcze raz.

Chciałem zdjąć maskę. Pot i dym kłuły mnie w oczy, z trudem cokolwiek widziałem. Zamiast tego podjąłem kolejną próbę odpalenia, naciskając pedał gazu, modląc się do Boga, wiedząc, że On by tego wszystkiego nie pochwalił.

Furgonetka wydała z siebie charczenie ulgi, zakaszłała i ryknęła.

Słabłem, byłem wyczerpany. Gdybyśmy teraz utknęli w martwym punkcie, to byłby koniec.

Potężne drzwi garażu wolno - zbyt wolno - otworzyły się, ukazując naszym oczom nocne niebo. Był to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałem. Niewiele zmienił fakt, że musieliśmy wyrzucić trzy miliony dolarów, pozostawiając je z innymi pieniędzy. Był to jeden z największych napadów w historii USA. Cieszyłem się po prostu, że się stamtąd wydostałem. Owionęło mnie chłodne powietrze nocy. Zdjąłem maskę i znowu mogłem oddychać.

Z tyłu furgonetki leżało pięć i pół miliona dolarów w dwudziestkach i reszta w różnych nominałach, co dawało ogólną sumę niemal ośmiu milionów dolarów. Nieźle jak za godzinę pracy dzieciaka z Belfastu. Nieszczęśliwie dla Toma on sam siedział na szczycie worków z pieniędzmi. Marco nalegał, żeby go zabrać w nadziei, że pozostali strażnicy nie zrobią nic głupiego. Ja czułem się podle. Leżał tam jak kawałek mięsa w rzeźni. Tłumaczyłem sobie, że pomogę mu później finansowo, żeby nie musiał więcej pracować dla Brinks. Poza tym mieliśmy go wysadzić najpóźniej za godzinę, w nienaruszonym stanie.

Mniej niż dwadzieścia minut później furgonetka - już bez Toma - wjechała do garażu znanego w stanie Nowy Jork prawnika, kuzyna Marco. Szybko i cicho wyładowaliśmy worki, umieszczając je za fałszywą ścianą, która doskonale zlewała się z rozrzuconymi wokół rekwizytami.

Pokusa, by zatrzymać dla siebie choć trochę mojej doli na podróż do domu była przemożna, ale na szczęście spokojniejszy Marco mnie przekonał.

- Nie bądź głupi, Sam. A co, jeśli cię zatrzymają?

Zanim oddaliłem się w ciemność nocy, spojrzałem do

wnętrza rześcicie oświetlonego salonu, gdzie prawnik zaba-
wiał swoich przyjaciół. Przysięgłbym, że mrugnął do mnie,
unosząc kieliszek do toastu, z uśmiechem tak niewinnym, że
aż wiarygodnym.

Marco zniknął w samochodzie - prawdopodobnie swojego
kuzyna - a ja podjąłem dowodzenie furgonetką. Mieliliśmy się
spotkać mniej więcej za miesiąc, jeśli wszystko poszłoby do-
brze. Kiedy wyruszyłem w ośmiogodzinną podróż powrotną
do Nowego Jorku, pozdrowił mnie billboard, pytając, czy do-
brze się bawiłem w Rochester i czy tu wrócę. Uśmiechnąłem
się do kobiety na plakacie i puściłem oczko, mówiąc: „Chole-
ra, żebyś wiedziała, że się dobrze bawiłem, ale mam nadzieję,
że nie poczujesz się urażona, jeśli nigdy więcej mnie nie zoba-
czycie”.

Wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Było to piękne
w swojej doskonałości. Szkoda, że furgonetka była taka mała,
ale tak to już jest. Nie ma co narzekać. Nikomu nic się nie
stało. Nikogo nie schwytano. Doskonale.

Doskonale, pewnie, jak cholera! Dwadzieścia minut póź-
niej włączyłem radio i zdałem sobie sprawę, że przestępstwo
doskonale było idealne tylko przez około dwadzieścia minut.
Jednemu ze strażników udało się uwolnić. Wszczął alarm.
Śmigłowce policyjne były już w powietrzu. W radiu wspo-
mniano o furgonetce. Znali nawet jej kolor! Kurwa mać!

Gdyby nie padało, być może nie zostawiłbym śladu opony,
który pozostał na bladej podłodze bazy Brinks. Ale to wszyst-
ko na nic. Rozlane mleko. Kiedy nowojorska autostrada coraz
bardziej zapełniała się policyjnymi samochodami, żołądek
powiedział mi, że nie uda mi się jednak dotrzeć do domu.
Każdy zjazd miał być zamknięty i chroniony przez łatwo po-
ciągających za cyngiel policjantów. Byliby szczęśliwi, gdyby
mogli opróżnić we mnie magazynek.

Za każdym razem, kiedy zbliżały się do mnie światła jakiegokolwiek pojazdu, żołądek wywracał mi się na lewą stronę. Starałem się nasłuchiwać wiadomości i jednocześnie helikopterów nad głową, starając się przy tym jechać dokładnie pięćdziesiąt pięć mil na godzinę. Kilka razy zdawało mi się, że słyszę kogoś z tyłu furgonetki.

Wiadomość o napadzie była teraz najważniejszą informacją w każdej stacji radiowej, którą udało mi się złapać. Winowajcy, dwóch lub trzech, poruszali się szarą furgonetką. Wszyscy uzbrojeni. Wszyscy skrajnie niebezpieczni. Zachować najwyższą ostrożność. Powtarzam: „Wszyscy uzbrojeni i skrajnie niebezpieczni”.

Te sukinsyny prowadziły mnie na rzeź. Niemal widziałem tych napakowanych sterydami gliniarzy, wszystkich uśmiechniętych, schowanych za swoimi samochodami z wyłączonymi światłami i syrenami, na milę czujących, że się zbliżam. Byliby gośćmi programu *Fox News* czy nawet *Hard Copy*, każdy z nich twierdziłby, że to właśnie on wystrzelił śmiertelną kulę, która rozbryznęła pół mojego mózgu po granicy stanu Nowy Jork. Byliby bohaterami, każdy powiedziałby kilka słów w programie *Cops*. To oni to zrobili.

Dwa razy musiałem się zatrzymać, by uzupełnić paliwo, i za każdym razem byłem pewien, że to już koniec. Czy wybuchnę wśród płomieni, czy też zaczekają, aż będę wsiadał z powrotem do furgonetki? Nie. Będą płomienie. Dajcie mi zakosztować tego, co czeka mnie na końcu Wielkiej Podróży.

Siedem godzin później powoli zatrzymywałem się przy punkcie pobierania opłat za przejazd autostradą z bilecikiem w rękę. Wiedziałem, że „tutaj na pewno” się to skończy. Dranie pewnie nie dadzą mi nawet szansy, żebym się poddał.

- Miłego dnia - powiedziała uśmiechnięta pani w budce, wydając mi resztę z dwudziestu dolarów.

Wtedy właśnie - patrząc na jej piękny, lecz martwy uśmiech - zrozumiałem, że wszystko będzie w porządku.

- Dziękuję. Postaram się, żeby był miły - odparłem, ruszając w kierunku ledwo wzeszłego nad Manhattan słońca.

Przy odrobinie szczęścia miałem być w domu za dwadzieścia minut. Świetnie.

Nic nie pobije doskonałego planu. Udaje się za każdym razem.

41. MIEJSCE DLA BOHATERÓW

*Elegancka skromność, wyposażenie,
Emerytura, wiejska cisza, przyjaźń, książki.*

James Thomson, szkocki poeta

Pieniądze nie przemawiają, tylko przeklinają.

Bob Dylan, It's Alright Ma (I'm Only Bleeding)

Zauważyłem lokal ze znakiem „Do wynajęcia lub na sprzedaż” przy kilku okazjach, gdy odwoziłem swoje dzieciaki do szkoły. Było to idealne miejsce do tego, co zamierzałem zrobić w tej okolicy zamieszkaną przez wyższą klasę średnią, w idyllicznym sąsiedztwie Greków, Włochów i Irlandczyków, społeczności ciężko pracujących ludzi, którzy wielką wagę przywiązywali do okolicy, w której żyli. Mimo to pewne wady dały się zauważyć już z zewnątrz: miejsce wyglądało na dość małe i było wyposażone w potężne, zardzewiałe kłódki w liczbie czterech, każda z nich wielkości orzecha kokosowego. Zastanawiałem się, czy wynika to z przestępczości, czy też po prostu właściciel jest nadmiernie ostrożny. Pokost suchej roślinności wiódł wprost do boku budynku, przypominając świeży zarost.

- Widziałem pana kilka razy, jak przyglądał się pan magazynowi. Jest pan nim zainteresowany? - Mężczyzna zadający to pytanie był szczupły i wysoki, miał rude włosy. Jego irlandzkie pochodzenie nie pozostawiało cienia wątpliwości.

Jego twarz naznaczona była piegami, które wyglądały jak główki zardzewiałych gwoździ.

Jego nagłe pojawienie się zaskoczyło mnie.

- Tylko się przyglądam, myślę o tym, żeby otworzyć w okolicy sklep, ale...

Zanim zdążyłem dokończyć, chwycił mnie za ramię i zaczął szukać kluczy. Nie minęła minuta - kłódki spadły na ziemię, a żaluzje zostały podniesione. Szybko zostałem wprowadzony do środka.

- Terry O'Neil - wyciągnął dłoń, a ja nią potrząsnąłem. - Jest tu wszystko, czego mógłbyś potrzebować. Łazienka na zapleczu, mnóstwo przestrzeni w pomieszczeniu obok - a przy tej samej ulicy znajduje się świetna restauracja. Jaki sklep chce pan otworzyć?

Mówił dalej, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

- W nocy widać nawet podświetlony Empire State Building, cały czerwony, biały i niebieski. Doskonale jest na niego patrzeć.

- Tak, wiem. Co noc go widuję z mojego mieszkania - odparłem, spuszczając trochę powietrza z jego nadętej dumą twarzy.

- Och...

Wszystko to brzmiało dość przytulnie, ale prawda została odrobinę naciągnięta. Było to nagie, szkieletowe pudło, którego nie ratowała choćby jedna cecha, poranione od samookaleczeń i zaniedbania, zaścielane różnymi drobiazgami, rozrzuconymi w nieładzie na podłodze. Wyglądało absolutnie niegościnnie. Babcia wśród farb była pomarszczona, a z gołych żarówek, zielonych od gnijących szczątków przyklejonych do nich owadów, zwieszały się kable. Kurz wyglądał groźnie. Myślałem o mojej alergii i astmie. Cuchnęło porzuconymi niedopałkami. Klimatyzacja też nie działała jak należy.

Terry doskonale odczytał z mojej twarzy niechęć. Dziesięć miesięcy bez zainteresowania lokalem zaczęło mu doskwierać - a w każdym razie jego rachunkowi bankowemu - i nie zamierzał tolerować dalszego zaciskania pasa, do którego zmuszało go to brzydkie kaczątko. Na zewnątrz potężne drzewa otaczały tyły, dusząc swoją bliskością.

- Moglibyśmy je ściąć - powiedział Terry zmartwiony, widząc konsternację na mojej twarzy. - Pojawiliby się więcej światła, a to odkryłoby - ukazało - zakamuflowaną rozległość sklepu. Szczerze mówiąc, niedawno sam mówiłem mojej żonie, że te drzewa...

- Nie, myślę, że są wspaniałe.

- ...są prawdziwym skarbem - uśmiechnął się, ani na jotę nie wytrącony z rytmu.

- Mój ojciec miał bardzo podobne drzewo w swoim ogródku. - Wskazałem rzeczony drzewo, którego kora została rozdarta zębami wiewiórek. - Był świetny w tych sprawach. Wygrywał nagrody, a kiedyś nawet był na pierwszej stronie „The Irish News” - naszej miejscowej gazety w Belfaście.

Paplałem jak ostatni głupiec.

- Ale musiał zostawić swoje drzewa i ogród, kiedy się przeprowadziliśmy. Mówili, że chcą wybudować obwodnicę...

Wydawało mi się, że dostrzegłem łzę w oku Terry'ego. Pewnie od tych zakurzonych pajęczyn zwisających z sufitu.

- Powinni się wstydzić - rzekł, kręcąc w niedowierzaniu głową. - Nie rozumiem ludzi. Niektóre z tych drzew rosną tu od stu lat. Były tu przed nami i będą długo po nas.

Brział jak artykuł z „National Geographic” albo Henry David Thoreau. Nie chciałem mu przypominać, że zaledwie kilka minut temu chciał je porąbać na opał. Nie mówiłem mu też, jak bardzo kiedyś nienawidziłem drzew w ogródku mojego ojca, kiedy rozkazywał mi stać na ich warcie, po szkole,

na stercie węgla, z obawy przed okolicznymi dzieciakami, które mogłyby ukraść owoce, zanim miałyby okazję sprzedać je do warzywniaka. Miałem stać na straży, a kiedy zza płotu wychyli się jakaś złodziejska głowa, rzucać tymi kawałkami węgla.

- Kawy? - zaproponował Terry, przerywając moje myśli.

- W Rossalinas Restaurant dają najlepszą kawę na Ziemi, a jeśli chodzi o ich włoską kuchnię...

Jego wzrok powędrował ku niebu, wyrażając najwyższe uwielbienie.

- Dowozą również, siedem dni w tygodniu.

- Czy ta restauracja też jest przypadkiem twoją własnością? - uśmiechnąłem się, choć mówiłem śmiertelnie poważnie.

- Nie, ale od lat jesteśmy z właścicielami przyjaciółmi. To wspaniali ludzie. Mówiłem ci, że we wtorki i czwartki serwują specjalność dnia?

- Białą z łyżeczką cukru, dobrze, Terry?

Odszedł szybko, obiecując, że wróci za dziesięć minut. Był z powrotem po pięciu. Staliśmy na zewnątrz, pijąc tę kawę. Do naszych uszu docierał ledwie słyszalny szum zraszacza, plującego na trawnik pokryty więdnięcymi stokrotkami i zanudzoną zielskiem. Wróble i sroki wirowały, pikowały i przelatywały pomiędzy rozrzuconymi krzewami, podczas gdy fontanna gołębi wystrzelała od czasu do czasu w niebo, niszcząc piękno doskonałego błękitu. Patrzyłem, jak przeobrażały się w ważki, po czym niemal niknęły, przybierając kształt i rozmiar ziarenek ryżu.

- Trzeba by tu wiele zrobić, Terry - powiedziałem. - Naprawdę nie jestem pewien, czy chcę angażować czas i pieniądze.

Skinął głową.

- Oczywiście, ale widzisz przecież potencjał tego miejsca.
Prawda?

Uśmiechał się szeroko. Myślał, że wygrał. I tak było. Prawie.

- Cóż, mam jeszcze dwa inne lokale do obejrzenia. Jeden jutro, drugi w...

- Nie szukaj dalej. Dwa miesiące bez czynszu, poza tym osobiście zajmuję się wszystkimi elektrycznymi oraz innymi drobnymi naprawami.

Wyciągnął dłoń w celu przyklepania umowy.

- „Trzy” miesiące? Brzmi to bardzo hojnie, Terry.

Jego dłoń lekko drżała, zbliżając się do mojej niechętnie, w zwolnionym tempie. Potrząsnął moją ręką - ściskając ją trochę za mocno - i po raz pierwszy od naszego spotkania zapytał, jak się nazywam.

- Patrick - odrzekłem.

- Piękne imię - przyznał Terry, bynajmniej niezaciekawiony dalszą częścią.

Tak powinno się załatwiać wszystkie interesy, pomyślałem, kiedy wyszliśmy na zewnątrz, życząc sobie miłego dnia wśród panującego na dworze łagodnego ciepła. Uścisk dłoni, bez zbędnych pytań, żadnych wątpliwości dla każdej ze stron na wypadek, gdyby zaczęło się robić nieprzyjemnie.

Szybko poświęciłem ten dzień pamięci, zachowując w niej każde słowo i dotyk na chwile, kiedy życie nie będzie się już zdawało takie wspaniałe i spokojne. Wieczna chwila, nigdy niezmacona swoim fatalnym finałem.

42. JESZCZE RAZ HULK

[...] towarzysze naszego dzieciństwa zawsze posiadają pewną władzę nad naszymi umysłami, której żaden późniejszy przyjaciel nie jest w stanie zdobyć.

Mary Shelley, *Frankenstein*

Każdy żyje ze sprzedaży czegoś.

Robert Louis Stevenson, *Across the Plains*

Już następnego dnia z zapałem rozpocząłem pracę nad sklepem, zdzierając powłoki starej farby, podczas gdy kubły świeżego barwnika czekały cierpliwie w ogródku, gotowe na wezwanie do boju.

Podczas gdy Jai Park - koreański wytwórca szyldów i stary klient z kasyna - rozpoczął tworzenie planów przemiany powierzchni sklepu, mój umysł zaprzątnięty był wyłącznie wyposażeniem jego wnętrza. Poprzysiągłem sobie, że nie będzie to zwyczajny sklep z komiksami.

„Jeśli zbudujesz, przyjdą...”.

Ludzie będą przychodzili z odległości wielu mil, dzieciaki będą torturowały rodziców i opiekunów, żeby odwiedzić to miejsce. Kiedy już będę miał małego dzieciaka, pochwycę tego większego - ojca, nosiciela przeszłości - oczarowując go zabawkami i komiksami jego dzieciństwa, mrugając do niego, kiedy będzie się tłumaczył: „To tak naprawdę dla dziecka. Ja tylko oglądam”.

„Nie ma powodu, by się wstydzić” - zapewnię go. „Spójrz

na mnie, największego dzieciaka w okolicy. Co powiesz na tego *Spidermana* numer 1, he? W najdoskonalszym stanie, jaki kiedykolwiek zobaczysz. Pewnie nie widziałeś takiego czystego egzemplarza?” - powiem, zdejmując komiks ze ściany, delikatnie, jakby to był jeden z obrazów Starych Mistrzów.

A on mi odpowie, że widział egzemplarz równie czysty i jasny jak ten, a było to wtedy, gdy próbował naciągnąć starego na dziesięć centów, błagając o jeszcze jedno wydanie, bo tylko tego numeru mu brakowało do całej kolekcji.

„I udało ci się go zdobyć?” - zapytam, znając odpowiedź, wiedząc, jak bardzo pokonana i zboląta była jego twarz tamtego jasnego sobotniego popołudnia.

„Nie - odpowie - dziesięć centów to było dla mojego starego mnóstwo pieniędzy. Poza tym miał lepsze rzeczy do roboty, niż zachęcać mnie do marzenia o lataniu i podnoszeniu samochodów jedną ręką”. Uśmiechnie się wtedy zawstydzony.

„Ja chciałem być Hulkiem” - wyznam, odblokowując w mojej głowie obronę, za którą każdy szanujący się psychiatra marzyłby, żeby się dostać. Ojciec uśmiechnie się z ulgą, dzieląc ze mną mroczny sekret.

Nie powiem mu, że chciałem być Hulkiem, żeby zabić swojego ojca, zrzucając mu na głowę dach budynku, kiedy na mnie wrzeszczał, obwiniając o odejście swojej żony te wszystkie lata temu. Nie, nie będę chciał wystraszyć mojego pierwszego klienta, więc po prostu odpowiem uśmiechem na jego uśmiech, dając mu poznać, że znam prawdziwy powód, dla którego pragnął supermocy i wiem, dlaczego jego ojciec odmówił dania mu tych dziesięciu centów w tamto piękne, sobotnie popołudnie oraz że trudno jest - naprawdę trudno - uzyskać pieniądze od martwych. Widzę jego odgadujący wzrok, oczy wychodzące z orbit, nerwowe oblizywanie warg.

W tym momencie nadejdzie chwila, by przedstawić mu Mylar. „Niech no tylko zobaczy mój numer pierwszy *Fantastycznej Czwórki*. Zesra się w spodnie i umrze na zawał”.

Komiksy - te naprawdę drogie - są zabezpieczane powłoką noszącą nazwę Mylar, dzięki której niezdarne palce nie są w stanie zniszczyć tego, co jest nie do zastąpienia. Nadaje ona komiksowi fałszywe lśnienie, jakby dopiero co wyszły spod igły. Normalne plastiki, winyl i inne materiały zabezpieczające powoli się utleniają, uwalniając groźne kwasy, które z kolei zjadają papier żywcem. Mylar jest materiałem specjalnie stworzonym w celu długotrwałego przechowywania historycznie ważnych dokumentów. Jest to ten sam materiał, w którym trzymane są *Deklaracja Niepodległości* oraz *Magna Carta*, i którego używają wiodące muzea na całym świecie. Uważa się, że jest on całkowicie nieprzepuszczalny do czterystu lat. Wątpię, czy będę mógł zaprzeczyć temu twierdzeniu.

Kiedy zobaczy Mylar, zrozumie, że mowa o poważnych pieniądzach. Może będzie trzeba zaciągnąć kredyt hipoteczny; studia dzieciaka zostaną postawione pod znakiem zapytania. Cholera, może będzie nawet musiał napaść na opancerzony samochód Brinks Incorporated... I nagle zostanie przeniesiony z powrotem do czasów swojego pierwszego spotkania z Peterem Parkerem, Bruce'em Wayne'em, Clarkiem Kentem i innymi, a w chwili dotknięcia komiksu będzie mój, schwytany w sieć Spidermana.

Moją miłością i uzależnieniem od amerykańskich komiksów można obarczyć mojego ojca. To on w końcu zapoczątkował tę wyboistą drogę, ukazując mi cuda świata Marvela i DC w wieku siedmiu lat, przywożąc komiksy ze sobą z Nowego Jorku w czasie jednej ze swoich podróży w charakterze morskiego handlarza. Ci pisarze i artyści mieli ogromny

wpływ na moje dzieciństwo, używając niesamowitego wachlarza technik opowiadania historii. Nauczyłem się więcej o świecie słów od Stana Lee, Jacka Kirby, Neala Adamsa, Jima Steranko i Steve'a Ditko - niezrównanych mistrzów - niż od jakichkolwiek nauczycieli z gniewnymi skórzanymi paskami i bardziej jeszcze gniewnymi skórzanymi twarzami. Artyści tacy jak Robert Crumb czy Art Spiegelman zaspokoili jeszcze większą, późniejszą potrzebę.

- Nazwa? Jesteś pewien? - zapytał Jai, pstrykając palcami przed moją twarzą, budząc mnie z dziecięcego transu. - Nie ma odwrotu.

Zastanawiałem się nad nazwą dla sklepu całymi dniami. Do głowy przychodziło oczywiste. „Bohaterowie i złoczyńcy”? Prosiłbym się o kłopoty. „Zabójca smoków”? Czy to odstraszy klientów? „Królestwo Hulka”? Nie, Marvel Comics przyczyniłby się do tego, aby mnie pozwać do sądu szybciej, niż Clark Kent zdejmuje koszulę w budce telefonicznej. W końcu zdecydowałem się na bardziej tajemnicze „KAC Comics”. Inicjały to Kelly, Ashley i Corey, imiona moich dzieciaków.

Jutro miał nadejść wielki dzień. Byłem zdenerwowany i podekscytowany. A co, jeśli będzie to kompletna kłapa?

Jeśli nikt nie przyjdzie? Jeśli...

Ale w głębi serca wierzyłem, że przyjdą, i w końcu będę patrzył na rozjaśniające się twarze dzieci, przemawiające uniwersalnym językiem ciszy, w której słowa są niepotrzebne. Wspomnę moją własną dziecięcą twarzyczkę w małym sklepiku w Duncairn Gardens, kiedy prosiłem sprzedawczynię, żeby zatrzymała dla mnie czternasty numer *X-Men*, obiecując, że oddam jej te trzy pensy w tygodniu, i dając jako zadatek moje pieniądze na autobus i obiad w szkole. Powiedziałem jej, że może nawet zatrzymać komiks do czasu, aż przyjdę z gotówką.

Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że tylko komiksy utrzymują mnie przy zdrowych zmysłach w domu szaleńców? Proszę tylko, żeby schowała komiks pod ladę, z dala od chciwych rąk tych, którzy mieliby chętność zabrać to, co prawnie należy do mnie.

Sprzedawczyni jest zdumiona moją pasją, mówi mi, że zatrzyma go przez trzy dni. Jestem zdruzgotany, gdyż wiem, że w tym czasie nie uda mi się zdobyć potrzebnej sumy. I w tym momencie przychodzi rozwiązanie tak proste, że aż przerażające. Uda mi się je zdobyć! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Jutro niosę czynsz za dom mojego ojca na Antrim Road, do małego zakładziku na rogu. To proste. Po prostu podpiszę pomarańczową książeczkę. Doskonale znam podpis. Ojciec nigdy się nie dowie, a ja będę miał dość pieniędzy, żeby kupić tyle komiksów, ile będę w stanie unieść. Kurwa! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? To doskonały plan, a najlepsze w nim jest to, że będę mógł tak robić co tydzień, do końca życia. Będę bogaty...

Terry wpadł w drodze do domu, by życzyć mi powodzenia w dniu jutrzejszym.

- Będę wobec ciebie absolutnie szczery, Patricku. Kiedy mi powiedziałeś, że otwierasz sklep z komiksami, pomyślałem, że mogę się pożegnać z czynszem. Ale teraz... nie jestem już taki pewny. Niemal chciałbym być znowu dzieckiem.

Popatrzył od ściany do ściany. Ani kawałka wolnej przestrzeni, komiksy wypełniały całą powierzchnię.

- Rany, musisz mieć ich setki.

Potem zobaczył cenę niektórych.

- Żartujesz sobie, prawda?

- Nie - uśmiechnąłem się. - I wierz mi lub nie, ale to doskonałe ceny.

- Trzysta dolarów za komiks *Batman*?

- To tanio. Popatrz za siebie, na ten za szkłem.

Przeczytał cenę na głos, po czym wyszeptał ją do siebie jak chorał gregoriański.

- Nie wierzę w to. I ludzie naprawdę płacą takie pieniądze?

- Z chęcią.

Urzekł go urok tego wszystkiego. Pamiętał swoje komiksy *Green Lantern* i niestety zapytał, ile by za nie dostał, gdyby wciąż je miał. Kiedy wymieniłem mu cenę, stał się dość przygnębiony.

- Nie martw się, Terry, nie ty jeden zniszczyłeś lub zgubiłeś swoją kolekcję. Gdyby nikt nie stracił swoich komiksów, nie byłyby one teraz tak cenne i poszukiwane. „Wall Street Journal” ogłosił to, co wszyscy entuzjaści już dawno wiedzieli: komiksy ze złotej i srebrnej ery zyskują wartość szybciej niż nieruchomości.

Nie chciał tego słuchać.

- Może chciałbyś wejść ze mną w spółkę? Sprzedać mi ten sklep? - uśmiechnąłem się.

Poszedł sobie, by nie słyszeć, co jeszcze mam mu do powiedzenia. Mamrotał coś o *Green Lantern*, myślał, że może ma jeszcze kilka z nich na strychu albo w piwnicy.

Dzwonek przy drzwiach ogłosił, że ktoś wszedł. Odwróciłem się, żeby powitać moich pierwszych klientów. Nie tego się spodziewałem.

- Jak leci? - zapytałem nerwowo. Poczułem mróz w żołądku i to nie dlatego, że są moimi pierwszymi gośćmi, ale ze względu na ich mundury. Nowojorscy policjanci, cali w różnych odcieniach koloru niebieskiego. Nic nie mówią, a ja wiem, że w każdej chwili mogę zostać aresztowany za Brinks.

- Od dawna jesteś otwarty, koleś? - zapytał mniejszy z dwóch olbrzymów, mający co najmniej metr dziewięćdziesiąt od kolan w górę.

- Od jutra. Jesteście moimi pierwszymi klientami - uśmiechnąłem się, choć wiedziałem, jak przerażony był to uśmiech.

- Przyjemne miejsce. Świetna kolekcja - powiedział Olbrzym Numer Jeden, podczas gdy Olbrzym Numer Dwa zaglądał podejrzliwie w głąb korytarza.

- Jest tu ubikacja? Za dużo kawy - uśmiechnął się, a ja zastanawiałem się, w jaki sposób powiedzieć „nie”. Nad szafką w toalecie jest torba, a w niej jednodolarówki. W liczbie ponad dwudziestu tysięcy sztuk. Z Brink's. Powinienem był je spalić, kiedy miałem okazję, ale nie miałem serca do marnowania dobrych pieniędzy. Teraz przyszedł czas zapłaty za chciwość.

- Jest... trochę mała. Wątpię, czy uda wam się precyzyjnie między stertami pudeł pełnych komiksów.

Mój uśmiech zbladł. Wyglądał bardzo podejrzanie, a ja zniechęciłem go za to, że chce, aby mnie złapano.

- Ha! Nie ma obaw. Byłem już w ciasniejszych miejscach - powiedział i zaczął zwinnie, jak na jego rozmiary, manewrować swoim cielskiem.

„Ja też, koleś” - pomyślałem, gdy wciągał brzuch, mrugając do mnie. Powoli precyzyjnie się przez barierę z pudeł i wyszedł zwycięsko po drugiej stronie.

- Nie zapomnij umyć rąk, Jimmy - krzyknął Olbrzym Numer Dwa. - Ten gość nigdy nie myje rąk - dodał przeproszająco. - A więc skąd jesteś? Dopiero przeprowadziłeś się do Queens?

Myśl bardzo uważnie.

- Nie, przez wiele lat mieszkałem na Jackson Heights.

Skinął głową.

- To miejsce staje się niebezpieczne. Mnóstwo dilerów narkotyków. To kokainowa stolica Ameryki...

Zapomniał wspomnieć, że jest to najbardziej zróżnicowana

etnicznie okolica w Nowym Jorku. Żyje tu około sto tysięcy ludzi, a zamieszkiwali tu kiedyś członkowie swingowych big bandów, które dominowały na scenie muzycznej w latach trzydziestych i na początku lat czterdziestych, tacy jak: Benny Goodman, Woody Herman i Glenn Miller - niestety nie mój krewny.

Olbrzym Numer Jeden coś długo nie wychodził. Zajrzałem w głąb korytarza.

- Skąd jesteś? Z Irlandii? - zapytał, znając odpowiedź.

Tak naprawdę chciał wiedzieć, z której części Irlandii.

- Tak. Ale mieszkam tu już dobre dziesięć lat - powiedziałem, z całych sił starając się uniknąć pułapki.

- Nadal masz akcent - ciągnął.

- To prawda. Jestem z niego dumny. - Ostrożnie, myślałem. Nie przechodź do obrony. On tylko chce się przyjaźnie zachowywać. Czy aby na pewno? I gdzie, do cholery, ten drugi wielki sukinsyn? Popłynął do East River?

- Rodzina Jimmy'ego pochodzi z Irlandii. Prawda, Jimmy? - pyta Olbrzyma Numer Jeden, który, na szczęście, właśnie się pojawił, nieco chudszy niż przed tą eskapadą.

- Cork. Wspaniali ludzie. Najlepsze hrabstwo w Irlandii, jak sądzę.

- Ja jestem z Antrim, tego naprawdę najlepszego.

Czy zauważył torbę? Otworzył ją? Nie bądź głupi, już byś był w kajdankach.

- Jimmy Coogan. - Wyciągnął dłoń, a ja nią potrząsałem. Zastanawiałem się, czy umył ręce. - To jest Tommy Johnson, mój partner.

Potrząsałem również dłonią Tommy'ego.

- Mam mnóstwo przyjaciół, którzy kolekcjonują komiksy, na Rikers Island.

- Z więzienia na Rikers Island? - zapytałem, obawiając się odpowiedzi.

- Nie martw się, to strażnicy, a nie więźniowie.

Obaj się roześmieli. Dołączyłem do nich.

Rikers Island Penitentiary to największy i najbardziej brutalny zakład karny w Nowym Jorku. Dziesięć więzień zajmowało teren połowy Central Parku. Widziałem go z bezpiecznej odległości. Miałem nadzieję, że tak pozostanie.

- To wspaniale. Jestem pewien, że będę w stanie dać im specjalną ofertę - odparłem niechętnie, ale zapobiegliwie. Nigdy nic nie wiadomo.

- To bardzo miło z twojej strony, koleś. Dam im znać. Musimy lecieć, ale nie martw się o ten sklep. Będziemy tędy od czasu do czasu przechodzić. Żeby ci źli wiedzieli, że jesteśmy w okolicy.

Uśmiechnął się, jego zęby były przerażająco białe.

Zamknąłem drzwi. Gasząc światło, zastanawiałem się, w co tak naprawdę się wpakowałem. Zostawiłem tylko rozbłyskujących w ciemności neonowych superbohaterów. Wątpiłem, czy uda mi się tej nocy zasnąć. Obiecałem sobie, że wstanę bardzo wczesnie rano, by upewnić się, że każdy drobiazg jest na swoim miejscu.

Małutkie gwiazdy zaściewają niebo nade mną, a ciemność wydaje się potężna i ciężka. Butelkowiezielony ford parkuje przy parasolu drzew. Słabe światła samochodu tańczą w ciemności, zwołując émy na brzydki bal robaków.

Byłem pewien, że to ten sam samochód, który zauważyłem poprzedniego wieczora, lecz kiedy wysiadł z niego stary człowiek, zgarbiony i siwy, roześmiałem się z własnej głupoty.

- Jedź ostrożnie - powiedział kierowcy, gdy samochód powoli ruszał.

Popatrzył wprost na mnie, ale tak, jakbym był przezroczysty. Nagle skóra zaczęła mnie mrowić, zupełnie jak Spidermana.

Musisz więcej wychodzić, poradziłem sobie. O wiele więcej...

43. KAPUŚ

Wygląda to na jeden z największych napadów w historii Stanów Zjednoczonych.

Pierwsza strona, „The New York Times”

Oferujemy 300 000 dolarów nagrody za informację prowadzącą do podejrzanych.

Brinks Incorporated

Panowie, w tym biznesie jesteście tylko tak dobrzy, jak wasi kapusie.

U.S. Law Enforcement Academy

(Amerykańska Akademia Ochrony Porządku Publicznego)

- FBI. Agent Fuentes przy aparacie. Czym mogę służyć?

Nastąpiło kilka chwil ciszy. Pauza zdawała się dłużyć. Było to tak, jakby osoba po drugiej stronie linii wahała się, rozważała, czy nie pożałuje tej decyzji.

Będąc zawodowcem, Fuentes wyczuł niezdecydowanie i szybko zadziałał.

- Mogę połączyć z jedną z naszych agentek.

Nie wiedział, czy dzwoniąca osoba była mężczyzną, czy kobietą. Ta dodatkowa możliwość mogła pomóc rozwiązać ostatnie wątpliwości.

- Muszę... - Kasznięcie, dla oczyszczenia gardła, nie sumienia.

Jeszcze raz nastąpiła cisza, ale Fuentes wiedział przynajmniej, że rozmawia z mężczyzną.

- Tak, proszę pana. Proszę się nie spieszyć. Ja się nigdzie nie wybieram.

Spokojnie. Nie popędzać go. Coś w żołądku człowieka z

FBI mówiło mu, że to może być telefon, na który wszyscy czekali. Wiedzieli, że tam jest. Plotki mówiły o kimś, kto chowa urazę. To mógł być właśnie ten człowiek.

- Muszę rozmawiać z agentem Stithem... Tym, który prowadzi sprawę Brinks.

W głosie nadal dało się słyszeć wiele mówiący akcent z Belfastu, ukryty pod latami amerykańskich naleciałości.

- Agent Stith jest w tej chwili nieosiągalny. Mogę jednak pana przełączyć...

- Nie! Nikt inny. Spróbuję zadzwonić jutro o tej samej porze... prawdopodobnie.

- Gdyby zechciał pan...

Cholera! Odłożył słuchawkę!

Fuentes przeklinał siebie, zastanawiając się, co go wypłoszyło. Zastanawiał się, co powiedziałyby Stith. Wszyscy działali w nerwach. Cholera! Niemal...

Człowiek z FBI nie musiał się martwić. Jego rozmówca miał wrócić. Wrócić, żeby się zemścić.

• • •

- Noszenie podsłuchu jest niebezpieczne. Nie ma w tym nic fajnego, choć Hollywood zdaje się twierdzić co innego. Nie chcę cię przestraszyć... po prostu przygotowuję cię na wypadek...

Mężczyzna siedzący naprzeciwko agenta FBI skinął głową. Był zdeterminowany, żeby doprowadzić rzecz do końca, mimo bólu w sercu, który sprawiał, że krew krążyła jeszcze szybciej.

- Długo i głęboko się nad tym zastanawiałem - odparł łaгодно, niemal szeptem. - To, co zrobili z moim bratem...

Człowiek z FBI wiedział o bracie mężczyzny. Czytał akta więcej niż raz. Napad wymknął się spod kontroli - mówił raport. Prywatnie mówiono o zemście, o miłosnym trójkącie przeżartym zazdrością. Jakkolwiek było naprawdę, był to ich

jedyny mocny trop. Przy całym napięciu, w jakim pracowali, agent był niemal wdzięczny za to, że tak się stało. W przekorny sposób, oczywiście.

- W porządku. Twoim pierwszym przystankiem będzie pub Molly Malones we wtorkowy wieczór. Nasi informatorzy twierdzą, że jest szansa, że go tam zastaniesz, pewnie z jego dziewczyną.

- Nie ma sprawy, kiedyś często tam bywałem.

- Nie bądź nadmiernie pewny siebie. Ten facet jest niebezpieczny i inteligentny. Wierzmy, że zabił przynajmniej dwie inne osoby, nie licząc twojego brata. Nie ryzykuj. Wie już, że go nienawidzisz, na pewno będzie się miał na baczności, kiedy rozpoczniesz z nim rozmowę.

- O, jestem tego w pełni świadomy. Wierz mi. Mam jednak nadzieję, że piwo Jenny Light sprawi, że będzie się czuł pewnie, szczególnie jeśli pójdziemy razem się odlać, jak starzy kumple.

Próbował się uśmiechnąć, ale miał sucho w ustach i spierzchnięte wargi.

- Nie zapominaj - zapewnił go agent - że będziemy zaledwie kilka jardów od ciebie. Nie odgrywaj bohatera. Zrozumiano?

Mężczyzna skinął głową, po czym wstał.

- Doceniamy wszystko, co dla nas zrobiłeś - powiedział agent, otwierając drzwi.

- Miejmy nadzieję, że dorwiemy tego drania. Tylko tego pragnę.

Ja też, pomyślał agent, zamykając drzwi. Wszystko okaże się we wtorkowy wieczór...

44. PIENIĄDZE? NIE WSPOMINAJ MI O NICH

Pieniądze są jak gnój, nadają się tylko do tego, żeby je rozrzucić.

Bacon

Oferujemy teraz 500 000 dolarów za informację, która pomoże rozwiązać zagadkę napadu.

Brink's Incorporated

Pieniądze, wszędzie pieniądze, a ani centa nie można wydać. Nie mogłem ich dotknąć nawet tyczką i dobijał mnie ten stan rzeczy. Za każdym razem, kiedy szedłem do garażu, żeby sprawdzić leżącą tam gotówkę, zdawałem sobie sprawę, jak musi się czuć alkoholik w każdej chwili, gdy mija jakikolwiek bar. Zapach waluty sprawiał, że czułem się chory. Podśmiewały się ze mnie te setki, pięćdziesiątki i dwudziestki. Sztuczna szczeka George Washingtona niemal wypadła mu z ust, tak się radował.

Nie mogło być gorzej, myślałem, odbierając mój telefon komórkowy. Nazywałem go „telefonem złych wieści”, bo tylko troje ludzi znało ten numer. Wiedzieli, że mają go używać wyłącznie w wypadku, gdyby stało się coś tragicznego.

- Halo?

- Zadam ci pytanie i oddzwonię do ciebie za dwie minuty.

Co miał ojciec Danny'ego G? Zastanów się nad tym. Kiedy się z tobą skontaktuję, nie wypowiadaj odpowiedzi na głos. Zrozumiano?

Zanim mogłem odpowiedzieć, rozłączył się.

Miałem gonitwę myśli. Kim, do cholery, był Danny G, nie mówiąc już o jego ojcu, który coś posiadał? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej mój umysł stawał się niezdolny do sensownego myślenia. Dysponowałem niecałą minutą, zanim mówca ponownie zadzwoni. Nie miałem zielonego pojęcia. I w tym momencie trafiła mnie myśl jak piorun. Danny G był starym przyjacielem mojego rozmówcy. Spotkałiśmy się zaledwie dwa razy. Zawsze uważał się za piosenkarza, ale dopóki nie udało mu się przebić, musiał się zadowolić pracą w serwisie ogumienia, należącym do jego ojca. Ale co to miało wspólnego ze mną?

Zadzwonił telefon.

- Halo?
- Pamiętasz?
- Tak... przynajmniej tak mi się wydaje.
- To dobrze. Pozbądź się ich natychmiast, ale rozważnie.

Sępy chcą się do ciebie dobrać.

Telefon zamilkł. Dźwięk rozłączania się sprawił, że żołądek wywrócił mi się na drugą stronę. Wyrząłem za okno mojego sklepu z komiksami i popatrzyłem wzdłuż ulicy. Miałem ochotę zwinąć sklep i spróbować uciec za meksykańską granicę. Chcą się do mnie dobrać! Sukinsyny! Ale jak? Nie chciało mi się w to wierzyć, ale mój informator był doskonały.

Już dawno należało się pozbyć furgonetki. Nie, w ogóle nie powinienem jej użyć. Zbytnią wiara w siebie przyczyniła się teraz do mojej zguby. Chcieli mnie pozbawić tej pewności!

Zatrzymując furgonetkę, starałem się, żeby wszystko wyglądało tak normalnie, jak to tylko możliwe. Jeżdżenie tym samym starym rzęchem nie skupi na mnie niepotrzebnej uwagi - dedukowałem. A teraz miało mnie to drogo kosztować. Sukinsyn, myślałem.

Mimo to cynk od mojego informatora odnosił się jedynie do opon, a nie furgonetki. Być może miałem jeszcze szansę.

Federalni mogli być wszędzie. Chowali się za każdym drzewem. Starsza, kulejąca pani, która szła naprzeciw mnie, pewnie była jednym z nich. Chciałem ją znokautować, sprawdzić tę fałszywą laskę, na której się wspierała, patrzeć, jak jej towarzysze wybiegają na ratunek, strzelając w moim kierunku.

Zamknąłem sklep i pojechałem furgonetką do mojego greckiego przyjaciela, właściciela stacji benzynowej. Nie pytałem, dlaczego chcę wymienić praktycznie nowe opony. Po prostu zmienił je, wkładając stare na tył furgonetki.

Jechałem całymi milami, zastanawiając się, gdzie mógłbym je wyrzucić. Kierowałem pojazd, jednocześnie patrząc w lusterko i czekając na wyjące syreny. W końcu zatrzymałem się pod McDonald's, a po wypiciu kawy poczułem się lepiej. Byłem spokojniejszy, pomimo kofeiny.

Spokój trwał do chwili, kiedy wziąłem do ręki jedną z gazet leżących na ladzie. W najnowszym „The New York Times” znalazłem artykuł o napadzie, według którego federalni mieli nowy trop.

Opuściłem restaurację bardziej przygnębiony niż kiedykolwiek. Mój żołądek twierdził, że coś się wydarzy, prawdopodobnie tego dnia, coś poza moją kontrolą.

Już miałem odpalić silnik, kiedy zauważyłem kontener na śmieci. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Stał z szeroko rozwartymi szczękami obok parkingu, zlewając się z grupką drzew - pełen wszelkiego rodzaju śmiecia. Było w nim więcej niż dosyć miejsca na opony. Doskonale.

Odjeżdżając, spojrzałem jeszcze wstecz, dla pewności. Nic. Upomniałem samego siebie za paranoję, za to, że mam zbyt wysokie mniemanie o federalnych. Nie mieli pojęcia. Nigdy

nie będą go mieli, sukinsyny, i po raz pierwszy od wielu godzin uśmiechnąłem się do siebie zrelaksowany.

Gdybym rzucił okiem wstecz jeszcze jeden, malutki raz, zesrałbym się w gacie, widząc, jak dwóch szeroko uśmiechniętych agentów FBI chowa owe opony do swojej furgonetki.

45.

Ludzki umysł najogólniej rzecz biorąc będzie odmawiać zmyślenia samego siebie, dopóki nie zostanie do tego zmuszony wyjątkową sytuacją.

Anthony Trollope, *Ayala's Angel*

Musimy zawsze przyjmować możliwość klęski.

Seneka

Marco i ja zgodziliśmy się spotkać na lotnisku La Guardia, blisko miejsca, gdzie startują samoloty. Mieliśmy nadzieję, że zagłuszy to wszelkie potencjalne urządzenia podsłuchowe. Ustaliliśmy datę - dwudziesty siódmy lutego - za pomocą kodu, który wypracowaliśmy przed napadem. Oczywiście federalni rozpracowali już dawno nasz szyfr i znali każde nasze posunięcie. Umieścili swoich agentów na lotnisku i wokół niego już na kilka dni przed ustalonym przez nas spotkaniem. Nie mieliśmy pojęcia, że przygotowano na nas pułapkę. Federalni, którzy nie mogli się już doczekać, żeby nas przy-skrzynić, teraz mieli zdobyć niepodważalny dowód, na który tak cierpliwie czekali: nas dwóch na jednej fotografii.

Tego ranka, gdy wszyscy jechaliśmy na miejsce, wszyscy też usłyszeliśmy odgłos eksplozji. Zbliżało się południe. Zobaczyłem wstążki dymu unoszące się węzowym ruchem w powietrze.

Wybuch gazu, pomyślałem, włączając radio. Leciąco właśnie *You can't always get what you want* Stonesów.

Skreśliłem w lewo, w stronę Astoria Boulevard. Lotnisko było już w zasięgu wzroku. Miałem się tam znaleźć już za kilka minut, zapraszało mnie przyjaźnie zbrojne ramię FBI.

Nagle muzyka została przerwana przez głos mówiący, że w World Trade Center nastąpiła potężna eksplozja, byli zabici i ranni. Ludzie przystawali samochodami wstrząśnięci i niedowierzający, że taki akt terroryzmu mógł mieć miejsce na amerykańskiej ziemi. Zatrzymałem samochód i wysiadłem. Dym w oddali stawał się gęstszy, przez co bardziej groźny. Cała ta scena kazała mi myśleć o Belfaście. Zadrzałem, myśląc o moich mieszkających na Manhattanie przyjaciółach, wszystkich krupierach i klientach, których poznałem przez lata. Wypowiedziałem cichą modlitwę w intencji, by żadne z nich nie zostało ranne ani co gorsza zabite.

Potworną ironią tego straszliwego wybuchu był fakt, że uratowała nam ona głowy - przynajmniej na razie - gdyż każdy agent na Wschodnim Wybrzeżu został odciągnięty od swojego zadania. Eksplozja stała się absolutnym priorytetem, należało odnaleźć terrorystów, którzy dokonali tego morderczego aktu przemocy.

Kiedy zajechałem na lotnisko, nowojorscy federalni zwijali się stamtąd, przeklinając swoje straszne nieszczęście.

46.

Uważam, że największymi łotrami są ci, którzy najwięcej mówią o swojej uczciwości.

Anthony Trollope, *The Three Clerks*

Nie ma tajemnic lepiej strzeżonych niż te, których wszyscy się domyślają.

George Bernard Shaw, *Profesja pani Warren*

Gdy dni stawały się tygodniami, a żadne aresztowanie nie nastąpiło, moja pewność siebie wzrosła. Miałem tylko jeden problem, zagadnienie, którego nie wierzyłem, że kiedykolwiek doświadczę: pieniądze. Za dużo pieniędzy...

Nie miałem gdzie ukryć tej forsy. Całą swoją dolę trzymałem w furgonetcie, w której worki z gotówką przykryte były kilkoma zatłuszczonymi kocami. Wspomniany pojazd natomiast mijany był codziennie przez licznych mieszkańców, którzy szli po swoje własne samochody na prywatnym, podziemnym parkingu. Każdego dnia, gdy się budziłem, zastanawiałem się, czy zawartość wciąż leży nienaruszona na tym samym miejscu i byłem wdzięczny, że furgonetka wygląda strasznie, co daje jej ostatnią pozycję na liście wśród złodziei samochodów.

Ale miałem już tego dość. Prędzej czy później ktoś i tak by znalazł te pieniądze i albo by je ukradł, albo wezwał federalnych. Nadszedł czas, żeby działać. Komuś trzeba było powiedzieć. Komuś, komu mogłem zaufać. Po długich rozważaniach jedno imię wyszło na prowadzenie: ojciec Pat.

Pata poznałem, kiedy mój przyjaciel poprosił mnie, żebym podrzucił go do domu duchownego, na południowo-wschodnim Manhattanie. Szwagier mojego przyjaciela zagiął, więc chciał on wiedzieć, czy Pat mógłby mu pomóc. Byłem na początku niezwykle ostrożny wobec nowo poznanego ojca, gdyż moje doświadczenia z kapłanami w Long Kesh uczyniły mnie cynicznym w odniesieniu do ludzi kleru. Czułem niesmak w ustach za każdym razem, kiedy spotykałem księdza. Pat, jak później odkryłem, sypiał w starej szafie i bez końca odbierał telefony albo wpuszczał do siebie ludzi, którzy potrzebowali pomocy.

Na początku myślałem, że to tylko taka sztuczka, ale poznałem go w ciągu nadchodzących tygodni i zacząłem odczuwać niechętny szacunek. Prowadził ascetyczny tryb życia, co tworzyło ostry kontrast ze stylem życia księży, których znałem z Irlandii.

Od czasu do czasu zostawiałem u niego różne rzeczy, które zebrałem w pracy przy Park Avenue: farby, cement, meble i artykuły gospodarstwa domowego. Cokolwiek bogaci wyrzucili, mogło się przydać setce ludzi, których znał Pat. Jego motto było proste: „Módl się za zmarłych lecz zaciekłe jak Szatan walcz o żywych!”. W końcu zostaliśmy przyjaciółmi.

Przyszedłem do niego, nie wiedząc, czy odmówi pomocy, czy mnie potępi słowami, żebym nigdy więcej nie kalał jego domostwa.

- Gdyby ktoś miał sporo pieniędzy i chciał, żeby były bezpieczne, jak najlepiej powinien je ulokować? - zapytałem zwyczajnie.

Jadł właśnie lekki lunch w swoim salonie, co miał w zwyczaju. Ja sączyłem herbatę.

- Och, są setki sposobów, jak sądzę - powiedział bez cienia zainteresowania. Właśnie odłożył słuchawkę telefonu, rozmowa, którą odbył, wyraźnie go wciąż trapiła.

- Chodzi o pieniądze, które zarobiłem w kasynie. Nie chciałbym, żeby dostały się w ręce Urzędu do spraw Imigracji i Naturalizacji.

- Nie sądzę, żeby mogli skonfiskować twoje pieniądze, nawet jeżeli jesteś tu nielegalnie.

- Och...

Podniósł do ust podwiedły liść sałaty, po czym odsunął od siebie talerz.

- Muszę wyjść. Nie powinno mi to zająć wiele czasu. Chcesz zaczekać?

- Nie, sam muszę już iść - odparłem, wiedząc, że „niewiele czasu” Pata może się zamienić w wiele godzin. Poza tym moje pieniądze stały zaparkowane przed jego drzwiami, a to nie była najlepsza okolica. Nawet gówniana furgonetka z tłustymi łachmanami w środku zniknie, jeśli nie będzie się na nią uważało.

- Postaram się dowiedzieć więcej o tym urzędzie - odparł, widząc wyraz mojej twarzy, gdy czarny bezdomny człowiek patrzył na tył moich czterech kółek.

- Odsuń się, do cholery, od tego samochodu - krzyknąłem na oszołomionego człowieka i natychmiast tego pożałowałem.

Pat był znanym obrońcą bezdomnych i ani trochę nie rozbawiło go moje podejście.

- Jestem ostatnio podenerwowany - mruknąłem przeproszająco.

On tylko skinął głową i wsiadł do swojego wehikułu. Odjechał.

Myślałem o tym, żeby dać temu bezdomnemu Murzynowi kilka dolarów, ale on też, co dziwne, zniknął.

Zabawne, jak pamięta się ważne rzeczy, kiedy jest już za późno.

47.

*Nic nie jest tak nieskończoną udręka
Jak własne myśli człowieka.*

John Webster, *The White Devil*

Nic nie działa równie uspokajająco na umysł, jak dążenie do wyznaczonego celu.

Mary Shelley, *Frankenstein*

W ciągu kolejnych kilku dni niezłomnie dążyłem do znalezienia bezpiecznej przystani dla pieniędzy. Pat nadal był na pierwszym miejscu mojej listy, ale gdyby nie udało mi się go przekonać - i to wkrótce - miałbym kłopoty. Chciałem dać mu jeszcze jedną szansę. Jeśli jego odpowiedź będzie brzmiała „nie”, wtedy będę musiał wtajemniczyć starego przyjaciela. To mogłoby spowodować dalsze kłopoty, ale musiałem coś zrobić z moją działką, na razie czy na dłużej, to nie miało znaczenia. Musiałem to zrobić już.

Pat był niezłomny w swojej misji, której celem było złagodzenie cierpienia nędzarzy, włóczących się po ulicach południowego East Side. Wiedziałem, że jeśli miał jakąś słabość, to byli nią biedni i ich ubogie życie. Zacząłem rozgrywać jego współczuciem.

- Gdyby ktoś miał odpowiednio dużo pieniędzy, mógłby zrobić bardzo dużo dobrego dla bezdomnych w tej okolicy, prawda? - zagailem.

Trzymał w rękach trzy stare garnitury, szybko włożył je do torby. Dwie koszule, kilka krawatów i para butów, która

widziała lepsze dni, podążyły za nimi. Miał to być prezent dla kogoś z Alphabet City albo Hell's Kitchen*. Nadal pakował ubrania, ignorując mnie.

* Dzielnice Manhattanu.

Chciałem to wykrzyczeć, walnąć go w głowę wielką torbą pieniędzy, zamiast tego jednak powiedziałem po prostu:

- Pat, potrzebuję twojej pomocy.

Przestał pakować, wyprostował plecy i usiadł w fotelu przy oknie. Zobaczył moją furgonetkę po drugiej stronie ulicy i powiedział:

- Lepiej uważaj. Za dwadzieścia minut będą rozdawać mandaty.

Opłata za złe parkowanie była najmniejszym z moich problemów.

- Mam trochę... pieniędzy. Potrzebuję dla nich bezpiecznej kryjówki - może na dłużej.

Popatrzył znowu na samochód. Zastanawiałem się, czy już wie.

- Z kasyna?

Przez moment nie wiedziałem, o czym mówi. Potem do mnie dotarło. Pat nadal myślał, że pracuję w kasynie, wożąc pieniądze przez miasto dla Johnny'ego Maca.

- Cóż, nie powiedziałbym, że to z kasyna...

Przerwał mi ruchem ręki. Nie chciał wiedzieć nic o moich sprawach.

- Jaką kwotą trzeba się zaopiekować?

- Naprawdę jeszcze nie wiem.

- Podaj mi sumę. Kilkaset dolarów? Tysiąc?

- Naprawdę nie wiem. Jeszcze ich nie przeliczyłem.

Roześmiał się z tego.

- Nie przeliczyłeś? To brzmi na całkiem pokaźną sumę. Dlaczego ich nie przeliczyłeś?

- Byłem... zajęty - wymamrotałem. - Ale potrzebuję twojej pomocy. Rozpaczliwie.

Potań swoją brodę, po czym powiedział:

- Napijmy się herbaty.

- Myślę, że najpierw powinieneś wyjść na zewnątrz.

Na podwórzu otworzyłem tylne drzwi od furgonetki. Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, Patowi zabrakło słów.

- Gdzie... gdzieś ty, na Boga, to zdobył? Czy to pieniądze z kasyna?

Zaglądał do toreb spoczywających pod zatłuszczonymi łachmanami. Drżenie w jego głosie powiedziało mi, że może mieć zawał serca. Co za nagłówek: „Martwy ksiądz znaleziony na workach ze zrabowanymi pieniędzmi”.

- Nie mogę na razie powiedzieć ci, skąd to się wzięło - jeszcze nie, może później, a może nigdy. Ale musisz dać mi słowo, że nie puścisz pary z ust, cokolwiek postanowisz.

Nie odpowiedział. Zamiast tego szybko przykrył pieniądze z przerażeniem na twarzy.

- Musimy to zabrać z widoku. Woziliś to cały ten czas? Nieważne. Nie ma czasu na pytania. Szybciej!

Kilka minut później furgonetka stała w bezpiecznym garażu. Kiedy stalowe żaluzje opadły, po raz pierwszy od wielu dni moje ciało się rozluźniło.

- Skąd to się wzięło? - zapytał Pat, kiedy usiedliśmy, aby napić się herbaty, sami w jego gabinecie. Malutka, zuchwała myszka pobiegła przez środek podłogi i zatrzymała się u moich stóp, jakby i ona chciała znać odpowiedź.

- Nie mogę ci powiedzieć. Dla twojego własnego bezpieczeństwa. Najlepiej, żebyś nie wiedział.

Minuty upływały w pół ciszy, gdyż mysz, najwyraźniej głodna, piszczała od czasu do czasu. Zastanawiałem się, co teraz myśli Pat, czy analizuje fakty, aby w rezultacie odwrócić

się ode mnie plecami, póki wciąż jeszcze ma taką szansę. Ciśsza była straszna, ciężka.

- Dobra. Na razie pieniądze są bezpieczne, ale musimy wymyślić coś bardziej trwałego. Daj mi dzień lub dwa. W porządku?

„Dam ci nawet rok. Miałem już tego dosyć”.

- To super, Pat, ale kiedy do mnie zadzwonisz, nie mów o tym nic przez telefon. Może być na podsłuchu.

Uniósł brew, ale milczał, odprowadzając mnie do drzwi i patrząc, jak idę w stronę First Avenue w poszukiwaniu takśówki.

Dopiero później - kiedy już było za późno - wspomniał, że czarny mężczyzna szedł za mną ulicą. Był pewien, że już go wcześniej widział, ale podobnie jak ja nie potrafił sobie uprzytomnić, gdzie.

Do czasu, kiedy skończyliśmy rozwiązywać tę zagadkę, nasz czas dobiegł już końca.

48.

Prawda jest rzadko czysta, i nigdy prosta.

Oscar Wilde, *The Importance of Being Earnest*

Pamięć jest najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem człowieka.

Gilbert Parker, *A Romany of the Snows*

W końcu Pat wynalazł mieszkanie, w którym mieliśmy składować ogromną ilość pieniędzy. Było to przy trzysta trzydzieści First Avenue, apartament dziesięć D. Sprawiał przy tym wrażenie, że to jego przyjaciel, który wyjechał z kraju, wynajął mu owe mieszkanie.

Było to lokum objęte kontrolą czynszów, prawdziwa kopalnia złota w gęsto zabudowanym Nowym Jorku. Miało zakurzony i zużyty wygląd niezamieszkałego. Kilka plakatów wisiało na ścianach; w każdym pomieszczeniu znajdowała się grupka wysuszonych roślin. Potrzebowałem tylko, żeby zagrała muzyka z *The Odd Couple*. Było oczywiste, że od wieków nikt tu nie mieszkał.

Wyszliśmy na zewnątrz, żeby przynieść worki pieniędzy. Pod windą stał czarnoskóry mężczyzna, jakby czekał, aż otworzą się jej drzwi. Było to niezwykle, gdyż ten kompleks apartamentów zamieszkiwali wyłącznie biali. Kiedy podszedłem do kabiny, on otworzył z uśmiechem drzwi.

- Które piętro? - zapytał, przytrzymując drzwi.

Nagle poczułem przyпіływ podejrzliwości człowieka wychowanego w Belfaście. Mężczyzna ubrany był w sposób

bardzo surowy i skromny, sprawiał wrażenie niemal bezdomnego, lecz jego wypielęgnowane paznokcie, lśniące niczym macica perłowa, przeczyły temu. Poza tym żaden szanujący się nowojorski Murzyn nie otworzyłby drzwi przed białym człowiekiem, pozwalając mu wejść do środka pierwszemu. Byłoby to równoznaczne z byciem Wujem Tomem. Moje podejrzania wzrosły. Widziałem już wcześniej tego mężczyznę, choć nie byłem w stanie dokładnie określić okoliczności.

- Nie, dzięki - powiedziałem, mając nadzieję, że moja twarz nie zdradza moich myśli. - Muszę przynieść jeszcze trochę rzeczy.

Kiedy drzwi windy się zamknęły, dotarło do mnie: był to ten sam Murzyn, którego widziałem, jak zaglądał na tył mojej furgonetki. Być może zauważył jej zawartość i czekał na okazję, żeby przejąć torby? Co, jeśli gdzieś tu czai się też jego gang? Patrzyłem, jak podświetlały się guziki windy, sygnalizując o zatrzymaniu się kabiny na szóstym piętrze.

Kiedy podszedł Pat, kazałem mu zaczekać i pilnować toreb. Coś było nie tak.

- Dokąd jedziesz? Co się dzieje?

Mnie jednak już nie było, biegłem po schodach jak szalony, przeskakując po dwa stopnie, adrenalina dawała mi wyjątkową moc. Zamierzałem się raz na zawsze dowiedzieć, kim ten sukinsyn był i czego chciał.

„A co, jeśli ma broń? Nóż?” - mówił głos rozsądku, kiedy dotarłem na szóste piętro, dysząc jak pies. Ale nie chciałem go słuchać, tylko dostać go w swoje ręce, chwycić za gardło i mocno ścisnąć. Szybko powiedziałaby mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Jego jednak tam nie zastałem. Piętro było opustoszałe.

Rozlegał się tu tylko odgłos mojego przyspieszonego oddechu.

- Sukinsyn - powiedziałem dość głośno, żeby to usłyszał. Wiedziałem, że gdzieś tu jest, i nie była to moja wyobraźnia ani nerwy, jak sugerował Pat, kiedy weszliśmy do mieszkania, zamykając za sobą zasuwę.

- To mógł być stres - mówił. - Pewnie dozorca. Coś niewinnego. Tak to zwykle jest.

Czułem jednak, że się mylił.

Powiedziałem Patowi, że dostanie co najmniej dziesięć procent ostatecznej sumy. Zanim zdążył zaprotestować, powiedziałem:

- Pomyśl, jak dużo mógłbyś zrobić dla bezdomnych dzięki takiej okazałej kwocie.

Nagle jego umysł zaczął kalkulować.

- Będą tu bezpieczne. Myślę o czymś pewniejszym, ale na razie to wystarczy - zapewnił mnie Pat, gdy rzuciliśmy na gołą podłogę dwie torby żeglarskie armii USA. Wydały one głuchy odgłos.

- Potrzebujemy maszyny do liczenia pieniędzy - powiedziałem, kiedy wnieśliśmy już wszystkie bagaże do pokoju. - Nadal nie mam pojęcia, ile tego tu jest.

Nie sądziłem, żeby mi uwierzył.

- Zdobędę jedną, pewnie już jutro. Najpóźniej we wtorek - powiedział.

Wyszliśmy z mieszkania i umówiliśmy się na rano, wiedząc jak żmudne będzie liczenie stosu pieniędzy. Nie czekałem na to z utęsknieniem, zastanawiałem się, jak dużo czasu nam to zajmie. Chciałem, żeby ten zbytek zniknął mi z oczu. Od zapachu używanego papieru czułem się fizycznie chory, kręciło mi się w głowie.

Nie wiedzieliśmy nic o tym, że z bezpiecznej kryjówki, za drzwiami kawiarni nowojorski detektyw Garry Beekman patrzył, jak wychodzimy na nasłonecznioną ulicę.

- Wychodzą - szepnął do swojego dowódcy przez niewielki mikrofon.

Kiedy tylko wyszliśmy, dziesięciu agentów FBI - część liczącej sto osób grupy mającej nas zatrzymać - wkroczyło do budynku, podczas gdy pozostali pojechali za nami do domu.

Ci, którzy zostali, pracowali jak mrówki, rozmieszczając kamery w i wokół wspólnej przestrzeni na dziesiątym piętrze. W znaku EXIT, dokładnie naprzeciwko wejścia do mieszkania, idealnie w środku litery X wstawili kamerę wielkości główki od szpilki. W ciągu dwudziestu minut połączyli się z centrum dowodzenia i dostali zezwolenie na rozpoczęcie akcji „Ukryta kamera”.

- Doskonale - nadeszła odpowiedź wśród szumu statycznego. - Po prostu cudownie.

19. ZŁAPANY ZA JAJA. ZNOWU

Cokolwiek ci się przydarza, było to dla ciebie zaplanowane z góry przez całą wieczność...

Marek Aureliusz

Oferujemy obecnie 750 000 dolarów za informację.

Firma Brinks Incorporated oferująca najwyższą w historii USA nagrodę za informacje w sprawie napadu

Maszyna do liczenia pieniędzy wydawała z siebie cichy szum owadzych skrzydeł. Był to dźwięk niesamowicie delikatny, mimo to miałem wrażenie, że brzmiał głośniejszy od świrdującego czaszkę odgłosu nowojorskiego ruchu ulicznego, który krzyczał zza okien. Pat powiedział, że nie słyszy tego odgłosu, a ja złożyłem to na karb swojej paranoi, gdy patrzyłem, jak banknoty rozmywają się z prędkością światła, pochłaniane przez chciwe gardło maszyny do liczenia.

Później jedna osoba zgodzi się z tym, co dopiero powiedziałem. Była to agentka FBI, która stała tuż przy wejściu do zajmowanego przez nas mieszkania, z przyklejonym do drzwi uchem. Pokazywała właśnie kciuki do góry literze X w znaku EXIT, a szeroki uśmiech na jej twarzy mówił: „Mamy ich”.

Paplaliśmy dalej, a ona naciągała szyję, jednocześnie się uśmiechając.

- Mamy drobny problem - powiedział Pat, kiedy zrobiliśmy przerwę na zasłużoną herbatę. - Był u mnie ten Anglik, Ronnie. Chciał wiedzieć, czy widziałem cię ostatnio i czy wiem, gdzie mieszkasz.

Moja twarz pozostała bez wyrazu, ale żołądek zawiązał się w supeł. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim zacznę węszyć.

- I co mu powiedziałaś?

- Prawdę. Że cię nie widziałem - uśmiechnął się. - Nie jest grzechem okłamanie Anglika. Ale mimo to się martwię.

Jego podstępny uśmiech sugerował, że coś wie.

W gruncie rzeczy Pat tolerował Ronniego - ani go nie lubił, ani mu nie ufał. Irlandzka krew Ronniego nie miała dla niego znaczenia, często mówił o nim po prostu jako o Angliku.

Szum maszyny do liczenia trwał w najlepsze, zwielokrotniając ciszę. Pat chciał zapytać, gdzie do tej układanki pasuje Ronnie, ale pozwolił, żeby podręczyła mnie najpierw ta martwota. W końcu powiedziałem:

- On po prostu stara się wzbogacić na cudzych jajach - wybacz to wyrażenie, Pat - ale to tchórz, pies powracający do własnych rzygowin, żeby sprawdzić, co jeszcze uda się w nich znaleźć.

Trząśłem się z wściekłości.

- Nigdy mu nie ufałem, wiesz przecież - odparł Pat, owijając elastyczną opaską plik studolarowych banknotów. - Nigdy nie ufaj Anglikowi. Prędzej zaufaj diabłu.

Pat sączył swoją herbatę, a ja się zastanawiałem.

W tym momencie podsłuchująca nas agentka niemal wpadła do nas przez drzwi, gdyż poślizgnęła się, odrobinę zbyt niecierpliwa.

Rozlałem herbatę.

- Co to, do diabła, było? - zapytałem niemal szeptem, obawiając się, że to Ronnie, który mógł śledzić Pata. Albo gorzej: czarna mężczyzna ze swoim gangiem, wszyscy czekający tylko, żeby wpaść do środka z bronią w rękach.

Wyrzależ przez wizjer, zanim pocięgnęłem za drzwi. Nic. Rozległ się huk wyrzucanych do zsypu śmieci. Roześmiałem się nerwowo.

- Co to było? - zapytał Pat, siedząc na krawędzi krzesła.
- Śmieci.

Zamknęłem drzwi za sobą, zasuważąc zamek, by zatrzymać potwory na zewnątrz. Agentka, która nas podsłuchiwała, wypuściła powietrze z płuc i wróciła pod drzwi, robiąc do litery X przepraszającą minę. „Cholera! Szeft będzie miał o tym coś do powiedzenia”.

- Co powinniśmy zrobić z Ronnim? - zapytał Pat, wracając do tematu, którego wolałbym uniknąć.
- Na razie nic. Nie może nam teraz bardziej zaszkodzić.

Mimo wszystko, pomyślałem, opierając się w fotelu, gdyby zrobić podsumowanie, Ronnie był dla mnie dobry i choć przybierał też postać wrzoda na tyłku, w kasynie traktował mnie więcej niż w porządku. Gdyby tylko się nie wycofał, śmiałyby się teraz, ten filantrop w łachmanach, rozdając pieniądze biednym.

Uśmiechałem się, wspominając, jak przycisnął twarz do okna restauracji, rozpromieniony, gdy ruszyliśmy do drzwi, jak zachłysnął się sukcesem, jak ukradł nowiutką furgonetkę, podczas gdy oszołomiony Pakistańczyk gonił go wzdłuż Tenth Avenue. Zbyt wiele dobrych wspomnień, by je wszystkie wymazać.

Wiedziałem, że był tylko jeden sposób, żeby przestał dalej węszyć i żeby zagłuszyć odrobinę poczucia winy, jaką czułem: pieniądze. Dostanie dołę, mimo że na nią nie zasłużył.

- Dam mu coś, Pat. To jedyny sposób. Inaczej nigdy się go nie pozbędziemy. Weź jedną z tych toreb i wrzuć do środka kilka stert.
- Nie mówisz chyba poważnie? Pomyśli, że się go boisz.

Lepiej, żeby myślał, że wyjechałeś, bo ile byś mu nie dał, to i tak będzie chciał więcej.

- Nie, on tak nie myśli. Znam go.

- Ale zakładałeś, że go znasz dość dobrze na początku, a zobacz, jak się wszystko zmieniło. Radzę ci, żebyś tego nie robił. On tylko blefuje.

Już pakowałem pieniądze. Zostało postanowione. Nie było sensu tego liczyć. Sterty przed nami wcale od tego nie zmalały.

- Masa pieniędzy - powiedział zrezygowany Pat.

Sto tysięcy dolarów to rzeczywiście teraz masa pieniędzy. Wtedy było jednak inaczej. Cieszyłem się, że na coś je przeznaczam. Zapach stawał się nie do zniesienia, podobnie jak moje bóle głowy wywołane zapachem gnijącego papieru, który przypominał talk.

- W porządku - powiedział Pat, widząc, że nie da się tego uniknąć. - Zajmę się tym, żeby je dostał.

- Wkrótce - poradziłem. - Będzie szalał z radości i przestanie nam sprawiać kłopoty.

Mieszkanie zostawiliśmy roślinom i stertom pieniędzy. Zjechaliśmy na dół windą. W tym samym czasie grupa federalnych wbiegła po schodach, przeskakując co drugi stopień. Wreszcie otrzymali od sędziego federalnego pozwolenie na wkroczenie i rozejrzenie się po apartamencie. W ciągu kilku minut, jakie upłynęły do chwili włożenia przeze mnie kluczyka do stacyjki, agenci użyli swoich kluczy uniwersalnych i weszli do mieszkania z kamerami video, by sfilmować bałagan, który po sobie zostawiliśmy: walizki i worki żeglarskie leżące na podłodze, ich zawartość rozrzucona jak papierowe wymiociny, szczyrząca się do nich maszyna do liczenia pieniędzy, świstki papieru z zapisaną kwotą przeliczonych banknotów.

Nie pofatygowaliśmy się nawet, żeby zamknąć w salonie okno, za którym przytwierdzone były schody przeciwpożarowe, błagając, żeby ktoś wszedł do środka. To by dopiero było zabawne, powiedział jeden agent do drugiego, porównując listę numerów seryjnych z niektórymi plikami, leżącymi na łóżku.

Wszyscy wstrzymali oddech, patrząc, jak jeden z ich towarzyszy sprawdza numery w swoim notatniku z numerami na banknotach. Gdyby się nie zgadzały, federalni mieliby kłopoty. Wiedzieli o tym. Spośród stert pieniędzy powyciągali banknoty studolarowe, mając nadzieję znaleźć około dwustu tysięcy w znaczonych studolarówkach.

Każdy agent w pokoju zamarł, gdy szeptem przemówił czarny mężczyzna.

- Rok 1990; mennica: Richmond, Virginia; seria od E07510010A do E07510061A. Panowie, jakiś bóg istnieje.

Szeroki uśmiech zdominował całą jego twarz.

- Mamy zgodne banknoty.

Kleпали się po plecach, szczerząc się jak halloweenowe latarnie. To oznaczało poważne awanse. Tak jest! Cholernie poważne! Czarny mężczyzna szybko wyprowadził agentów na zewnątrz, cicho i spokojnie, żeby nie przeszkadzać śpiącym pieniądzom. W ciągu kilku dni, o ile wszystko się powiedzie, nadejdzie czas, by zwinąć interes, dokonać aresztowań, powiadomić media, wrócić do domu i wziąć porządną, gorącą kąpiel.

Od ośmiu tygodni chodził ubrany jak bezdomny, dzięki czemu zaczynał już podobnie cuchnąć. Cieszyłby się, mogąc się pomoczyć. Potem, cóż, chciałby zamienić słowo ze mną...

50. ARESZTOWANIE I TERAPIA DIESLA

Agenci federalni natknęli się na istną farsę sytuacyjną w stylu Seana O'Caseya. Torby pieniędzy rozrzucone po mrocznym mieszkaniu w kamienicy czynszowej; Millar, irlandzki rewolucjonista ukrywający się w Ameryce jako sprzedawca komiksów w Queens w Nowym Jorku; O'Connor, amerykański gliniarz irlandzkiego pochodzenia i „Ojciec Pat”, klasycznie ascetyczny irlandzki ksiądz.

Francis X. Clines, „The New York Times”

Niech żaden człowiek nie chełpi się, że przetrwał niebezpieczeństwa zimy, nim nie minie przynajmniej siódmy maja.

Anthony Trollope, *Doctor Thome*

Był piątek, dwa tygodnie później. Wszystko szło dobrze. Pat właśnie wrócił ze mną z zielonych przedmieść Westchester County, gdzie zamierzałem kupić dom za trzysta tysięcy. Powiedział agentowi nieruchomości, żeby nie martwił się o pieniądze, gdyż kościół funduje zapłatę. Obaj uznaliśmy to za zabawne.

Oczywiście nie wydawałoby się to nam takie śmieszne, gdybyśmy wiedzieli, że każde nasze słowo podsłuchiwane jest przez czterech agentów FBI, siedzących i jedzących lunch przy stoliku obok.

Jeden z nich, zagorzały katolik, zagotował się z gniewu, słysząc tę uwagę.

Po odwiezieniu Pata do jego domu wszedłem do głównego urzędu pocztowego na Jackson Heights, zaciskając w pięści wiele przekazów pocztowych. „Drobne”, na które składało się około trzydzieści tysięcy dolarów, spoczywały w wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza. Była to zaliczka za rzeźbę Fredricka

Remingtona, którą miałem na oku.

Niebo nad głową było groźne, nadawało temu piątkowemu popołudniu nieprzyjemny posmak poniedziałku. Kiedy szedłem w kierunku mojej ciężarówki, nie zauważyłem, jak wyjątkowo cicha stała się ta zwykle rozkrzyczana ulica. W normalnych okolicznościach chińscy sprzedawcy wrzeszczeliby do potencjalnych klientów - żeby nie przepuszczali swojej życiowej okazji - namawiając ich do kupna trzymanyh w rękach skróconych o głowę kurczaków i malutkich świń, wciąż mokrych od krwi. Zaczął padać drobny deszcz, przyspieszyłem więc kroku.

Kiedy sięgnąłem po kluczyki, nagle poleciałem z dużą siłą na ciężarówkę. Miałem wrażenie, jakby uderzył mnie nosorożec. Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w mojej głowie, brzmiała, że to napad. Ręce wykręcono mi do tyłu tak daleko, jak to tylko możliwe bez złamania ich, a głosy przez cały czas krzyczały:

- Gdzie jest, kurwa, twoja broń?

Byłem oszołomiony, przez moment wydawało mi się, że jestem martwy i unoszę się gdzieś nad głębią morza.

- Sam? Sam? Słyszysz mnie? Masz pistolet?

„Ależ oczywiście. Jasne, że mam. Jest z tyłu furgonetki, razem z karabinami maszynowymi i miotaczem ognia”.

- Nie - udało mi się powiedzieć, gdy oni założyli mi kajdanki na nadgarstki oraz na kciuki, po czym unieśli mnie i wrzucili do samochodu, jednego z sześciu, które zamknęły tę ulicę, powstrzymując ruch.

- Czy wiesz, kim jesteśmy? - zapytał ten sam głos, tym razem dużo spokojniejszy.

Deszcz zaczął bębnić z odczuwalną mocą o szyby samochodu, który brzmiał jak opróżniona puszka. Przypomniałem sobie zasilek, niedziele w Belfaście, RUC i Celtic pokonany przez Rangers. Oraz o milionie innych potworności, które tylko deszcz potrafi przywołać.

Głos powtarzał bez końca:

- CZY CZY CZY WIESZ WIESZ WIESZ KIM KIM KIM JESTEŚMY JESTEŚMY JESTEŚMY... ?

Zajmująca zwykle czterdzieści pięć minut do godziny jazda na Manhattan trwała mniej niż dwadzieścia minut, gdy konwój samochodów z ryczącymi syrenami przeszedł przez korki jak gorący nóż przez masło.

Pod numerem jeden przy Police Plaza* kajdanki zostały zdjęte z moich nadgarstków i kciuków. Obrażając mnie, wprowadzono do gry dobrego i złego policjanta.

* Pod tym adresem mieści się kwatery główna nowojorskiej policji.

- Dajemy ci szansę, żebyś pierwszy odpadł, Sam, ponieważ masz żonę i dzieci - powiedział napakowany federalny ubrany w blezer z logo uczelni, koszulę i krawat.

W tym samym momencie, w którym on tak bardzo przejmował się moją rodziną, jego koledzy rozbijali taranem drzwi do naszego domu i mierzyli z broni do mojej dziewięcioletniej córki, wrzeszcząc do niej:

- Gdzie są pieniądze twojego ojca! Jeśli nam tego nie powiesz, zabierzemy cię i nigdy więcej nie zobaczysz swoich rodziców!

„Odpadnięcie jako pierwszy” jest amerykańskim eufemizmem określającym donoszenie na współpracowników. FBI posiada dziewięćdziesięcioprocentowy poziom efektywności pod względem skazywania podejrzanych, głównie ze względu na to, że ludzie informują o sobie nawzajem. Można to podsumować słowami mówcy U.S. Treasury Law Enforcement Academy, który wyjaśniał rekrutom: „Panowie, w tym biznesie jesteście tylko tak dobrzy, jak wasi kapusie”.

- Nie próbuj być męczennikiem dla pozostałych - poradził Dobry Głina. - Mamy już Maloneya, O'Connora i McCormacka. Będą gadali jak najęci, jeśli ty odrzucisz naszą jednorazową ofertę. Wstał i otworzył drzwi.

- Posłuchaj - powiedział.

Zza następnych drzwi słyszałem głos Pata. Mówił bez przerwy. Brzmiało to jak mroczny szept. On jednak wcale nie starał się odpaść jako pierwszy. Daleki był od tego. Po prostu potwierdzał swoją niewinność i oznajmiał fakt, że nigdy nie słyszał o tym O'Connorze albo o Simmym Millarze, jak agent o bostońskim akcencie wymawiał moje nazwisko.

Najbardziej zastanawiał mnie jednak McCormack. Kto to, do cholery, był?

- Maloney błaga, żeby pozwolono mu odpaść pierwszemu, ale ty jesteś żonaty - tak jak ja - więc nie chciałym, żebyś resztę życia spędził w więzieniu. Zrozumiano? A ty?

Był tak zaangażowany w moje dobro, że aż było to wzruszające. RUC miałoby używanie z tymi gośćmi, pomyślałem, gdy wszedł Zły Glina. Jeśli nie będę uważny, zmusi mnie do słuchania muzyki country albo dmuchnie mi dymem w oczy, co będzie straszne.

Podczas gdy federalni przekonywali mnie, że Pat mówi jak na spowiedzi, i *vice versa*, w Rochester sugerowali Tomowi, że jest na tonącym okręcie. „Twoi dwaj kumple w Nowym Jorku potwierdzili, że to ty kierowałeś całą operacją”.

- Posłuchaj, ty durny osłe - powiedział Zły Glina cał od mojej twarzy. - Tam, gdzie się wybierasz, spędzisz resztę życia w ramionach wielkiego czarnucha, który będzie cię ruchał w dupę, w dzień i w nocy - a trzy razy pomiędzy posiłkami będziesz czyścił sobie zęby jego kutasem. Rozumiesz to?

Pamiętałem tę kwestię z jakiegoś filmu, nie bardzo tylko wiedziałem z jakiego. Zastanawiałem się, czy Zły Glina uświadomiłby mnie, gdybym go o to zapytał. Wszyscy federalni wydawali się mieć irlandzko brzmiące nazwiska, z wielkim O w środku.

Przesłuchanie ciągnęło się przez jakąś godzinę, pod koniec której Zły Glina i Dobry Glina wyszli, zdziwieni, że ani ja, ani Pat, ani też tajemniczy McCormack nie skorzystaliśmy z radością z ich oferty. Jako ostatnią deskę ratunku jeden z federalnych pokazał mi notkę, którą zabrał Patowi, po czym rzucił ją pogardliwie na stół.

- Czy coś takiego kapłan nosi w kieszeni? Powinieneś się za niego wstydzić, a nie go chronić.

Rzuciłem okiem na kartkę, ale szybko wymazałem ją z moich myśli. Zamierzałem o tym porozmawiać z Patem, ale później. Teraz nie chciałem grać w ich gierkę.

Lustro przede mną, jak się spodziewałem, było weneckie. Stała za nim pewnie grupka federalnych, analizując wyraz mojej twarzy.

Byłem sam przez jakieś piętnaście minut, kiedy wszedł czarnoskóry mężczyzna, który tak długo za mną chodził. Jadł kanapkę. Nie mówił przez dłuższą chwilę, zadowolając się przeżuwaniami i oblizywaniem z rozkoszą ust - czy sandwicz, czy moje zatrzymanie było powodem tego ostatniego, trudno rozszyfrować. Przyglądał mi się przez minutę, niepomny majonezu kapiącego mu na koszulę.

- Nazywam się Louis Stith, jestem specjalnym agentem i głównym śledczym Federal Bureau of Investigation.

Czekał na moją reakcję. Kiedy żadna się nie pojawiła, ciągnął:

- Tak między nami, kiedy zacząłeś podejrzewać, że cię śledzę? - mówił bardzo cicho, kontynuując ten monolog. - Myślałem, że zawałem sprawę tamtego dnia, przy windzie. Pamiętasz? Nie chciałeś ze mną jechać. Czy to o to chodziło? Podejrzewałeś wtedy, że jestem z FBI?

Chciałem mu tylko powiedzieć, że pozostali agenci mówili o nim „ten chłopak”. Tę myśl i fakt, że między jego zębami

zakleszczył się kawałek sałaty. Popatrzyłem w lustro weneckie, sprawdzając własne zęby.

- Wiesz, że nie przetrwasz w naszym systemie więziennictwa, prawda? To nie jakieś brytyjskie babskie więzienia, które znasz, gdzie wszyscy odpowiadają przed jakimiś Prawami Człowieka.

Zastanawiałem się, w jakiej broszurze propagandowej to znalazł, ale szybko zdałem sobie sprawę, że on po prostu ciągnie mnie za język, czeka na jakąkolwiek odpowiedź, która złamałaby milczenie, udowodniła, że jego lata treningu, dyplom z prawa, jego wiara w siebie nie poszły na marne. Aż przykro mi było go rozczarować.

Przez następne dwadzieścia do trzydziestu minut musiałem znosić jego solilokwium, aż wstał zrezygowany, potrząsając głową i mamrocząc:

- Jesteś zagadką. Zobaczymy się w sądzie.

Prawdziwą niewiadomą, z której zdałem sobie niedługo później sprawę, było pytanie, co się stało z trzydziestoma tysiącami dolarów, które tak krótko znajdowały się w mojej kieszeni. Była to łamigłówka nigdy nie rozwiązana, przynajmniej nie przeze mnie.

Krótko po tym monologu przeniesiono mnie z Police Plaza numer jeden do sądu. W windzie umieszczono mnie razem z Patem. Nie rozmawialiśmy. Winda zatrzymała się na kolejnym piętrze i wszedł do środka młody człowiek. Podobnie jak Pat i ja, on również był w kajdankach. Przyjąłem, że to po prostu inny więzień, któremu będą postawione zarzuty w tym sądzie, tak jak i nam, i byłem wstrząśnięty, kiedy posadzono go razem z nami przy stole. Czy był to działający pod przykrywką federalny, który starał się wydobyć od nas jakieś informacje? Po woli odsunąłem się od niego, jakby był trędotawy.

Moje zaskoczenie wzrosło, kiedy temu młodemu człowiekowi, którego nigdy wcześniej nie widziałem, postawiono razem z nami zarzuty. Popatrzyłem na Pata z miną mówiącą co-się-tu-do-cholery-dzieje, lecz on mnie zignorował, rozsądnie w tych okolicznościach. Kilka minut później tajemnica się wyjaśniła, przynajmniej po części.

Młody mężczyzna nazywał się Charlie McCormack i był nauczycielem. To on, a nie Pat, był właścicielem mieszkania. Był poza krajem, odwiedzał rodzinę i poprosił Pata, żeby zaopekował się pod jego nieobecność apartamentem. Kurwa! Omal nie posikałem się ze śmiechu.

„Pewnie, że się zajmę mieszkaniem dla ciebie, nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zostawię tam kilka milionów, kiedy ciebie nie będzie?”

Krótko po rozprawie wyznaczono za Pata kaucję. Oddalono zarzuty wobec Charliego po tym, jak Pat przyznał, że ten nie wiedział nic o pieniądzach. Jeśli chodzi o mnie, wkrótce zostałem poddany temu, co wśród amerykańskich więźniów federalnych nosi straszną nazwę „terapii diesla”.

Terapia diesla to nazwa nadana psychicznym i fizycznym torturom. Poddawani są im więźniowie, których rząd desperacko chce złamać, by przyznali się do winy lub udzielili ważnych informacji, których później będzie można użyć w sądzie. Te karne męczarnie polegają na przewożeniu podejrzanego z więzienia do więzienia - do trzech razy dziennie - dezorientując go i izolując, przełamując w ten sposób jego opór.

Miałem ręce i nogi zakute w kajdany, a przed zimą chronił mnie jedynie więzienny kombinezon. Po siedmiu godzinach podróży na skrzyni bagażowej przerobionego pick-upa, gdzie odmrażałem sobie dupę, docierałem w końcu do więzienia, zwykle około drugiej lub trzeciej nad ranem i byłem wdzięczny, że dostałem pryczę. Chciałem się tylko położyć spać.

Dopiero co zdążyłem pościelić sobie łóżko, kiedy strażnik zaczynał krzyczeć, że mam się ubierać, że mnie przenoszą. Tym razem zostałem umieszczony na pokładzie autobusu pozbawionego wszelkich wygod, z nogami przykutymi do podłogi, wraz z piętnastoma albo dwudziestoma innymi więźniami. Nie przebierając w słowach, tulący śrutówkę strażnik powiedział nam, co się wydarzy, jeśli słowo „ucieczka” pojawi się w naszych małych mózdkach.

Autobus zawiózł nas z powrotem na Manhattan, mijając wszystkie dziwki na Tenth Avenue, które machały i wołały do zombie w środku. Zombie. Do tego nas sprowadzono. Coś jak w *Locie nad kukulczym gniazdem*. Dieta składająca się z kanapek z mielonką i rozwodzonego mleka dwa razy dziennie nie pomagała. Miałem to gdzieś. Chciałem tylko się przespać. Ale światła znad głów w połączeniu z wyjącą muzyką country i western sprawiły, że sen stawał się niemożliwy. Obiecałem sobie, że nigdy więcej nie posłucham Jima Reevesa.

Kiedy dotarliśmy do więzienia, znowu dano mi łóżko. Przeszedłem przez ten sam schemat ścielenia, wyobrażania sobie, jak by to było położyć się spać, obudzić się w swoim domu i zdać sobie sprawę, że był to tylko jakiś straszny koszmar.

Dość jednak tego dobrego. Nadszedł czas, krzyknął strażnik, na podróż krajoznawczą na północ stanu Nowy Jork, bym zastanowił się nad pięknem przykrytych śniegiem gór i drżących, nagich drzew. Kiedy dwaj uzbrojeni strażnicy zatrzymali się w McDonald's na Big Maca, gorące frytki i kawę, zostawiając mnie drżącego na skrzyni bagażowej pick-upa bez butów czy skarpetek, pomyślałem, że zasłużyłem przynajmniej na Happy Meal za swoją wytrwałość.

Widziałem, jak wracają i wciskają swoje masywne cielska

na siedzenia, sprawdzając, czy nadal tu jestem. Słyszałem, jak włączają ogrzewanie na pełną moc, wiedząc, że szyba nie pozwoli mi cieszyć się jego ciepłem.

- Jak ci smakuje twoja kawa, Samie? - zapytał mniejszy olbrzym.

Chciałem odpowiedzieć coś bystrego, ale nie umiałem zacząć zębom przestać szczekać.

- Masz. Będziesz musiał pić w kajdankach i w ruchu. Zrozumiano? Jeśli poparzysz sobie jaja, nie możesz pozwać ani nas, ani McDonald's. Zrozumiano?

Obaj się teraz śmiali, rozpakowując piekielną kanapkę z mieloną i rozwodnione mleko. Żołądek mi się wywracał, kiedy myślałem o jedzeniu więcej różowego i białego.

- Masz. - Otworzył szybę. Mimo że uderzyło gorąco, nic nie poczułem. Nawet gorącej, cudownej kawy, która sparzyła moje zachłanne usta, ani słonego smaku frytek.

Zostawili szybę opuszczoną przez resztę podróży, pozwalając mi odmarznąć, podczas gdy nocne ciężarówki mijały nas, oświetlając swoimi reflektorami.

Byłem już upieczony, moje powieki stawały się coraz cięższe i cięższe. Zmęczenie powoli dało znać o sobie. Dwaj strażnicy rozmawiali szeptem, jakby nie chcieli mi przeszkadzać. Moglibyśmy być trzema kumplami na wyprawie łowieckiej, z tym że oni już schwytali swoją zdobycz.

Ostrza bezsenności przerywały mój sen, ale było ich miłośniernie niewiele. To były paskudne dni terapii diesła, czas próby. Spałem - jeśli można to tak nazwać - po raz pierwszy od ponad trzech tygodni, ze smakiem soli i kawy w ustach.

51. ZNÓW NA PIERWSZYCH STRONACH GAZET Z NIEWŁAŚCIWYCH POWODÓW

To dziwaczne zajęcie, rozśmieszać przywoitych ludzi.

Molière, *Lo Critique de l'École des femmes*

Świat jest bardziej szalony i większy, niż nam się wydaje...

Louis MacNeice, *Snow*

Funkcjonariusze ujawniają podwójne życie podejrzanego o napad na Brink's

„The New York Times”

W swojej okolicy na Jackson Heights mężczyzna mówiący o sobie jako o Andre Singletonie znany był jako właściciel tętniącego życiem sklepu z komiksami, religijny i rodzinny człowiek, odpowiedzialny lokator, mieszkający spokojnie ze swoją żoną i trojgiem dzieci.

Jego dawne życie w Irlandii wyglądało nieco inaczej. Ten schludny mężczyzna nazywał się Samuel Ignatius Millar i był młodym buntownikiem z Belfastu, który spędził co najmniej osiem lat w więzieniu, najpierw za należenie do „wyjętej spod prawa organizacji”, następnie za posiadanie broni i materiałów wybuchowych. W 1984 roku, mając 29 lat, przyjechał do Stanów Zjednoczonych pod przybranym nazwiskiem. Pracował jako handlarz uliczny, chcąc zacząć wszystko od nowa.

Władze twierdzą, że choć porzucił swoją dawną tożsamość, kiedy przyjechał do tego kraju, pan Millar nie zostawił za

sobą swojego „kryminalnego” sposobu życia. W zeszłym tygodniu pan Millar stał się jednym z dziwnego tria podejrzanych, do którego poza nim należał melchicki ksiądz i dawny policyjny detektyw, oskarżony o pomoc w kradzieży 7,4 miliona dolarów z punktu obsługi samochodów opancerzonych w Rochester - jednym z największych zbrojnych napadów w historii Stanów Zjednoczonych.

Poszukiwanie wskazówek

Przedstawiciele organów porządku publicznego powiedzieli wczoraj, że nie wiedzą, kto obrabował w styczniu Brink's. Nie wiedzą też, co stało się z pieniędzmi ani czy rabunek związany był z walkami w Irlandii Północnej.

Zaczęli jednak sprawdzać przeszłość podejrzanych, badając dowody, które znaleźli w ich mieszkaniach, szukać wskazówek dotyczących napadu oraz miejsc, dokąd poszły pieniądze. Żaden z trójki nie został oskarżony o bezpośredni udział w napadzie, ale funkcjonariusze twierdzą, że dalsze oskarżenia mogą zostać wobec nich wysunięte w trakcie śledztwa.

- Nie wiemy, kto to zrobił - powiedział agent specjalny Paul M. Moscal z Federal Bureau of Investigation w Buffalo. - I nadal nie znamy motywu. Nie sądzę, żeby w tym momencie ktokolwiek go znał.

Podczas gdy adwokaci tych mężczyzn zaprzeczają podejrzeniom o ich powiązanie z wyjętą spod prawa Irish Republican Army oraz innymi północnoirlandzkimi ugrupowaniami, zarówno aresztowany ksiądz, Patrick Moloney, jak i pan Millar byli w przeszłości zaangażowani w irlandzki konflikt - twierdzą władze. Ojciec Moloney, 61 lat, znany z prowadzenia schroniska dla bezdomnych nastolatków na Lower East Side na Manhattanie, został aresztowany w 1982 roku wraz ze swoim bratem Johnem za próbę przemycenia do Irlandii broni

na potrzeby IRA. Brata skazano, lecz „Ojciec Pat” wyszedł na wolność.

Thomas O'Connor, emerytowany detektyw policji, który pracował jako strażnik w oddziale Brinks, kiedy został on obrabowany, również ma związki z Irlandią. W 1983 roku, podczas wycieczki po kraju ojczystym swoich rodziców, pan O'Connor spotkał się z panem Millarem, który wtedy dopiero co wyszedł z więzienia, zgodnie z pisemnym oświadczeniem sądu.

Tworzenie nowej tożsamości

Następnego roku, po tym, jak panu Millarowi odmówiono przyznania amerykańskiej wizej ze względu na jego polityczne powiązania, pan O'Connor pomógł przemycić młodego Irlandczyka do tego kraju, jak można wyczytać w pisemnym oświadczeniu sądu.

Z pomocą ojca Moloneya pan Millar stał się „Andre Singletonem”, twierdzą oskarżyciele. Prawdziwy pan Singleton, który brał udział w prowadzonym przez księdza programie odwykowym, umarł kilka lat wcześniej. Numer jego ubezpieczenia i prawa jazdy przekazano po cichu młodemu Irlandczykowi. Później miał on używać również nazwiska Frank Saunders.

By utrzymać swoją rodzinę, która przybyła na wizie czasowej, pan Millar pracował najpierw jako sprzedawca uliczny, następnie jako właściciel sklepu z komiksami. Najpierw sprzedawał je ze swojego mieszkania przy 80th Street 35-30, następnie przeniósł się na 24th Avenue 77-07 i wynajmował niedaleko pomieszczenia gospodarcze, w których otworzył sklep o nazwie „KAC Comics & Collectibles”. Okazał się on dużym sukcesem.

- Był bardzo miły, nigdy nie sprawiał problemów - powiedział Terry McLaughlin, 48 lat, który wynajmował sklep

panu Millarowi za 700 dolarów miesięcznie i widywał Millara z rodziną w pobliskim katolickim kościele niemal co niedziela. - Zawoził swoją trójkę dzieci codziennie do szkoły. Mógłby być ojcem roku. Prawdziwy dżentelmen. Marzy się o takich najemcach.

Kobieta przedstawiająca się jako pani Tam, podająca się za właścicielkę mieszkania Millara, przyznała, że ona również była zaskoczona jego aresztowaniem.

- To była taka miła para - powiedziała. - Wcześniej kładli się spać. Widziałam, jak mąż zabierał dzieci do szkoły, McDonald's i do kina. Mieli bardzo dobre życie rodzinne. Naprawdę dobrzy i grzeczni ludzie.

Liliana Morales, 32 lata, mieszkająca obok, mówi, że byli bardzo spokojnymi, czystymi sąsiadami. Miłymi i uprzejmymi. Lecz panna Morales twierdzi, że w ciągu ostatnich miesięcy zaczęła zauważać, że coś jest nie w porządku - coś, co najwyraźniej umknęło panu Millarowi.

- Widywaliśmy wielu policjantów na rogu. Mieli lornetki - powiedziała. - Byli też w okolicy sklepu z komiksami. Wszyscy w okolicy widzieli policjantów. Andrew jednak (Millar) nie zauważał ich.

Walizki pieniędzy

W rzeczy samej, zaledwie kilka tygodni po styczniowym napadzie, detektywi z pozytywnym skutkiem porównali odcisk opony znalezionej na zewnątrz oddziału Brink's w Rochester z oponami Plymoutha Voyagera z 1984 roku, posiadanego przez żonę Millara, Bernadette Fennell.

W kolejnych miesiącach FBI i policja uważnie obserwowali pana Millara, jak przychodził i wychodził ze swojego sklepu, mieszkania, kościoła. Przyglądali się również temu, jak kilka razy przewoził worki żeglarskie do i z apartamentu przy

First Avenue na Manhattanie. Podczas czwartkowego nalotu śledczy odkryli elektroniczną maszynę do liczenia pieniędzy i worki żeglarskie oraz walizki pełne gotówki.

Władze aresztowały wreszcie pana Millara dwunastego listopada pod urzędem pocztowym niedaleko jego domu.

O kurwa! Jak, do diabła, mi się udało nie zauważyć tych wszystkich gliniarzy z lornetkami? Cóż, było, minęło...

52. ADWOKAT. BARDZO DROGI

*Gdy teraz kładę się do snu... **

Anonim

Uwolnij mnie, błagam, niech rozpocznie się poszukiwanie radości...

James Merrill, *The Thousand and Second Night*

* Pierwszy wers osiemnastowiecznej modlitwy dziecięcej, która w wolnym przekładzie brzmi:

Gdy teraz kładę się do snu

Nie daj do mnie dostępu złu.

Jeśli umrę przed świtaniem,

Niech przed Twym obliczem stanę.

Terapia diesła trwała dalej bez przeszkód przez kolejne trzy miesiące, aż mojemu prawnikowi, Anthony'emu F. Leonardowi, udało się wreszcie zakończyć te tortury, uzyskując nakaz sądowy, bym został umieszczony w Monroe County Prison, czule zwanym Domem Bólu, gdzie przez dwa lata czekałem na proces.

Kiedy wjeżdżałem do Rochester, powitał mnie billboard, wyrażając nadzieję, że dobrze się bawiłem. Tym razem „ona” mrugnęła do „mnie”: „Wiedziała, że wrócisz...”.

Tony był adwokatem z wyższej półki, który uwielbiał uwagę mediów i ubierał się odpowiednio. Był imponującym mężczyzną, mającym ponad metr dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważącym ponad dziewięćdziesiąt kilogramów, był wypisz wymaluj obrazem hollywoodzkiego prawnika.

Jego ojciec, Anthony F. Leonardo senior był detektywem policji o reputacji łebskiego gościa, do tego też twardziela. Był legendą wśród policjantów i nosił przydomek „Kapitan Nieustraszony”.

Od sezonu 1985-86 Tony wygrał pięć spraw o zabójstwo, a w 1991 roku poproszono go o reprezentowanie Johna Gottiego, znanego bossa mafii. David Bowie poprosił Tonny'ego, żeby go reprezentował, kiedy oskarżono go o posiadanie marihuany. Zarzuty oddalono.

- Na jak długo wyglądam? - brzmiało moje pierwsze pytanie do niego. Wiedziałem, że jest to prawdopodobnie trzydzieści do czterdziestu lat. Odpowiedział szybko i zwięźle:

- Nigdy więcej o to nie pytaj. Mam zamiar wygrać tę sprawę. To wszystko, o czym musisz pamiętać. A teraz opowiedz mi o tym księdzu...

Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o Pacie, wyjaśniając, jak wiele robił dla biednych i jak nie miał nic wspólnego z napadem.

- Gówno prawda - powiedział Tony. - Przyłożyłeś mu broń do głowy?

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale...

- Co on robił z niemal dwustoma tysiącami dolarów, ukrytymi w jego sypialni?

Pierwszy raz słyszałem o pieniądzach w sypialni Pata, i było to widać.

- Dałem mu je... żeby kogoś spłacił.

- To dlaczego twoja twarz wyrażała taki szok, kiedy cię o to spytałem?

Ponieważ Pat powiedział, że dał pieniądze Ronniemu. Ale to było tylko sto tysięcy. Skąd się wzięła reszta?

- To nie twój interes - odparłem.

Tony podniósł się z krzesła i stanął nade mną.

- Posłuchaj, postawię sprawę tak jasno, jak to tylko możliwe. Wszystko związane z tą sprawą jest moim interesem. Zależy od tego moja reputacja, a także twoja wolność. Nie wiem, jak to robią w Irlandii, ale tutaj gramy według moich zasad. Zniszczyłem federalnych w sądzie tak wiele razy, że nienawidzą mnie do szpiku kości. Próbowali mnie nawet wrobić, ale to inna historia. Jeśli chcesz, żebym cię reprezentował, namyśl się najpierw długo i głęboko, bo kiedy już wezmę tę sprawę, będzie ona dla mnie osobistym wyzwaniem. Chcę załatwić tych ludzi niemal tak mocno, jak ty. Wiem, że jesteś zmęczony po tych wszystkich podróżach, więc dam ci się przespać. Do zobaczenia we wtorek.

Wyciągnął rękę, a ja ją uścisnąłem, nie wiedząc, czy rzeczywiście jego chce.

Zanim wyszedł, jego nozdrza uchwyciły zapach obiadu.

- Klops. - Zrobił minę. - Tylko tutaj mogli sprawić, że będzie zalatywał gównem.

Spąłem tej nocy, pierwszej od niemal trzech miesięcy, nie niepokojony przez szesnaście godzin, wolny od okrucieństw terapii diesla. Był to najlepszy sen w moim życiu.

53. HEJ! CO TY, DO CHOLERY, ROBISZ Z TYMI WORKAMI PIENIĘDZY?

Zawsze podejrzewaj wszystkich.

Dickens, *The Old Curiosity Shop*

Miły człowiek to człowiek pełen paskudnych myśli.

Jonathan Swift, *Thoughts on Various Subjects*

Gdy tygodnie przeobrażały się w miesiące, Tony zbierał fragmenty „odkryć” oskarżenia - dowodów przeciwko mnie. Każda wizyta przypominała oczekiwanie na kata, gdy Tony wyjaśniał, że prokuratorzy mieli te wszystkie elementy ogromnej układanki u siebie w biurze i powoli dopasowując je, tworzyli z nich całość. Musieli pokazać ławie przysięgłych gotowy obraz. Im będzie on bardziej przejrzysty, tym większe szanse na skazanie.

- Są też inne, niewielkie, ale niepozbowione wagi fragmenty łamigłówek, do których mają dostęp - oznajmił, siadając przy stole i kładąc na nim swoją teczkę. - Dotarli do twojej pracy portiera w Park Avenue. Twierdzą, że w noc napadu byłeś nieobecny.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, wyprowadził nokautujący cios:

- Mają ślady opon furgonetki, której użyto w noc napadu. Są jak odciski palców.

- Kurwa... - potrafiłem jedynie powiedzieć.

- I twierdzą, że mają również opony.

Patrzył na moją reakcję, podczas gdy mój umysł odfrunął

na moment do McDonalds i uśmiechniętych szeroko gliniarzy, niemogących uwierzyć w swoje szczęście.

Poczułem ciężar na żołądku. Od początku wiedziałem, że to beznadziejne, Tony jedynie to potwierdził.

Zacząłem nienawidzić jego odwiedzin. Był gorszy od Anioła Śmierci.

- Czy kiedykolwiek przynosisz swoim klientom dobre wieści? - zapytałem.

- Analiza wykazała, że te opony i ślady opon ze zdjęć wykonanych w Brink's mają podobne charakterystyki. Podobne, ale nie identyczne. To dla nas bardzo duży plus - uśmiechnął się. - Jeszcze nie zacząłem walczyć, a te skurwysyny o tym wiedzą. Boją się mnie - i mają dobre powody. W tej chwili, dokładnie w tym momencie, siedzą w swoim ciepłym biurze i zastanawiają się, czy te elementy będą ładnie do siebie pasowały. Zależy od tego ich praca. Ich kariery. Patrzą na tę sprawę jak na drabinę, po której będą się wspinać, może do polityki, może do jakiejś dużej firmy z Wall Street. Tak między nami, Sam, zrobię wszystko, żeby ich marzenia nigdy się nie zmateriałizowały.

Po czym zaczął wyjaśniać, jak dużo wysiłku federalni włożyli w tę sprawę.

- Oficjalnie czterdziestu agentów FBI pracowało przy tym problemie, obserwując was wszystkich przez cały czas, co daje dwadzieścia tysięcy roboczogodzin. Kolejnych sześćdziesięciu było przydzielanych sporadycznie, kiedy byli potrzebni. FBI ma ponad stu świadków, niektórzy z nich przybyli z tak odległych zakątków kraju, jak Kalifornia czy Floryda. Nie liczymy tutaj tuzinów detektywów nowojorskich i pracujących dla FBI.

Po co kładł mi do głowy tę gadkę o celi śmierci? Czy był ukrytym sadystą, którego bawił wyraz porażki na mojej twarzy?

- Wiem - powiedział, jakby czytał mi w myślach. - To wszystko może się wydawać przytłaczające, rozstrajające, ale musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że mamy szansę zwyciężyć to wszystko. Na początku była przepychanka pomiędzy federalnymi z miasta Nowy Jork a tymi z północy stanu. Każdy chciał mieć dla siebie chwałę tej sprawy, gdyż zainteresowały się nią media. Pewien agent FBI już mi się do tego przyznał. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech w stylu Christophera Lee. - Czy uwierzysz, jeśli ci powiem, że federalni z miasta nazwali tych z północy „wsiokami i prostytutkami”, kiedy podjęto decyzję o dopuszczeniu ich do śledztwa? Zapewniam cię, że „to” nie zostało lekko przyjęte.

Znał ze słyszenia prokuratorów, Christophera Buscaglię i Christophera Taffe'a.

- Obaj potrafią ciężko pracować i są skrupulatni, ale działają pod dużą presją ze strony swojego szefa, Patricka Ne-Moyera, prokuratora federalnego na zachodni okręg Nowego Jorku, by skutecznie doprowadzić do skazania. Jest to gra o bardzo dużą stawkę. Nie chodzi tylko o twoją wolność, ale również reputację FBI, szczególnie miejscowych. Jeśli im się nie uda, federalni z dużego miasta będą mieli przechłapane.

Przyniósł ze sobą również inne informacje.

- Federalni ponownie aresztowali tego nauczyciela, McCormacka. Te kutasy wiedzą, że biedak jest całkowicie niewinny, ale chcą przez to dowieść swojej teorii konspiracji ławie przysięgłych. Im więcej oskarżonych, tym lepiej to dla nich wygląda. Daje nam to jednak znać, że nie są w stu procentach pewni siebie, co na dłuższą metę może pomóc naszym poczynaniom. To znaczy jest mi oczywiście przykro ze względu na tego biedaka, ale pokazuje to ich desperację wobec tej całej presji.

Znaleziono odcisk palca Charliego na kawałku kartonu. Prosty powód tego był taki, że mieszkał on w tym apartamencie i jego odciski znajdowały się wszędzie, łącznie z kartonem, który wzięliśmy spod zlewu, żeby coś na nim nagryzmolić. Federalni oczywiście wiedzieli o tym. Rozumieli, że zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem Charlie był całkowicie niewinny. Ich sumienie pozwalało jednak przeoczyć ten fakt, jeśli oznaczało to skazanie reszty z nas oraz Charliego na dokładkę.

- Wydawało mi się, że to my działamy pod presją.

Tony zignorował tę złośliwą, poboczną uwagę.

- Jeden ze świadków federalnych, Louis Niger, najwyraźniej popełnił samobójstwo w bardzo podejrzanych okolicznościach. Był on barmanem, który wezwał karetkę dla O'Connora w nocy, w której został uprowadzony, oraz pomógł mu usiąść na stołku barowym po podaniu kieliszka Southern Comfort.

- To dla nas dobrze czy źle? - zapytałem bezwzględnie, ani przez chwilę nie martwiąc się nieszczęsnym człowiekiem.

- Czas pokaże - odparł nieco mniej bezwzględny Tony. - Gdyby jednak wszyscy świadkowie oskarżenia podążyli tą samą drogą...

Uśmiechnął się i znowu przyszedł mi do głowy Christopher Lee.

- O'Connor przywołał Piątą Poprawkę, kiedy został postawiony przed wielką ławą przysięgłych. Odmówił także testu wariografem. Tak czy inaczej za kilka minut znajdziesz się wraz ze mną w budynku Kennetha B. Keatinga. To tam właśnie odbędzie się proces. Chciałbym, żebyś obejrzał nagrania ciebie i twojego kumpla Maloneya.

- Nagrania?

- Och. Nie mówiłem ci o nich? Mają setki godzin taśm rzekomo ukazujących ciebie i twojego kumpla Maloneya, jak

wchodzicie do apartamentu i z niego wychodzicie.

Musiałem zrobić się biały jak ściana, bo roześmiał się i powiedział:

- Nie martw się. To nie udowadnia zbyt wiele przeciwko tobie. Ale jestem pewien, że Maloney będzie musiał kilka kwestii wyjaśnić.

Godzinę później, w gmachu sądu, siedziałem wraz z Tonym w małym pomieszczeniu, oglądając kasety wideo.

- Przykro mi, Samie. Niestety, nie mam prażonej kukurydzy - powiedział, śmiejąc się denerwująco.

Jak dla mnie chichotał odrobinę zbyt dużo jak na ten konkretnie moment. Wydawało mi się to dziwne.

Ekran ożył - i oto byłem tam, wkurzający gość z Belfastu, wchodząc i wychodząc z mieszkania, nie mając ani jednego zmartwienia. Poczulem, że się czerwienię. Pot ciekł mi po plecach. Co za świństwo, nawet nie wiedziałem, że jestem obserwowany. Chciałem, żeby Tony to wyłączył.

- Zaczekaj, będzie jeszcze ciekawiej - zapewnił mnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

„Wyłącz ten telewizor i ten pieprzony uśmiech też, dobrze?”. Teraz była kolej Pata, podszedł do drzwi i zniknął w środku. Nagle Tony przewinął do przodu jedną z taśm.

- Patrz na to.

Taśma była datowana na cztery dni po naszych pierwszych odwiedzinach w mieszkaniu. Pat siedł korytarzem, rozglądając się na wszystkie strony.

Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, aż za nim pojawiło się dwóch czarnych mężczyzn, niosąc puste torby.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - powiedziałem na głos, zdumiony obecnością tych ludzi. Nie wiedziałem, że Pat powiedział komukolwiek o tym mieszkaniu. W co on pogrywał?

Tony zatrzymał obraz i zapalił światło.

- Rozumiem, że oni nie byli częścią planu? - zapytał. -
Rozpoznajesz któregoś z nich?

- Nie - odparłem siny z wściekłości.

- W porządku. Miejmy to już za sobą - odparł, wyłączając z powrotem światło.

Na taśmie był ten sam dzień, około godziny później. Zobaczyłem, jak drzwi się otwierają i Pat powoli wystawia zza nich głowę. Potem pojawiło się jego dwóch przyjaciół, którzy nieśli - wypełnione po brzegi - torby. „Jak miła, ciepła filiżanka herbaty”.

- Ja w to, kurwa, nie wierzę. - Chciałem kopnąć ekran.

- Ta scena się powtarza, Samie, w ciągu następnych dwóch dni. Do środka z pustymi torbami, na zewnątrz z pełnymi. Chciałbyś to zobaczyć?

Siedziałem w milczeniu przez kilka chwil, po czym odparłem:

- Nie... Dość widziałem.

Podczas gdy Tony odsuwał ekran, wyjaśnił mi, że te nagrania zostaną pokazane podczas procesu, na potrzeby ławy przysięgłych.

- Dzięki temu federalni wyglądają na profesjonalistów. Pokażcie ludziom, na co idą ich podatki. Ława będzie przyglądać się twojej reakcji, więc istotne jest, żebyś zachował spokój, pozostał bez wyrazu.

Dla mnie nie miało to już znaczenia. Nie dbałem o to. Wystarczyło, że Pat nie dał Ronniemu pieniędzy - teraz miał do wyjaśnienia jeszcze to.

- Musimy uważać, jak postępujemy z tym facetem, Maloneyem - poradził mi Tony, czytając w moich myślach. - Nie chcemy go alienować w tym krytycznym momencie, bo może zrobić coś głupiego. Jego włosy i odciski palców były w całym tym mieszkaniu. Atrament, którym napisano sumy pieniędzy, szybko dało się połączyć z długopisami w jego kościele.

W sejfie w jego sypialni znaleziono tysiące dolarów. Ta lista nie ma końca.

Teraz wszystko stało się jasne. Od miesiący Pat pisał do mnie, prosząc - każąc mi - znaleźć innego adwokata niż Tony. Twierdził, że mu nie ufa. Słyszał o nim różne pogłoski. Gdybym zdecydował się go zostawić, Pat znalazłby innego adwokata, który pracowałby ciężko, żeby nas „wszystkich” wypuścili. Nie tak, jak ten „krętacz”, który gonił tylko za sławą i pieniędzmi.

Niemal mu uwierzyłem.

Prosił też, żebyśmy zwrócili się do sądu o zmianę miejsca rozprawy, żeby przenieśli nas z powrotem do miasta Nowy Jork, gdzie nas aresztowano. Twierdził, że jego zdrowie cierpi z powodu ośmiogodzinnej podróży do Rochester, którą musi podejmować za każdym razem, kiedy ma się pojawić w sądzie. Ale co ważniejsze, proces w liberalnym Nowym Jorku zapewniłby nam dużo większe szanse niż w tym prostackim, gliniarskim mieście Rochester.

Boże! Niemal dałem się skusić! Kilka tygodni temu zastanawiałem się nad zwolnieniem Tony'ego po to tylko, żeby zadowolić Pata, mając nadzieję na jeden front podczas procesu.

Nie chodziło o to, że Pat nie ufał Tony'emu; on się go po prostu bał. Do tego momentu wiedział już, że Tony zajrzy we wszystkie zakamarki, byleby mnie oczyścić z zarzutów. Musiał też wiedzieć, jak bardzo będę wściekły, kiedy zobaczę te taśmy.

- Popatrz na jasną stronę, Samie - powiedział Tony, kiedy przygotowywałem się do powrotu do więzienia. - Ty jesteś na taśmie tylko dwa razy, nie mając nic w rękach. Maloney zaś będzie musiał wytłumaczyć ławie przysięgłych, co się znajduje w tych wszystkich wypchanych torbach. Myślę, że odmówi składania zeznań ze strachu przed obciążeniem własnej osoby. Chcesz się założyć?

- Założyłbym się, tylko że ty i federalni zabraliście mi ostatniego dolara.

Roześmiał się. Ja niemal się rozplakałem.

- Miej więcej pewności, Samie. A, mówiłem ci, że jakiś gość z Buffalo pozywa Brink's? Twierdzi, że zakablował na O'Connora, a nie otrzymał ani centa nagrody. Co za kanalia. Jeśli czegoś nienawidzę, to właśnie kapusiów. Chyba jestem kimś w rodzaju Indiany Jonesa.

Uśmiechnął się, a ja czekałem, czy wyciągnie bat.

- Tak czy inaczej pamiętaj, jakie jest kluczowe słowo: pewność - powiedział, machając na do widzenia.

„Pewność? Dlaczego mi jej brakowało?” - zastanawiałem się, kiedy eskortował mnie do mojej celi gliniarz, będący jednocześnie strażnikiem, który wciąż przypominał mi, że miałem najlepszego adwokata na północy stanu i że powinienem być wdzięczny, że chce, bym był jego klientem. Skąd ten strażnik i gliniarz wiedział, że Tony jest najlepszym adwokatem na północy stanu Nowy Jork? To proste: on też był jednym z klientów Tony'ego.

- Jakieś czarnuchy pozwały mnie i sześciu innych gliniarzy za pogwałcenie ich praw obywatelskich, kiedy my tylko trochę ich poszturchaliśmy. Możesz w to, kurwa, uwierzyć? Celują ci w twarz ze śrutówki i mówią, że to my jesteśmy złoczyńcami.

Zachowałem milczenie. Dostatecznie było mi ciężko bez wyrażania wobec gliniarzy w więzieniu mojego liberalnego obrzydzenia wobec rasistowskich słów.

- A więc zbiliście oskarżenie? - zapytałem, starając się jak najdłużej pozostać poza celą. Było to jak kradzenie czasu federalnym.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zbiliśmy oskarżenie oraz czarnuchów. Tony cię wyprowadzi. To najlepszy, kurwa, prawnik pod słońcem.

Nagi... latami w mroźnej celi... bicie... cokolwiek... Millar przeżył to wszystko.

Laureat Nagrody Pulitzera, Wiliam Sherman, „Esquire Magazine”

Czy nie ma sposobu, by postradać rozum?

Sylvia Plath, *Apprehensions*

Następujące po przeglądzie nagrań tygodnie i miesiące były świadkami rozpadu „wspólnego frontu”, który na początku założyliśmy. Pat i ja ledwie zamieniliśmy parę słów. Zacząłem otrzymywać obraźliwe listy od niektórych jego zwolenników, którzy oskarżali mnie o „wciągnięcie” go w te wszystkie kłopoty, w jakich się teraz znajdował. To oczywiście nonsens, ale on niewiele robił, by przeczyć tym pomówieniom. Pasowało to do niego idealnie, lansując wizerunek łatwowiernego męczennika. Zaczynało mnie to męczyć. Robiłem wszystko, by dać mu dobre wytłumaczenie tego, dlaczego się w to wmieszal, przedstawiłem jego adwokatom moją przeszłość hazardzisty, mając nadzieję, że dzięki tym informacjom łatwiej będzie mu się wywinąć, mimo że Tony dostał szału, gdy się o tym dowiedział.

Kiedy jednak Pat zaczął twierdzić, że nie ma pojęcia, skąd wzięły się te nieszczęsne pieniądze albo, jak twierdzili jego zauroczeni zwolennicy, że być może waluta miała „trafić do Irlandii” i że został wrobiony, nadszedł czas, żebym zaczął się bronić. Jeśli myśleli, że został wykorzystany, to w jakim celu pojechał ze mną, aby kupić dom za trzysta tysięcy dolarów?

Twierdził, że pieniądze znalezione w jego sypialni - niemal dwieście tysięcy dolarów - pochodzą od nielegalnych imigrantów! Notatki wywiadu świadczyły o tym, że Pat rozdawał pieniądze jak Święty Mikołaj. Trzy tysiące tu, pięć tysięcy tam. Osiem tysięcy Jasonowi, młodemu mężczyźnie, którego adoptował. Próbował również zdeponować dwadzieścia jeden tysięcy w gotówce w banku na Florydzie, ale zmienił zdanie, kiedy urzędnicy powiedzieli, że musiałyby wypełnić raport o transakcji gotówkowej; inne imiona pojawiały się z zatrważającą częstotliwością, wszyscy otrzymywali duże kwoty.

Jeden z wielu listów, jakie otrzymałem, nadany został przez zakonnicę, która twierdziła: „Pójdiesz do piekła już niedługo, jeśli nie pożałujesz swojego strasznego grzechu przeciwko ojcu Patowi”. Odpisałem, że byłem już w piekle i nie jest to wcale takie strasne miejsce, bardzo dziękuję. Pojawilo się więcej listów z inwektywami, niektóre gorsze od innych.

Stało się teraz jasne, dlaczego Pat chciał, żebym pożegnał się z Tonym na rzecz prawnika, którego sam wybrał. Lecz było już za późno. Musiał wypić piwo, którego sam sobie nawarzył.



- Czy słyszałeś o Williamie Shermanie? - zapytał Tony, kiedy następnego ranka przekopywaliśmy się przez góry papierów urzędowych w małym biurze w więzieniu.

- Nazwisko wydaje mi się znajome.

- Jest sławnym pisarzem, który zdobył Pulitzera oraz wiele innych nagród. Tak czy inaczej poprosił mnie, żebym pozwolił na twoją z nim współpracę podczas przygotowywania artykuły dla magazynu „Esquire Magazine”. Powiedział, że będzie z tobą sympatyzował, pokaże twoją „ludzką twarz” czytelnikom. Co o tym myślisz?

- Ja raczej lubię twarz, którą już mam. Ale nie jestem pewien co do udzielania wywiadów. Zawsze jest możliwość, że powiem coś niewłaściwego.

- Dokładnie tak samo ja sobie pomyślałem - powiedział Tony. Ale miałem wrażenie, że wyczuwam odrobinę rozczarowania w jego głosie. Czyżby już widział swoją uśmiechniętą twarz na okładce „Esquire Magazine”? - To rzeczywiście byłby błąd. Dlatego też poleciłem adwokatowi księdza, żeby i jego klient odmówił, bo mógłby powiedzieć coś, co wszystkim zaszkodzi. Czemu się uśmiechasz?

- Bo po prostu nie znasz Pata. On to uwielbia, być w centrum uwagi. Nie mam najmniejszej nadziei, że odmówi.

Być może Tony nie chciał widzieć również ani jednego z adwokatów Pata na okładce.

- Wątpię. Przekonałem jego prawnika o tym, że mogłoby to nas pogrążyć. Byłem w tej kwestii nieprzejednany. Nie sądzę, że będzie to miało swój dalszy ciąg.



Artykuł w „Esquire Magazine”, który pojawił się dwa miesiące później, był zatytułowany „Blood Money” („Krwawe pieniądze”), a niemal każda strona nosiła zdjęcie uśmiechniętego Pata.

- Normalnie w to, kurwa, nie wierzę! - krzyczał Tony, rzucając magazyn na stół w więziennym pokoju. - On chce, żebyśmy wszyscy zawisli. Federalni uwielbiają takie rzeczy. Co za duppek! Czy nikt nie może do niego przemówić? Powiedzieć, żeby się zamknął?

Nie, nie Patowi. Rzeczywiście on to ubóstwia!; nawet jeśli miało to zaszkodzić naszej sprawie, on i tak zamierzał rozmawiać dalej z reporterami.

Federalni też za tym przepadali. Wiedzieli, że prędzej czy później powie coś obciążającego.

- Przetrywamy to, Samie. Osobiście pojedę do Nowego Jorku i porozmawiam z Maloneyem.

Nie powinien się fatygować. To był dopiero początek. Pat był w telewizji, dawał wywiady wszystkim gwiazdom, był w radiu i w gazetach. Nie można go powstrzymać, pomyślałem, patrząc, jak niesie przed kamerami dziecko. Mógłby być senatorem startującym w wyborach albo strażakiem, który uratował je z płonącego budynku. Nawet w *Late Night Show* go chcieli. Kiedy raz do niego zadzwoniłem, prosząc, żeby się trochę uspokoił, on odparł tylko, żebym się nie martwił, bo za wszystko płaci Hollywood.

Kładłem to wszystko na karb załamania nerwowego, napięcia i presji. Tony był mniej dyplomatyczny:

- Ma nasrane we łbie. Myśli, że im więcej ludzi go usłyszy, tym bardziej będą mu wierzyli. Naszym jedynym zmar-twieniem jest to, co pomyśli dwunastu ludzi. Nie pieprzony David Letterman.

Wtedy Tony uderzył mnie druzgocącą wiadomością.

- Federalni aresztowali Bernie.

Powiedział to tak łagodnie, że niemal nie usłyszałem.

- Co mówisz?

- Posłuchaj, nie jest mi łatwo to powiedzieć. Federalni za-żądali obecności twojej żony przed wielką ławą przysięgłych. Ma składać przeciwko tobie zeznania, zdać sprawę ze wszyst-kiego, co rzekomo wiedziała o napadzie. Odmówiła zeznań, powołując się na przywilej współmałżonki, który zwalnia ze składania niekorzystnych zeznań w sprawie partnera.

Pierwsze małżeństwo Bernadette trwało jedynie kilka mie-sięcy i zostało anulowane przez kościół katolicki po długiej batalii z naszej strony. Była moją konkubiną przez dziesięć lat z powodu kościelnych procedur rozwodowych w Irlandii

Północnej. Gdybyśmy byli bogaci, kiedy opuszczaliśmy Północ, oczywiście uzyskanie anulowania nie stanowiłoby problemu.

- Co się, do cholery, stało? Dlaczego została aresztowana? - odchodziłem od zmysłów, mimo że starałem się zachować spokój.

- Nowy Jork nie bierze pod uwagę konkubinatu, ale wyjątek stanowią te związki, które rozpoczęły się gdzie indziej, w miejscu, gdzie takie pożycie jest prawnie uznawane. Sędzia Larimer powiedział, po sprawdzeniu prawa, że nie sądzi, aby takie obcowanie było uznawane w Irlandii Północnej.

- Co on, do kurwy nędzy, wie o Irlandii Północnej!

- Powiedział Bernie, że nie cieszy się z tego postępowania. Będzie musiał ją jednak zatrzymać, jeśli nadal odmówi zeznawania. Odmówiła i została odprowadzona.

- Nie. Nie zgodzę się na to. Mamy trójkę dzieci. Co się z nimi stanie? Za nic na to nie pozwolę.

- Nie możesz pozwolić, żeby federalni się do ciebie dobrali - powiedział Tony, starając się dodać pewną myśl do mojego żalu. - Tak oni działają. Jesteś od nich silniejszy. Nie umieli cię złamać. Teraz myślą, że dostaną się do ciebie przez Bernie. Wiedzą, że ona nic nie wie, tak jak McCormack. Ale są zdesperowani, Samie. Wierz mi, nie masz nawet pojęcia jak bardzo.

W tym momencie byłem na dnie. Tony wiedział, że w takim stanie nie potrafię myśleć racjonalnie. Nie chciałem opuścić pokoju.

- Posłuchaj. Bernie ma doskonałego adwokata, Roberta Napiera. Jest wojownikiem, tak jak ja. Żaden z nas nie będzie mógł spać, dopóki tego nie odwrócimy. Masz na to moje słowo. Ale muszę mieć twoje, że pozostaniesz silny. Umowa stoi?

Wymamrotałem swoją zgodę. Na szczęście dla niego zobaczyłem jeszcze kopię gazety z tego wieczora, z Bernie na

pierwszej stronie, w kajdankach, odprowadzaną przez agentów federalnych.

„W żadnych okolicznościach Bernadette nie zgodzi się odpowiadać na pytania na temat Sama. Są pod każdym względem, duchowym i emocjonalnym, małżeństwem. Nie zamierza narazić na szwank tego związku” - mówił ponuro Robert Napier do oczekujących reporterów. „Ślub w więzieniu wydaje się najlepszym sposobem na zapewnienie jej wolności”.

• • •

Nie robiło mi różnicy, że Tony powtarzał mi codziennie: „Myślę, że coś mamy. To może się udać. Mówiłem ci, że ten facet jest dobry...” Wiedziałem, że utwierdza mnie tylko w przekonaniu, chcąc, żebym był skupiony.

- Muszę ci coś powiedzieć i nie jest to żaden kit. Federalni mają jednak dla ciebie niechętny szacunek. Walą do ciebie z wszystkiego, co mają, a ty nadal stoisz. Rozmawiałem z kilkoma. Są kompletnie zdumieni twoim działaniem. Wiedzą, że gdybyś był Amerykaninem, już dawno oddałbyś pole.

- Czy to miał być komplement?

- W dwuznaczny sposób.

- Następnym razem, kiedy będziesz rozmawiał z tymi swoimi wspaniałymi kumplami, federalnymi, możesz im powiedzieć, żeby sobie wsadzili w dupę te swoje komplementy. Dobra?

Wyszedł, zanim mogłem jeszcze bardziej wybuchnąć. Jego lekarstwo wywierało skutek odwrotny do zamierzonego.

• • •

W końcu, miesiąc później, dowód naszego związku w Irlandii pod postacią dokumentów rozwodowych został przedstawiony sądowni i przestudiowany przez sędziego Larimera. Adwokat

Bernie poprosił sędziego o zwolnienie jej ze skutków niezastosowania się do zakazu sądu, by mógł wystąpić o dokument poświadczający zawarcie małżeństwa w ratuszu Rochester.

- Czworo dzieci i dziesięć lat razem przemawiają do mnie jako dowody same w sobie - argumentował Napier, studiując pozbawioną wyrazu twarz sędziego.

- To mnie stawia w pozycji kupidyna - powiedział sędzia Larimer, studiując dokumenty. - Mimo to zgadzam się i życzę młodej parze szczęścia w dniu ich ślubu.

Tylko w Ameryce mógł sędzia mówić z takim współczuciem.

- A nie mówiłem, że to sprawiedliwy sędzia? - twierdził Tony później tego samego dnia, cały w uśmiechach.

Nie odpowiedziałem, po prostu ciesząc się tą chwilą. Wielki ciężar spadł mi z barków. Gównu mnie już obchodziło więzienie.

- Sprawiedliwy sędzia - powtórzył Tony, nie wiedząc jeszcze w tym momencie, że wkrótce on i ceniony sędzia będą rzucać się sobie do gardeł, zajmując przy tym pierwsze strony gazet.

55. NASZA STRATEGIA

Dochodzenie przekroczyło 1 000 000 dolarów - nie licząc procesu.

Dean Anderson, rzecznik FBI

To zabawny świat - człowiek ma szczęście, jeśli wyjdzie z niego żywy.

Walter de Leon i Paul M. Jones, *You're Telling Me*

Przed rozpoczęciem procesu należało dokonać wyboru ławy przysięgłych.

- Żartujesz? My wybieramy ławę przysięgłych? - zapytałem Tony'ego, gdy siedzieliśmy w małym pokoju strategicznym w Budynku Kennetha B. Keatinga, tworząc plan najlepszej strategii zbicia oskarżeń.

- Mniej więcej. Oskarzenie wybiera kilku ławników; my też. Jest szansa przeciągnięcia na naszą stronę kilku z tych, których oni wybrali, i *vice versa*. To wszystko jest bardzo demokratyczne. To nie to, co tam, skąd pochodzisz, gdzie sądzą bez ławy. W Ameryce mamy rządy zgodne z duchem demokracji.

Wszyscy siedzieliśmy w tym pokoju z notatnikami i prawnikami. Pat miał tu obu swoich prawników, Charlie miał swojego, Tom również.

Tony zaczął tworzyć profil idealnego ławnika. Wierzył, że osobowości, przekonania i opinie potencjalnych jurorów mogą być kluczowe dla wyniku rozprawy.

- Żadnych czarnych na ławie - argumentował Tony. - Próbowałiby udowodnić, że są surowi wobec przestępców,

gdyż baliby się, że sami będą stereotypowo postrzegani jak przestępcy. Wybrałbym do ławy dwunastu Murzynów, gdybym wierzył, że mogą być pełni współczucia, ale mówię wam, że byłaby to katastrofa.

Pozostali prawnicy napisali coś w swoich notatnikach - ani się zgadzając, ani protestując. Wszystko miało zostać postanowione później. Ktoś zasugerował, że skoro jest to miasto gliniarzy, może dobrze byłoby dla Toma, gdyby w ławie zasiedli krewni policjantów.

Rozległy się śmiechy.

- Nie - poradził Tony. - Byliby jak czarni, chcieliby udowodnić, że nie wszyscy gliniarze - niczego przez to nie sugeruję, Tom - są skorumpowani.

Tom tylko uśmiechnął się uśmiechem Gary'ego Coopera.

- Ponadto - ciągnął Tony - opowiadam się za tym, żeby zaproponować do ławy same kobiety. Mamy tu czterech przyzwoitych facetów, żadna kobieca ława ich nie skarże.

Więcej śmiechu.

- Ten plan nie ma szans. Federalni go przejrzą. Dodatkowo nie ma żadnego dowodu, że to podziąka, Tony. Osobiście nie podpisuję się pod teorią profilu ławy przysięgłych. Cała sprawa może wybuchnąć nam w twarz - powiedział nieprzekonany prawnik, patrząc na Tony'ego sponad swoich okularów połówek. - Poza tym kobiety potrafią łatwiej skazywać od mężczyzn. Wybranie samych kobiet, przy czym i tak wątpię, czy się to uda, mogłoby nas pogrążyć.

Tony się roześmiał.

- Żartujesz? - odparł. - Chcesz mi powiedzieć, że jeśli umieścisz w pokoju dwanaście kobiet na dwa miesiące, będą w stanie pozostać przyjaciółkami? Do końca tego procesu będą gotowe się pozabijać. Możemy przynajmniej oczekiwać zawieszonyj w podjęciu decyzji ławy przysięgłych.

- Albo zawieszonych klientów.

Odrobina śmiechu.

- Nie uda się. Federalni nigdy na to nie pozwolą - oznajmił Felix, prawnik Toma.

- To zależy od nas - odparł Tony spokojnie. - A ja jestem gotów podjąć to ryzyko. Co o tym myślicie?

- Myślę, że największym naszym problemem jest Buscaglia. Wydaje się powolny, ale naciera niczym lodowiec - powiedział Felix.

John Sperenza, adwokat Charliego, podsumował swoje własne uczucia:

- Ustawa o konspiracji daje duże pole manewru prokuratorom w powiązaniu z oskarżonymi. Bierze pod uwagę wieloryby i płotki. Sieć jest mocna i bardzo szeroka.

Debata trwała jeszcze dwie godziny, każdy prawnik wygłaszał swoje obawy. Każdy starał się wypracować strategię korzystną dla wszystkich, przedkładając jednak interesy swojego klienta nad innych. Była to cienka lina, na której balansowaliśmy. Wątpiłem, czy ktokolwiek w tym pokoju wierzył, że wszyscy będziemy się trzymali wybranej drogi. Mogliśmy tylko czekać, aż zacznie się prawdziwe wybieranie ławy.

Chciałem porozmawiać z Tomem, przeprosić go za te kłopoty, w które go wpakowałem, ale Tony radził mi tego nie robić.

- Im mniej będziesz się komunikował z pozostałymi oskarżonymi, tym na dłuższą metę lepiej. O'Connor to duży chłopiec. Na pewno zrozumie...

56. WYBÓR ŁAWY PRZYSIĘGLYCH

Sąd ma za zadanie przedstawić sprawę uczciwie, lecz decydować ma ława przysięgłych.

Czechow

Były sprawy, które naciągał, ale najczęściej mówił prawdę.

Mark Twain, *Przygody Hucka Firma*

Każdy potencjalny ławnik został przyprowadzony oddzielnie. Zaproszony siedział lub siedziała naprzeciwko nas, podczas gdy nasi prawnicy wystrzeliwali w jego lub jej stronę swoje pytania. Większość wydawała mi się zdenerwowana, jakby obawiali się tego przesłuchania, ale Terry powiedział, że bym nie dał się zwieść pozorom.

- Och, oni szalenie chcą brać udział w tym procesie. Nie miej co do tego wątpliwości. To pewnie najbardziej ekscytująca rzecz, jaka przydarzy im się w życiu, coś, o czym opowiedzą wnukom.

Pierwszy z oczekujących wszedł, powiedział, jak się nazywa, i usiadł. Cały był pokryty złotem, od stóp do głowy. Tony szybko przekreślił jego nazwisko na liście.

- Może to on obrabował Brinks - szepnął Tony, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

Następnym przesłuchiwanym był ślusarz narzędziowy. Szybko się go pozbyliśmy, bojąc się, że może za dużo wiedzieć o systemie bezpieczeństwa w Brinks. Jeden miał szeryfa za kuzyna. Wszyscy szybko potrząsnęli głowami. „Zabierzcie go stąd!”

Jeszcze jeden potencjalny ławnik miał ojca, który pracował dla Brink's i był „wzorowym pracownikiem”.

„Do widzenia”.

Oskarżenie zapytało kobietę, czy jej katolickie wyznanie nie utrudniłoby skazania przez nią księdza, gdyby uważała go za winnego. Popatrzyła na Pata przez kilka chwil, przyglądając się wyrazowi jego twarzy. Pat patrzył wprost w jej oczy, z wyprostowanymi plecami, przebierając palcami różaniec.

- Nie. Mogłabym go skazać. Gdyby był winny...

Pat zgarbił się nieco, a jego prawnicy ruszyli, by szybko wymazać nazwisko kobiety.

- Nie róbcie niczego pochopnie - szepnął Tony do drugiego prawnika. - Myślę, że ona może być uczciwa. Coś mi mówi, że dowody musiałyby być przytłaczające, by podjęła taką decyzję. Możemy nie mieć tak dużego wyboru, kiedy lista się zawęzi.

„Jedna kobieta na pokładzie, zostało jeszcze jedenaście...”.

Kolejny potencjalny ławnik - mężczyzna, usiadł i bez skrepowania powiedział, że nie słyszał o sprawie Brinks.

- Uwierzyłbyś w coś takiego? - szepnął Tony, szybko skreślając Pana Nie Słyszałem z listy. - Wiem, że niektórzy z nich są zdesperowani, żeby wziąć udział w procesie i pochwycić swoje sześćdziesiąt sekund sławy, ale można by przypuszczać, że spróbują być bardziej oryginalni.

Pewna kobieta, nienagannie ubrana, usiadła na miejscu rozgrzanym tyłkiem tego, który nie słyszał o sprawie. Wyraz jej twarzy niewiele mówił, a na rutynowe pytania odpowiadała z namysłem, lecz mimo to niemal obojętnie. Miała być następna na liście. Byłem tego pewien.

Wtedy nastąpił wstrząs.

- Ma pani bratanka w policji. Czy to prawda? - zapytał Felix.

Nastąpiła chwila ciszy. Twarz kobiety pozostała nieruchoma.

- Czy to prawda? - zapytał raz jeszcze Felix.

Balansował długopisem między dwoma palcami, a niewielki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Tak. To prawda - odparła kobieta, przerywając ciszę.

- A pani mąż? Czy jest emerytowanym policjantem?

- Tak. - W jej głosie dała się słyszeć odrobina dumy.

- Mówiąc szczerze, nie popatrzyłaby pani zbyt łagodnie na policjanta, który rzekomo złamał prawo. Prawda?

Nie straciła ani sekundy.

- Nie, proszę pana. To prawda. - Dała się słyszeć szczerą odpowiedź.

- Dziękuję za pani szczerść. Wysoki sędzie, wnoszę o usunięcie nazwiska z listy.

Oskarżenie usiłowało podtrzymać kandydaturę kobiety, ale z oczywistych powodów bezskuteczne. Sędzia przychylił się do propozycji Feliksa.

Dzień ciągnął się dalej; jedno nazwisko wykreślone, inne dodane. Sytuacja zaczynała tracić powab nowości, i wszyscy - włączając w to sędziego - zaczęli się wiercić, próbując pozostać w skupieniu.

- Ile jeszcze? - zapytałem Tony'ego.

- Tyle, ile trzeba, żeby uzyskać to, o co nam chodzi. Cały tydzień, jeśli wystąpi taka konieczność. Jakiś problem w tym, że tak się dla was staramy?

Z tą zgryźliwą uwagą powrócił Christopher Lee.

- Nie, oczywiście, że nie. Doceniam to.

W końcu wykluczono wszystkich mężczyzn. Nie mogłem uwierzyć - ani też nikt inny nie potrafił - że oskarżenie pozwala nam na taką dowolność. Może mieli ten sam plan, wierząc, że kobiety wykażą się większym współczuciem. Niezależnie od powodu, kiedy w końcu wybrano dwanaście kobiet, gazety

zwróciły na ten fenomen szczególną uwagę, sprawiając, że federalni poczuli się niekomfortowo.

Dali się złapać w pułapkę, zastawioną przez Tony'ego i innych prawników.

Starając się odzyskać utracony teren, oskarżyciele szybko poprosili sędziego o rozważenie wyboru adwokatów w ustalonej czysto kobiecej ławie przysięgłych, twierdząc, że mężczyźni byli dyskryminowani podczas rekrutacji. Po sesji za zamkniętymi drzwiami sędzia Larimer powiedział, że rozważył dokładnie selekcję i nie znalazł powodu do obaw. Kobięca ława przysięgłych miała zostać zaprzysiężona następnego dnia i proces, po niemal dwóch latach, miał się rozpocząć.

Ostatnie spotkanie z Tonym przed procesem przyniosło nowe wiadomości.

- Dostaniesz najwyżej dziesięć lat. Ale najprawdopodobniej skończy się na ośmiu, „jeżeli” zostaniesz uznany za winnego. Dziś po raz ostatni o tym rozmawiamy. Idę tam, żeby wygrać tę sprawę. Tak jak i ty. Nie chcę już więcej słyszeć o granii na zwłokę. Zgoda?

Osiem lat? Wątpiłem, czy mówił prawdę. Mogłem przeżyć osiem lat, ale wiedziałem, że wyrok będzie raczej oscylował w okolicy sześćdziesięciu. Wolałem nie myśleć o umieraniu w amerykańskim więzieniu, ale musiałem być realistą. Założyłem z powrotem swoją uśmiechniętą maskę i potrząsnąłem jego dłoń.

- Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, niezależnie od tego, co się wydarzy.

- Wyśpij się dobrze. Chcę, żebyś jutro wyglądał jak najlepiej.

Uśmiechnął się, a ja zastanawiałem się, co się za tym kryje. Czy wiedział w głębi duszy, co tak naprawdę mnie czeka? Wkrótce miało się to wszystko skończyć.

57. PROCES SIĘ ROZPOCZYNA

Jeśli potrzeba stu świadków, by udowodnić twoją niewinność, nie znajdziesz ani jednego.

Lawrence Andolina, prawnik z Nowego Jorku komentujący proces

Wyjąwszy ten naturalny wyraz nieczemności, jaki wszyscy posiadamy, ten męczyzna wyglądał dość uczciwie.

Mark Twain, *A Curious Dream*

Nie było miejsc siedzących. Sąd był wypełniony po brzegi. Prasie przydzielono pewną liczbę miejsc, a nasze rodziny i znajomi próbowali wcisnąć jeszcze kilka osób. Pozostali przyłączyli się do tych chorobliwych ludzi, których życie sprowadza się do oczekiwania na czyjeś odejście, do perwersyjnego upojenia czymś upadkiem. To ci sami ludzie, których można było spotkać w czasie Rewolucji Francuskiej, siedzących i robiących na drutach pod gilotyną.

Agenci FBI byli przesłuchiwanymi przez prokuratorów na zasadzie pasa transmisyjnego, non stop. Byli nienagannie ubrani i szli przez środek sali z pewnością siebie aktorów, którzy zaraz odbiorą Oscara. Wszyscy czytali z notatników, które opisywały nasze posunięcia na przestrzeni ponad dziesięciu miesięcy.

Starałem się zaprzątnąć myśli czymś innym, wiedząc, co się niewątpliwie w nich znajduje. Nie chciałem się sam zadreć, poniżony przez błędy, które popełniałem. Zamiast tego poszedłem na ryby w Waterworks w Belfaście. Myślę, że był tam też mój ojciec, jadł wielką, grubą pajdę chleba z dżemem truskawkowym i pokazywał mi kciuki w górze.

- Głowa do góry, synu. Nie pozwól, żeby cię dobili.

Odpowiedziałem tym samym gestem, uśmiechnięty. Tony mnie szturchnął.

- Musisz uważać - syknął. - I przestań siedzieć z tym głupkowatym uśmiechem na twarzy. Przysięgli mogą pomyśleć, że nie traktujesz tego poważnie albo że śmiejesz się właśnie z nich.

- Przepraszam - wymamrotałem. - Co się dzieje?

- Zeznają w sprawie McCormacka. Chodzi o ten papier z wypisanymi sumami, rzekomo jego charakterem pisma.

Kartka ta zawierała wyniki z pracy, którą Charlie napisał lata temu jako student Fairfield University na zajęcia z księgowości. Dziwnym zrządzeniem losu wyniki, które zapisał te wszystkie lata temu, były niemal identyczne z ilością pieniędzy zabraną z Brinks. To wystarczyło, by go aresztować pod zarzutem konspiracji. Nie pomógł też fakt, że esej został zatytułowany „Z miłości do pieniędzy”, a podpisany żartobliwie: „Jezus Chrystus Milioner”.

Ze wszystkich oskarżonych najbardziej współczułem Charlieemu. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Od czasu do czasu jego rodzice patrzyli na Pata lodowatym spojrzeniem. Kto mógłby ich za to winić? Nie ja. Pewnie to samo czuli wobec mnie. Ja na pewno żywiłbym takie emocje, gdyby chodziło o mojego syna.

- Teraz chciałbym wezwać na świadka agenta specjalnego... - oskarżenie miało kłopot z powodu zbyt dużego wyboru federalnych świadków. Nie tylko byli oni agentami FBI, ale stanowili elitę, czyli grupę „specjalnych” agentów. Mieliliśmy do czynienia z pieprzonymi nietykalnymi. Wiedzieli, o jaką stawkę toczy się gra, wysłali więc samych najlepszych, by nas schwytali.

Ława przysięgłych była hipnotyzowana za każdym razem, kiedy padało słowo „specjalny”. „Specjalny” agent to,

„specjalny” agent tamto. Niektóre z kobiet rumieniły się za każdym razem, kiedy „specjalny” agent spojrział w ich stronę. Nagle prokuratorzy przestali wyglądać na tak głupich, jak nam się wydawało. Mogli nas zwyciężyć w naszej własnej rozgrywce, wprowadzając masę „specjalnych” zasad.

Dokładnie w tym momencie, kiedy szala zaczęła się przechylać na korzyść oskarżenia, Tony zdecydował się rozwiać nam wszystkim złudzenia.

- Specjalny Agencie Stith, twierdzi pan, że mój klient odmówił pojechania z panem windą po tym, jak uprzejmię otworzył pan dla niego drzwi. Czy to prawda?

- Tak jest, proszę pana.

Przesłuchanie Stitha trwało jakieś czterdzieści minut. Już miał opuścić miejsce dla świadka, kiedy Tony zapytał:

- Wszyscy agenci FBI są tytułowani „specjalnymi”, niezależnie od rangi czy doświadczenia. Czy to prawda?

Stith skrzywił się na to pytanie, ale skinął głową.

- Czy to znaczy tak, czy nie, specjalny agencie Stith?

- Tak.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań do świadka... jak na razie.

• • •

Kiedy dni zamieniały się w tygodnie, zaczęły narastać spekulacje, który z oskarżonych, jeśli w ogóle, stanie na miejscu dla świadka. Tom już się zgodził na składanie zeznań w swojej obronie, podobnie Charlie. Tylko Pat i ja pozostaliśmy niezdecydowani, żaden z nas nie pozwalał drugiemu zobaczyć, czy ma jakieś asy w rękawie.

- To nigdy nie wygląda dobrze, jeśli odmawiacie składania zeznań - powiedział jeden z prawników podczas zasłużonej przerwy w postępowaniu. - Nie myślcie, że jest tak jak w serialu *Matlock*, że jesteście niewinni, dopóki nie udowodnią

wam winy. To gówno prawda. Każdy z tych dwunastu ludzi myśli to samo: „Jeśli on naprawdę jest niewinny, dlaczego nie opowiada nam swojej wersji historii?”. A musisz przyznać, że jest w tym jakaś racja.

Uśmiech rozświetlił jego twarz. Proces rozpoczął się ponownie i Danny Calemine, nowojorski detektyw, stanął na miejscu wyznaczonym dla świadka. Zeznał, że widział Pata wraz ze mną, jak wychodziliśmy z baru i zataczając się, szliśmy ulicą!

Nie mogłem się powstrzymać.

- To kłamstwo - powiedziałem Tony'emu, odrobinę za głośno. Wszyscy wiedzieli, że Pat nie tknął nigdy kropli alkoholu, a co dopiero zataczał się pijany ulicą. Pewnie przez całe życie ani razu nie był w barze, a już na pewno nie ze mną.

- Pozwól mi go przesłuchać - szepnął Tony. - Jeszcze jeden taki wybryk, a każą cię usunąć z sali.

- Ale ten sukinsyn kłamie jak najęty. Wszystko zmyśla. Nie może mu to ująć na sucho.

Tony zaczął przesłuchiwać Calemine'a rutynowo, zadając zwyczajne pytania, prozaiczne i przewidywalne - nic dramatycznego. Jak wiele lat służył w policji? Czy ma jakieś medale za odwagę? Czy miał problemy ze wzrokiem? Czy jest pewien, że widział Pata i mnie, pijanych jak świnię w sobotnią noc?

W tym momencie sędzia interweniował, pokazując palcem na Tony'ego i mówiąc:

- Pan wie swoje, panie Leonardo... To są insynuacje.

- Niech pan nie wskazuje mnie palcem! - wybuchł Tony, obracając się na pięcie i patrząc gniewnie, gdy szedł w kierunku sędziego.

Wszyscy otworzyli szeroko usta. Nikt nie powiedział ani

słowa. Obecni w sądzie - adwokaci, prokuratorzy, przysięgli i publiczność - patrzyli na zajście w kompletnym zadziwieniu.

- Takie zachowanie nie przystoi tak dobremu adwokatowi jak pan - powiedział sędzia, czerwieniejąc na twarzy.

- Sędzio, mógłbym powiedzieć to samo. Nie powinien mi sędzia przerywać. Będę bronił praw mojego klienta - odparł Tony.

- Przejawia pan jawną wrogość wobec sądu, co może zostać uznane za jego obrazę. Zarządzam krótką przerwę w procesie - powiedział sędzia, najwyraźniej wstrząśnięty, patrząc wilkiem ze swojego stanowiska. - Panie Leonardo?

Proszę do mojego gabinetu.

- Przygotuj dla mnie celę obok swojej - szepnął Tony. - Mogę tam trafić dzisiejszego wieczora.

Tony miał już kłopoty związane z poprzednią swoją sprawą. Przyjął od klienta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, nie doradzając mu uprzednio, żeby poszukał niezależnej opinii prawnej w kwestii tej transakcji.

- Żaden sąd ani ława nie powinni być świadkami tak niegrzecznego i pozbawionego szacunku zachowania, które godzi w integralność całego procesu sądowego - powiedział Larimer do Tony'ego w gabinecie. - Kiedy pana upomniałem... wybuchł pan i rozpoczął długotrwałą tyradę przeciwko sądowi. Naruszył pan stanowy Kodeks Odpowiedzialności Zawodowej* oraz prawo federalne. Jedyнным powodem, dla którego nie oskarżę pana w trybie natychmiastowym o obrazę sądu jest fakt, że może to doprowadzić do niesprawiedliwego procesu pana klienta. Jednakże pana zachowanie było do tego stopnia nieprofesjonalne i ordynarne, że w późniejszym stadium trzeba będzie podjąć pewne działania.

* Code of Professional Responsibility.

Tony uśmiechnął się, wychodząc z tego spotkania. Czuł ulgę, ale nadal był arogancki. Musiał teraz czekać na odpowiedź Wydziału Apelacyjnego*, by dowiedzieć się, czy zostanie zawieszony w praktyce prawniczej, czy, co gorsza, pozbawiony uprawnień adwokackich.

* Appellate Division.

- Musisz się uspokoić, Tony - poradziłem mu, kiedy siedział obok mnie. - Nie chcę cię stracić na tym etapie pracy.
- Nie martw się.
- Nadal myślisz, że jest sprawiedliwym sędzią? - zapytałem z uśmiechem, pakując się na drogę powrotną do więzienia.
- Tak, do cholery. Po prostu wykonuje swoją robotę. Cieszę się, że tak jest.

• • •

Postępowanie następnego dnia rozpoczęło się od przesłuchania przedstawiciela spółki Brinks Incorporated przez adwokata Toma. Pracownik musiał przyznać, że kwoty czterdziestu lub pięćdziesięciu milionów dolarów były czasami trzymane w Brink's w środy i że skoro miała być to robota kogoś z wewnątrz firmy, może bardziej rozsądny byłby napad na to miejsce konkretnie podczas środowej nocy, zamiast tej, w której się to rzeczywiście wydarzyło.

Oczywiście ja znałem odpowiedź na to pytanie lepiej niż przesłuchiwany. Wiedziałem o ogromnych ilościach pieniędzy trzymanyh w środy, ale co miałbym z nimi zrobić? Z trudem udało nam się zabrać mniej niż osiem. Co byśmy zrobili z czterdziestoma czy pięćdziesięcioma milionami? Wybraliśmy bardziej konserwatywny wtorek jako jedyną realistyczną dla nas możliwość.

Przesłuchiwanie świadków trwało bez przerwy przez cały dzień. Sędzia, tracąc cierpliwość ze względu na powtarzalność

zeczności, zażądał od prokuratorów przyspieszenia procesu poprzez wyeliminowanie wszystkich świadków poza tymi, którzy mogli przedstawić ważne dowody.

- Co za dużo, to niezdrowo. W ten sposób do końca roku nie zakończymy tego procesu.

- Tak, wysoki sędzie - wymamrotał prokurator pokornie, szybko opuszczając pomieszczenie, by poinformować niewielką armię agentów ku ich rozczarowaniu, że nie wszyscy będą mogli zeznawać.

• • •

Nazajutrz, tuż przed godziną dwunastą w południe, do adwokatów Pata dotarły niejasne wieści. George Thompson, nowy prywatny detektyw ekipy Pata, poinformował ich, że udało mu się odnaleźć w Nowym Jorku dwóch ludzi, którzy pracowali w kasynie, ale Urząd do spraw Imigracji i Naturalizacji zagroził sprawdzeniem zielonej karty jednego z nich.

Ten szybko zniknął ze sceny.

Jeśli chodzi o drugiego, był skłonny złożyć zeznania o hazardzie pod warunkiem, że otrzyma ode mnie za pośrednictwem Tony'ego wiadomość, że nie zagrozi to mojej obronie.

Tony pozostał niewzruszony.

- Nie możemy pozwolić, żeby ten facet zeznawał. Ława przysięgłych zrobi z tego schemat. Staram się zrobić z ciebie biednego gościa, którego jedynym grzechem była wiara w amerykański sen, a tu wchodzi ten facet i mówi, że prowadził nielegalne kasyna w Nowym Jorku. Pomyśl o tym, Samie. Ekipa Maloneya powinna go wybronić, ale nie twoim kosztem.

Jednak ja byłem, równie niewzruszony. Pomimo jego kręctw i nie rozwiewania przez niego insynuacji, nadal chciałem, żeby został uniewinniony.

- Kto jest tym świadkiem? - zapytałem z ciekawości.
- Patrick Farrelly.

Prokuratorzy zostali całkowicie zaskoczeni. Zwykle obie strony dzielą się dokumentami, zanim świadek zostaje wezwany. To stwarza obu stronom okazję do odrobienia pracy domowej i na przygotowanie mających znaczenie dla sprawy pytań. Tym razem tak się nie stało, więc oskarżenie dało upust swojej frustracji.

- Wysoki sędzie, nie mieliśmy dostępu do dokumentów o tym świadku.

Mimo sprzeciwu ze strony oskarżenia i podczas nieobecności przysięgłych adwokaci Pata poprosili sędziego, by pozwolił im przedstawić dowody mojej pracy w kasynie.

- Wierzimy, że nasz klient mógł sędzić, iż pieniądze pana Millara mają swoje źródło w kasynie, wysoki sędzie.

- Wysoki sędzie, adwokaci oskarżonych nie mogą przedstawiać dowodów o działaniu jednego z oskarżonych, by określić stan umysłu drugiego z oskarżonych. To nonsens - odparł Buscaglia.

Larimer skinął głową, jakby się zgadzał, powiedział jednak:

- Sąd musi być bardzo ostrożny w kwestii doboru świadków obrony. Zezwalam na przesłuchanie świadka.

Kiedy Patrick stanął na miejscu przeznaczonym dla świadka, można było powiedzieć o nim wszystko, ale nie to, że czuje się swobodnie. Pił długo wodę i czekał na rozpoczęcie przesłuchania przez prawnika Pata.

- Jaki jest pana zawód, panie Farrelly?

- Jestem reporterem w tygodniku „The Village Voice”. - Patrick został później producentem programu Michaela Moora o tytule *TV Nation*, który zdobył nagrodę Emmy, następnie koprodukcji Bravo i Channel 4 pod tytułem *Awful Truth*. Był założycielem i redaktorem nowojorskiej gazety „The Irish

Voice”, jak również redaktorem w „New York Post”. Pracował też dla HBO, Discovery, PBS i irlandzkich programów RTE i TG4.

- Czy rozpoznaje pan kogośkolwiek z mężczyzn siedzących przy tym stole, panie Farrelly?

Zanim skinął głową, Patrick popatrzył na mnie, po czym odwrócił szybko wzrok.

- Przykro mi, panie Farrelly, ale gest głową nie wystarczy. Proszę odpowiedzieć po prostu „tak” lub „nie”.

- Tak. Pana Millara.

- A skąd pan zna pana Millara?

- Jako reporter zajmowałem się sprawą nielegalnych kasyn irlandzkiej społeczności w Nowym Jorku. Udało mi się zdobyć pracę w jednym z nich dzięki pomocy przyjaciela. Miałem nadzieję, że moje doświadczenie z zatrudnienia w tym miejscu doda autentyzmu mojemu artykułowi.

- Czy może pan powiedzieć sądowi, jaką rolę odgrywał w tym kasynie pan Millar?

Patrick znowu popatrzył na moją obojętną twarz, po czym odparł:

- Jego praca obarczona była najwyższą odpowiedzialnością.

- Za co odpowiadał, panie Farrelly?

- Był managerem kasetek.

- Managerem kasetek? Czy może pan wyjaśnić sądowi, co to dokładnie oznacza?

- On jeden miał dostęp do wszystkich pieniędzy, jakie trafiały do kasetek. To on był w posiadaniu klucza, który służył do ich otwierania.

- Ile pieniędzy znajdowało się w każdej chwili w tych kasetkach?

- Tysiące dolarów.

- Co pan Millar robił z tymi wszystkimi pieniędzmi?

- Zwykle przeliczał je wraz z właścicielem. Potem były one wynoszone z budynku w celu zapobieżenia konfiskaty przez policję podczas nalotu.

- Czy widział pan osobiście pana Millara, kiedy liczył pieniądze?

- Tak. Wielokrotnie. Czasami posyłał po colę lub kawę. Pracowałem w kasynie jako barman, dlatego parę razy mu je przynosiłem. Zawsze był tam z właścicielem. Jeśli kasyno miało ciężką noc - traciło pieniądze - to z nim należało rozmawiać. Nie miało znaczenia, czy w południe, czy nad ranem. To jego posyłało z pieniędzmi albo po pieniądze. Nikogo innego.



- To nie była kompletna katastrofa, której się obawiałem - powiedział Tony, kiedy przygotowywaliśmy się do wyjścia z sali sądowej.

- Mogło być gorzej - zgodziłem się, wstając.

- Jeszcze się nigdzie nie wybieramy. Clauss i Feldman zamierzają złożyć wniosek do sądu.

- Jaki wniosek?

- Wniosek o oddalenie wszystkich zarzutów.

Roześmiałem się. Myślałem, że żartuje.

- Nie mówisz oczywiście poważnie.

- Poczekaj, a sam zobaczysz.

Była trzecia po południu, kiedy William Clauss i Jonathan Feldman, prawnicy Pata, wykonali szokujące posunięcie.

- Wysoki sędzie, wnosimy o oddalenie wszystkich zarzutów wobec pozwanych.

Prokuratorzy wydawali się zdeprymowani.

- Na jakiej podstawie? - zapytał sędzia.

- Nie ma dowodu wskazującego na to, że pieniądze znalazły się w obrocie międzystanowym. Oskarżenie nie przedstawiło ani krzty dowodu, by podeprzeć postawioną tezę.

- Panie Buscaglia?
- Wysoki sędzie, wierzę, że przedstawiliśmy sądowi więcej niż dość dowodów, by podeprzeć i uprawomocnić oskarżenia. W moim przekonaniu ten wniosek będzie stratą czasu dla sądu. Dlaczego nie przedstawiono go we wstępnej fazie procesu, tylko dopiero teraz? Poddaję w wątpliwość motywy, które stoją za tym wnioskiem.

Sędzia Larimer przewertował trochę dokumentów, wpatrując się z uwagą w znajdujące się w nich słowa, by uważnie je przeanalizować.

- Dzisiaj jest już trochę za późno, aby wydać orzeczenie. Zabiorę te dokumenty ze sobą do domu i miejmy nadzieję, że jutro będę w stanie na nie odpowiedzieć.

- To się nie uda - powiedziałem do Tony'ego, zanim sprowadzono mnie schodami w dół. - Jaki jest tego cel?

- Poczekaj, a zobaczysz - odparł Tony z uśmiechem. - Słyszałeś, co powiedział sędzia. Miejmy nadzieję, że rano będzie miał dla nas odpowiedź. Pokładajmy ufność, że taką, jaką chcemy usłyszeć...

Tej nocy torturowałem się, karmiąc się nadzieją wbrew wszelkiej nadziei, że być może sędzia dostanie nagłego ataku szaleństwa i odrzuci oskarżenia. Ten wniosek był niemal farszą. Ale byliśmy w Ameryce, a nie w Irlandii Północnej. Kto wie, co może się tutaj wydarzyć. Cały czas czyta się takie rzeczy w gazetach. Dlaczego nie miałyby się to przytrafić również nam?

Nie zasną dzisiaj...

58. PODKOWĄ W DUPE

Puste trwanie, tylko mrok i bolesć w planie, Ciągłe burze, nie wytrzymam tego dłużej, Znużona cały czas, tak znużona cały czas, nie wiem czemu słońca nie ma na niebie, Ciągłe burze, pada cały czas...

Billie Holiday, *Stormy Weather*

[...] trzeba mieć odwagę, by się ośmielić.

Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*

- Spałeś tej nocy? - zapytał z szerokim uśmiechem Tony, kiedy siadaliśmy przy stole. Sala sądowa była pełna, głównie dzięki przedstawicielom mediów, którzy zastanawiali się, co orzeknie sędzia. Hałas był nie do zniesienia. Męczył mnie ze względu na brak snu.

- Jak dziecko - odparłem sarkastycznie.

Kiedy pojawił się sędzia, hałas ucichł i wszyscy wstali na wzór fali meksykańskiej.

- Przejrzałem uważnie wniosek złożony przez obronę. Po długich godzinach i wnikliwym studiowaniu Konstytucji, orzekam na korzyść obrony. Oskarżenie nie dowiodło, że podsądni O'Connor, Millar i Maloney posiadali kradzione pieniądze, które weszły do obrotu międzystanowego. Co więcej, oskarżenie nie udowodniło, że podsądni posiadali kradzione pieniądze w Zachodnim Dystrykcie stanu Nowego Jorku. Pieniądze znaleziono w mieście Nowy Jork, w Południowym Dystrykcie. Prawo do sądenia według przynależności do miejsca, gdzie przestępstwo zostało rzekomo dokonane, przywoływane jest w Konstytucji dwukrotnie. Zarzuty - drugi i trzeci - zostaną zatem oddalone.

Orzeczenie to było katastrofą dla prokuratorów, co łatwo dało się wyczytać z ich twarzy. Wierząc, że prościej będzie uzyskać wyrok skazujący na północy stanu, oskarżyciele pogwałcili nasze prawo do procesu w mieście Nowy Jork, podcinając sobie sami gardła.

Pat, Charlie i ja staliśmy wobec jednego zarzutu - o konspirację. Oskarżenie Toma o popełnienie napadu pozostało w mocy.

Byłem wdzięczny, że Patowi nie udało się uzyskać procesu w mieście Nowy Jork. Skorzystał na tym również on. Gdyby sędzono go w mieście Nowy Jork, wszystkie zarzuty pozostałyby w mocy. Nie mogłem się powstrzymać, żeby tego nie skomentować.

- Mam nadzieję, że cieszysz się z tego, że nie spełniło się twoje życzenie - powiedziałem. - Tony jednak wiedział lepiej.

Pat spojrział na mnie tylko pokornie, czując ulgę, że wielki ciężar został zdjęty z jego barków.

Z powrotem w mojej celi unosiłem się nad ziemią, czytając późne wydanie miejscowej gazety:

Oskarżenia w procesie Brink's upadają

W dniu dzisiejszym prokuratorzy otrzymali potężny cios, gdy zarzuty o posiadanie, wniesione przeciwko Millarowi i Maloneyowi, zostały oddalone w Sądzie Okręgowym USA z braku dowodów.

Mówi się, że tutejsi oskarżyciele federalni chcieli zająć się sprawą napadu na oddział Brinks Incorporated. Uzbrojeni w góry dowodów, zebrali ponad stu świadków, niektórzy z nich przylecieli z tak odległych zakątków kraju jak Floryda czy Kalifornia, nie wspominając o tuzinach agentów FBI i detektywów z miasta Nowy Jork, których sprowadzono tutaj, by zeznawali.

Miała jednak miejsce zażarta rywalizacja pomiędzy lokalnymi federalnymi a tymi z Nowego Jorku... Wszyscy pragnęli chwały... Szanse na chwałę jednak są coraz mniejsze.

Pierwsza strona „Democrat and Chronicle”

Życie jednak nadal nie opuściło oskarżycieli.

W swoim finałowym wystąpieniu następnego dnia Buscaglia skłaniał ławę przysięgłych, by „wykorzystała na tej sali zdrowy rozsądek, który nabyła w czasie całego życia”.

Wydawał się słabowity, jakby proces na nim również wycisnął swoje piętno. Od czasu do czasu przystawał, by napić się wody, sprawiając wrażenie kogoś zanurzonego w głębokim namyśle. Jego kariera prawdopodobnie zależała od wyniku procesu, a jego mowa miała przeciągnąć na jego stronę każdego ławnika, który wciąż miał wątpliwości co do niewinności lub winy.

- Czy wasz proboszcz posiada walizki pełne pieniędzy? Czy tak wyobrażacie sobie duchownego? Czy ten mężczyzna jest rzeczywiście pobożnym księdzem, o którym wam opowiadano?

Popatrzył gniewnie na Pata.

- Czy pan Millar wygląda na biednego imigranta, którego jedynym przestępstwem - zgodnie ze słowami jego adwokata - było uwierzenie w amerykański sen?

Cyniczny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Czy pamiętacie tak zwaną żartobliwą pracę pana McCormacka? Czy to tylko zbieg okoliczności, że suma, którą w niej zapisał, akurat zbliżona jest do kwoty skradzionej z Brinks? Czy naprawdę można uwierzyć, że był on niewinną, przypadkową osobą? A co z O'Connorem? Odmówił badania wariografem.

Potrząsnął głową i przez chwilę zdawało mi się, że wybuchnie śmiechem, niczym szalowiec ujadający na księżyc.

- Czy kupujecie tę historię, że porywacze założyli mu na głowę papierową torbę, po czym wysadzili go uprzejmie pod jego ulubionym barem? Wyobraźcie to sobie. Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera z torbą na głowie. Czy to brzmi choćby prawdopodobnie? Polecam wam, skorzystajcie ze swojego zdrowego rozsądku...

Tymi słowami oskarżenie zakończyło swoje wystąpienie. Los wszystkich był teraz w rękach ławników. Mogliśmy tylko czekać.

59. WERDYKT

Bez modlitw, to psuje interesy.

Thomas Otway

Wszyscy jesteśmy w rymsztoku, lecz niektórzy z nas patrzą w gwiazdy.

Oscar Wilde, *Lady Windermere's Fan*

Ława debatowała przez kolejne trzy dni, łącznie dwadzieścia godzin, sporadycznie prosząc o przedstawienie im jakiegoś dowodu. My byliśmy przez większość czasu zrelaksowani. Mimo to czasami atmosfera stawała się napięta - rozładowywał ją jedynie wisielczy humor. Wyraz niepokoju widoczny był na każdej twarzy - oskarżonych, oskarżycieli, FBI i adwokatów - z różnych jednak powodów.

Pat i ja byliśmy wobec siebie uprzejmi, ale zarazem ostrożni. Zaległa między nami cisza na większość czasu obrad ławy przysięgłych. Obydwaj zostaliśmy zranieni trochę zbyt głęboko, żeby udawać.

Czasami gubiłem się w litanii popełnionych przeze mnie pomyłek, znaczących błędów w rozumowaniu i kwestionujących wybór zaufanych ludzi. Nie sposób było oceniać wszystko w retrospekcji - w danym momencie konieczność była najwyższym prawem, co zakłócało mój osąd.

Charlie leżał na stole dla dowodów jak zwłoki czekające na sekcję, z rękami pod głową. Od czasu do czasu uśmiechał się do siebie, po czym krzywił, jakby próbował pogodzić się z koszmarem, który ja wraz z Patem na niego sprowadziliśmy.

Pat przebierał różaniec, od czasu do czasu kładąc go przed sobą na stole, po czym znowu go podnosił. Kiedy spotykały się nasze spojrzenia, byliśmy dla siebie jak obcy ludzie. A co do Toma? Cóż, Tom pozostał Tomem, kiwając głową i uśmiechając się do wszystkich, którzy popatrzyli w jego stronę - włączając w to agentów FBI oraz oskarżycieli.

Uśmiechy nie były odwzajemniane. Jego zblazowany, niefrasobliwy styl doprowadzał ich do furii. Przydałoby się go dobrze skopać - mówiły ich twarze.

Reporterzy weszli na salę, rozglądali się, mając nadzieję na jakieś nowe wiadomości. Oskarżyciele i obrońcy krążyli wokół siebie bezładnie, śmiejąc się z cicha, jak starzy kumple, którzy spotkali się na stypie kogoś, o kim już dawno zdążyli zapomnieć.

• • •

Ogłoszenie, że ława przysięgłych podjęła decyzję, posadziła trzeciego dnia wszystkich z powrotem na swoje miejsca. Odeszły uśmiechy i żarty, które zostały zastąpione chłodnym profesjonalizmem ludzi w garniturach i ze skórzanymi aktówkami, z krawatami zawiązanymi równie ciasno jak nasze żołądki.

Czekaliśmy, aż przysięgli o nieprzeniknionych twarzach wejdą na salę. Wkrótce miało być już po wszystkim. Nadchodziło klasyczne rozwiązanie.

Wszystkie drobne dźwięki, które zebrały się w denerwującej szum, nagle uleciały poza pomieszczenie, pozostawiając w naszych uszach biały odgłos ciszy.

- Czy ława przysięgłych podjęła decyzję?
- Tak.
- Jak brzmi werdykt?

Uspokoilem oddech, czujac napiecie swojej skory. Wiedzialem, na co sie zanosi. Bylo to jednak nie do powstrzymania jak nocny pociag towarowy.

60. ZEBRANE MYŚLI Z SALI SĄDOWEJ

Sprawiedliwość jest jedynie tak dobra, jak sprawa, którą osądza. W przypadku procesu Brink's, który zakończył się w poniedziałek, sprawa nie została przedstawiona bardzo dobrze. Nie ma wątpliwości, że oskarżyciele zrobili co w ich mocy z tym, co mieli dane, niestety to nie wystarczyło. Nie doprowadziło do skazania kluczowych osób i nie dało kluczowych odpowiedzi.

Napad ze stycznia 1993 roku nadal pozostaje zagadką. Nie wiadomo na przykład, co się stało z pieniędzmi - w każdym razie z pozostałymi pięcioma milionami dolarów. Są jeszcze tajemniczy i uzbrojeni napastnicy, którzy zabrali 7,4 miliona dolarów z oddziału Brink's, biorąc również za zakładnika Thomasa P. O'Connora.

FBI planuje dalsze śledztwo w sprawie Brinks. To pocieszające. Jeśli jednak nie uda się zdobyć nowych, mocniejszych dowodów, winowajcy, kimkolwiek są, mogą ujść bezkarnie.

Artykuł wstępny, „Democrat and Chronicle”

Wciąż na wolności są przynajmniej dwaj uzbrojeni napastnicy, którzy obrabowali oddział Brinks w styczniu 1993 roku.

Pierwsza strona po ogłoszeniu werdyktu, „Times-Union”

Było nam żal McCormacka. Mógłby wyjść na Święto Dziękczynienia. Mam jednak pytanie do Maloneya: czy uważasz, że to Bóg zrzucił pieniądze prosto do twojej walizki?

Ławnik po ogłoszeniu werdyktu

Zawsze go lubiliśmy. Był ciężko pracującym, prostolinijnym facetem.

Donald Bruce, szef oddziału policji w Rochester, o Tomie.

Według mnie policjant, który został wzięty za zakładnika nie powinien w ogóle stanąć przed sądem.

Bernice Cook, właścicielka \$4.99 Cookery

Jestem naprawdę wykończona. Trwało to dziewięć tygodni, w tej chwili naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać. Może innym razem.

Dawn Holman, ławnik, po ogłoszeniu werdyktu

Uważałem, że jest dostatecznie dużo dowodów, by przedstawić tę sprawę sądowi. To mój obowiązek.

Christopher Buscaglia, federalny prokurator

Nie powiedziałbym, że stało się cokolwiek złego. Taka jest natura tego systemu. To nie znaczy, że oskarżyciele nie wykonują dobrej pracy.

Paul Moskal, rzecznik FBI

Kiedy podejmujesz walkę z rządem Stanów Zjednoczonych, wydaje się to niepojęte... patrzenie na agentów FBI, zeznających jeden po drugim. Zawsze przyjemnie jest pokonać rząd. W tej sprawie, bardziej niż w jakiegokolwiek innej, mało brakowało.

Felix Lapine, obrońca Toma, po ogłoszeniu wyroku

Zatrzymanie Millara pod zarzutem hazardu - co zostało podniesione przez obrońców Maloneya - zostanie wzięte pod uwagę.

Oskarżyciele, złowrogo po procesie

61. EGZEKUCJA (PIOSENKA MILLARA)

Nie da się odebrać człowiekowi tego, czego nigdy nie miał.

Izaak Walton

Być może pewnego dnia nawet to będziemy wspominać z przyjemnością.

Wergiliusz, *Eneida*, księga 1, 1187

Sędzia Larimer czekał, aż jego autorytet przejmie kontrolę nad salą sądową. Stałem obok Tony'ego, gdy on i Buscaglia przeglądali dokumenty. Zapewniał mnie, że dostanę nie więcej niż pięć lat, ale ja nadal mu nie wierzyłem.

- Prawda jest taka, że sam pan wie, iż jest zamieszany w tę sprawę po uszy. Ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Sędzia patrzył na mnie przez chwilę, po czym ciągnął:

- Dowody są w moim przekonaniu mocne, bez wątplenia uprawomocnione... Pana adwokat pracował ciężko... Ten sąd i oskarżyciele pracowali ciężko, by proces ten został przeprowadzony zgodnie z wszelkimi procedurami. Spodziewam się, że różnił się on od procesów, które wytoczono panu w Irlandii Północnej.

Nie mogłem się z tym spierać.

- Zatem zgodnie z wyrokiem tego sądu otrzyma pan maksymalny przewidziany prawem wymiar kary, sześćdziesiąt miesięcy...

Sześćdziesiąt miesięcy. Poczułem ulgę. Jak łatwo mogłoby to być sześćdziesiąt lat. Ale oczywiście sprawa nie została jeszcze zakończona. Mieli wciąż jeszcze dwa lata, zanim nastąpi przedawnienie, by znaleźć brakujące elementy układanki. Albo innego donosiciela skłonnego nosić podsłuch.

Nie mogłem narzekać na wynik. Pat dostał kilka miesięcy mniej, ale zagroził strajkiem głodowym. Było mi przykro z jego powodu, ale poradziłem mu, żeby nawet o tym nie mówił. Na szczęście, kiedy ochłonął i porozmawiał z rodziną, zdecydował się jednak tego nie robić. Jeśli chodzi o Charliego i Toma, obaj zostali uniewinnieni. Charlie wrócił do Nowego Jorku, mając nadzieję na powrót do zawodu nauczyciela; Tom wrócił do pracy, choć trzeba powiedzieć, że nie do Brinks.

Jeszcze dwa lata. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko czekać z nadzieją, że szczęście mnie nie zawiedzie. Jeszcze dwa lata...

62. PRZEPRAWA MILLARA

My pierwsi podajemy tę wiadomość. Sammy Millar, dawny człowiek IRA, o którym FBI sadi, że był mózgiem napadu na Brinks w 1992 roku w Rochester w stanie Nowy Jork, został poinformowany, że może powrócić do swojej ojczystej Irlandii pomimo faktu, że około pięciu milionów z 7,2 miliona dolarów nadal nie odnaleziono.

Artykuł wstępny nowojorskiego „Irish Echo”

Ja na przykład nie znam słodszeo widoku dla oczu człowieka niż jego własny kraj...

Homer, *Odyseja*

Minęło szesnaście miesięcy od zapadnięcia wyroku. Nadal liczyłem dni, mając nadzieję, że upłynie pięcioletni okres, po którym nastąpiłoby przedawnienie mojej sprawy. FBI wciąż niezłomnie i aktywnie podążało wszystkimi tropami. Napad nadal był wysoko na ich liście priorytetów, choć trudno było zdobyć jakiegokolwiek nowe informacje. Od czasu do czasu oskarżenie ponawiało swoją prośbę, mając nadzieję, że jestem otwarty na wejście z nimi w jakiś układ. Ich oferty były grzecznie odrzucane.

- Zabij kogoś w tym okropnym kraju, a zapomną o tym w parę tygodni - jeśli nie dni. Ale spróbuj tylko ukraść rządowe pieniądze, a będą cię ścigać, aż do ostatniej kropli potu i krwi w twoim ciele.

Więzienny mędrzec, który dawał mi te podnoszące na duchu rady był prawnikiem - przynajmniej zanim został złapany na praniu pieniędzy dla jakichś podejrzanych ludzi w New Jersey. Miał dość duży brzuch od dobrego jedzenia i win, choć

mówiło się, że tutaj nie miał już z takimi frykasami do czynienia. Odsiadywał wyrok pięćdziesięciu lat, bo odmówił „odpadnięcia jako pierwszy”. Jego dawny partner nie miał takich skrupułów.

- Co dzień modłę się do Boga, żeby ten sukinsyn dostał raka twarzy. Ale najpierw jego żona i dzieci...

Jak można sobie wyobrazić, był zgorzkniały po otrzymaniu tak surowego wyroku za „biurowe” - nie brutalne - przestępstwo.

Nie miało się ochoty z nim rozmawiać, jeśli tkwiło się w dołku emocjonalnym, gdyż zawsze wracał on do tematu swojego byłego partnera.

- Ten skurwysyn mówił mi codziennie, że oczyścimy się z tych zarzutów, o ile pozostaniemy zjednoczeni, podczas gdy cały czas kapował federalnym. Skurwysyn.

Spluwał czymś, potrząsając głową jak te małe pieski za tylną szybą samochodu, po czym kontynuował rozmowę ze mną.

- Wiem, co sobie myślisz, Sam. Ten facet jest prawnikiem, powinien wiedzieć swoje - oto prawda. Ale byliśmy przyjaciółmi przez trzydzieści lat - wyobrażasz to sobie? Trzydzieści pieprzonych lat, a on mnie wrabia. Gdyby żyła jego matka, modliłbym się, żeby dostała raka przed jego żoną i dziećmi...

Słuchałem go tylko dlatego, że rozgrywał się właśnie mecz bejsbolowy pomiędzy naszymi współwięźniami, a skazanymi z pobliskiego zakładu karnego. Był to dobry mecz, obie drużyny były na podobnym poziomie, a kilka uderzeń zostało nawet wybitych poza płot elektryczny. Za każdym razem, kiedy piłka szybowała w powietrze, przelatowała nad płotem, mijając wieże strażnicze i płoszyła do lotu bernikle kanadyjskie, wybuchał potężny aplauz, jakby ta piłka była jednym z nas, uciekającym jak skórzany anioł.

- Tak. Zabierz tym pieprzonym sukinsynom pieniądze, a

będą cię ścigać jak psa - powtórzył prawnik, tak na wszelki wypadek, gdybym go dziesięć razy wcześniej nie słyszał. - Powinieneś być zamiast tego kogoś zabić. Ja na pewno powinienem, zacząłbym od tego sukinsyna, potem wziąłbym się za jego żonę i dzieci... może również jego matkę...

Musiałem się szybko wyrwać od Pana Depresji, tak szybko - i dyplomatycznie - jak to tylko możliwe. Nie ma sensu zrażać do siebie kogoś, kto mógłby w przyszłości pomóc ci jakimś lepkim paragrafem.

Uratował mnie jednak mój kolega z celi, facet z hrabstwa Derry, który machał do mnie jak szalony ze szczytu wzgórza.

- Muszę lecieć, Peter. Mickey chce się ze mną widzieć. Do zobaczenia!

- Nie martw się. Zajmę dla ciebie miejsce, Sam. Mecz jeszcze potrwa.

- To świetnie. Do zobaczenia za chwilę - skłamałem i pobiegłem na wzgórze, jakby mnie gonił gang Oranżystów.

- Zmieniłeś historię prawa - powiedział Mickey, kiedy dotarłem na szczyt. - Jesteś na pierwszej stronie „The Irish News”.

- O czym ty mówisz?

- Sam zobacz. Jedziesz do domu.

Podał mi gazetę, a ja przeczytałem. Potem przeszedłem artykuł jeszcze raz. Później przestudiowałem znowu, chcąc w to uwierzyć, ale wątpiąc w każde uformowane z tuszu słowo:

**Na wyłączność: przeniesienie z amerykańskiego
więzienia wejdzie do annałów sądownictwa**

Człowiek z Belfastu, Samuel Millar, będzie pierwszym człowiekiem przeniesionym z amerykańskiego więzienia, by odsiedzieć resztę swojej kary w zakładzie karnym w Północnej...

Artykuł wyjaśniał dalej, że członkowie Socjaldemokratycznej Partii Pracy - w szczególności Martin Morgan, radny z mojego okręgu, Północnego Belfastu - prowadził rozmowy w kuluarach, mające na celu przekonanie amerykańskiego ministerstwa sprawiedliwości do wydania zgody na przeniesienie mnie z powrotem do Irlandii Północnej.

[...] pan Millar wróci do domu do października.

Nie ma cudów, pomyślałem, oddając gazetę Mickey'owi. Nie wierzyłem w ani jedno słowo, powątpiewałem, dopóki nie poczułem zapachu wnętrza samolotu lecącego gdzieś nad Atlantykiem.

Choć wiedziałem również o innych ludziach pracujących nad tym, by zapewnić mi wolność - między innymi o Paulu D. McGuiganie, prawniku z Fife w Waszyngtonie, który był niezłomny w swoim „nękanu” Ministerstwa Sprawiedliwości, bombardując ich prawnymi kwestiami i dokumentami w mojej sprawie, nie biorąc za to ani centa - rozsądek kwestionował to i nazywał szaleństwem. Miałem tu zostać do końca mojej kariery, a żadna presja tego nie zmieni. Po prostu torturowałem siebie. Musiałem stąpać twardo po ziemi, sama rzeczywistość mówiła, że mam raczej szanse na więcej zarzutów. Piasek w klepsydrze już się dla prokuratorów przesypywał. Mieli sadystryczny nawyk czekania do ostatniej chwili, zanim przyłożą ci nowymi oskarżeniami. Nawet jeśli mieli niewiele lub w ogóle nie dysponowali dowodami, z ich punktu widzenia warto było sprawić, że posiedzisz jeszcze kilka lat w jakimś areszcie, nie zapominając o dobrej diecie oraz terapii diesla.

Dwa dni później zostałem wezwany do gabinetu naczelnika. Spodziewałem się zobaczyć kogoś z prokuratury, uśmiechniętego, z nowymi zarzutami. Zamiast tego wyglądający na skrzepowanego mężczyzna wręczył mi słuchawkę telefonu.

Niechętnie wziąłem ją od niego. Tajemniczy kobiecy głos poinformował mnie, że prezydent Bill Clinton wysłał mnie do domu, niezależnie od protestów ze strony FBI.

Wiedziałem, że to wysublimowana sztuczka, mająca na celu złamanie mnie, oszustwo, które miało przyspieszyć mój upadek.

- Dziękuję - odparłem. - Wzajemnie życzę miłego dnia.

Delikatnie odłożyłem słuchawkę na widelki i wyszedłem z gabinetu, czując kwas w żołądku. Było tylko kwestią czasu, kiedy znowu zacznie się terapia diesla. Prawdopodobnie już w tym tygodniu.

Drżałem na przygnębiającą myśl, obawiając się tego, co mnie czeka, wspominając smak diesla w gardle, zmieszanego z kanapkami z mielonką...

• • •

Później tego samego tygodnia reporter z „The Washington Post” poprosił mnie o wywiad. Pisał artykuł o zbliżającym się procesie dotyczącym napadu na opancerzony samochód i pytał, czy nie byłbym skłonny, aby przedstawić mu perspektywę kogoś „z wewnątrz”. Zakres pytań był szeroki, od prozaicznych: „Co sprawia, że pomimo niebezpieczeństwa człowiek decyduje się na obrabowanie takiego miejsca?” (odpowiedź: pieniądze, głupolu) po bardziej złowrogie „Jak dużo czasu zajęło załadowanie tych wszystkich pieniędzy do furgonetki w noc napadu?”

Prośba, która pojawiła się w tak późnym momencie rozgrywki, w połączeniu z tymi pytaniami, pomogła jedynie potwierdzić podejrzenia, że federalni próbują mnie wrobić. Szybko odmówiłem wywiadu i czekałem na rozpoczęcie terapii diesla.

Gazeta z następnego dnia potwierdziła moje podejrzenia.

SPRAWA BRINK'S PONOWNIE OTWARTA, głosił nagłówek.

„Oczywiście nikt nie uważa, że została ona całkowicie rozwiązana” - powiedział Dale Anderson, kierownik FBI. - „Jesteśmy zainteresowani rozmową z każdym, kto może posiadać informacje na ten temat”.

• • •

Dwa dni później, około czwartej nad ranem, wydarzyło się...

- Pakuj się, Millar. Zostajesz przeniesiony do Manhattan Correctional Centre. Wszystko, co nie zmieści się w torbie, zostaje.

Wspomnienia dawnych, złych dni w pick-upach federalnych wróciły do mnie, śmiały się i śpiewały: „Znów się spotkamy, choć miejsca i czasu nie znamy”. Czuję niemal zapach spalin tańczących w moich nozdrzach, niemal widziałem twarze federalnych, wykrzywione w grymas: „A nie mówiłem?”. Smakowałem prawie obmierzłe kanapki z mielonką, które stawały mi w gardle, czekające, aż zwymiotuję.

Sześć godzin później zajmowałem celę na recepcji w MCC. Na zewnątrz widziałem żółte taksówki włączające się do nowojorskiego ruchu - widok, który łamał mi serce. Minęły lata, odkąd ostatnim razem widziałem Wielkie Miasto, wspomnienia - te dobre i te złe - nadal w nim zamieszkiwały, były jak namalowany cień, który nigdy do końca nie wysechł.

Gdybym stał na dachu, mógłbym zobaczyć ulicę, przy której otworzyliśmy pierwsze całodobowe kasyno (Queens był tuż za East River) mógłbym zobaczyć moje mieszkanie, sklep, który kiedyś był mój, kilku sąsiadów...

- Nie będziesz sprawiał kłopotów w samolocie, Millar? - powiedział głos zza zamkniętych drzwi, przerywając mój sen na jawie.

Głos był z Ulsteru, wyrażał stonowane lekceważenie. Był znajomy, ale nie umiałem dopasować do niego twarzy.

- Nie chcesz odpowiedzieć? Może wolisz tu zostać? O to chodzi?

Drzwi się otworzyły, a ja nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Gdyby stał przede mną papież, nie zrobiłoby to na mnie takiego wrażenia.

Był otoczony przez sześciu amerykańskich strażników i trzech innych klawiszy z Kesh. Postarzał się okropnie - co podniosło mnie nieco na duchu, nie był też równie złośliwy, jakby zmądrzał z czasem - podobnie jak my wszyscy. Biała koszula, zdradzająca awans, też pewnie pomogła.

- Powiedziałem tym chłopakom, że nie będziesz sprawiał kłopotu. Zachowuj się, a będziesz traktowany odpowiednio - powiedział, wierząc, że jest Johnem Waynem.

- Nie tak, jak podczas protestu z Kocami, co? - odparłem z tupetem.

Goryła Gęba poczerwieniał, ale ugryzł się w język.

- Wrócimy jutro rano, żeby cię zabrać. Postaraj się nigdzie nie ruszać - zaśmiał się, ale nikt nie przyłączył się do jego wesołości.

Amerykanie pewnie nie zrozumieli ani słowa z tego, co powiedział. Udowodnili to później, kiedy jeden z nich zapytał:

- Mówiliście w języku gaelickim?

Nie mogłem w nocy spać, chodziłem od ściany do ściany. Zastanawiałem się, czy to sztuczka, czy też, być może, terapia diesła wywołała halucynacje. Czy Goryła Gęba naprawdę tu był?

Na zewnątrz celi słychać było odgłos ruchu ulicznego, ludzi idących do kawiarni i barów. Dotarł do mnie zapach kawy, mogę przysiąc, że poczułem też jej smak. Wydawało mi się, że słyszę Bronksa Tommy'ego mówiącego mi: „Uważaj, dzieciaku, te sukinsyny są zdolne do wszystkiego”.

Wtedy ciemność powoli się stopiła, ukazując najpiękniejsze wschodzące słońce, jakie kiedykolwiek widziałem. Ogrzało mi ono twarz, a mój żołądek był spokojny po raz pierwszy od wielu godzin. Coś mi mówiło, że wszystko się ułoży.

EPILOG

I CO SIĘ STAŁO Z NAMI WSZYSTKIMI?

PAT

W 1998 roku, po spędzeniu 40 miesięcy w więzieniu, powrócił do pracy w centrum dla przeżywających trudności nastolatków i nielegalnych imigrantów na dolnym Manhattanie.

Nadal udzielał wywiadów. Powiedział gazecie „Democrat and Chronicle”: „Producent filmowy zagadnął mnie w tym roku i powiedział, że moja historia byłaby lepsza, gdyby mnie skazano. Odrzuciłem dwie propozycje filmów i dwie książek”.

Uznałem to za zabawne, bo nigdy w życiu nie odrzuciłem okazji do rozgłosu, zawsze miał do niego zamiłowanie - tak jak w sprawie wywiadów przed, w trakcie i po procesie.

Nawet magazyn „The News of The World” poświęcił mu pierwszą stronę, twierdząc, że stanowi on część nowej organizacji, która zawiązała się ostatnio w celu przesłania milionów dolarów dla uwolnienia Irlandii, z nadzieją zniesienia porozumienia wielkopiątkowego.

CHARLIE

Charlie próbował powrócić do dawnego życia, nigdy nie wybacząc Patowi wplątania go w tę przykrą sprawę.

TOM

Tom spróbował powrócić do życia przed procesem, nigdy nie wybacząc mi wciągnięcia go w tę całą historię. Niestety, FBI, nadal boleśnie odczuwające swoją porażkę, miało inne plany...

Policja zwraca się do więźnia w celu rozwiązania sprawy zaginionych pieniędzy w 1995 roku, brzmiał nagłówek nowojorskiej gazety.

Tego lata dwaj policyjni oficerzy śledczy odwiedzili Mohawk Correctional Facility niedaleko Rome w północnej części stanu Nowy Jork, by stwierdzić, czy 71-letni więzień i podwójny zabójca - który niemal na pewno dokonał żywota za kratami - może rzucić światło na przestępstwa związane z napadem na oddział Brink's w Rochester z 1993 roku, w którym zrabowano 7,4 miliona dolarów. Oficer śledczy policji w Rochester William Lawler i oficer śledczy policji stanowej Thomas Crowley mieli nadzieję, że Gerald O'Connor może ujawnić, co się stało z mężczyzną, który zaginął w 1995 roku w Grecji, a którego zniknięcie mogło mieć związek z napadem na oddział Brink's.

Policja twierdzi, że mężczyzna ten, Joseph „Ronnie” Gibbons, nie żyje. O'Connor twierdził, że pomógł grzebać Gibbonsa po tym, jak ten został zabity przez inną osobę. Podczas około pół tuzina przesłuchań w ciągu ostatnich dwóch lat, O'Connor okazjonalnie potwierdzał swoje zeznania w sprawie Gibbonsa, lecz nigdy nie wyraził chęci zaprowadzenia policji na miejsce, gdzie pochowane było ciało.

- Znając jego historię trzeba przyznać, że mógł wejść w posiadanie podobnych informacji - powiedział o O'Connorze

Crowley, osadzony za morderstwo, porwanie i napaść o charakterze seksualnym w Hrabstwie Orleans. O'Connor był uprzednio w więzieniu za inne morderstwo.

Około dwóch lat temu policja na nowo rozpoczęła śledztwo w sprawie zaginięcia Gibbonsa. W zeszłym tygodniu przypadło czterem policjantom jego zniknięcia. Przedstawiciele policji zdradzili w wywiadach niektóre swoje sukcesy i porażki w trwającym dochodzeniu.

Policja powiązała Gibbonsa z napadem na Brink's; większość zrabowanych pieniędzy wciąż nie została odnaleziona. Dwaj mężczyźni, Samuel Millar i ksiądz Patrick Maloney zostali skazani za posiadanie pieniędzy pochodzących z napadu, podczas gdy dwaj inni - dawny oficer policji w Rochester Thomas O'Connor i Charles McCormick - zostali oczyszczeni podczas procesu z zarzutu udziału w przestępstwie.

Thomas O'Connor i Gerald O'Connor nie są ze sobą spokrewnieni.

Zarówno Maloney, który mieszka w mieście Nowy Jork, jak i Millar, który mieszka w Belfaście w Irlandii Północnej, przebywają obecnie na wolności.

Mimo krnąbrności Geralda O'Connora policja twierdzi, że zbiera dowody w sprawie zniknięcia Gibbonsa. Mają podejrzanego - osobę, która według O'Connora zabiła Gibbonsa - a w zeszłym roku udało się zdobyć próbkę DNA tego mężczyzny, powiedział Lawler.

Policja twierdzi, że osoba ta była przesłuchiwana pod koniec lat osiemdziesiątych w sprawie nierozwiązanego morderstwa - zastrzelenia Damiena McClintona w magazynie Gene-see Brewery. Obecnie ponownie bada się dowody tej zbrodni.

Policja zdobyła próbki DNA podejrzanego podczas uroczystości, w której brał udział, powiedział Lawler. Policjanci

przebrani za kelnerów i kelnerki zdobyli łyżkę od zupy oraz butelki piwa, z których piła ta osoba. Teraz już mają DNA, powiedział Lawler, na wypadek gdyby pojawiły się dowody w sprawie zamordowania McClintona, zniknięcia Gibbonsa albo gdyby miejsce zbrodni albo ciało zostały odkryte.

Policja przeprowadziła również liczne przesłuchania w ciągu ostatnich dwóch lat, które mogą pomóc odpowiedzieć na pytanie, co się stało z Gibbonsem, emerytowanym bokserem wagi półśredniej.

W zeszłym tygodniu upłynęło czternaście lat od czasu, gdy Gibbons pojechał do Rochester z miasta Nowy Jork po pożyczeniu samochodu od znajomego. Gibbons powiedział znajomemu, że pomógł zaplanować napad na Brinks, choć nie wziął udziału w wykonywaniu tego planu. Zamierzał pojechać do Rochester po swój, jak uważał, uczciwy udział w skradzionych pieniądzach.

Ostatnim miejscem, gdzie go widziano, był parking przy Applebee's Neighborhood Grill & Bar rankiem, tuż przed otwarciem tej restauracji. Pożyczony samochód pozostał na parkingu.

Policja przyznaje, że bez jego ciała trudno będzie założyć sprawę kryminalną. W tej kwestii stróża prawa liczyli na pomoc Geralda O'Connora, który odsiaduje 46 lat dożywocia.

„Democrat and Chronicle” również kontaktowała się z O'Connorem kilka razy od 2004 roku, kiedy ten został skazany za morderstwo w Hrabstwie Orleans. W swoich listach O'Connor nie ujawnia, kogo uważa za sprawcę zabicia Gibbonsa, ale przyznaje, że poznał tego mężczyznę w latach sześćdziesiątych, kiedy O'Connor był hospitalizowany po postrzale w czasie nieudanego napadu na bank. Osoba ta również znajdowała się w tym szpitalu.

Dokumenty sądowe wskazują, że O'Connor był hospitalizowany jako więzień w 1967 roku.

Raz tego roku Gerald O'Connor twierdził w liście do „Democrat and Chronicle”, że przedstawi „mapę rzeczy, o których rozmawialiśmy”, ale w ostatniej chwili wycofał się z udzielenia wywiadu w więzieniu. Policjanci twierdzą, że przyzwyczaili się już do podobnego, zmiennego zachowania Geralda O'Connora, co sprawia, że nie są pewni, czy nie wprowadzał ich w błąd przez cały czas.

- Próbowaliśmy najróżniejszych sposobów, by do niego dotrzeć - powiedział Crowley. - Jego zeznania są często niespójne. Zawsze gra na zwłokę. To oszust.

W ciągu ostatnich czterech lat „Democrat and Chronicle” rozmawiało z około tuzinem krewnych i znajomych Geralda O'Connora. Żadna z tych osób nie chciała argumentować na rzecz atrybucji, często powołując się na lęk przed nim, w większości opisując go jako chronicznego kłamcę.

Według policji jeden z krewnych O'Connora nie przeszedł testu wariografem, gdy zapytano go, czy O'Connor mógł pogrzebać ofiarę morderstwa.

Niektórzy członkowie rodziny wciąż jeszcze kontaktują się z O'Connorem, utrzymuje policja. Mieli pomóc zaaranżować dla Geralda O'Connora pozostanie w więzieniu w Mohawk przez ostatni rok, by mógł być blisko rodziny w Rochester, a także dla łatwiejszego przeprowadzania wywiadów przez śledczych.

Teraz twierdzą, że planują przekonanie urzędników więziennych, by przeniesiono go z powrotem do zakładu karnego, gdzie był przetrzymywany uprzednio, ponieważ nie pomaga za bardzo w śledztwie. Więzienie to, w Dannemora, znajduje się około 15 mil od Plattsburgha.

Zanim przeniósł się do Nowego Jorku, Gibbons mieszkał w Liverpoolu w Anglii. Jego matka, Rita, nadal tam mieszka. W

2006 roku napisała do O'Connora, wyjaśniając, że zdiagnozowano u niej raka. „Bardziej niż czegokolwiek innego w świecie pragnę odnaleźć ciało mojego syna i złożyć go do grobu za mojego życia”, napisała w liście, który przesłała również do „Democrat and Chronicle”, „jeśli byłby pan w stanie udzielić jakichkolwiek informacji, które mogłyby ulżyć mi w bólu i cierpieniu, byłabym dozgonnie wdzięczna”.

W rozmowie telefonicznej w zeszłym tygodniu Rita Gibbons, lat 78, przyznała, że i ona ma wątpliwości, czy O'Connor cokolwiek wie. Czasami, powiedziała, myśli, że ciało jej syna może „znajdować się na dnie rzeki albo być pogrzebane w lesie”. Innym razem twierdziła, że wciąż ma nadzieję, iż może on jeszcze żyć. „Czasem myślę, że on tam gdzie jest...”.

Zabójca twierdzi, że pogrzebał ciała ludzi należących do IRA w Nowym Jorku

John Breslin, „Irish Examiner”

PODWÓJNY morderca składa zdumiewające oświadczenie, że pomógł pochować ciała dwóch członów IRA na farmie na północy stanu Nowy Jork. Gerald O'Connor, skazany wczoraj na 25 lat do dożywocia za morderstwo, twierdzi, że morderstwo przynajmniej jednego z mężczyzn powiązane jest ze śmiałym napadem na oddział Brink's 10 lat temu, w którym zarobowano 7,4 miliona dolarów. Dwaj mężczyźni, pochodzący z Belfastu człowiek IRA Samuel Millar i irlandzko-amerykański ksiądz Patrick Moloney, zostali skazani za posiadanie części pieniędzy pochodzących z napadu. Millar napisał książkę o tym napadzie, pt. „Nieugięty”. Odzyskano jedynie 2 miliony dolarów.

Gerald O'Connor, 76 lat, został skazany zeszłego listopada za zastrzelenie Michaela Manleya, jak również gwałt i porwanie

żony zabitego. O'Connor twierdzi, że posiada informacje w sprawie morderstwa oraz tajnego grobu na farmie w mieście Barre, stan Nowy Jork, w którym pochowane są ciała czworga innych ludzi, byłego boksera związanego z napadem na Brink's, kobiety z Arizony oraz dwóch obywateli Irlandii. Nie chciał podać lub nie znał tożsamości dwóch Irlandczyków. Twierdzi, że chce zamknąć sprawę dla dobra rodzin ofiar.

Jedno z ciał ma należeć do Josepha „Ronniego” Gibbonsa, 42-letniego byłego boksera, który zniknął z parkingu restauracji w 1995 roku. O'Connor twierdzi, że emerytowany policjant, który był przesłuchiwany, ale nigdy nie został oskarżony o związek z napadem na Brink's, był zamieszany w tę śmierć. Gerald O'Connor powiedział reporterowi gazety „Buffalo News”: „Zadzwoił do mnie i powiedział, że potrzebuje miejsca, by położyć Gibbonsa i znajomego (irlandzkiego) nacjonalistę. Gibbons chciał części pieniędzy (z Brink's) i zamierzał udać się do federalnych, by podzielić się z nimi posiadaną przez siebie wiedzą na temat napadu”.

Według Geraldo O'Connora oprócz Gibbonsa na tej samej farmie pochowano dwóch irlandzkich obywateli i kobietę z Arizony, wszystko między połową lat siedemdziesiątych XX wieku a rokiem 1998. Steven Smith, zastępca szeryfa Hrabstwa Orleans, powiedział: „Musimy znać konkretną lokalizację, zanim zaczniemy kopać, a w tym momencie jej nie znamy. Myślę, że uczciwie można powiedzieć, iż jakiegokolwiek są motywy pana O'Connora, są one wyrachowane, i nie mają na celu zamknięcia sprawy dla dobra rodzin ofiar...”.

MARCO

Był nietykalny. Podobnie jak reszta łupu. Prawnik - ten, którego domu użyliśmy w noc napadu - twierdził, że wszystkie pieniądze, całe 5 000 000 dolarów, zostały skradzione przez

uzależnionego od kokainy przyjaciela, który „przypadkiem” na nie natrafił. Po miesiącach wydawania i niuchania wrócił w końcu do domu, grożąc, że powie federalnym, jeśli cokolwiek złego przydarzy się jemu lub jego dziewczynie, która miała go do tego podżegać. Twierdził też, że prawnik tak naprawdę ukradł większość pieniędzy, a jego użył jako kozła ofiarnego.

- Kto uwierzy ćpunowi, a nie prawnikowi - odparł. - Ja mam może pół miliona, resztę ma on.

Ponad 4 000 000 dolarów w niewielkich nominałach, wyłącznie nieznaczone banknoty.

Było to przestępstwo doskonałe.

TONY

Trzy znane postaci siedziały w budynku Kennetha B. Keatinga. Każdy z siedzących był weteranem licznych „bitew” odbywających się w tej przytłaczającej budowlu. Trzej mężczyźni siedzieli kiedyś razem jako drużyna podczas procesu Brinks: Tony Leonardo, Jonathan Feldman i John Speranza. Teraz zaś siedzieli jako wrogowie.

Opalenizna Tony'ego nieco zbladła, zniknęły jego drogie garnitury. Zamienił je na więzienny uniform: pomarańczową bluzę i niebieskie prążkowane spodnie, które były już złachmanione od używania. Kajdanki zostały zdjęte z nadgarstków, ale o ich niedawnej obecności świadczyły odcisnięte obręcze.

Tony był oskarżony o konspirację mającą na celu rozprawianie kokainy oraz o posiadanie broni. Groził mu wyrok dożywocia, jeśli zostałby uznany za winnego.

Większość dowodów pochodziło od informatora FBI, który pracował dla nich przez ponad dwa lata. Informator nagrał potajemnie w czasie tych dwóch lat niemal 200 taśm, z czego 90 świadczyło przeciwko Tony'emu.

Dobry przyjaciel Tony'ego, John Speranza - ten sam, który tak ciężko pracował na rzecz Charliego - teraz zamierzał pracować dwa razy ciężiej, by Tony nie spędził reszty życia w więzieniu.

Zadanie nie było łatwe. Na fotelu sędziego siedział nie kto inny, tylko Jonathan Feldman, dawny obrońca ojca Pata. Feldman, który swoim wnioskiem doprowadził do oddalenia większości zarzutów wobec Pata i mnie, nie był już adwokatem, lecz amerykańskim sędzią pokoju.

Feldman skinął w stronę obu mężczyzn, poważnie, lecz przyjaźnie. Jednak mimo oferty kaucji w wysokości i 500 000 dolarów ze strony rodziny Tony'ego Feldman oponował, twierdząc, że prawnik jest „zbyt niebezpieczny”, by wypuścić go na wolność, oraz że istnieją „jasne, przekonujące i mrozące krew w żyłach” dowody, że jest on niebezpieczny.

Latem 1999 roku Tony otworzył ekskluzywny nocny klub o nazwie „Club Titanic”, w Charlotte, 4775 Lake Avenue. Wraz z partnerem, Anthonym Vaccaro, utopili 200 000 dolarów w renowację budynku o powierzchni 1400 metrów kwadratowych. Vaccaro niedługo cieszył się nowym biznesem. W ciągu roku klub został zamknięty. Krótco potem Vaccaro został zastrzelony w sposób, który przywodził na myśl egzekucję.

Nagłówki i uśmiechy w znajdujących się poniżej pomieszczeniach United States Marshals* mówiły wszystko: „Aresztowanie Supermana” oraz „Oszałamiające odwrócenie ról”. Federalni nie potrafili ukryć radości, kiedy odprowadzali Tony'ego z powrotem do Monroe County Prison - Domu Cierpienia.

* United States Marshals Service - agencja federalna zajmująca się m.in. ściganiem osób poszukiwanych listami gończymi, ochroną świadków i transportem więźniów.

Zapach klopsów niosący się przez więzienie przypominał woń ścieków w gorący dzień. Tony miał rację: tylko oni potrafią sprawić, że pachną jak gówno.

Być może przez ten zapach, być może przez myśl o spędzeniu reszty życia wśród ludzi, których wolał bronić, niż z nimi przestawać, a może po prostu zrozumiał, że filmy są tylko filmami, a w więzieniu nie ma happy endu - niezależnie od powodu dwa dni później, w zamian za 12-letni wyrok w więzieniu federalnym, Tony przyznał się do zamordowania swojego byłego partnera i zgodził się zeznawać przeciwko współoskarżonemu Albertowi M. Ranieriemu.

Powiedział FBI, że zgodnie z planem zabójca miał czekać wewnątrz klubu, aż Vaccaro pojawi się w pracy. Wtedy Vaccaro miał zostać zabity. Tony przyznał się, że dał współoskarżonemu Ranieriemu klucz do klubu i kod do alarmu, by pomóc w zbrodni, która jednak nie dokonała się tego wieczora. Vaccaro został zgłodzony sześć tygodni później, kiedy siedemnaście strzałów utopiono w jego samochodzie podczas powrotu do domu. „Musimy go zabić”, mówił z taśmy głos Tony'ego nagrany przed śmiercią Anthony'ego. Następnie Tony zapytał tego faceta, czy mógłby to zrobić, gdyby go o to poproszono.

Ranieri odpowiada, że „rozwaliliby gościa w sekundę” oraz „uciął mu palce i je zjadł, gdyby musiał”.

Tony, facet, który nienawidził kabli, sam zaczął kablować.

RONNIE

Tego sierpniowego poranka w 1995 roku było gorąco, gdy Ronnie podjechał do restauracji zwanej Appleby's czerwoną Toyotą Tercel. Pożyczył ten samochód od znajomego w Nowym Jorku. W baku pozostało niewiele benzyny. Ledwie mu się udało. Jak zwykle było krucho u niego z pieniędzmi.

Po około dwudziestu minutach podejrzanego samotnego czekania na parkingu i zerkania na zegarek do Ronniego podjechał czarny samochód prowadzony przez młodego mężczyznę. Okno powoli się otworzyło. Słońce odbijało się od lśniącej karoserii pojazdu, rażąc Ronniego w oczy.

Po rozmowie, trwającej krócej niż minuta, Ronnie sięgnął przez okno Toyoty i zabrał kluczyki. Wsiadł do czarnego samochodu na miejsce pasażera i został wywieziony z parkingu w stronę północy, wyraźnie w kierunku Buffalo.

Jego ostatnie znane słowa brzmiały: „Spotykam się z tymi gośćmi rano. Jeśli cokolwiek mi się przydarzy, zadzwoń do mojej rodziny. Powiedz im, kim oni są. Do zobaczenia, stary”.

Niektórzy wierzą, że pożyczył pieniądze od „mądrali” i nie był w stanie pokryć rachunku. Federalni, ciągle czując gorycz porażki, próbowali przypisać jego zniknięcie Tomowi, co było dziwne, zważywszy, iż wedle mojej wiedzy, ci dwaj nigdy się nie spotkali.

Czerwona Toyota z niewiadomych powodów stała na parkingu restauracji przez dwa tygodnie, zanim ktokolwiek zdecydował się wezwać gliny. Mały ptaszek uwił sobie gniazdo pod pojazdem, żywiąc się insektami, które przyciągnął w to miejsce cień nieruchomego auta.

- Żadnych zniszczeń. Żadnych podejrzanym - oznajmił policyjny raport.

JA SAM

Jechaliśmy konwojem samochodów i furgonetek FBI z niebezpieczną prędkością w kierunku Lotniska Kennedy'ego. Syreny wyły. Zwykle 90-minutowa podróż zajęła mniej niż 30, gdy konwój przecinał nowojorski ruch. Było jak w Hollywood, FBI przężyło mięśnie przed klawiszami, ciesząc się

każdą chwilą, podobnie jak Goryla Gęba i jego gang, którzy uśmiechali się jak dzieciaki w czasie karnawału.

Zwyczajowa nadwyżka środków bojowych u federalnych szybko się ujawniła, gdy na dachu British Airways pojawił się szereg snajperów, a gliniarze na służbie mówili: „Bądźcie ostrożni. Ci goście są bardziej niebezpieczni od Arabów...”.

Gdy czekałem w samolocie na odlot, FBI i stewardessa nadal klócili się z Goryla Gębą, twierdząc, że powinienem być skutny. Trzeba Gorylej Gębie przyznać, że powiedział im, iż jest tu szefem i nikt nikogo nie będzie zakuwał.

Kłótnia stała się bardziej zacięta, kiedy federalni zaczęli twierdzić, że skoro samolot stoi na amerykańskiej ziemi, podlega on ich jurysdykcji.

Pozwoliłem im się spierać i podniosłem gazetę „USA Today”, czytając raport z ostatniego wieczora na temat drużyny New York Nicks. Zatrzymałem się na kolumnie, która aż wołała o moją uwagę: „Milton Diehl, jeden z trzech zwycięzców loterii stanu Nowy Jork, wygrana 10 000 000 dolarów...” Nazwisko natychmiast znalazło w mojej głowie swoje miejsce. Drobnym przypisem na stronie wyjaśniał, że był on jednym ze strażników, którzy byli trzymani na muszce przez zamaskowanych napastników podczas rabunku w Brink's.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał Goryla Gęba, siadając obok mnie, zwycięski w swojej kłótni.

Nie odpowiedziałem, tylko uśmiechałem się dalej, myśląc jak Milton Diehl, stary „chętny do spustu” musi się teraz czuć, z całą tą forszą na kolanach. Mały nagłówek podsumowywał: „Co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą”.

Było to po prostu piękne. Poetycka sprawiedliwość. Zaw sze lubiłem ironię i dobrą grecką tragedię, muszę też przyznać, że nawet Grecy z trudem by to prześcignęli.

- Powiesz mi, skąd ten uśmiech? - nalegał Goryla Gęba. Dla mnie już jednak nie istniał. Słyszałem tylko piękny pomruk, a potem ryk silników o przerażającej mocy. Wkrótce miały mnie zabrać do domu.

Au revoir et salut

Ostatnie pożegnanie i podziękowania dla tych wszystkich ludzi i nieludzi za uczynienie mojego życia o wiele jaśniejszym i mającym znaczenie, szczególnie w mrocznych dniach wieku dojrzewania.

Komiksom DC za pokazanie mi, jak uciekać, i Marvel Comics za pokazanie, jak uciekać jeszcze lepiej. Nealowi Adamsowi, niekwestionowanemu mistrzowi cierpiących i psychotycznych superbohaterów; Stanowi Lee, który opowiadał niezrównane historie z niesłychanym talentem; Steve'owi Ditko, hipnotycznemu współtwórcy *Spidermana*; Jimowi Steranko za erotyczny i halucynogeny surrealizm w stylu Zap Art i innym; nie zapominając ani na chwilę o legendarnym Jacku „King” Kirbym, głównym innowatorze i najbardziej wpływowym twórcy komiksowego medium za jego kosmiczny zasięg i niesamowitą interpretację *Fantastycznej Czwórki*, *Srebrnego Surfera*, i reszty ekipy nie z tego świata. Specjalny ukłon kieruję w stronę nemezis *Supermana*, zdradzieckiego i całkowicie niezwiązanego z tematem *Mr. Mxyzptlk* (spróbujcie powiedzieć to od tyłu po kilku Guinnessach!).

The Daleks za skrajne przerażanie mnie każdego ponurego, deszczowego sobotniego popołudnia; *Star Trekowi* za to, że wciąż leci; Gary'emu Conwayowi i jego heroicznej ekipie na pokładzie suborbitalnego kosmicznego statku transportowego, „Spindrift”, w *Land of The Giants*. Anarchistycznemu kinu w Duncairn Gardens (weźcie się w garść i walczcie o życie, chłopaki!) za to, że pozwoliło Christopherowi Lee i Peterowi

Cushionowi podprogowo napełniać mnie przerażeniem, gdy wyobrażałem sobie Frankensteina i Draculę pukających do mojego okna w sypialni w burzowe noce.

Williamowi Millarowi z Belfastu (Stephenowi Boydowi) za najślynniejsze wyścigi rydwanów z Charltonem Hestonem oraz za niewybaczalną przystojność i hojność. Pans People, Thin Lizzy, Slade, Suzi Quatro, Vanowi „The Man” Morrisnowi, Dusty Springfield, Rory'emu Gallagherowi, Patsy Cline, wielkiemu Otisowi Reddenowi* i wszystkim z wytwórni „Moton Records”.

* Prawdopodobnie chodzi tu o Otisa Reddinga.

Trójcy sportowych królów: Georgebwi Bestowi, Aleksowi „Hurricane” Higginsowi i Muhammadowi Alemu. „Benowi Shermanowi” i jeansom Levi's oraz deszczowym niedzielom w sali do snookera Tin Hut, gdzie nauczyłem się słabo grać w snookera, ale doskonale w pokera - i wygrywać!

Belfast Central Library za góry wiedzy i piżmowy, uspokajający zapach starych książek. Nigdy nie zapominając o przygodach Tintina Hergé'go i wciągającej oraz całkowicie szurniętej książce *Noddy in Toyland*; Walterowi Mackenowi za klasyczną i błyskotliwą trylogię oraz wszystko pomiędzy; wspaniałym pracom Thomasa Wolfe'a, szczególnie *You Can't Go Home Again*; Cormacowi McCarthyemu za uczynienie współczesnych westernów na nowo chłodnymi i mrocznymi; Biblii za przetrwanie całych wieków prześladowań i manipulacji przez łajdaków i za to, że wciąż tu jest, opowiadając przyzwoitą historię fikcji lub faktu. Musicie przyznać starej księdze, że jest wytrzymała i długowieczna (podobnie jak Ludzie od Koców), niezależnie od tego, czy wierzycie w jej przesłanie; Robertowi Tressellowi (Robertowi Noonanowi) za klasyki i arcydzieło *The Ragged Trousered Philantropists* za

pomoc w dostrzeżeniu świni oraz Orwellowi za błyskotliwy i proroczy *Folwark zwierzęcy* - za pomoc w odkryciu prawdziwej tożsamości świni (i nie mówię tu o Chyżym i Napoleonie!).

Za stary Smithfield Market - duszę Belfastu - zburzony przez palących książki barbarzyńców, pełnych nienawiści i ignorancji. Lancaster Street, najwspanialszej ulicy w Irlandii - jeśli nie na całym świecie.

Kojakowi - nadal nie rozgryzłem, jak on to robi z tą zapalną. Poza tym Columbo. *Rockford Files* za zainspirowanie mnie do napisania powieści o *Karlu Kane* (dzięki, Jim!); Hill Street Blues za odpędzenie minorowych tonów. Samowi Spade i Philipowi Marlowe za nauczenie mnie, że zbrodnia zawsze popłaca - jeśli się o niej pisze. Twardzielom: Williamowi Holdenowi, Jamesowi Cagneyowi, Humphreyowi Bogartowi, Lee Marvinowi, Burtowi Lancasterowi, Kirkowi Douglasowi, Robertowi Ryanowi, Woodyemu Strode, Jackowi Palance, Clintowi Eastwoodowi i mojemu tacie, najtwardszemu z nich wszystkich. Dominicowi Westowi za jego cichy hołd oddany biorącym udział w strajku głodowym w doskonałym *The Wire* produkcji HBO. Steve'owi McQueenowi za *Głód*, film, który - czasami - potrafi ukazać niekończący się koszmar Protestu z Kocami i strajków głodowych. Pięknej aktorce Rose McGowan za to, że nie bała się powiedzieć prawdy. Gdyby tylko więcej aktorów miało tyle ikry.

Ekipie Od Śmiechu: Tommyemu Cooperowi, Dave'owi Alanowi, Frankowi „That's a Cracker” Carsonowi, Ronniemu Bakerowi, Lucille Ball, Philowi „Sergeant Ernie Bilko” Silversowi i Spike'owi „Książę Karol to unizony mały skurczybyk” Milliganowi.

Moim kumplom, z których większość umarła, mając kilkanaście lat, gdy życie wydawało się takie obiecujące.

Ponadczasowemu Harryemu Enrightowi, który pokazał nam, jaki powinien być nauczyciel, oraz panu Gleasonowi, który z całych sił starał się mi ukazać, kim mogę się stać. Gdybym tylko posłuchał...

Wielkiemu Finbarowi McKenna za rozśmieszanie nas wtedy, gdy wydawało nam się, że śmiech umarł na zawsze i przyjdzie nam dzielić jedynie ciemność.

Dzielnemu i niepowstrzymanemu Jamesowi Connolly, najwspanialszemu Szkotowi, jaki kiedykolwiek był Irlandczykiem, który został karygodnie zaniedbany przez irlandzkich tak zwanych historyków, czyli bezmózgiej, prawicowej cenzorskiej mentalności. Małutkie dyktatorskie bezkręgowce nigdy nie wymażą olbrzyma z należącego mu miejsca w historii.

Henry'emu Joemu McCrackenowi, człowiekowi z Ulsteru, który wyrasta ponad wszystkich innych ludzi Ulsteru.

Prezbiteriańskiej krwi, która bije cały czas w kierunku mojego katolickiego i czasem agnostycznego serca.

Ludziom z Kocami. Śmiałym. Odważnym. Najwspanialszym.

Na końcu, Dziesięciu Chłopakom: nigdy nie zapomnianym. Zdradzonym przez dwulicowych i moralnie zbankrutowanych polityków w szytych na miarę łachach Armaniego i rzadkich brodach. Gdybyśmy tylko uważniej czytali *Folwark zwierzęcy* i zwrócili uwagę na ponure ostrzeżenie Wergiliusza w *Eneidzie*: „Nie ufajcie koniowi, Trojanie! Czymkolwiek jest, obawiam się Greków, nawet gdy przynoszą dary”.

Prawda pewnego dnia wyjdzie na jaw.

Możecie mnie trzymać za słowo.

Sam Millar, Belfast, piszący swobodnie - po raz pierwszy w swoim życiu...

SPIS TREŚCI

- Podziękowania • 7
- Prolog • 9
1. Dom • 12
 2. Wyjazd • 17
 3. Bardzo gorące lato • 24
 4. Zające czy króliki?
A może po prostu króliki, które zajęczały? • 29
 5. Cholerna naiwność
Krew na ich cholernych rękach • 34
 6. Katolik z protestancką krwią?
Wybuchowa mieszanka! • 37
 7. Cholera jasna!
Tyle mięsa, ile dasz radę zjeść! • 42
 8. Powrót rdzennych mieszkańców • 46
 9. Początek koszmarnej podróży • 52
 10. Nagie stopy, obnażone dusze • 56
 11. Konfrontacja z rzeczywistością • 60
 12. Ochotnik • 67

13. Skrzypiące buty • 70
14. Martwi bohaterowie naszego dzieciństwa ożywają •73
15. To naprawdę nie jest miłe, gdy wpychają ci palce w tyłek •78
16. Józef Mengele i Ludzki Wyprysk «82
17. Johnie Wayne, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebujemy? • 92
18. Szpital, tytoń i Wietnam • 99
19. Złotowłosa i Trzej Brodacze • 103
20. Pieprzyć klawiszy • 106
21. Słówek do ucha, dużo później • 119
22. Wkracza Anioł Śmierci • 121
23. Jimmy Savile i Pans People •128
24. Nadzieja • 132
25. Tragedia • 138
26. Haczyk 22 • 141
27. Prawdziwa wielka ucieczka, minus Steve McQueen •144
28. Niedokończone sprawy • 146
29. Kasyno • 157
30. Zebranie goryli • 175
31. Bracia i siostry, czyli bliższa ciału koszula •179
32. Czy kiedykolwiek jeździłeś na Harleyu D? Ja też nie! • 183
33. Titanic: zbudowany przez tysiąc Irlandczyków. Zatopiony przez jednego Brytyjczyka • 187
34. Dziwny dręczący dentysta i deser • 190
35. Piwo, hot dogi i forsa • 197
36. Otwieranie drzwi • 199
37. Łowca wielorybów • 202
38. Mówienie prawdy • 210
39. Niewłaściwy zjazd? Niewłaściwa osoba? • 214

40. Czas na przedstawienie! • 217
41. Miejsce dla bohaterów • 232
42. Jeszcze raz Hulk «237
43. Kapuś • 246
44. Pieniądze? Nie wspominaj mi o nich • 249
45. • 253
46. • 255
47. • 258
48. • 262
49. Złapany za jaja. Znowu • 266
50. Aresztowanie i terapia diesla • 271
51. Znow na pierwszych stronach gazet z niewłaściwych powodów • 280
52. Adwokat. Bardzo drogi • 285
53. Hej! Co ty, do cholery, robisz z tymi workami pieniędzy? • 288
54. • 296
55. Nasza strategia • 303
56. Wybór ławy przysięgłych • 306
57. Proces się rozpoczyna • 310
58. Podkową w dupę • 321
59. Werdykt • 325
60. Zebrane myśli z sali sądowej • 328
61. Egzekucja (Piosenka Millara) • 330
62. Przeprowadzenie Millara • 332
- Epilog • 340